

Janelle Taylor NIE POTRAFIĘ PRZESTAĆ CIĘ KOCHAĆ

Prolog

*Listopad 1986
Strasburg, stan Nowy Jork*

Jeszcze dwie minuty.

- Nawet mniej. - Mariel Rowan oderwała wzrok od sekundnika i zerknęła na Noaha Lyonsa, wpatzonego w tarczę swojego zegarka. - Dobrze. Za minutę i pięćdziesiąt sześć sekund będziemy już wiedzieć.

- Nawet mniej - powtórzył jak echo i posłał jej ponury uśmiech, zanim znowu wlepił wzrok we wskazówki.

Mariel siedziała na zmiętoszonej pościeli, tuż obok niego. Głęboko wciągała powietrze i wypuszczała je z ciężkim westchnieniem. Oczekiwanie było torturą; nie istniał żaden sposób, żeby złagodzić napięcie. Nie pozostawało nic więcej, jak tylko śledzić każde drgnienie sekundnika. Dzięki temu przynajmniej nie musieli patrzeć na siebie. Ani na biurko, gdzie obok sterty podręczników, otwartej puszki wody sodowej i ramki, z której uśmiechały się twarze niewidziane od trzech miesięcy - odkąd Mariel wyjechała na uczelnię - leżał rozpakowany test ciążyowy.

Gdyby rodzice się dowiedzieli...

Ale się nie dowiedzą. Zostali w domu, w Missouri, prawie dwa tysiące kilometrów stąd. Tak czy owak, niezależnie od tego, jak sprawy się potoczą, Mariel nigdy im nie powie. Bo i po co?

- O czym myślisz?

Aż drgnęła na dźwięk jego głosu i podniosła wzrok. Przystojna twarz Noaha wyrażała zrozumienie. Mariel z trudem zwalczyła chęć, by wyciągnąć rękę i odsunąć od piwnych oczu niesforny kosmyk ciemnych, wijących się włosów. Bała się, że jeśli go dotknie, straci resztkę opanowania. A właśnie teraz musi być silna. Na rozpacz będzie czas później...

Później? Dokładnie za trzydzieści jeden sekund, uświadomiła sobie, zerkając znowu na zegarek.

- Mariel?

Wzruszyła ramionami.

- O czym myślę? Zastanawiam się, czy za chwilę cały mój świat nie wywróci się do góry nogami... czy może...

- Czy może okaże się, że wszystko jest w porządku - dokończył za nią. - I znów będzie tak jak dotychczas.

Skinęła głową, chociaż w głębi duszy w to nie wierzyła. Nic już nigdy nie będzie tak jak dotychczas. Ta świadomość napawała ją lękiem, budziła zwątpienie w realizację marzeń, które jeszcze do niedawna wydawały się czymś tak pewnym.

Dorastając w sennym prowincjonalnym Rockton, w stanie Missouri, Mariel nie miała nic poza marzeniami.

No, może niezupełnie. Miała przecież rodziców, Andrew i Sarah, i młodszą siostrę Leslie. I znajomych. Mnóstwo znajomych. Ale od najmłodszych lat wiedziała, że to wszystko jest tymczasowe, że nadejdzie dzień, gdy wyjedzie z Rockton i nawet się za siebie nie obejrzy.

I wreszcie, właśnie w tym roku, pod koniec sierpnia, kiedy zieleń brzydsko brązowieła pod palącymi promieniami słońca i wydawało się, że lato nigdy już się nie skończy, nadeszła ta chwila. Mariel wyjechała.

Pierwszy przystanek: mały prywatny college w stanie Nowy Jork, gdzie już na tydzień przed Świętem Pracy w powietrzu czuć było jesień.

O Strasburg College Mariel usłyszała dopiero w zeszłe wakacje, kiedy tuż przed rozpoczęciem ostatniego roku nauki w szkole średniej pojechała wraz z chórem młodzieżowym na Wschodnie Wybrzeże. Dziewczeta wystąpiły w Chautauqua Institution, ośrodku artystyczno-kulturalnym w zachodniej części stanu Nowy Jork. Program kończyło pełne ekspresji solo z broadwayowskiego musicalu - w wykonaniu Mariel. Wypełniająca amfiteatr do ostatniego miejsca publiczność nagrodziła młodą artystkę burzą braw, a wykładowca szkoły teatralnej, który przypadkiem znalazł się na koncercie, zaprosił ją na przesłuchanie kandydatów starających się o stypendia szkoły teatralnej w Strasburgu. I cudownym zrzędzeniem losu Mariel przyznano jedno z nich.

Rodzice jednak nie wpadli w zachwyty. Prawdę mówiąc, byli załamani. Wyobrażali sobie, że Mariel pójdzie na uniwersytet stanowy - jedyną uczelnię, która pozwoliłaby jej pozostać w domu i spotykać się tylko z miejscowymi chłopcami - i że zostanie nauczycielką. Jak przed laty jej matka, zanim poślubiła Andrew Rowana. Karierę pedagogiczną wybrała większość koleżanek Mariel. Jej najlepsza przyjaciółka, Katie Beth Miller, zawsze mawiała, że nauczanie to profesja przyjazna rodzinie. Jeśli nie możesz sobie pozwolić - lub, uchwyc Boże, nie chcesz - rzucić pracy po urodzeniu dziecka, masz wolne podczas wakacji i ferii, i co dzień jesteś w domu już wczesnym popołudniem.

W Rockton nieczęsto spotykało się pracujące matki. Pracujące niezamężne i bezdzietne kobiety zaś były zupełnym wyjątkiem.

A takie życie zamierzała właśnie wieść Mariel.

Nie w Rockton, oczywiście. Po Strasburgu miał być Nowy Jork i kariera na Broadwayu. Rzecz jasna, mogło to zająć ładnych kilka lat. Może po skończeniu studiów spędziłaby jeszcze trochę czasu w Europie - szkoliła głos albo po prostu podróżowała.

Takie miała plany. Marzenia. Nie było w nich miejsca ani na dzieci, ani na męża, ani na szkołę, ani na Rockton. Wszystko, czego Mariel pragnęła, to zostać aktorką. Wolną i beztroską. A właściwie niemal wszystko, bo od trzech miesięcy, odkąd przyjechała do Strasburga, pragnęła również Noaha Lyonsa.

Zacząła się nawet zastanawiać, czy może udałoby się jakoś pogodzić marzenia o karierze i o Noahu. Ale to już absolutnie wszystko. O macierzyństwie nawet nie było mowy.

- Mariel?

Zamrugła nerwowo.

- Tak?

- Już pora. Nawet trochę po czasie. Czekałem, aż sama zauważysz, ale byłeś miliony mil stąd. O czym myślisz?

To się nie mogło zdarzyć. Nie mnie.

- Że... O niczym specjalnym. Lepiej już sprawdźmy. - Podniosła się gwałtownie i podeszła do biurka, gdzie czekała biała plastikowa pałeczka. Była z jednego końca spłaszczona i miała małe okienko. Mariel dokładnie przeczytała załączoną ulotkę. Jeśli w okienku pojawi się ciemne kółko, znaczy, że wynik jest dodatni.

Ręce trzęsły się jej, kiedy sięgnęła po test. Noah stał tuż za nią, zamykał jej drżące palce w swojej dłoni i podtrzymywał Mariel pod ramię.

- Dobrze się czujesz? - zapytał cicho.

Nie odpowiedziała. Oczy miała nadal zamknięte. Nie potrafiła zmusić się, żeby spojrzeć.

- Mariel, musisz odsunąć kciuk. Zasłaniasz okienko.

- Tak - przyznała cieniem, przerażonym głosem. Nienawidziła jego brzmienia. Nienawidziła takiej siebie - beznadziejnie banalnej. Córka pastora, zaledwie trzy miesiące poza domem i już nie ma okresu.

Wszystko, tylko nie ciąża. Przecież ona, Mariel, nie mogła zająć w ciąży. To musi być rezultat stresu. W końcu po raz pierwszy opuściła dom, zaczęła naukę w college'u, zakochała się...

- Mariel?

Wzięła głęboki oddech. Odsunęła palec. Otworzyła oczy i odważyła się spojrzeć. W okienku plastikowej pałeczki czerniało małe kółko.

- Co to znaczy? Że nie jesteś w ciąży?

Słowa Noaha z trudem przedzierały się przez szum, który rozsadał jej czaszkę. Gdzieś w głębi swojej istoty Mariel bezgłośnie krzyczała, wylaż bólu. Wreszcie zdołała wykrztusić:

- To znaczy, że jestem w ciąży.

- Jesteś?

Przytaknęła z opuszczoną głową, ściskając kurczowo test. Obydwoje nie mogli się ruszyć. Noah nadal ją obejmował, ale nagle jego dotyk zaczął Mariel ciążyć. Nie potrafiła podnieść oczu; nie miała siły dowiedzieć się, co on czuje. Znadto pochłaniał ją w tej chwili wir własnych myśli.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął Noah.

Ogarnęła ją wściekłość. Oczywiście, że wszystko będzie dobrze. Dla niego. Nie on jest w ciąży. To przytrafiło się jej.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Nie, nie będzie dobrze - warknęła, marząc o tym, żeby dostrzec w nich coś więcej niż współczucie. Jednak łagodny wyraz malujący się na twarzy Noaha wyprowadził ją tylko do końca z równowagi. Do gniewu doszło poczucie winy.

- Posłuchaj. Wiem, że jesteś strasznie zdenerwowana, ale zobaczysz, znajdziemy jakąś radę. - Wyciągnął rękę, żeby ją znowu objąć.

Mariel cofnęła się gwałtownie i wpadła na szafkę swojej współlokatorki.

- Jaką radę, Noah? Mam osiemnaście lat i spodziewam się dziecka. Ledwie zaczęłam studia i już wszystko skończone. Wszystko.

- Wcale nie. Są sposoby...

Z gniewu aż zaparło jej dech.

- Jeżeli myślisz, że mam zamiar usunąć ciążę, to...

- Wcale tak nie myślę!

Mariel z trudem przełknęła ślinę.

- Takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia. Przynajmniej dla mnie.

- Wiem, Mariel. Wiem, że twój ojciec...

- To nie ma nic wspólnego z tym, że mój ojciec jest pastorem - przerwała mu, starając się opanować gniew. W głębi serca czuła, że chciał powiedzieć - zrobić - to, co słuszne. Tak jak i ona. Ale teraz Noah się nie liczył. - To nie ma nic wspólnego z nikim poza mną. Chodzi o to, co ja uważam. A ja mam zamiar urodzić to dziecko.

Przytaknęła skinieniem głowy, wpatrując się w nią z taką czułością, że musiała odwrócić oczy. Czuła się rozdarta pomiędzy chęcią zadania mu bólu a pragnieniem czegoś niemożliwego.

W wiszącym nad biurkiem lustrze napotkała odbicie własnej twarzy i ze zdumieniem uznała, że wygląda równie ładnie jak zawsze. Długie, jasnobrązowe włosy opadały w nieładzie falami. Widocznie musiała nieświadomie je

wichrzyć; miała taki odruch, kiedy była zdenerwowana. Pod zielonymi, szeroko rozstawionymi oczami ciemniały głębokie cienie. Nic dziwnego, skoro nie zmrzyła oka przez ostatnie dwie noce, odkąd zdała sobie sprawę, że spóźniający się okres może w ogóle się nie pojawić.

Mimo tych śladów, które wiele mówiły o jej ostatnich przeżyciach, była nadal sobą - atrakcyjną dziewczyną w przydużej granatowej bluzie strasburskiego college'u. A widoczny za jej plecami wysoki, szczupły chłopak w dżinsach, flanelowej koszuli w czarno-zieloną kratę i z takimi samymi jak u Mariel sińcami pod oczami wyglądał na typowego amerykańskiego studenta.

Podobne historie nie zdarzają się ludziom takim jak oni.

Odsunęła tę rozpaczliwą myśl, wiedząc, że jest po prostu śmieszna. Podobne historie zdarzają się wyłącznie ludziom takim jak oni. Ludziom, którzy są zbyt zafascynowani sobą, by zwracać uwagę na szczegóły.

Takie jak stosowanie za każdym razem środków antykoncepcyjnych.

Położywszy dłonie na ramionach Mariel, Noah zbliżył twarz do jej twarzy.

- Kochanie, nie wykluczaj mnie z tej sprawy. Proszę. Tkwimy w tym wspólnie.

Musiała pokonać grude, która rosła jej w gardle.

- Chciałabym, żebyś miał rację, Noah. Ale tak nie jest. To dotyczy tylko mnie. Boże, w życiu nie czułam się taka samotna.

- Nie jesteś samotna - zaprotestował gwałtownie. - I nigdy nie będziesz. Mam zamiar przejść przez to wszystko razem z tobą. Nie opuszczę cię.

Potrząsnęła głową, wzruszona jego lojalnością, mimo iż irytował ją ten zupełny brak logiki.

- Noah, ty nie musisz dokonywać żadnego wyboru. Jeśli o mnie chodzi, mam zamiar rzucić szkołę. Dziecko przyjdzie na świat pod koniec czerwca albo w początkach lipca i...

- Naprawdę? Skąd wiesz? - przerwał jej niemal bez tchu, jakby mówił o jakimś... cudzie?

- Wczoraj byłam w bibliotece i poczytałam sobie trochę na ten temat. Był tam taki wykres. Jeśli znasz termin ostatniej miesiączki, możesz wyliczyć czas narodzin dziecka.

Skinął głową.

- Dziecko. Kiedy mówisz o nim, to brzmi tak...

Wiedziała, co miał na myśli. Niezależnie od wszystkich innych emocji, których doznawała, czuła, że było w tym coś z cudu. W jej wnętrzu rosła żywa ludzka istota. Dali jej początek wspólnie z Noahem, którego ona...

Nie. Nie kochała go. Nie mogła przecież naprawdę kochać człowieka poznanego zaledwie trzy miesiące temu...

Może, gdyby ich związek trwał dłużej, połączyłoby ich głębsze uczucie.

Teraz już nigdy się tego nie dowiedzą.

- Powiedziałaś, że będziesz musiała rzucić szkołę.

Przytaknęła, znowu pogrążając się w rozpacz.

Noah odchrząknął.

- Czy to znaczy, że masz zamiar wrócić do Rockton? Przecież twoi rodzice...

- Noah, gdybym pojawiła się tam w ciąży, rodzice na pewno wyrzuciliby mnie z domu.

Nie wyglądał na zdziwionego. Nagle zdała sobie sprawę, co musiał myśleć o jej najbliższych. Czy opowiadając mu o nich, przypadkiem nie wyolbrzymiała pewnych spraw? Chyba tak. Ciągłe narzekała, jak ciężko jest dorastać u boku ojca pastora i niepracującej matki, która dzieli swój czas między pieczenie ciasteczek a komitet parafialny. Jak oboje zupełnie jej nie rozumieją.

Państwo Rowan zbliżali się już do sześćdziesiątki. Byli znacznie starsi niż rodzice koleżanek Mariel. Pobrali się młodo i przez całe lata marzyli o dziecku. Gdy w końcu utracili już wszelką nadzieję, niespodziewanie przyszła na świat Mariel, a w pięć lat później, co jeszcze bardziej nieprawdopodobne, Leslie. Andrew i Sarah opowiadali wszystkim, kto tylko chciał tego słuchać, że ich córki są cudownym darem od Boga.

Teraz Mariel doświadcza czegoś wręcz przeciwnego. Jest przeklęta, bo spodziewa się dziecka. A przede wszystkim czuje się winna. Cokolwiek zrobi, będzie winna.

- Może rodzice nie wyrzuciliby mnie - powiedziała, pragnąc, by Noah zrozumiał, że poprzednio rozminęła się z prawdą. - Nie są źli. Tylko bardzo konserwatywni i bardzo religijni. Rockton to mała miejscina. Umarliby ze wstydu, gdybym pojawiła się w ciąży i bez męża.

- Wcale nie musisz być samotną matką - stwierdził patrząc na nią dziwnie.

Znowu się najeżyła.

- Wyraźnie ci chyba powiedziałam. Zamierzam urodzić to dziecko. Nie ma mowy, żebyś zdecydowała się na...

- Ależ nie. Nie miałem namyśli aborcji.

Mariel wpatrywała się w odbicie jego twarzy w lustrze, nic nie rozumiejąc. A może nie chciała rozumieć. Lecz kiedy Noah ujął ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie, nie mogła już uniknąć tego, co za chwilę miało nastąpić. Zanim zdążyła zaprotestować, przyklęknął przed nią na jedno kolano. Mimo to spróbowała jeszcze raz.

- Noah, proszę, nie...

Chwycił jej dłoń i ścisnął mocno. Głos łąmał mu się, twarz płonęła z przejęcia. A jednak to nie było to uczucie. Nie to, którego oczekiwała, które miała nadzieję ujrzeć w jego oczach.

- Mariel, wcale nie musisz być samotna. Nigdy - zaczął żarliwie. - Zaopiekuję się tobą i naszym dzieckiem. Przysięgam. Jeśli zostaniesz moją żoną, nigdy cię nie opuszczę.

- Twoją żoną? - Jej głos zabrzmiał tak piskliwie, że sama aż się skrzywiła.

Nie chciała reagować w ten sposób, ale nie potrafiła nad sobą zapanować. Zbyt wiele zdarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Najpierw dodatni wynik testu ciążowego, teraz propozycja małżeństwa.

Reakcja Noaha była niezwykle szlachetna. Zachowywał się tak miło. Zupełnie nie tak, jak trzeba.

- Nie możemy tego zrobić - odezwała się wreszcie, odzyskując wprawdzie panowanie nad głosem, lecz nie mogąc poskromić emocji. Czują, że znajduje się na krawędzi hysterii. Zaraz wybuchnie. Śmiechem? Łzami? Albo jednocześnie i tym, i tym.

- Ależ tak, możemy.

Podniósł się z kolan, lecz nadal trzymał jej dłonie, przyciskając je do piersi. Kiedy wyczuła łomot jego serca, nagle zdała sobie sprawę, że gdzieś w głębi jej ciała bije serce ich dziecka. Na ułamek sekundy dała się oczarować Noahowi i wizji zrodzonej z jego serdecznych, głupich słów.

Po chwili jednak wróciło poczucie rzeczywistości. Mariel zmusiła się, żeby spojrzeć prawdzie w oczy - i spróbować przekonać Noaha, by postąpił tak samo.

- Noah, sam siebie posłuchaj. To szaleństwo. Mówisz o małżeństwie.

- Owszem.

- Dopiero zaczęliśmy studia. Przed nami jeszcze całe życie. I to nie tylko nauka, ale podróże, kariera... Noah, nie możemy się pobrać. Mamy dopiero po osiemnaście lat.

- No to co? Spodziewamy się dziecka - przerwał jej z błyskiem w oczach. W końcu dostrzegła w nich ślad gniewu i, co dziwne, poczuła wdzięczność. Nie chciała - nie potrzebowała - jego bezinteresownego poświęcenia.

- To ja spodziewam się dziecka. Nie my. Ja. To ja mam urodzić dziecko.

- A ja jestem dzieckiem wychowywanym przez samotną matkę - odparował. - I to ja wiem coś na ten temat. To ja nie pamiętam dnia, żebym nie pomyślał, jak inaczej potoczyłoby się moje życie, gdybym miał ojca. Dziecko - nasze dziecko - potrzebuje obydwójga rodziców...

- Masz rację - wtrąciła miękko.

- ...i niezależnie od wszystkiego zamierzam... Co? - przerwał nagle, jakby dopiero teraz dotarli do niego jej słowa. - Powiedziałaś, że mam rację?

Skinęła głową.

Twarz Noaha rozjaśniła się. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale palce Mariel dotknęły jego warg, zanim zdążył się odezwać.

- Nasze dziecko potrzebuje obydwójga rodziców, Noah. Ale tymi rodzicami nie będziemy my. Ani ty, ani ja.

Rozdział 1

Maj 2001 Rockton, Missouri

Mariel? Gdzie jesteś?

Słyszac dobiegające z hallu wołanie siostry, Mariel zastygła z ręką na drzwiach gabinetu. Po chwili wahania odkrzyknęła zmęczonym głosem:

- Na górze, Leslie. Co się stało?

- Możesz zejść na sekundę? To nie do wiary.

Mariel z westchnieniem zawróciła w stronę schodów, po których przemykała się nie dalej jak piętnaście sekund temu z nadzieją, że siostra wybierze się wreszcie do manikiurzystki.

Leslie była zwykle wyluzowana i samodzielna. Jednak odkąd czas dzielący ją od dnia ślubu zaczął kurczyć się z miesięcy w tygodnie, coraz bardziej potrzebowała oparcia. Na szczęście jutro o tej porze będą już miały za sobą przyjmowanie podarunków i Mariel pozostanie tylko przeprowadzić siostrę przez ceremonię w kościele.

Tylko? Już teraz myślała z obawą o tej kolejnej próbie. Nie w tym rzecz, że nie pragnęła ujrzeć, jak Leslie zostaje szczęśliwą żoną Jeda Petersona, w którym kochała się jeszcze w szkole średniej i który mieszkał niemal drzwi w drzwi z rodziną Rowanów.

Jednak im bliższy był termin ślubu, tym bardziej Leslie denerwowała się najdrobniejszymi głupstwami - czy czcionka na karnetach będzie miała ten sam odcień co różyczki z lukru na weselnym torcie, czy ledwie widoczna blizna u nasady palców Jeda nie rzuci się zbyt w oczy, jeśli fotograf zrobi zbliżenie dłoni nowożeńców w ślubnych obrączkach.

Mariel nie miała pojęcia, jak zdoła jeszcze przez siedem tygodni wysłuchiwać tych irracjonalnych problemów i pozostać przy zdrowych zmysłach.

- Co się stało? - powtórzyła, znalazłszy siostrę w saloniku na staroświeckiej niewygodnej kanapie, którą ich matka zawsze nazywała sofą. Z otwartego ozdobnego pudła wystawały warstwy bibułki.

- Tylko popatrz, Mariel - wydusiła wreszcie Leslie. - Właśnie wychodziłam, kiedy dostałam tę paczkę.

- A co to takiego? Prezent ślubny? - Mariel ostrożnie wyciągnęła rękę, żeby nie przewrócić stojących na szklanym stoloczku porcelanowych świętych figurek, które były tu zawsze, odkąd pamiętała.

- Owszem, od kuzynek Jeda.
- Od bliźniaczek z Teksasu?
- Boże, nie! - Leslie wyglądała na przerażoną. - Tammy Elleni Pamela Joan w ogóle nie zapraszaliśmy na przyjęcie, przecież wiesz. Na pewno by się pojawiły, a mamie Jeda już wystarczy, że będzie musiała je gościć przez cały weekend, kiedy przyjadą na ślub. Im się po prostu nigdy nie zamykają usta.

- Więc od których kuzynek?
- Od Milliei Helen.
- Brzmi, jakby były uroczymi starszymi damami - stwierdziła Mariel.
- Bo to rzeczywiście urocze starsze damy. Stare panny. Kuzyнки Jeda drugiego czy trzeciego stopnia. Nie mogą przyjechać na przyjęcie, ponieważ zawsze w niedzielę po południu grywają w swoim domu emeryta w bingo. No, rusz się, Mar. Zobacz, co mi przysłały.

Mariel rozsunęła warstwy bibułki i wydobyła z pudła coś białego i atlasowego. Długie, białe, atlasowe. Koronki. I cekiny. Ściskając w ręku całe metry powiewnej tkaniny, podniosła zdumiony wzrok na siostrę. Nagle poczuła łaskotanie w nosie i kichnęła.

- Jakieś piórka? Co to, na Boga, jest?
- Peniuar - wyjaśniła jej siostra zduszonym głosem.
- Śmiejesz się czy płaczesz?
- Sama już nie wiem. - Leslie opadła na oparcie kanapy i odrzuciła głowę do tyłu.
Mariel odsunęła atlasową szatę. Na podłogę sfrunął jakiś papier. Pochyliła się, żeby go podnieść, i wtedy zorientowała się, że to kartka ze staroświeckiej papeterii w roślinne wzory. Liścik, skreślony przypominającym pajęczynę pismem, był bardzo krótki.

To na twoją noc poślubną, droga Leslie.
- Na noc poślubną? - Mariel spojrzała na siostrę. - Ależ to absolutna...
- Ohyda. Wiem.
- Zwłaszcza z tymi wszystkimi... ozdóbkami. Piórkami, cekinami, czy jak im tam.
- Wiem! - Leslie ukryła twarz w dłoniach. - Nie mogę tego włożyć. Nigdy! A już na pewno nie wystąpię w tym podczas nocy poślubnej.

- Po prostu napisz do tych starszych pań kilka miłych słów podziękowania i oddaj to szkaradziejstwo do sklepu z używaną odzieżą.
- Mariel, ty nic nie rozumiesz. One na pewno mnie zapytają, czy prezent mi się spodobał. Będą chciały, żebym się im w tym pokazała. Zapytają Jeda, czy...

- Uspokój się, Leslie! Chyba się trochę zagalopowałaś.
Ale Leslie, królowa sztuki dramatycznej, jęczała dalej:
- Już nie mogę. Ten stres mnie wykańcza. Dlaczego po prostu nie uciekłam z Jedem?
- Przecież chciałaś mieć ślub z całą pompą, już nie pamiętasz? - Mariel usiłowała upchnąć peniuar do pudła i wcisnąć pokrywkę. Jedno z piórek, wirując w powietrzu, opadło na podłogę. - To ja mówiłam, że może powinniśmy się trochę... ograniczyć.

- Wiem; Ale ciągle miałam przed oczami taką uroczystość, jaką mama sobie dla mnie wymarzyła. Tyle razy opowiadała, jak to będzie w dniu naszego ślubu - mojego i twojego. Czasem wydaje mi się, że w pewnym sensie robię to dla niej.

Oczy starszej z sióstr zaszklily się łzami. Od śmierci pani Rowan minęły już prawie dwa lata, a Mariel wciąż tak emocjonalnie reagowała na najmniejszą wzmiankę o matce. Podobnie zresztą jak reszta rodziny, a zwłaszcza tata.

Szczęśliwie teraz nie było go w domu. Udał się z wizytą do wielbego Henry'ego, który przejął parafię, kiedy ubiegłego roku pastor Rowan, przeszedłszy na emeryturę, wyjechał na Florydę.

- Leslie, idź wreszcie zrobić te paznokcie. I nie myśl o głupotach. Nikt oprócz ciebie i Jeda nie będzie wiedział, co miałaś na sobie w noc poślubną.

- Święta racja. - Leslie uśmiechnęła się i z nieszczęsnym pudłem w objęciach ruszyła do drzwi. - Ciekawe, czy Jed już wrócił z St. Louis? Chyba się przewróci, jak to zobaczy.

Kolejny kryzys przedślubny został zażegnany. Odprowadziwszy wzrokiem siostrę, która ścieżką wśród krzaków bzu zmierzała do domu Petersonów, Mariel znowu weszła na piętro.

W dawnym pokoju do szycia, ostatnio zamienionym w gabinet, opadła ciężko na krzesło przy biurku i włączyła komputer. Czekając, aż na ekranie ukaże się znajomy obraz, wodziła wzrokiem po pokoju. Z upodobaniem przyglądała się tapecie w granatowo-zielone paseczki, świeżo pobielonej stolarce i plecionemu chodniczkiowi na drewnianej podłodze. Sypialnia Mariel, po drugiej stronie korytarza, wydawała się dziwnie pusta, odkąd biurko, krzesło i półki na książki przeniesione zostały do gabinetu. Mariel zamierzała kupić sobie nowe meble, kiedy w lipcu, po ślubie Leslie, zamieszka już zupełnie sama. A może wtedy przeniesie się do głównej sypialni?

Jednak plany zmian, chociaż na pewno sensowne, nie dodawały specjalnie otuchy. Nieduży biały, zbudowany w stylu kolonialnym dom Rowanów, miał pozostać wyłącznie do jej dyspozycji, ale Mariel nie była wcale pewna, czy kiedykolwiek poczuje, że naprawdę należy on do niej. Niezależnie od tego, gdzie by urządziła sypialnię lub

ustawiła swój komputer.

Przecież zawsze możesz kupić sobie jakiś własny kąt - mawiała sobie.

Starła się jednak odsuwać tę myśl. Wyglądałoby to niemal, jakby... Jakby co? Jakby się poddała?

Jakby przyznała przed samą sobą - i całym światem - że nigdy nie wyjdzie za mąż? W końcu czy nie tego zawsze chciała? Życia w pojedynkę, bez zobowiązań?

Owszem, ale nie takiego życia, sprostował wewnętrzny głos. Myślała, że wszystko będzie inaczej. Miała mieszkać w Nowym Jorku, Londynie albo nawet w Hollywood. Na pewno nie w Rockton, w miasteczku - i domu - gdzie spędziła niemal całą młodość, marząc o ucieczce.

Komputer zatrzeszczał, zahuczał i w końcu na ekranie pojawiła się plansza z ikonkami. Mariel załogowała się do sieci. Serce uderzyło jej mocniej, kiedy zauważyła, że w skrzynce odbiorczej jest jakaś wiadomość, i usłyszała odcieleśniony głos, który informował:

Dostałaś pocztę.

E-mail. Jedyne ogniwo łączące ją ze światem, który kiedyś miała osobiście zjeździć wzdłuż i wszerz. Teraz realizowała to marzenie metodą zastępczą, poprzez rozmowy z ludźmi poznanymi przez Internet.

Była ciekawa, kto do niej napisał. Po raz ostatni sprawdzała pocztę wczesnym rankiem, jeszcze zanim Leslie wstała i zaczęła się miotać, doszedłszy do wniosku, że powinny upiec na przyjęcie pięć tuzinów ciasteczek w kształcie weselnego tortu. Ciasteczek, które do tej pory leżały porozkładane po całej kuchni na pergaminowych arkuszach, czekając na udekorowanie, co Leslie zdecydowała się pozostawić siostrze.

- Masz znacznie większy zmysł artystyczny niż ja, Mar - oświadczyła. - Może ci się uda na każdym ciasteczku wypisać lukrem nasze imiona i wymalować pączki róż.

Może. Ale ciasteczka poczekają.

Poruszając myszką, Mariel zbliżyła twarz do ekranu i kliknęła ikonkę skrzynki odbiorczej. Nadeszło sporo wiadomości. Przejrzała listę, rozpoznając imiona nadawców.

Jackie, jej przyjaciółka z sieci, aktorka, która dostała jedną z głównych ról w objazdowym przedstawieniu *Skrzypka na dachu*.

Anthony, znajomy, który zdawał się nie rozumieć, że ona pisała poważnie iż nie jest zainteresowana internetowym związkiem na odległość.

Księgarnia, która prawdopodobnie zawiadamiła o wysyłce zamówionych przez nią pozycji.

I wreszcie ktoś, kogo nie potrafiła zidentyfikować.

Wpatrywała się w nieznany adres.

Kto to jest Indegr1?

Mariel nie miała najmniejszego pojęcia. Wobec tego od tej wiadomości zaczęła. Rozległ się znajomy furkot i po chwili na ekranie ukazał się krótki tekst.

Szanowna Pani,

Przyszłam na świat w Szpitalu św. Tomasza na przedmieściach Syracuse, w stanie Nowy Jork, 4 lipca 1987 roku. Rodzice adoptowali mnie. Szukam mojej biologicznej matki. Myślę, że to może być Pani. Jeżeli Pani też tak sądzi, proszę do mnie napisać. Załączam fotografię na wypadek, gdyby chciała Pani sprawdzić, czy jesteśmy do siebie podobne.

Serdecznie pozdrawiam

Amber Steadman

Mariel nie mogła złapać tchu. Nie mogła się poruszyć. Zebrać myśli.

Gdzieś w głębi duszy zawsze wiedziała, że ten dzień musi nadejść. A teraz, kiedy to się stało, nagle nie potrafiła sobie przypomnieć, czy oczekiwała go ze strachem, czy... z tęsknotą.

Ta dziewczynka - ta Amber Steadman - ta pozbawiona jeszcze rysów postać... To mogło być dziecko, którego Mariel nie widziała od tamtego oślepiającego słonecznym blaskiem Dnia Niepodległości - niemal piętnaście lat temu.

Dzień Niepodległości.

Wtedy mówiła sobie, że to najodpowiedniejsza data na te narodziny. Spełniła swój obowiązek. Nie usunęła ciąży. Jedyne, co jeszcze musiała zrobić to przekazać córeczkę w pełne miłości objęcia bezdzietnego zamożnego małżeństwa, które wybrała na jej rodziców. Potem miała już być wolna.

Tymczasem wszystko było nie tak, jak sobie wyobraziła.

Nawet teraz rzadko odważała się wspominać te straszne chwile, kiedy żegnała na zawsze dwoje ludzi, którzy znaczyli w jej życiu więcej niż ktokolwiek inny na świecie.

Niepodległość.

Indegr1.

To ona, kołatało się w głowie Mariel. Gwałtownie kliknęła ikonkę, ogarnięta rozpaczliwym pragnieniem, żeby jak najszybciej ściągnąć zdjęcie z sieci.

Oczywiście, to wcale nie musiała być jej córka. Tamtego dnia w Szpitalu św. Tomasza na pewno przyszło na świat wiele dzieci.

Ale ile z nich zostało oddanych do adopcji?

Fotografia zaczęła się ukazywać, stopniowo wypełniając ekran od góry poziomymi pasami. Widać już było ciemne włosy z przedziałkiem na środku głowy.

Mariel miała jaśniejsze.

Wysokie, odkryte czoło.

Mariel zawsze nosiła grzywkę.

I co z tego? Fryzura nie jest cechą dziedziczną, napomniała samą siebie, przyglądając się z fascynacją, jak na ekranie pojawiają się proste, ciemne brwi, a potem zielone oczy otoczone gęstymi rzęsami. Rzęsy też wydawały się zbyt ciemne, podobnie jak włosy i brwi, ale te oczy...

To były jej oczy. Oczy Mariel - nastolatki spoglądające z obcej twarzy.

Zagryzła wargi, kurczowo zacisnęła dłonie na poręczach krzesła i trzęsła się, wpatrzona w komputer, sama nie wiedząc, czego właściwie jeszcze oczekuje. Oczy na fotografii były wystarczającym dowodem. Nawet gdyby reszta twarzy w najmniejszym stopniu nie przypominała Mariel...

I rzeczywiście, nie przypominała.

Nos był dłuższy, usta pełniejsze.

Nos Noaha. Usta Noaha. Włosy Noaha i brwi Noaha.

A oczy jej.

Mariel wyrwało się drżące westchnienie. Prawda była zbyt oczywista, żeby jej zaprzeczać albo choćby podawać w wątpliwość. Dziewczynka z fotografii to bez wątpienia to samo dziecko, które wspólnie z Noahem przekazali obcemu małżeństwu kilka minut przedtem, zanim ich drogi na zawsze się rozeszły.

- Cześć, mamó.

- A gdzie Kelly?

Noah, tłumiąc westchnienie, ucałował matkę w policzek.

- Pracuje w soboty, przecież wiesz - wyjaśnił bez zająknięcia. Zauważył że ufarbowała włosy. Boże, znowu. - Podoba mi się ten nowy odcień - zrećźnie zmienił temat i przechodząc z przedpokoju do kuchni, pogłaskał matkę po głowie.

Starsza pani starannie domknęła drzwi, zatrzasnęła dwie zasuwki i podążyła za synem.

- Nie myślisz, że trochę za jasny? - zapytała.

Tak właśnie myślał, ale nie zamierzał jej o tym mówić. Jako dziecko latami usiłował skłonić matkę, żeby wróciła do swego naturalnego koloru włosów, które pewnie były nawet ciemniejsze niż jego własne. Odpowiadała na to, że życie blondynki jest dużo zabawniejsze.

Wydawało mu się to dziwne, bo matka rzadko sprawiała wrażenie, że się dobrze bawi. Zawsze była zbyt zapracowana, harując na dwóch posadach, walcząc miesiąc po miesiącu, by opłacić czynsz w pamiętającej lepsze czasy pięciopiętrowej kamienicy przy Czterdziestej ulicy, na południe od Queens Boulevard.

- Przyniosłem ci kilka zup - powiedział, odkładając torbę z zakupami, którą taszczył przez dwie przecznice od stacji metra.

- Nie trzeba było. Mam zupę.

Noah otworzył kredens i stwierdził, że z pół tuzina puszek, które przyniósł w zeszłą sobotę, została tylko jedna, opatrzona biało-czerwoną etykietką.

- Więc będziesz miała zapas - oznajmił, wyciągając puszkę i upychając jedną po drugiej na półce. - Chicken and Stars, Chicken Noodle, Chicken Gumbo... rany, mamó, czyżbym przyniósł ci tylko kurczaka w różnych wersjach? O, tu jest coś innego, jarzynowa na wołównie.

- Bardzo mi zawsze smakuje. Zresztą rosół z kurczaka też. Ale naprawdę, Noah, nie trzeba było. A to co?

- Czarne oliwki. Twoje ulubione.

- Nie kupuj mi oliwek, Noah. Nie kupuj mi zup. Ciebie nie...

- Była promocja - skłamał gładko i wręczył matce pudełko Ring Dings. - Na deser.

- A zostaniesz zjeść ze mną ten deser?

- Jak najbardziej. - Odsunął krzesło i usiadł. Kuchenny stół zakotłosał się, gdy tylko oparł na nim łokcie. Noah zajrzał pod blat. - Mamó, co się stało z tą deseczką, którą ci przyniosłem, żebyś podłożyła pod krótszą nogę?

- Nie ma jej tam? - Starannie złożyła brązową papierową torbę po zakupach i umieściła w szafce po zlewem. - Napijesz się herbaty?

- Jasne. - Trzeba było kupić herbatę, uświadomił sobie, widząc, że w szklanym słoju zostało już tylko kilka torebek, w dodatku same ziołowe. Zanotował w pamięci, żeby następnym razem przynieść herbatę i kolejny kawałeczek deski pod stołową nogę.

- O której Kelly ma wrócić do domu? - zapytała pani Lyons, stawiając czajnik na gazie.

Nigdy, mamó. Ona nigdy nie wróci.

Nie potrafił się jednak zdobyć, żeby powiadomić o tym matkę. Minęły już trzy tygodnie od wyprowadzki Kelly, a całe miesiące, odkąd wspólnie uznali, że ich małżeństwo jest nie do uratowania. Noah zdążył nawet zamieścić w „Village Voice” ogłoszenie, że poszukuje lokatora. Kiedy zabrakło solidnych dochodów żony, nie stać go już było na wysoki czynsz, a za nic nie chciał wyprowadzić się ze swego mieszkania i z East Village, dzielnicy, którą tak lubił.

- Noah?

Oprzytomniał. Matka przyglądała mu się, opierając ręce na biodrach. Wygląda staro, pomyślał. Staro i ubogo, w wytartych džinsach i koszulce ozdobionej logo jednej ze stacji telewizyjnych. Sam ofiarował matce ten T-shirt, podobnie jak niezliczoną ilość innych - dodatkowa korzyść z pracy w agencji reklamowej przy Madison Avenue. Darmowe koszulki, czapeczki, nylonowe torby, plastikowe kubki, breloczki do kluczy, a wszystko opatrzone znakami różnych sieci telewizyjnych.

I do tego jeszcze te wszystkie dezodoranty, środki przeczyszczające i prezerwatywy, których miał pod dostatkiem dzięki uprzejmości najznacześniejszego klienta agencji. Teraz, gdy Kelly zniknęła z horyzontu, uznał, że prezerwatywy mogą się przydać... gdyby kiedykolwiek poznał kobietę na tyle pociągającą, by miał ochotę się z nią spotykać, a tym bardziej sypiać.

Dotąd ich nie potrzebował. Kelly używała jakiegoś środka zapobiegającego ciąży - czegoś, czego większość ginekologów nie zaleciłaby żadnej kobiecie, która dotąd nie rodziła, a zamierzała w przyszłości mieć dzieci. Ale o tym Noah dowiedział się dopiero niedawno. Zawsze myślał, że kiedy będą już się czuli gotowi, jego żona przestanie stosować zabezpieczenia.

Teoretycznie wszystko mogło się jeszcze ułożyć. Jednak Kelly nie zgodziła się. Nie chciała zachodzić w ciążę ani mieć dzieci. Szkoda, że nie powiedziała mu o tym, zanim się pobrali. Zanim się w niej zakochał.

Zaklinała się, że wówczas nie zdawała sobie jeszcze sprawy ze swojej niechęci do macierzyństwa. Sądziła, że dojrzeje do tęsknoty za dzieckiem, którą okazywały wszystkie jej zameżne koleżanki. Jednak, jak się okazało, zegar biologiczny Kelly najwyraźniej szwankował, a jej to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało.

Czasami Noah zastanawiał się, czy ich małżeństwo przetrwałoby, gdyby Kelly pragnęła zostać matką. Pewnie tak.

Nietrudno mu było się w niej zakochać, gdy obydwoje mieli po dwadzieścia cztery lata, a ona - piękna, dowcipna, błyskotliwa studentka prawa - szalała na jego punkcie. Teraz w wieku trzydziestu trzech lat Noah bez trudu zrezygnował z miłości do Kelly - nadal pięknej, dowcipnej, błyskotliwej - i niezadowolonej, że jej mąż nie żyje stosownie do swych możliwości.

Wcześniej czy później będzie musiał powiedzieć matce o rozwodzie. Ale nie dzisiaj.

Wiedział, jak bardzo pragnęła dla niego normalnego życia - życia, którego nigdy sama nie zaznała i nie mogła zapewnić synowi. Marzyła, że jej Noah będzie miał żonę i dzieci, ładne mieszkanie i dobrą posadę.

Dobrą posadę miał oczywiście, aczkolwiek był to pomysł Kelly, nie jego.

Nie mógł się też uskarżać na mieszkanie, które zdoła utrzymać, pod warunkiem że ktoś szybko odpowie na ogłoszenie „Szukam współlokatora”.

Co do reszty - żony i dzieci nigdy nie będzie miał.

Jednak nawet teraz nie potrafił powstrzymać się od myśli, jak inaczej mogło wyglądać jego życie. Nie z Kelly, z Mariel. Po wszystkich tych latach nadal się zastanawiał, czy ich związek by przetrwał, gdyby Mariel nie zaszła w ciążę. A czy jego małżeństwo dałoby się utrzymać, gdyby Kelly zaszła w ciążę?

- Noah, wszystko w porządku? - spytała matka. Przez cały czas nie odrywała od niego czujnych ciemnych oczu.

- Jak najbardziej, mam - skłamał, próbując wymazać z pamięci twarz Mariel.

- No? I co o tym myślisz? - Mariel z niepokojem wpatrywała się w swoją najbliższą przyjaciółkę. Znały się od trzydziestu lat, od czasów, kiedy chodziły razem do przedszkola, a Katie Beth nosiła nazwisko Miller. Teraz była żoną Patricka Mulligana. Zgodnie z porządkiem alfabetycznym zawsze siedział za nią w klasie i w podstawówce ciągał ją za rude warkoczki, w szkole średniej natomiast poprosił, żeby została jego dziewczyną.

Podczas ich ślubu, który odbył się latem, zaraz po otrzymaniu przez Katie Beth dyplomu na wydziale pedagogicznym uniwersytetu stanowego, Mariel wystąpiła jako pierwsza drużna. Parę lat wcześniej poszła w ślady przyjaciółki i akurat kiedy uzyskała licencjat z nauczania początkowego, Katie Beth, nauczycielka pierwszej klasy w szkole podstawowej w Rockton, rozpoczęła urlop macierzyński. Przedtem jednak zarekomendowała zarządowi szkoły Mariel na tymczasowe zastępstwo. Jednak w trzy miesiące po przyjściu na świat maleństwa Katie Beth znów zaszła w ciążę i zdecydowała się rzucić pracę. Wówczas to Mariel zaproponowano stały etat.

Teraz Katie Beth miała czworo dzieci, a Mariel pracowała już tak długo, że najstarsza córka przyjaciółki właśnie została jej uczennicą.

- Wydaje mi się, że ma twoje oczy - zawyrokowała Katie Beth, przenosząc wzrok z ekranu komputera na twarz Mariel. - Co do reszty, nie potrafię nic powiedzieć.

- Bo nigdy nie widziałas Noaha. Ona wygląda jak mieszanina nas obojga. Kiedy patrzę na tę fotografię...

Przerwała, słysząc trzaśnięcie drzwi wejściowych.

- Już wróciłam - dobiegł je głos Leslie.

- Jestem tu, na górze, z Katie Beth - odkrzyknęła Mariel, klikając szybko X w prawym górnym rogu ekranu, na którym nadal widniała twarz Amber Steadman. Komputer natychmiast zareagował i fotografia zniknęła.

Mariel zwróciła się szeptem do przyjaciółki:

- Co ja mam zrobić? Jestem pewna, że to ona.

- Więc zawiadam ją o tym.

- Za pomocą e-maila? - zaproponowała Mariel. - To zbyt bezosobowe.

Katie Beth pokiwała głową ze zrozumieniem. Na usianej piegami twarzy malowała się niecodzienna powaga.

- Może powinnaś zadzwonić - zasugerowała ściszym głosem, żeby nie usłyszała jej Leslie.

- A nie sądzisz, że telefon jest równie bezosobowy jak poczta elektroniczna?

- Chyba masz rację.

Wymieniły posępne spojrzenia.

Katie Beth była jedyną osobą, której Mariel zwierzyła się, że jako nastolatka zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Ale nawet jej opowiedziała o tym dopiero w kilka lat po powrocie do Rockton. Do tej pory cierpienie stępiało, przeszło w stan przytłumionego bólu, i Mariel nie miała zamiaru nikomu mówić o swoich intymnych sprawach. Tak było aż do dnia, gdy nazajutrz po narodzinach pierwszego dziecka Mulliganów odwiedziła przyjaciółkę w szpitalu. Kiedy Katie Beth ułożyła w jej ramionach maleńką Olivie, Mariel nie potrafiła zapanować nad falą uczuć. Załamała się i szlochając wyznała oszołomionej Katie Beth swoją tajemnicę.

Później rzadko powracały do tego tematu, ale Mariel była zadowolona, że mogła ulżyć sobie zwierzeniami - i że miała przyjaciółkę przy sobie właśnie teraz, kiedy dawno utracona córka nagle znowu pojawiła się w jej życiu.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- A co mogę zrobić? - Mariel pochyliła się obok siedzącej przy biurku Katie Beth i zaczęła manewrować myszką, żeby wyłączyć komputer. - Zbliża się koniec roku szkolnego i oprócz zebrań, świadectw i programów nauczania mam na głowie dwa tuziny siedmiolatków, z którymi szykuję muzyczną wersję *Królowny Śnieżki*. Plus Leslie i jej przygotowania do ślubu. Jutro wydaję przyjęcie na sześćdziesiąt osób...

- Och, zanim zapomnę. Pat podrzuci wazę do ponczu i dodatkowo krzesła z samego rana, bo ja się trochę spóźnię na przyjęcie. Ryan idzie na urodziny. Pat nie może go odwiedzić, bo pozostała trojka nie została zaproszona, więc musi ich przypilnować w domu.

Mimo dręczącego ją dylematu Mariel nie mogła powstrzymać uśmiechu. Życie w domu Mulliganów było nieustannym ciągiem wizyt u pediatry, kinderbalów i lekcji. Teraz kiedy Pat pracował na pełnym etacie w salonie Forda, oprócz tego, że nadal dorabiał malowaniem domów, jego żona rzeczywiście miała pełne ręce roboty.

- A co ty naprawdę o tym myślisz, Mar? - Katie Beth dotknęła rękawą Mariel. Komputer przestał terkotać i w pokoju zaległa cisza. - Chcesz, żeby ta dziewczynka zaistniała w twoim życiu?

- Ja mieszkam w Missouri, Katie Beth, a ona w stanie Nowy Jork. Nie mogę należeć do jej życia, nawet gdyby ona tego chciała.

- Ale czy ty chcesz?

Mariel z trudem pokonała rosnącą w gardle grudę. Odpowiedź oczywiście brzmiała: tak. Tak, rozpaczliwie pragnęła, żeby to dziecko znów znalazło się w jej życiu.

Jednak sytuacja była znacznie bardziej skomplikowana, niż można by oczekiwać. Amber należała do kogo innego. Mariel oddalają, żeby córeczce zapewnić matkę i ojca, i dom, i przyszłość. Przymuszczałnie dziewczynka wszystko to miała.

Więc dlaczego ona mnie szuka?

No, i jeszcze sprawa Noaha. Mariel nie widziała go od piętnastu lat i zrobiła wszystko co w ludzkiej mocy, żeby o nim zapomnieć. Niespodziewana wiadomość od Amber uświadomiła jej, że ten problem dotyczy ich obojga. W końcu Noah był ojcem dziewczynki.

A jeśli Amber odnajdzie też jego, zastanawiała się. Czy kontakty z córką nie doprowadzą po tych wszystkich latach do konfrontacji z Noahem?

- Może będzie dla niej lepiej, jeśli nie przyznam się, że to ja - powiedziała z wahaniem, martwiąc na myśl, że mogłaby znowu spotkać Lyonsa. - Może powinnam jej odpisać: Bardzo mi przykro, to pomyłka.

- Może i tak. - W zielonych oczach Katie Beth malowała się troska. - A może powinnaś jej powiedzieć prawdę. Że jesteś jej matką...

- I że ją oddałam. - Mariel zapiekły gorące łzy. - I wtedy ona znenawidzi mnie tak jak znenawidził mnie Noah.

- Z tego, co mówiłaś, nie wygląda, żeby Noah cię znenawidził - powiedziała łagodnie Katie Beth. - Nie odstępował cię przez cały okres ciąży. Odwiedzał w domu dla niezamężnych matek, był przy tobie, kiedy rodziłaś.

- I później, żeby podpisać dokumenty, których nigdy nie chciał podpisywać. - Mariel potrząsnęła głową. - Wtedy właśnie wszystko się między nami skończyło, Katie Beth. Jeśli pozostało mu jakiegokolwiek uczucie do mnie, to dlatego, że nosiłam jego dziecko. Gdy tylko przyszło na świat i zrozumiał, że nadal mam zamiar je oddać... Nigdy nie zapomnę jego twarzy, kiedy skończył podpisywać dokumenty adopcyjne. Była taka...

- Wściekła?

- Nie. Po prostu... martwa. Nie potrafię tego inaczej opisać. Więcej już nie przyszedł. Myślę, że do końca miał nadzieję, że zmienię zdanie.

- A ty nigdy tego nie rozważałaś?

- Jakim cudem, Katie Beth? Nie mogłam go poślubić i wychowywać dziecka. Miałam zaledwie osiemnaście lat. I nie mogłam wrócić do domu z niemowlęciem. Przecież rodzice nawet nie wiedzieli, że byłam w ciąży.

- Teraz trudno mi uwierzyć, że nikt z nas niczego nie podejrzewał, kiedy przyjechałaś wtedy na Boże Narodzenie - powiedziała Katie Beth. - Myślałam, że po prostu przybrałaś parę kilo, jak to się często zdarza na początku studiów. Wszystkie wtedy przytyłyśmy. Tyle że ja nigdy już nie wróciłam do poprzedniej wagi, a po każdym dziecku przybywało mi jeszcze małe co nieco - dodała ponuro, poklepując się po obfitym biodrze.

- Też nie mogę zrozumieć, jakim cudem nikt się nie zorientował - odparła Mariel. - Połowę czasu spędzałam wymiotując, a resztę przesypiałam. Rodzice uznali, że mam gripę. A kiedy wyjeżdżałam, sądzili, że wracam na uczelnię. Nie mieli pojęcia o moim pobycie u św. Agaty.

Zamknęła oczy, wspominając tamte chwile. Z lotniska wzięła taksówkę i kazała się zawieźć do domu dla niezamężnych matek, świadoma ciekawych spojrzeń, które kierowca, mknąc zaśnieżoną szosą, rzucał w lustro wsteczne. Kiedy wysiadła i zaczęła się wspinać po oblodzonych schodach świeżo wyremontowanego wiktoriańskiego domiszcza, wyskoczył z wozu, żeby jej pomóc, i uparł się nieść bagaże. Opowiadał, że ma już roczne dziecko, a żona spodziewa się następnego, i mówił to w taki sposób, jakby łączyła go z Mariel jakaś wspólna sprawa.

Jeszcze teraz pamiętała wstyd i uczucie zupełnego osamotnienia, które wypełniało ją tamtego dnia.

- Przeżyłaś piekło, Mariel - odezwała się Katie Beth, ściskając jej rękę. - Może powinnaś dać temu spokój. W ogóle nie odpowiadaj na ten e-mail. Odpuść sobie.

Mariel powoli skinęła głową. Ale wcale nie była pewna, czy może to tak zostawić. Amber Steadman odezwała się do niej. To jedyna szansa na odzyskanie więzi z utraconym dzieckiem. W głębi serca Mariel wiedziała, że jeśli ją zaprzęści, druga okazja już się nie nadarzy.

Rozdział 2

Tym razem w Syracuse, w stanie Nowy Jork, świeciło słońce, ale czerwcowa pogoda była znacznie chłodniejsza niż w Missouri, które tradycyjna fala letnich upałów nawiedziła tego roku wcześniej niż zwykle.

Kiedy Mariel, dźwigając wielką walizę, szła przez parking na lotnisku w stronę niedużego samochodu, który wynajęła, czuła dreszcze, mimo że słońce grzało jej w plecy. Miała na sobie białą bawełnianą bluzeczkę bez rękawów, szorty khaki i sandały, a należało włożyć džinsy, bluzę i adidas. Powinna była to wiedzieć.

Nie mogła opędzić się od wspomnień tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy prosto z upalnego Środkowego Zachodu przybyła na Wschodnie Wybrzeże. Wtedy też zaskoczył ją chłód. Ale wówczas był już koniec lata, a nie jak teraz - początek. A ona spieszyła do Syracuse, zapatrzona w przyszłość, a nie w przeszłość.

Minęły prawie trzy tygodnie, odkąd Mariel otrzymała pamiętny e-mail. W tym czasie musiała doholować swoje siedmiolatki do uroczystości zakończenia roku szkolnego oraz pomóc Leslie w przetransportowaniu ślubnych prezentów i urządzaniu małego wiejskiego domku, który przyszli małżonkowie znaleźli zaledwie kilka przecznic dalej.

Jednak myśli o córce nie opuszczały Mariel ani na chwilę.

Wiedziała, co musi zrobić, już na długo przedtem, zanim udała się do biura podróży Tammy Harper, żeby zarezerwować bilet lotniczy do stanu Nowy Jork.

- Wakacje, Mariel, co? - zagadnęła Tammy. Chodziły razem do szkoły średniej i już wtedy Tammy była wścibską plotkarą. Mariel więc jedynie krótko przytaknęła.

- Syracuse - Tammy nie dawała za wygraną. - To gdzieś blisko Nowego Jorku?

- Około czterech godzin jazdy. - Mariel przemknęło przez głowę, że pracując w biurze podróży, Tammy mogłaby odświeżyć nieco wiedzę z zakresu geografii.

- Więc nie wybierasz się do Nowego Jorku?

- Nie.

- A dlaczego jedziesz na wakacje akurat do Syracuse? Co tam jest ciekawego?

- Chodziłam w pobliżu do college'u - odparła Mariel przez zaciśnięte zęby. - Jadę odwiedzić dawną przyjaciółkę.

To samo wyjaśnienie usłyszeli Leslie i ojciec - że postanowiła wziąć udział w zjeździe byłych studentów.

- Ale do mojego ślubu został już niecały miesiąc, a ty w Strasburgu spędziłaś tylko dwa semestry - protestowała Leslie.

Naprawdę tylko jeden, myślała teraz Mariel. Otworzyła walizkę, wyciągnęła dzinsową kurtkę i ubrana już stosowniejszo do aury wsunęła się za kierownicę.

Całkiem możliwe, że to właśnie wizja zbliżającej się ceremonii częściowo przyczyniła się do tej przemożnej chęci ucieczki z Rockton. I nie chodziło tylko o to, że Leslie egocentrycznie angażowała siostrę we wszystkie szczegóły przedślubnych przygotowań. Mariel chciała odpocząć od codziennych domowych dramatów, to prawda. Ale też chciała uwolnić się od natrętnej myśli, że Leslie już lada moment wyjdzie za mąż i opuści dom. I ją.

Wszyscy odeszli. Matka, ojciec, a teraz młodsza siostra. Ironia losu, bo to właśnie Mariel próbowała kiedyś od

nich uciec.

Była ciekawa, co ludzie w miasteczku teraz o niej mówili. Czy już spisali ją na straty jako starą pannę? Pewnie tak. Mało ją to obchodziło, a nawet nie powinno wcale obchodzić. Bolało jednak, że zostanie samotna w domu - i w mieście - którego nigdy nie chciała nazywać swoim.

Kiedy jeszcze mieszkała z mamą, tatą i Leslie, miała przynajmniej rodzinę. Teraz nie został jej nikt. Oprócz córki, którą dzieliła od niej połowa kontynentu i która nadal nie miała pojęcia, że odnalazła matkę.

Mariel postanowiła, że nie wyśle do Amber Steadman wiadomości e-mailem ani nawet nie zatelefonuje. Uznała, że powinny się spotkać osobiście, co było chyba najmniej bolesnym wyjściem z sytuacji.

I oto znowu znalazła się w Syracuse. Obecnie jechała na południe krętą szosą prowadzącą z miasta na pogórze Catskill Mountains. Strasburg położony był niemal godzinę drogi stąd, a Valley Falls jeszcze kolejnych czterdzieści kilometrów dalej.

Tammy zarezerwowała dla niej pokój w Super 8, tuż przy wylocie strasburskiej autostrady. I wówczas Mariel uznała to za dobry wybór. Ale kiedy zajechała na parking i ujrzała przed sobą funkcjonalny piętrowy klocek z betonu, poczuła, że nie ma najmniejszej ochoty się tu zatrzymywać.

Wiedziona impulsem zawróciła i obrała kurs zgodnie z informacją umieszczoną na zielonym drogowskim: *Strasburg 4 kilometry*.

Pędziła zadrzewioną po obu stronach szosą, a rześkie podmuchy wiatru wpadały przez opuszczone okienko do wnętrza wozu. Zauważyła całe osiedla domów mieszkalnych i kompleksy handlowe, których nie było tu piętnaście lat temu. Wtedy wszystko wydawało się chylić ku ruinie. Teraz, na tej dobrze znanej Mariel trasie, wiele chaotycznie wzniesionych dziewiętnastowiecznych budynków wyraźnie odmłodziła dzięki świeżym tynkom, wiklinowym mebelkom na gankach i kwiatom w skrzynkach pod oknami. Gdzieś tam widniała tabliczka *Nocleg i śniadanie*. Im bliżej miasta, tym więcej widać było zmian. Dawny kiepski A&P zastąpił czynny przez całą dobę supermarket z piekarnią, apteką i kwiaciarnią. Pobliską walącą się remizę przekształcono w elegancki magazyn ze starociami.

Skręciwszy w Main Street, Mariel ujrzała rząd oryginalnych, starannie udekorowanych witryn sklepowych. Antykwiariat, gdzie kupowała kiedyś książki, był teraz butikiem New Age, a miejsce kilku barów zajęły kafejki ze stolikami na powietrzu. Z donic umocowanych przy wszystkich słupach latarni wylewały się naręcza jasnoróżowych i szkarłatnych niecierpków i petunii. Fontanna na otoczonym ławkami skwerku, którą Mariel zapamiętała w stanie zupełnej ruiny, została starannie odrestaurowana. Wokół stojącej pośrodku basenu rzeźby tryskały strumienie roziskrzanej wody.

Mariel dotarła już prawie do końca ulicy, kiedy w pobliżu bramy kampusu ukazał się dwupiętrowy wiktoriański budynek.

Więc nadal tu był.

Skreśliła na miejsce do parkowania zaznaczone ukośnie przed samym wejściem i przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w znajomy widok. Brudnożółtą fasadę z poczerńiałymi zdobieniami odnowiono zgodnie z gustem przełomu wieków - pastelowe odcienie różu i jasnego szkarłatu, dekoracyjne zawijasy, drewniane żaluzje, rzędy dachówek „rybich łusek” pnące się aż po szczyt dachu. Duża weranda pozostała nienaruszona, ale białe bujane fotele przemalowano na ciemny kasztan, stosownie do wiktoriańskiej kolorystyki. Całość wyglądała wypisz wymaluj jak słodka walentynkowa pocztówka.

Przez te wszystkie lata Mariel często myślała o Sweet Briar Inn.

To właśnie tutaj Noah przyprowadził ją w pewien wrześniowy wieczór, kiedy po raz pierwszy zostali sami, tylko we dwoje. I prawdopodobnie właśnie tu, w ładnym białym żelaznym łóżku, które tak dobrze pamiętała, zostało poczęte ich dziecko.

Mariel otworzyła drzwiczki, wysiadła i szybkim krokiem ruszyła w stronę frontowych schodków, nie dając sobie czasu na zmianę decyzji, na podanie w wątpliwość sensu powrotu do miejsca, które mogło przywołać wspomnienia jej pierwszej miłości.

Do diabła, jedynej miłości. Nigdy w jej życiu nie było innego mężczyzny.

Kiedy znowu rozpoczęła studia, zaczęła chodzić na randki. Robiła, co mogła, żeby zakochać się w którymś z sympatycznych miejscowych chłopców, którzy okazali jej zainteresowanie. Jednak za każdym razem, kiedy się z kimś umawiała, czuła, że mogłaby przewidzieć swoją przyszłość, gdyby za niego wyszła za mąż. I zawsze wyglądała ona tak samo.

Byłoby to życie, jakie wiodła jej matka i Katie Beth, i jakie niedługo zacznie prowadzić Leslie. Zwyczajne życie, którego ona nigdy nie chciała. Albo może, myślała wchodząc po drewnianych schodkach, nie chciała go z nieodpowiednią osobą.

Był czas, gdy wyobrażała sobie taką przyszłość z Noahem - małżeństwo, dom, rodzinę - i nie wywoływało to w niej chęci ucieczki. Ale straciła Noaha, a kolegów z college'u trzymała na stosowną odległość, więc kiedy już obroniła dyplom i pracowała w szkole, nagle stwierdziła, że jest chyba jedyną niezamężną dwudziestokilkuletnią kobietą w Rockton, oprócz Pat Carver, nauczycielki gimnastyki w miejscowym gimnazjum, która żyła z przyjaciółką! o której nikt nawet nie chciał wspominać.

Po prostu w całym miasteczku nie było mężczyzny, z którym Mariel mogłaby się zacząć spotykać, a na tym etapie życia przestała już rozważać możliwość wyjazdu. Minęło zbyt wiele czasu, by mogła powrócić do marzeń o scenie, nawet gdyby chciała. Ale nie chciała. Gwałtowne pragnienie sławy dawno wygasło. Nie pragnęła już być uwielbiana przez tysiące, jakkolwiek jeden wielbiciel sprawiłby jej radość. Ten jeden, który kochał ją bardziej niż... Nie, to nie mogło się zdarzyć.

Plany poznawania świata również wzięły w łeb. Podróż na Wschodnie Wybrzeże była jej jedyną samodzielną wyprawą. Od tej pory wyjazdy Mariel ograniczały się do corocznych wakacji na Florydzie wraz z całą rodziną, a ostatnio tylko z Leslie podczas Święta Dziękczynienia i na Wielkanoc, kiedy pojechały odwiedzić ojca, który się tam przeniósł. Teraz, po ślubie, nawet i to się zmieni. Zacznie z nimi jeździć Jed i ona będzie się czuła jak piąte koło u wozu.

Wspiąwszy się po schodkach, przeżyła moment wahania na widok staroświeckich dwuskrzydłowych drzwi z owalnymi szybami. Po chwili jednak pchnęła prawą połowę i wkroczyła do zacisznego, wyściełanego dywanami hallu.

Gdzieś w tle grała muzyka. Kanon w tonacji D-dur Pachelbela, odnotowała machinalnie. Jeden z jej ulubionych utworów. Znajoma melodia sprawiła, że Mariel poczuła, jak zaczyna odpływać z niej napięcie.

Wdychając cytrynowo-jabłkową woń *pot pourri*, rozejrzała się dookoła. Oczy powoli zaczynały się przyzwyczajać do panującego tu półmroku. Kwieciste wzory tapet, francuskie drzwi otwierające się na wielką jadalnię, szafki z osobliwościami, rozległe schody wiodące na pierwsze i drugie piętro. Nagle Mariel zdała sobie sprawę, że nie potrafi przywołać w pamięci żadnego fragmentu tego wnętrza sprzed lat. Nic dziwnego. Przecież wiedziała, po co Noah ją tu przyprowadził i jedyne, o czym wówczas mogła myśleć, to, że za chwilę po raz pierwszy w życiu będzie się kochać. Nie pamiętała, żeby czuła lęk czy zdenerwowanie. Chciała być z Noahem. Szalała za nim i wiedziała, że nie robią nic złego. Że to nie może być złe.

Boże, naprawdę w to wierzyła? Naprawdę była aż tak naiwna, tak niewinna?

- Przykro mi, ale obiad zaczynamy podawać dopiero od piątej trzydzieści. A lunch podajemy tylko do trzeciej.

Mariel drgnęła, przestraszona. Dopiero teraz zauważyła starszą panią za wysokim kontuarem w odległym kącie hallu. Kobieta miała chmurę śnieżnobiałych włosów, okulary w drucianych oprawkach i kilka sznurów pereł na piaskowej barwy letnim sweterku.

- Och, nie szukam miejsca, żeby zjeść - odparła szybko Mariel. - Byłam tylko ciekawa, czy mają państwo wolne pokoje.

Wreszcie. Powiedziała to. Teraz było już za późno, żeby wracać do sterylnego Super 8 przy głównej autostradzie.

- Owszem. Ale wszystkie jedyne z łazienkami na pierwszym piętrze są zajęte. Mamy wolne pokoje na drugim, ze wspólnymi łazienkami na końcu korytarza. Czy to pani odpowiada? Byłaby pani tam na razie jedynym gościem.

- Doskonale. Dziękuję.

Sięgając po notatnik, siwowłosa dama przedstawiła się:

- Nazywam się Susan Tominski. Mój syn jest właścicielem tego hoteliku, a ja zwykle pracuję w recepcji. Na ile nocy rezerwuje pani pokój?

Mariel zawahała się.

- Na dwie - zdecydowała, po czym odchrząknęła i poprawiła: - Chociaż może na dłużej. Albo... może tylko na jedną.

Tak, tylko na jedną, gdyby zmieniła zdanie i zdecydowała się nie szukać Amber Steadman, tylko rano wsiąść na pokład pierwszego samolotu i wracać do domu, zamiast czekać do wtorku, na który to dzień miała zarezerwowany bilet.

Recepcjonistka wyglądała na zakłopotaną.

- Przepraszam - zreflektowała się Mariel. - Już się zdecydowałam. Poproszę na dwie noce.

Jeśli będzie musiała wyjechać jutro, po prostu zapłaci za dwie doby.

- Spędza tu pani wakacje? - spytała Susan Tominski, z uprzejmości, nie ze wścibstwa jak Tammy. Mimo to Mariel przybrała postawę obronną.

- Nie, niezupełnie - odpowiedziała i szybko zmieniła temat. - Dostyc chłodno dzisiaj.

- Och, zbliża się fala upałów - zapewniła starsza pani z uśmiechem. - W telewizji zapowiadali, że jutro będzie dobrze ponad trzydzieści stopni. Aż trudno uwierzyć, prawda?

- Owszem.

- Wydaje mi się, że skądś panią znam - ciągnęła, przyglądając się uważniej Mariel, która poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Czy to możliwe, żeby rozpoznała ją po tylu latach? Czy możliwe, żeby wiedziała, że Mariel zaszła w ciążę i opuściła uczelnię, i że... - Pani jest Lindą, siostrzenicą Sama Crowe'a, prawda? - Susan dźgnęła powietrze palcem, jakby nagle umiejscowiła swego gościa na właściwym tle.

- Nie... nie, chyba mnie pani z kimś myli. - Co za ulga. Oczywiście, starsza pani nie mogła jej pamiętać. Istniała duża szansa, że nie było w Strasburgu człowieka, który by ją pamiętał. A poza tym nikt tutaj, oprócz Noaha, nie wiedział, co się jej przytrafiło.

Kiedy stwierdziła, że spodziewa się dziecka, odsunęła się od swoich współlokatorek i garstki przyjaciół, których

zdobyła sobie podczas tych kilku pierwszych miesięcy. W okolicach Bożego Narodzenia, kiedy wszystkich zaprzętały egzaminy, zaczęła opowiadać, że zdecydowała się przenieść na uczelnię w Missouri, bo bardzo tęskni za domem. I chyba znajomi kupili tę historyjkę.

- Och, a wygląda pani zupełnie jak Linda - szczebiotała dalej Susan Tominski. - Co prawda, nie widziałam jej od dwudziestu lat, odkąd wyniosła się do Buffalo, i pewnie musiała się bardzo zmienić. Teraz jest już kobietą w średnim wieku. - Zachichotała i odwróciła się do staroświeckiej szafeczki z kluczami.

Mariel uderzyła spóźniona myśl, że starsza pani może nie być jedyną z miejscowych osób, której twarz Mariel wyda się znajoma. Jeśli trafi na kogoś, kto zna Amber Steadman, ich podobieństwo może zostać zauważone. Powinna się na to przygotować...

Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś natychmiast stąd wyjechała. Po prostu wróć do domu i zapomnij, że ona kiedykolwiek cię odnalazła.

Ściskając w dłoni kluczyki od wynajętego samochodu, zdała sobie sprawę, że właśnie tego chce. Po co konfrontować się z przeszłością, odrzucać wszystkie te uczucia, z którymi dotąd się nie uporała? Po co narażać się na burzliwe spotkanie z odrzuconą córką? Mogła się domyślać, że dziewczynkę przepełniało oburzenie na matkę, która oddała ją w obce ręce, po czym zniknęła z jej życia na zawsze, na co zresztą Mariel rzeczywiście wtedy liczyła.

Mariel nie chciała konfrontacji z Amber, nie chciała konfrontacji z następstwami tego, co kiedyś zrobiła. Pragnęła wrócić do domu, do Rockton, starać się zapomnieć, jak to czyniła przez ostatnich piętnaście lat i nadal utwierdzać się w przekonaniu, że wybrała wtedy najlepsze wyjście - nawet jeśli Noah sądził inaczej. Gdyby postąpiła zgodnie z jego życzeniem, byłiby teraz małżeństwem z córką-nastolatką.

Przelknęła z wysiłkiem, starając się ujrzyć ten scenariusz w równie czarnym jak przed laty świetle. Ale, o dziwo, obecnie widziała go już zupełnie inaczej.

Kogo próbujesz oszukać, Mariel? Teraz nie byłabyś już jego żoną. Takie małżeństwa z przymusu, zawierane przez nastolatków, nie mają szans przetrwania. Do tej pory dawno już byście się rozwiedli. Zostałabyś samotną matką, która stara się sobie radzić bez dyplomu college'u.

Więc postąpiła słusznie. Odsuwając na bok wątpliwości, otworzyła usta, by zawiadomić recepcjonistkę, że właśnie zmieniła zdanie. Gdyby szybko zawróciła na lotnisko, mogłaby jeszcze tego wieczoru złapać samolot do domu...

- Już mam, pokój numer osiem - oświadczyła Susan, odwracając się do Mariel z kluczem w dłoni. - Proszę wejść tymi schodami na drugie piętro. To będą ostatnie drzwi naprawo.

Mariel zamknęła usta i po chwili dopiero zdobyła się na odpowiedź:

- Dziękuję - powiedziała tylko i wsunąwszy kluczyki od samochodu do kieszeni szortów, sięgnęła po klucz z numerem osiem.

Wchodząc na czwarte, ostatnie piętro, Noah przejrzał plik kopert, które właśnie wyjął ze skrzynki przy głównym wejściu. Same rachunki: Con Ed, kablówka, subskrypcja na „Writer's Digest”, rachunek kredytowy z Banana Republic.

Tego ostatniego nawet nie chciał oglądać. W zeszłym miesiącu, kiedy tylko znalazł sobie sublokatora, kupił trochę nowych koszul, kilka par spodni khaki i dzinsów. Myślał, że może odrobinę poszaleć, bo nie będzie musiał sam opłacać całego czynszu. Ale, nie wiedząc czemu, i tak był całkiem splukany. Wyglądało na to, że wypłata, którą otrzymywał dwa razy w miesiącu, nie jest w stanie pokryć wydatków przez wystarczająco długi czas, a to z powodu absurdalnie wysokich kosztów utrzymania na Manhattanie. Może powinien rzucić wszystko w diabły, wyprowadzić się i spróbować zacząć od nowa gdzieś, gdzie za dwa tysiące dolarów na miesiąc mógłby mieć coś więcej niż osiemdziesiąt metrów kwadratowych.

Dokąd jednak miałby wyjechać? I w jaki sposób zarabiać na życie? Poza Nowym Jorkiem nie było wielkiego zapotrzebowania na twórców reklam. Co prawda podjął się tej pracy bardziej z konieczności niż ambicji, ale obecnie wszystkie jego doświadczenia zawodowe wiązały się z przemysłem reklamowym, a ten miał swoją bazę w Nowym Jorku.

W korytarzu unosił się zapach smażonej cebuli i tłuszczu. Noah skrzywił się, słysząc głośną muzykę dobiegającą zza jego własnych drzwi.

Może powinien dać sobie spokój z tym mieszkaniem i przenieść się do innej dzielnicy albo do Jersey, gdzie czynsze są niższe i gdzie mógłby ze swoją pensją znacznie więcej zdziałać.

To całe wynajmowanie pokoju lokatorowi jak dotąd nie bardzo się sprawdzało. Nie w tym rzecz, że Noah nie tolerował Alana Henninga. Sądził, że mógłby go polubić, gdyby się lepiej poznali. Na razie jednak byli sobie niemal zupełnie obcy. Alan był spokojny i całkiem sympatyczny. Starannie po sobie sprzątał. Problem polegał na tym, że ciągle się plątał pod nogami.

Noah wybrał go spośród ponad tuzina kandydatów częściowo z powodu informacji, że nie pracuje, jak większość ludzi, od dziewiętej do siedemnastej. Agencja reklamowa wymaga pobytu w biurze w typowych godzinach, chociaż często trzeba zostawać dłużej. Noah sądził więc, że nie będą sobie z Alanem wchodzić w drogę.

Ale jak się okazało, Alan, który był barmanem i muzykiem zarazem, wychodził z domu dopiero późnym wieczorem, kiedy Noah kładł się spać, i wracał, gdy budzik wydzwaniał pobudkę. Dawniej przed wyjściem do pracy Noah lubił wypić filiżankę kawy, oglądając wiadomości telewizyjne. Teraz jednak Alan rozwał się na kanapie i włączał kasety wideo z programami muzycznymi, jeszcze zanim jego gospodarz zdążył wyjść spod prysznica. Noah odnosił wrażenie, jakby jego mieszkanie już do niego nie należało.

Co prawda nigdy nie należało wyłącznie do niego. Dzielił je z Kelly, odkąd wprowadzili się tu niemal siedem lat temu, przed samym ślubem. Ale życie pod jednym dachem z żoną nie było tym samym, co mieszkanie ze współlokatorem. Chociaż właściwie kiedy zdali sobie z Kelly sprawę, że ich małżeństwo nie przetrwa, przeszli do etapu pełnej skrepowania uprzejmości, jaka panowała teraz pomiędzy nim i Alanem.

Wszystko, czego naprawdę chce, myślał Noah wkładając klucz do zamka, to poczuć się jak u siebie. Nie czuł się tak już od miesięcy, a może od lat, bo nawet kiedy jeszcze byli z Kelly w dobrej komitywie, zawsze uważał, że dopiero dzieci pozwolą im stworzyć prawdziwy wymarzony dom. Bolało go, że nigdy nie zazna takiego życia - życia, które, jak przypuszczał, znajdowało się gdzieś tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Znalazłszy się w przedpokoju, zwalczył pragnienie, by zatkać uszy; Z rozstawionych w salonie głośników stereo buchała muzyka rockowa. Ściskając jeszcze klucze w dłoni, z czarną płócienną torbą przewieszoną przez ramię, wetknął głowę do pokoju. Lokator, ubrany tylko w szare slipki, leżał na plecach na kanapie. Oczy zamknięte, ręce pod głową, pełen luz.

Noah wszedł i zdecydowanym ruchem ściszył magnetofon. Alan natychmiast otworzył oczy i usiadł.

- Och, przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że jest trochę za głośno. Sąsiedzi mogliby mieć pretensje.

- Nic nie mówili.

- Ale mogą się skarżyć właścicielowi kamienicy, a to ostatnia rzecz, której potrzebujemy. Wierz mi, nie chciałbyś mieć wroga w Nelsonie Santiago. On potrafi być prawdziwym sukinsynem.

- Wiem, mówiłeś. - Alan ziewnął leniwie i potarł niechlujny zarost na podbródku.

Z sięgającymi do ramion ciemnymi włosami i stylem próżniaka nie był typem, o którym Noah marzył, dając ogłoszenie, ale pozostali chętni albo wyglądali podejrzanie, albo dopiero skończyli college lub właśnie przybyli do Nowego Jorku i przejawiali znaczny zapal towarzyski. A na tym etapie życia Noah miał aż nadto znajomych i nawet cienia ochoty, by bawić się w przewodnika po mieście.

Dzielenie mieszkania z Alanem, który był prawie w jego wieku i spędził tu całe życie, wydawało się względnie najmniej angażującym, a więc najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Noah sądził, że zdoła przywyknąć do obecności lokatora. I wyglądało, że Alan zajmuje się przede wszystkim swoimi sprawami. Jednak z drugiej strony Noah odniósł wrażenie, jakby ktoś grzebał w jego szufladach. Podejrzewał, że Alan wobec niedostatków własnej garderoby chciał sobie pożyczyć coś z jego ubrań. W każdym razie taka wersja była do przyjęcia. Wątpliwe, żeby facet cierpiał na kleptomanie, a poza tym nigdy nic nie zginęło. Tylko ubrania leżały inaczej niż poprzednio, jakby ktoś w nich myszkował.

Noah niepokoił się, ale wiedział, że dopóki nie złapie lokatora na gorącym uczynku, musi rozstrzygać wszelkie wątpliwości na jego korzyść. W końcu może to tylko gra wyobraźni. Ostatnio bywał bardzo roztargniony.

Starając się zachowywać przyjaźnie, zagadnął Alana:

- Jak ci minął dzień?

- Spoko. A co u ciebie w robocie?

- Po staremu - odparł Noah. - Zwariowane tempo. Zwariowani klienci. Mam szczęście, że udało mi się skończyć przed ósmą. - Gdyby nie zdołał zniknąć w porę, siedziałby w biurze do północy. Już trzeci dzień z rzędu.

Pewnie w poniedziałek rano rozpęta się piekło, ale poniedziałek wydawał się jeszcze bardzo odległy. Wreszcie zaczyna się weekend, pomyślał, chociaż przecież właściwie nie wiązał z nim żadnych planów.

Z westchnieniem przewiesił torbę przez oparcie krzesła, imitacji Stickleya. Oryginał zabrała Kelly. A ten egzemplarz upolowali parę lat temu na wyprzedaży, kiedy pojechali odwiedzić przyjaciół w Westchester.

Dawniej mieszkanie zdołały głównie okazjonalne nabytki z wyprzedaży i sklepów z używanymi rzeczami, ale w miarę wzrostu zarobków Kelly zaczęła stopniowo kupować eleganckie meble. Niektóre z nich sprawiały wrażenie zupełnych rupieci, lecz miały, jak mówiła, „wyświechtany szyk” i kosztowały krocie. Zabrała je wszystkie do nowego, zajmującego całe piętro mieszkania o dwóch sypialniach w kamienicy przy Upper West Side.

Noah rozejrzał się po salonie. Przyszły mu na myśl stare filmy rysunkowe Dr. Seussa. Pokój dziwnie przypominał jeden z domów w Whoville splądrowanych przez Grincha. Ze ścian sterczały gwoździe, na których dawniej wisiały obrazy, a w miejscu gdzie przedtem stała donica z drzewkiem, świeciła wytarta w dywanie łysina. Rzeczywiście będzie musiał kupić jakieś zasłony, bo zostały mu tylko brzydkie aluminiowe żaluzje, które należały do stałego wyposażenia mieszkania. I powinien rozejrzeć się za prawdziwymi półkami, zamiast upychać stosy książek w skrzynkach, które znalazł na targowisku przy Canal Street.

Wiele by zrobił, gdyby miał czas.

Nie, to nieprawda. Czasu miał dosyć.

Blizsze prawdy byłoby stwierdzenie - gdyby miał wystarczającą motywację. Bo nie chciało mu się inwestować

czasu, pieniędzy i wysiłku w urządzenie mieszkania, które stanowiło niewiele więcej niż dach nad głową.

Kiedy Alan się wprowadził, Noah powiedział mu, żeby się nie krepował, gdyby miał ochotę wnieść swój wkład do wystroju wnętrza. Lokator jednak miał w majątku zaledwie trochę ubrań, gitarę, kolekcję płyt kompaktowych, sprężyny do ćwiczeń i materac, który służył mu za łóżko.

- Czy ktoś dzwonił? - Noah zerknął na automatyczną sekretarkę.

- Nikt.

Zwalczył chęć, żeby zapytać, czy Alan się nie myli. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu pewien znajomy, Craig, twierdził, że nagrał się na automatyczną sekretarkę. Noah podejrzewał, że Alan musiał niechcący skasować wiadomość.

To mogło się przydarzyć każdemu, ale Noah nie potrafił opanować narastającego uczucia irytacji z powodu wszechobecności lokatora. Gdyby miał choć trochę prywatności, może zdołałby się odprężyć. Posiedziałby na kanapie i przy piwie pooglądał mecz Yankees...

Ale kanapę, jak zwykle, zajmował Alan, a ryczące głośniki i tak zagłuszyłyby komentarz spikera.

Niestety Kelly wyprowadzając się zabrała wielki telewizor, który parę lat temu kupiła mężowi w prezencie z okazji trzydziestych urodzin. Noah przeniósł do salonu mały odbiornik z sypialni i teraz zastanawiał się, czy to nie był błąd. Gdyby zostawił go w swoim pokoju, miałby przynajmniej coś więcej do roboty niż leżenie na łóżku i ponure rozmyślanie.

Komputer też stał w salonie. W sypialni nie było dla niego dosyć miejsca. Kelly zostawiła Noahowi ten zajmujący masę przestrzeni sprzęt, zabierając w zamian za to laptop najnowszej generacji.

Na podłodze koło komputera piętrzyły się szare tekturowe teczki zawierające fragmenty różnych scenariuszy, które Noah latami próbował pisać. Zawsze obiecywał sobie, że nadejdzie dzień, kiedy coś z tego uda mu się dokończyć i wysłać do Hollywood, a wtedy nastąpi kres biurowej udręki od dziewiętej rano do piątej po południu. Ale żeby taki dzień nastąpił, Noah musiałby popracować nad swoimi tekstami, a nie zajmował się nimi od niepamiętnych czasów.

Mógł zwalić ten marazm na nieustanną obecność Alana, ale prawda była taka, że w miarę jak małżeństwo z Kelly stawało się coraz mniej satysfakcjonujące, stopniowo tracił motywację do pisania. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz zajmował się swoim najświeższym pomysłem, thrillerem o międzynarodowej intrydze, w którym widział role dla Harrisona Forda czy Bruce'a Willisa... o ile oczywiście zdołałby kiedykolwiek przebrnąć przez scenę początkową, dokończyć całe to cholerstwo i w dodatku je sprzedać.

Westchnął i usiadł przy biurku ustawionym w kącie, pod jednym z dwóch wysokich, wychodzących na Broadway okien. Żaluzje były podciągnięte, wyjrzał więc na zewnątrz, czekając, aż włączy się komputer. Niewiele było do oglądania, ponieważ mieszkał stosunkowo nisko - zwyczajny strumień pojazdów cętkowany żółtymi plamami taksówek i autobusów, a po przeciwnej stronie szerokiej ulicy biała kamienna fasada wysokiego budynku z rzędami okien mieszkań na wyższych piętrach i jasno oświetlonymi wystawami sklepów na parterze.

Noah powrócił wzrokiem do ekranu komputera. Kliknął ikonkę Internetu, a po chwili, kiedy pojawił się oczekiwany panel, polecenie Uruchom. Nazwisko i hasło miał wprowadzone do systemu, więc bezpośrednio łączył się z siecią.

Nagle przypomniało mu się, jak pod koniec ich małżeństwa Kelly wprowadzała swoje hasło za każdym razem, kiedy wchodziła do sieci. Noah nie znał nowego kodu i nie dopytywał się, dlaczego go zmieniła. Sprawa była jasna. Kelly nie chciała, żeby mąż miał dostęp do jej korespondencji.

Zastanawiał się - początkowo nawet często - czy oznaczało to, że go zdradza. Jednak kiedy rozwód wyglądał już na nieunikniony, przestał się o to troszczyć. Teraz wątpił, by miała jakiś romans na boku. Całe serce oddała pracy i swojemu stylowi życia, na który składały się zakupy i kurorty, gimnastyka i mieszkający w najlepszych dzielnicach znajomi. Tak było i z nim. Teraz mógł tylko żałować, iż tyle lat zabrało im z Kelly odkrycie, że zmiatają w zgoła przeciwnych kierunkach.

Kiedy wreszcie włączył się Internet, Noah poczuł rozczarowanie. Na ikonce skrzynki odbiorczej nie pojawiła się mała flaga i po powitalnym *Witaj* zapadła cisza. Ani jednego e-maila. Nawet żadnej niepożądanego przesyłki.

Zniechęcony jeszcze przez chwilę surfował po sieci. Potem, zerknąwszy na Alana, który rozwalony na kanapie pół metra od niego nie sprawiał wrażenia, że ma co innego w planach, Noah wyłączył gwałtownie komputer i wstał. Lepiej pójdzie do sypialni, gdzie teraz, kiedy głośniki zostały ściszone, będzie mógł odsapnąć w spokoju, jako tako odizolowany od hałasu. Może później przyniesie sobie coś z kuchni na przekąskę albo zamówi pizzę. Dochodziła już dziewiąta i czuł się zbyt zmęczony, żeby wychodzić na kolację czy choćby po jakieś danie na wynos.

- Nie ma poczty? - zagadnął Alan niedbałym tonem, odprowadzając spojrzeniem Noaha, który przemaszerował przez salon do swego prywatnego królestwa, trzy na cztery metry.

- Dzisiaj nie ma - odparł Noah. - Mam zamiar położyć się na chwilę.

- Okay. Zobaczymy się później.

Jestem pewien, że się zobaczymy, pomyślał Noah ponuro, zamykając za sobą drzwi. Nie mógł wprost uwierzyć, na co mu w życiu przyszło.

Kiedy zmierzch ogarnął oryginalne budynki przy Main Street, Mariel wyszła przed Sweet Briar Inn. Ubrana była w dzinsy, bluzę i adidas, o którym to stroju myślała tęsknie zaraz po przylocie. Ostatnie parę godzin przespała, zwinięta w kłębek na hotelowym łóżku. W ciągu kilku poprzednich nocy tak bardzo denerwowała się tą podróżą, że tylko przewracała się z boku na bok, aż wreszcie tutaj dopadło ją zmęczenie. Teraz - już nieco wypoczęta, choć nie mniej wystraszona - postanowiła znaleźć takie miejsce, gdzie mogłaby coś przekąsić, nie budząc zainteresowania tym, że siedzi przy stoliku sama.

W Rockton nikt nigdy nie jadał poza domem samotnie, oprócz emerytów, którzy zapełniali stołki w miejscowym barku kawowym, gdzie kelnerki знаły każdego i spędzały niemal tyle czasu na pogawędce ze stałymi bywalcami, co na obsłudze klientów i czyszczeniu stolików.

Idąc spacerem w stronę szeregu sklepów i kafejek, Mariel postanowiła kupić gazetę, żeby mieć na czym zatrzymać wzrok podczas jedzenia. Dorosłej kobiety nie powinno przecież krępować pójście do restauracji bez żadnego towarzystwa. A jednak nie mogła opanować zdenerwowania, które budziła w niej perspektywa samotnego posiłku. Może dlatego, że znowu była w miejscu, do którego przez tyle lat powracała myślami.

Miasto wygląda ciekawiej w porównaniu z obrazem, który pozostał mi w pamięci, wędrując pod liściastymi baldachimami wysokich wiekowych klonów i dębów. Cykały świerszcze, powietrze wydawało się bardziej nieruchome i cieplejsze niż po południu. Może Susan miała rację co do pogody, chociaż Mariel nie potrafiła sobie wyobrazić tej części stanu Nowy Jork opanowanej przez falę upałów. Z dziesięciu miesięcy, które tu spędziła, pomijając oczywiście przepiękną jesień, kiedy to zakochała się w Noahu, pamiętała głównie śnieg, śnieg i jeszcze raz śnieg. Śnieg od pierwszego tygodnia listopada aż po kwiecień.

Kiedy zaś zrobiło się ciepło, ona była już w zaawansowanej ciąży i większość czasu spędzała w swoim pokoju, gapiąc się w ścianę i medytując nad decyzją dotyczącą dziecka - decyzją, przy której zamierzała wytrwać za wszelką cenę.

I wytrwała.

Uświadomiła sobie, że stoi przed małą trafiką z papierosami i materiałami piśmiennymi, gdzie sprzedawano również gazety i czasopisma. Tuż obok znajdowała się kafejka ze stolikami na chodniku przed wejściem. Kilka z nich było już zajętych, ale miejsce wyglądało na spokojne i bezpretensjonalne, właśnie takie, jakiego Mariel szukała. Zdecydowała się kupić coś do czytania i tu wrócić.

Dwie minuty później siedziała przy małym, okrągłym stoliczku, tyłem do pozostałych klientów kafejki. Hostessa nie wyglądała na poruszoną prośbą o stół dla jednej osoby, ale Mariel i tak nie mogła pozbyć się uczucia zażenowania.

Tuż przy niej jak spod ziemi wyrósł przystojny kelner wyglądający na studenta college'u.

- Dobry wieczór, mam na imię Kevin. Będę panią obsługiwał. Czy czeka pani jeszcze na kogoś, czy...

- Nie, jestem sama - odparła Mariel zmieszana, zerkając przez ramię na pary przy innych stolikach. Zauważyła, że w większości byli to młodzi ludzie - zapewne studenci spędzający letni semestr w college'u.

Odepchnęła podkradające się uczucie tęsknoty i skupiła uwagę na kelnerze, który zachwalał poszczególne propozycje z karty dań. Zamówiła makaron i kieliszek białego wina, po czym rozłożyła lokalną gazetę i rzuciła okiem na pierwszą stronę. Niewiele informacji z kraju i zagranicy, zauważyła, zupełnie jak w „Rockton Gazette”. Widocznie wszędzie małe miasteczka są bardziej nastawione na problemy lokalne. Mariel pobieżnie przejrzała artykuł o zbliżającym się kontrowersyjnym przesłuchaniu komisji strefowej i o stypendystach, którzy właśnie uzyskali dyplomy w Strasburg Central High School. Przerzuciła stronę i zaczęła studiować kronikę wypadków w rubryce policyjnej - zaginięcie psa, kradzież w sklepie Seven-Eleven, kilka samochodowych stłuczek.

Kiedy czytała listy do redakcji na stronie czwartej, kelner przyniósł wino. Pociągnęła łyk chłodnej, wyrazistej słodczy, myśląc jednocześnie, że powinna była kupić sobie większy zapas prasy. W tym tempie przejrzy całą gazetę, zanim pojawi się sałatka.

Przełożyła stronę i nagle uderzyło ją znajome nazwisko. Wstrzymała oddech.

Amber Steadman.

Dostrzegła je niemal bezwiednie. Nie, musiało mi się wydawać, zapewniała samą siebie, badawczo wodząc oczami po kolumnie druku, by jeszcze raz na nie natrafić.

A jednak nie pomyliła się.

Było tam.

Amber Steadman.

W pierwszym akapicie tekstu, którego tytuł brzmiał:

Dziewczynki z Valley Falls dotąd nie odnaleziono.

Następne godziny zamazały się w świadomości Mariel.

Podążyła kelnerowi jakąś wymówkę, zapłaciła za niezjedzony obiad i odmówiwszy zabrania go do domu, wybiegła z kafejki. Teraz nie zdołałaby już niczego przełknąć.

Zawróciła w stronę kiosku z gazetami i kupiła wszystkie lokalne tytuły, które tylko mogła znaleźć, łącznie ze

znaczniejszymi z Syracuse, Binghamton i Uti.

Kiedy znalazła się znowu w swoim pokoju, przeczesala całą prasę strona po stronie, linijka po linijce w poszukiwaniu kolejnych informacji o zaginionej nastolatce z Valley Falls. Ale nie znalazła niczego więcej, oprócz artykułu w „Valley Falls Ledger”, który w zasadzie był streszczeniem tego, co przeczytała w kafejce.

Amber Steadman zniknęła bez śladu ponad tydzień temu. Po raz ostatni widziano ją, kiedy wychodziła do szkoły. Nie odnaleziono dowodów przestępstwa, ale policja współpracuje z szalejącymi z niepokoju rodzicami dziewczynki, starając się nie przeoczyć żadnej wskazówki. Został zainstalowany specjalny numer gorącej linii, a państwo Steadman ustalili nagrodę za informacje, które mogą doprowadzić do szczęśliwego powrotu ich córki.

Mariel siedziała w prawie pustej bibliotece college’u nad przeglądarką do mikrofilmów. Spędziła już godzinę, wertując poprzednie wydania prasy lokalnej w poszukiwaniu artykułów na temat tajemniczego zniknięcia. Doniesienia te zajmowały pierwsze strony wszystkich gazet i opatrzone były podobiznami dziewczynki, a w przypadku „Valley Falls Ledger” fotografią jej rodziców. Na zdjęciu figurowała niezbyt przystojna para w średnim wieku - Carl, łysiejący, w okularach, jego żona, Joanne, drobna blondynka z krótkimi włosami. Fotografia, którą najwyraźniej zrobiono przed komisariatem policji, wyraźnie pokazywała ich stan napięcia. Steadmanowie wyglądali na przerażonych i udręczonych niepokojem.

Od chwili kiedy dowiedziała się o zniknięciu Amber, Mariel czuła, jak ogarnia ją coraz większa panika. A jeśli dziewczynka została uprowadzona przez jednego z tych seryjnych morderców, o których czasami się słyszy, przez zbrojnego połującego na nastolatki? Jeśli zgwałcono ją, torturowano, zamordowano?

Mariel była dosłownie chora, kiedy wyobraźnia podsuwała jej kolejne przerażające scenariusze. Uświadomiła sobie, że Carla i Joanne musiały męczyć koszmary setki, tysiące razy gorsze. Mogła sobie być rodzoną matką Amber, ale Steadmanowie wychowywali dziewczynkę, kształcili, opiekowali się nią, kochali.

Ale czy na pewno?

Kilka sprawozdań zawierało wzmianki o tym, że policja podejrzewa, iż Amber mogła wcale nie zostać uprowadzona. Wraz z nią zniknęły bowiem niektóre jej rzeczy, a parę koleżanek szkolnych zaginionej zeznało w śledztwie, że Amber wspominała o ucieczce.

Mariel siedziała zapatrzona w przestrzeń, ze skrzyżowanymi na brzuchu rękoma, i rozważała tę możliwość. Dlaczego Amber miałaby uciekać?

Czy mogłoby to mieć związek z e-mailem, na który nie dostała odpowiedzi?

Logicznie rzecz biorąc, Mariel nie potrafiła dostrzec takiego powodu. Amber nie wiedziała przecież, że to właśnie ona jest jej biologiczną matką. Brała tylko pod uwagę taką ewentualność. Gdyby bardzo ją niepokoiło to, że Mariel nie odpisała, z pewnością próbowałyby raz jeszcze nawiązać kontakt.

Ale jeśli nawet nie taki był powód ucieczki Amber - o ile rzeczywiście uciekła - czy milczenie Mariel mogło się w jakiś sposób przyczynić do tej sytuacji? Od czego dziewczynka chciała uciec? Co było bezpośrednią przyczyną, że próbowała odnaleźć biologiczną matkę? I czy uciekłyby również, gdyby ta matka odpisała albo zatelefonowała, zamiast czekać tak długo?

Z zamętem w głowie Mariel wyłączyła przeglądarkę i odsunęła krzesło. Trzeba coś zrobić. Nie może tak po prostu siedzieć i czytać o zniknięciu swojej córki. Musi zorientować się, czy zdołałaby jakoś pomóc.

Ale jak?

Czy powinna zadzwonić na komisariat? Gdyby się zgłosiła, zdała sobie sprawę, policja mogłaby zacząć podejrzewać, że miała coś wspólnego ze zniknięciem Amber. Oczywiście, że tak. Czy uznaliby za zbieg okoliczności, że pojawiła się w mieście właśnie teraz, po latach milczenia?

Bo też nie był to zbieg okoliczności. Może Amber czymś się niepokoiła i właśnie dlatego tak nagle się z nią skontaktowała. Takie wytłumaczenie miało sens. Jeśli coś ją dręczyło - zwłaszcza coś, co wiązało się z rodzinnym domem - mogła zacząć snuć fantazje o matce, która przybędzie jej na pomoc.

Cóż, Mariel haniebnie zawiodła.

Ale nie była przecież jedyną osobą, którą dziewczynka próbowałyby w tej sytuacji odnaleźć.

Nazwisko Noaha również figurowało w dokumentach adopcyjnych. Skądkolwiek dowiedziała się o Mariel, z tego samego źródła mogła uzyskać dane Noaha. Czy z nim także próbowała się skontaktować? Czy go odnalazła?

Mariel szła powoli przez labirynt kabin do nauki, aż dotarła do lady, przy której dyżurowała tylko jedna osoba. W czwartkowy piątek wieczorem czytelnia była niemal pusta.

- Przepraszam - zwróciła się Mariel do bibliotekarki, która już przedtem pokazywała jej, jak obsługiwać przeglądarkę do mikrofilmów. - Czy zechciałaby mi pani raz jeszcze pomóc?

- Oczywiście - odparła kobieta - ale muszę pani przypomnieć, że za dziesięć minut zamykamy.

- Och, nie.

- Przykro mi - dodała z miłym uśmiechem. - O tej porze roku czytelnia jest czynna krócej. Ale może pani przyjść rano. Otwieramy o...

- Nie, to naprawdę nie powinno zająć dużo czasu, jeżeli pani mi doradzi. Muszę odnaleźć kogoś, kto uczył się w Strasburgu. Może jest jakaś baza danych z aktualnymi adresami i numerami telefonów dawnych studentów?

- Owszem, jest. Ale ten ktoś figurowałby w niej prawdopodobnie tylko wtedy, gdyby ukończył studia. A

ukończył?

- Nie wiem - przyznała Mariel. Nie miała pojęcia, co działo się z Noahem od chwili, gdy czwartego lipca przed piętnastu laty opuścił pokój, w którym leżała po porodzie. Teraz z oszołomieniem zdała sobie sprawę, że przy odrobinie szczęścia wkrótce się dowie.

- Cóż, zacznijmy od tego - powiedziała bibliotekarka, podnosząc się i ruszając w stronę komputerowych terminali.

Kilka minut później Mariel wpatrywała się w listę nazwisk na ekranie. Według wyświetlonych danych Noah Lyons mieszkał w Nowym Jorku, na Broadwayu. Nie było numeru telefonu, tylko adres poczty elektronicznej. To wszystko. Żadnych informacji o stanie cywilnym, rodzinie czy miejscu pracy.

Więc nie wyjechał ze stanu Nowy Jork.

- Czy to ta osoba, której pani szuka? - zapytała bibliotekarka.

Mariel drgnęła. Zapomniała, że nie jest sama.

- Na pewno - skinęła potakująco głową.

- Jeżeli chce pani jeszcze te dane przepisać... - Kobieta wymownie zerknęła na zegarek.

- Zrobię to błyskawicznie - obiecała Mariel. Bibliotekarka odeszła, uśmiechając się nieznacznie.

Mariel zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu długopisu i czegoś, na czym mogłaby notować.

Czy jesteś żonaty, Noah?

Masz dzieci?

Gdzie pracujesz? Jesteś szczęśliwy? Czy zdarza ci się o mnie pomyśleć?

Łzy śmiły jej wzrok, kiedy gryzmoła adres Noaha na odwrotnej stronie jakiegoś kwitu. Nie była przygotowana na ten zalew uczuć. Nie była przygotowana na to, żeby jeszcze kiedykolwiek planować rozmowę z Noahem. Zamiast się nad tym zastanawiać, musiała działać - zanim zmieni zdanie.

Komputer miał dostęp do Internetu. Pośpiesznie weszła do sieci, wprowadziła adres poczty elektronicznej Noaha i zastępnęła z palcami nad klawiaturą, zastanawiając się, co dalej.

- Proszę pani? Już zamykamy - zawołała uprzejmie zza lady bibliotekarka.

- Dobrze. Za sekundę kończę - mruknęła Mariel i zaczęła pisać. Jej palce uderzały w klawisze, podczas gdy na suficie gasły kolejne lampy. Nie zwracała sobie głowy przeczytaniem listu. Od razu kliknęła ikonkę *wyślij* i odsunęła krzesło.

- Znalazła pani wszystko, co trzeba? - zapytała bibliotekarka, kiedy Mariel niemal biegła w stronę drzwi, przy których czekała już druga pracowniczka czytelnicy, pobrzękując niecierpliwie kluczami.

Mariel zdołała tylko skinąć głową. Gardło ścisnęło jej zbyt silne wzruszenie, by mogła odpowiedzieć.

Rozdział 3

Jeszcze jedna sobotnia noc i znowu nie poderwałem nikogo... - Noah przestał wyśpiewywać stary przebój Cata Stevensa, otworzył lodówkę i sięgnął po piwo. Zerwał kapsel, delektując się oparem, który wionął z szyjki zielonej butelki. Potem, ścierając strużkę potu z prawej skroni, zaniósł piwo do salonu i rozsiadł się na parapecie otwartego okna w nadziei na choćby najlżejszy wietrzyk.

Nic z tego. W mieszkaniu było goręcej niż w piekle. To Kelly zawdzięczał, że nie miał już klimatyzatorów, które dawniej w letnie miesiące chłodziły wszystkie pomieszczenia. Upał i wilgoć napłynęły z zachodu, spadając tego ranka na Nowy Jork wraz z pierwszymi promieniami słońca. Po rozegraniu kilku setów ze swoim przyjacielem Dannym Noah spędził całe popołudnie u matki, majstrując przy starym wentylatorze, który odmówił właśnie posłuszeństwa. Jednak żadne starania nie zdołały już przywrócić zużytego grata do życia, więc skończyło się na tym, że oboje z matką poszli do Duane Reade po nowy sprzęt.

Dla siebie też musi kupić wentylator - jutro. Teraz był zbyt zmęczony i udręczony upałem, żeby wyruszać na poszukiwanie odpowiedniego wiatraka i taszczyć go do domu.

Siedział oparty plecami o framugę okna, ugiąwszy jedną nogę, ze stopą na parapecie. Pociągając długi łyk zimnego piwa, spoglądał na leżący w dole Broadway, wsłuchiwał się w ruch uliczny, obserwował przechodniów idących chodnikiem, na którym roilo się od ludzi o każdej porze dnia.

Zastanawiał się, co coraz częściej mu się zdarzało, jak by to było mieszkać gdzie indziej. Gdzieś, gdzie spokój i cisza nie kosztowałyby go więcej, niż pozwalała jego niemal sześciocyfrowa pensja. Gdzie nie żyłby w stanie ciągłego wyczerpania i rzeczywiście mógł coś napisać.

Tego wieczoru, gdyby nie upał, czułby się niemal zadowolony. Alana nie było, więc wreszcie miał całe mieszkanie dla siebie. Lubił spędzać w domu sobotnie wieczory, rozkoszując się lenistwem i wiedząc, że następnego ranka nie będzie musiał zrywać się wcześniej.

Kiedy jeszcze był żonaty, Kelly planowała niemal każdą minutę każdego weekendu. Wypełniały je przyjęcia, wernisaże w galeriach sztuki i obiady z przyjaciółmi - prawie zawsze jej przyjaciółmi i ich śmiertelnie nudnymi małżonkami - w pretensjonalnych restauracjach, gdzie miniaturowe przystawki podawano na ogromnych białych talerzach z pomysłowo ułożoną zieleniną lub spiralami artystycznie kapniego sosu.

Noah zaś, gdy miał ochotę coś zjeść poza domem, wołał pizzę, spaghetti i meksykańską kuchnię, lubił hałaśliwe,

zatłoczone knajpki, gdzie mógł się pojawić w dzinsach i pić piwo prosto z butelki albo sączyć mocnego drinka z lodem.

Na dzisiejszy wieczór został zaproszony przez Austina, jednego z twórców sloganów reklamowych z agencji, i jego żonę, którzy w towarzystwie grupki znajomych wybierali się do pobliskiego kabaretu. Z natarczywości, z jaką Austin parokrotnie dopytywał się poprzedniego dnia, czy Noah jest absolutnie pewien swojej odmowy, można było wnosić, iż w towarzystwie znajdują się samotne kobiety.

Zresztą nie tylko Austin sądził, że teraz, kiedy Kelly go opuściła, Noaha dręczą samotność i chandra. Ostatnio kilku przyjaciół proponowało mu randki w ciemno w dwie pary, a Danny, nadal cieszący się wolnością trzydziestopięciolatek, usiłował go namówić na wspólne wynajęcie na lato domu w Hamptons. Noah od paru lat słyszał o letnich eskapadach Danny'ego i w najmniejszym stopniu nie pociągała go perspektywa szalonych nocy w klubach z pięknymi dziewczynami swobodnych obyczajów.

Czuł się na to wszystko zbyt zmęczony, i to niekoniecznie fizycznie, bo pragnął wziąć w objęcia kobietę i kochać się z nią po miesiącach życia w celibacie. Raczej emocjonalnie. Po prostu nigdy nie pociągała go wizja przelotnych miłostek. Nie tak spodziewał się - czy chciał - spędzać czas na obecnym etapie życia.

Westchnął, osuszył butelkę do dna i ruszył w stronę lodówki po następną. Kiedy odsunął na bok tekturowe pudełko z resztkami chińszczyzny na wynos sprzed kilku dni, zauważył, że z opakowania sześciu piw, które kupił ostatnio w drodze do domu po szczególnie ciężkiej harówce w biurze, zostało tylko jedno. A powinny być trzy.

Oczywiście. Alan był uprzejmy się poczęstować. Koszmar.

Trzeba będzie porozmawiać z nim o podziale wydatków na zakupy spożywcze. Na obecnym etapie swego życia nie oczekiwał takich problemów. Mieszkanie ze współlokatorem jest dobre dla kogoś, kto wyjeżdża na studia, albo dla młodego człowieka, który dopiero startuje w wielkim mieście. A on był dojrzałym mężczyzną ze stałą posadą - nie powinien funkcjonować w taki sposób.

Chryste, myślał ponuro, otwierając ostatnią butelkę piwa, ileż to razy czułem się na nowo zaskoczony, że tak właśnie ułożyło mi się życie. Rzeczywistość zaskakiwała go po kilka razy dziennie. Można by pomyśleć, że wcześniej czy później do niej przywyknie. Ale nie przywykł.

Wrócił do salonu. Jego wzrok zatrzymał się na piętrzącej się na podłodze koło komputera stercie niedokończonych scenariuszy. Mógłby nad którymś popracować...

Nie, nie mógłby. Był zbyt wypalony, żeby tworzyć.

Nie umiejąc znaleźć sobie miejsca, włączył telewizor. Wcisnął na pilocie kolejne cyferki i dziwił się, że sławna manhattańska telewizja kablowa ze swoją setką kanałów nie pokazuje niczego, co zdołałoby go zainteresować.

A co zdołałoby go zainteresować?

- Nowe życie - powiedział na głos, wyłączając telewizor i odrzucając pilota na kanapę. Właśnie tak. Gdyby mógł się przeprowadzić, zacząć wszystko od nowa, znaleźć coś, co by pokochał - kogoś, kogo by pokochał - zyskałby spokój.

Okay, wspaniale. Więc miał już plan. Teraz tylko musiał wprowadzić go w życie. Taaa, w porządku. Chyba za szybko wypił to pierwsze piwo. W tym nastroju wszystko wydawało mu się możliwe.

Więc może naprawdę tak jest, powiedział sobie, wsuwając do odtwarzacza starą płytę Steely Dan. Możliwe, że jedyne, co musiał zrobić, to zbadać, jak jest gdzie indziej, a potem sensownie wykorzystać te informacje.

Zasiadł przed komputerem i włączył monitor, uznawszy, że Internet będzie dobry na początek. Nie żeby Noah wiedział, jak się wziąć do szukania tego czegoś, cokolwiek by to było. Chyba nie mógł wpisać do przeszukiwarki hasła „Nowe życie”.

Trzymając butelkę w lewej ręce, pociągnął łyk piwa, jednocześnie tak manewrując myszką, żeby błyskawicznie wejść do sieci.

Witaj. Jest dla ciebie poczta - zawiadomił mechaniczny głos.

- Dla mnie? - zdziwił się Noah. Uniósł brew i kliknął ikonkę skrzynki odbiorczej.

Nie rozpoznał adresu e-mailowego nadawcy. Otworzywszy pocztę, najpierw automatycznie zerknął na podpis umieszczony pod tekstem listu.

I kiedy dostrzegł nazwisko, które tam widniało, gwałtownie złapał oddech.

Poczuł, że dygoce od stóp do głów. Odstawił butelkę na podłogę koło krzesła i pochylił się ku ekranowi, zmuszając się, by dokładnie przeczytać wiadomość od początku do końca.

Drogi Noahu,

Wiem, że ten niespodziewany e-mail cię zaskoczy. Przepraszam za to i przechodzę od razu do rzeczy. Dziecko, które oddaliśmy do adopcji, wpadło w tarapaty; uważam, że zasługujesz, żeby o tym wiedzieć. Jestem w Strasburgu. Zatrzymałam się w Sweet Briar Inn, pokój numer osiem. Możesz mnie tu złapać. Zadzwońłabym do ciebie, ale w bazie danych przy liście absolwentów nie figuruje twój numer telefonu.

Pozdrawiam

Mariel Rowan

Burza myśli kłębiła mu się w głowie, kiedy skończył czytać - najróżniejszych myśli. Usiłował wziąć się w garść, wstrząśnięty nieoczekiwanym kontaktem z kobietą, z którą już nigdy nie spodziewał się zetknąć.

Nie powinien był słuchać Kelly... To ona zabroniła mu podawać do publicznej wiadomości ich numer telefonu. Nie figurowali w żadnym spisie, bo Kelly nie chciała, by nękali ją telemarketerzy. Noah podzielał jej obawy, ale to nie miało żadnego znaczenia. Gdyby wpisał swój numer do formularza, który przed laty przysłała mu rada absolwentów, Mariel mogłaby do niego zadzwonić, zamiast uciekać się do komunikacji elektronicznej.

Nasze dziecko wpadło w tarapaty.

Jakie tarapaty? Serce zamierało mu na myśl o córce, o której nie zapomniawszy nawet na jeden dzień od chwili, gdy cicho ją żegnał i życzył szczęścia.

Podpisała się Mariel Rowan. Znaczy, że nadal jest wolna. Czy na pewno? Nie sądził, żeby Mariel należała do kobiet, które chętnie noszą cudze nazwisko. Nie był nawet pewien, czy potrafi wyobrazić ją sobie zamężną. Może dlatego, że po prostu z niechęcią myślał o jej życiu z innym mężczyzną. Nawet jeszcze teraz.

W ciągu minionych lat zastanawiał się czasami, co się z nią stało.

Czasami? Cholera, często. Przed i po tych kilku dobrych latach na początku jego związku z Kelly.

Teraz mógł podnieść słuchawkę i zadzwonić do Mariel Rowan, do Sweet Briar Inn w Strasburgu. Była tam, oddalona od niego tylko o parę godzin drogi.

Bo ich dziecko wpadło w tarapaty.

Skąd, do diabła, o tym wiedziała? Dlaczego go o tym zawiadomiła? Czyżby przez cały ten czas utrzymywała kontakt z córką?

Poczuł, jak zalewa go fala zazdrości, w ślad za którą pojawił się przebłysk dawno uśpionego gniewu. Tak rozpaczliwie walczył o to maleństwo. Nawet gdy zdał sobie sprawę, że Mariel nie ma zamiaru się ugiąć i poślubić go - nawet wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że zapewne miała słuszność - nadal usiłował wymyślić sposób, by móc samemu wychowywać dziecko.

W końcu jednak zrozumiał, że Mariel miała rację. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko oddać córeczkę ludziom, którzy pewnie nie potrafiliby jej kochać bardziej niż Noah, ale mieli dać jej to wszystko, czego on nie mógł. A jednak nie ustrzegli jego dziecka od nieszczęścia. Psiakrew, mała była w tarapatkach. Jakiego rodzaju tarapatkach?

Oszalały z niepokoju, poderwał się z krzesła i sięgnął po telefon.

W słuchawce nie było sygnału. Klnąc na czym świat stoi, przycisnął kilka razy klawisz. Nadal brak sygnału.

Co do...? Och.

Linia była zajęta przez Internet, więc niemal biegiem wrócił przed ekran, szybko wyszedł z sieci i znowu przycisnął guzik telefonu. Tym razem odezwał się sygnał.

Noah z bijącym sercem wybrał numer informacji.

Kiedy o zmierzchu wróciła ze spaceru po miasteczku uniwersyteckim, zastała Susan Tominski za kontuarem w hallu. Cały ten dzień Mariel spędziła w hotelowym pokoju na rozmyślaniach i studiowaniu dzisiejszego wydania wszystkich lokalnych gazet, więc wieczorem uznała, że dobrze by było wyjść na powietrze. Mimo upału i wilgoci, które nastąpiły zgodnie z zapowiedzią Susan, wędrowała uliczkami kampusu, przyglądając się znajomym, porośniętym bluszczem ceglany budynkom, świeżo odnowionym, z lśniącymi szybami i śnieżnobiałymi framugami okien.

Kawał życia minął od czasu, gdy szła tędy po raz ostatni, i Mariel czuła ten upływ lat. Już prawie nie pamiętała, jak to było mieszkać w Canterbury Hali, akademiku dla dziewcząt z pierwszego roku, nie potrafiła sobie przypomnieć, jakie posiłki podawano im w jadalni i czy kiedykolwiek poszła na mecz piłki nożnej.

Wspomnienie późniejszych wydarzeń - tych strasznych, samotnych miesięcy w Syracuse, w domu dla niezamężnych matek - było nadal tak wyraźne, że dni spędzone w Strasburgu sprawiały przy nim wrażenie zatarzonych, mglistych obrazów. Oprócz chwil z Noahem.

Te pozostały żywe w jej pamięci.

Ale o nich właśnie usiłowała nie myśleć nawet wtedy, gdy zastanawiała się, czy Noah otrzymał już wiadomość od niej. A jeśli wyjechał? Albo należy do tych, którzy nigdy nie sprawdzają, czy coś do nich przyszło? Albo zmienił swój adres e-mailowy i w ogóle nie dostał jej listu?

Natychmiast zapomniawszy o swoich obawach, kiedy w hotelowym hallu zatrzymała ją Susan i wręczyła złożoną kartkę papieru.

- Ktoś telefonował, pani Rowan, kiedy pani nie było - powiedziała. - Przełączyłam go do pani, ale niestety nie mamy poczty głosowej jak te nowsze hotele, więc kiedy w pani pokoju nikt nie odbierał telefonu, ten pan oddzwonił do mnie i zostawił swój numer.

Pan.

Dzwonił Noah. Oczywiście, że to on. Kto poza nim wiedział, że Mariel jest tutaj? Leslie i ojciec mieli tylko numer do Super 8, gdzie początkowo zarezerwowała sobie nocleg. Przez cały dzień nie mogła się zmusić, żeby ich zawiadomić o zmianie planów. Obawiała się, że wyczują w jej głosie zdenerwowanie, a przecież nie mogła im wytłumaczyć, co się stało.

Trzęsącymi się palcami rozłożyła kartkę i ujrzała nazwisko Lyons obok numeru telefonu z kierunkowym 212.

- Dziękuję - uśmiechnęła się do Susan, ruszając w stronę schodów.

Bezpieczna w swoim pokoju ozdobionym wesołą tapetą w granatowo-biały roślinny wzór, przysiadła na brzegu łóżka i wykręciła numer Noaha.

Na dźwięk sygnału w słuchawce wzięła głęboki oddech. Myśli kłębiły jej się w głowie, kiedy próbowała dodać sobie odwagi, zanim po tych wszystkich latach znowu go usłyszy.

I wreszcie stało się - dobiegł ją głos Noaha. Nagrany na taśmie automatycznej sekretarki. Mimo to Mariel odczuła wstrząs.

- Nie możemy teraz przyjąć telefonu. Prosimy o zostawienie wiadomości po sygnale. Oddzwonimy.

My. Więc Noah nie mieszkał sam. A czegoż się spodziewała? Do tej pory pewnie już się ożenił i miał kilkoro dzieci.

Usłyszawszy sygnał, rozłączyła się, zbyt roztrzęsiona, żeby móc wydobyć z siebie choć słowo. Może zadzwonić później. Ale kiedy zatelefonowała po półgodzinie, a potem ponawiała próby co piętnaście minut, nadal odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Za każdym razem Mariel odkładała słuchawkę. Jeżeli zostawi wiadomość, inicjatywa znowu przejdzie w ręce Noaha. Wtedy nie będzie innego wyjścia, jak tylko czekać na jego reakcję. Dużo korzystniej dla niej jest próbować do skutku, aż po tamtej stronie linii ktoś się odezwie - najlepiej Noah.

Wzdrygnęła się na myśl, że zamiast niego telefon mogłaby odebrać żona albo jedno z dzieci. Co powinna powiedzieć, gdyby przyszło jej rozmawiać z kobietą, którą poślubił? W jaki sposób się przedstawić? Jako dawna znajoma?

Ale może nie będzie musiała. Może Noah powiadomił żonę o e-mailu. Może już dawno temu opowiedział jej o swojej dziewczynie sprzed lat. A może Mariel nie była wystarczająco ważna w jego życiu, żeby w ogóle o niej wspominać. Może nigdy o niej nawet nie pomyślał.

Nie. Nie umiała w to uwierzyć. Cokolwiek Noah ostatecznie o niej sądził, nie mógł jej zapomnieć. To, co przeżyli razem, było zbyt bolesne, żeby po prostu przejść nad tym do porządku i ruszyć w dalszą drogę. Z pewnością w ciągu tych wszystkich lat myślał o ich dziecku. I o niej. Ale na pewno nie tak często - i nie z taką tęsknotą - jak ona o nim.

Wreszcie, dobrze po północy, dała sobie spokój z próbami dodzwonienia się. Było już zbyt późno. Może wyszli z żoną do miasta albo wyjechali na weekend. Może Noah odebrał e-mail w innym miejscu. Może był biznesmenem w rozjazdach, posiadaczem laptopa i letniego domu w Hamptons. Teraz wydało jej się dziwne, że nie miała pojęcia, jak ułożyło mu się życie, kim został.

Niespokojnie przemierzyła podłogę wyściełaną jasnoniebieskim dywanem i wyjrzała na ciągnący się w dole cichy i pusty odcinek Main Street. Okno było otwarte, ale najłżejszy wietrzyk nie poruszał białymi wykrochmalonymi zasłonami. Z dworu dobiegało cykanie świerszczy i przytłumione dźwięki muzyki granej przez jakiś zespół w którymś z dalej położonych domów kampusu.

Przeciągając się i masując obolałe mięśnie karku, Mariel uznała, że równie dobrze może już iść do łóżka. Czula się fizycznie wykończona, a mimo to wątpiła, czy zdoła choć odrobinę się przespać teraz, kiedy Noah się do niej odezwał.

Zeszłej nocy też nie zmrzyła oka. Kiedy wreszcie wsunęła się pod białą szorstką kapę, myśli nie chciały przestać krążyć wokół Amber. Wszystkie straszliwe filmy, które Mariel kiedykolwiek widziała, powracały teraz, żeby ją prześladować, zwłaszcza reportaże o porwanych nastolatkach i mrozące krew w żyłach opowieści o psychopatach i seryjnych mordercach. Wyobrażała sobie setki różnych scenariuszy, jeden bardziej przerażający od drugiego, i czuła niemal fizyczny ból z niepokoju.

Teraz ze znużeniem przebrała się w letnią krótką koszulkę nocną bez rękawów. Poprzedniego wieczoru włożyła flanelową piżamę, którą po chwili namysłu wepchnęła przed samym wyjazdem do walizki, jak się okazało - słusznie. Ale teraz pogoda zmieniła się diametralnie. W gorącą, parną noc nawet przejrzysta bladożółta bawełenka wydawała się Mariel zbyt grubą tkaniną.

Czy powinna narzucić szlafrok, żeby iść się umyć i wyszorować zęby?

Nie. Było zbyt gorąco i chociaż od łazienki dzielił ją cały korytarz, miała ją tylko dla siebie, bo nikt więcej nie mieszkał na drugim piętrze. Trzeba by wziąć prysznic dla ochłody przed pójściem do łóżka, zdecydowała. W ten sposób odpręży się i może zdoła zasnąć.

Wzięła małą pikowaną kosmetyczkę w kwiatki z przyborami toaletowymi i wyszła na korytarz. W hotelu panowała cisza, chociaż dawało się dosłyszeć stłumione dźwięki muzyki klasycznej, która zawsze rozbrzmiewała w hallu.

Mariel prawie bezszelestnie szła po ciemnozielonej wykładzinie korytarzem, który słabo oświetlały stylizowane na świece elektryczne kinkiety. Drzwi do trzech pozostałych pokoi na piętrze były uchylone, więc dała się ponieść ciekawości i przechodząc, zerknęła do każdego z nich.

Podobnie jak jej sypialnię i korytarz, wszystkie wnętrza wytapetowano w roślinny wzór Waverly - w różnych odcieniach lawendy, żółci i czerwieni. Meble z polituowanego drewna wiśni imitowały klasyczny styl królowej Anny. Pokoje numer 5 i 7 miały podwójne łóżka, a numer 6, tak jak u Mariel, pojedyncze, królewskich rozmiarów

łóże.

Właśnie w jednym z tych czterech pokoi spędziła niegdyś z Noahem tę pierwszą noc, która zaważyła na ich losie. Na pewno było to drugie piętro, bo pamiętała, że nie mieli prywatnej łazienki. Ale który pokój? Nie mogła sobie przypomnieć. Widok wewnątrz za uchylonymi drzwiami nie wywoływał żadnego obrazu w jej pamięci.

Weszła do łazienki przy końcu korytarza i zamknęła się na klucz. Postanowiła wziąć porządny prysznic. Matka Mariel zawsze mówiła, że chcąc się orzeźwić kąpielą w letnie upały, powinno się użyć najcieplejszej wody, jaką można wytrzymać. W ten sposób człowiekowi robi się chłodniej po wyjściu spod prysznica.

Mama miała rację, pomyślała Mariel w pięć minut później. Czowała się o wiele lepiej, kiedy się osuszyła i owinęła ręcznikiem. Zawiązała go w węzeł nad piersiami, a drugim ręcznikiem wytarła zaparowane lustro, myśląc jednocześnie o Sarah Rowan, o tym, jak wiele jej mądrych słów zapadało w pamięć i jakie to niesprawiedliwe, że nie dane jej było więcej czasu na to, co w sposób naturalny i najlepiej robi matka - na pokierowanie swoimi dziećmi.

W sierpniu miały minąć dwa lata od śmierci Sarah, a prawie dziesięć od chwili, gdy wykryto u niej chorobę Alzheimera.

Początkowo Mariel nie chciała wierzyć w straszne prognozy, mimo niewątpliwych oznak, że dzieje się coś naprawdę złego. Jej zwykle dobrze zorganizowana matka stawiała się coraz bardziej zapominalska, jednak Mariel uznała, że to po prostu kwestia wieku. W końcu rodzice mieli już wtedy po sześćdziesiątce. Było oczywiste, że nie mogą pozostać z nią na zawsze i Mariel powinna być na to przygotowana. Mama, którą obcy często mylnie brali za babcię, osiadała, kiedy Mariel chodziła jeszcze do szkoły średniej, zanim matka Katie Beth świętowała swoje czterdzieste urodziny.

Jednak kiedy pani Rowan zapadła na zdrowiu, Mariel odmówiła spojrzenia prawdzie w oczy. W przeciwieństwie do Leslie i ojca, których werdykt lekarzy zupełnie załamał, pozostała pogodna i pełna optymizmu. Pewnie dlatego odczuła cios tak dotkliwie później, kiedy stan chorej pogarszał się systematycznie. Gwałtownie przeciwstawiała się oddaniu matki do prywatnej kliniki, aż do dnia kiedy Sarah niepostrzeżenie wyszła z domu i o mały włos nie zgineła, próbując pokonać biegnącą przez Rockton ruchliwą autostradę.

W końcu więc zrozpaczona Mariel zgodziła się z ojcem i Leslie, że nadszedł czas, kiedy mama musi opuścić dom. W klinice Sarah przeżyła osiemnaście miesięcy i Mariel odwiedzała ją tam z oddaniem jeszcze długo po tym, jak chora przestała poznawać swoich bliskich.

To było najgorsze - widzieć puste spojrzenie tych dobrze znanych zielonych oczu.

Zerknąwszy na swoje odbicie w lustrze, Mariel zdała sobie sprawę, jak bardzo przypomina mamę. Miała jej szeroko rozstawione oczy barwy mchu i wysokie kości policzkowe, a nawet takie same piegi na nosie, jakby posypanym sproszkowanym cynamonem. Włosy matki były proste i ciemno-kasztanowe, córki zaś jasnobrązowe i falujące. Poza tym Sarah zawsze ściągała je w kok, podczas gdy u Mariel zwykle spływały luźno na ramiona. Ale teraz, mokre po kąpielach, były szesane z czoła do tyłu i...

Wyglądam zupełnie jak ona, uznała. Jak ona na fotografiach z okresu, kiedy przyszłam na świat.

Sarah była wtedy kilka lat starsza niż jej obecnie trzydziestotrzyletnia córka, ale podobieństwo i tak rzucało się w oczy. Bardziej niż Mariel kiedykolwiek przedtem sądziła.

Zalała ją fala tęsknoty za domem. Nie za samym miejscem, nie za Rockton, ale za czasami, które dawno przeminęły, i za nieżyjącą już kobietą.

Chcę do mamy, pomyślała przytłoczona poczuciem osamotnienia, wpatrując się zamglonymi od łez oczami w swoje odbicie w lustrze. Potrzebuję mojej mamy.

Nie mogła sobie pozwolić na płacz, bo gdyby zaczęła, nie potrafiłaby przestać. Chciała opłakiwać nie tylko matkę, ale i dziecko, które kiedyś oddała, dziecko, które mogło być teraz w niebezpieczeństwie. I miłość, którą utraciła, kiedy Noah się od niej odwrócił.

Nie.

Nie może tak myśleć, bo to po prostu nieprawda. Noah nie odwrócił się. Był przy niej, gdy tylko mógł, podczas tej niekończącej się zimy, kiedy mieszkała w domu dla niezamężnych matek. Odwiedzał ją regularnie i przywoził drobne upominki, mimo że zawsze był splukany. Towarzyszył jej podczas badań prenatalnych i trzymał za rękę, kiedy rodziła. I podpisał dokumenty adopcyjne tylko przez wzgląd na nią - i może na dobro ich dziecka.

Chciała wierzyć, że... że nie zmusiła go do zrobienia niczego, co rzeczywiście uważał za złe. W ciągu tych lat, które minęły, musiał zdać sobie sprawę, że ta decyzja była słuszną dla nich obojga. Musiał.

Gorące łzy napełniły jej oczy i pociekły po policzkach. Mariel sięgnęła po ręcznik, wytarła twarz i włożyła nocną koszulę. W łazience zrobiło się już nieprzyjemnie ciepło, więc spryskała zimną wodą policzki i szyję.

Kiedy zakręcała kurek, usłyszała stukanie do drzwi.

- Już wychodzę! - krzyknęła zaskoczona.

Kto to mógł być? Może Susan. Może za długo zajmowała łazienkę albo zużyła zbyt dużo gorącej wody, pomyślała, ale po chwili zdała sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. Przecież oprócz niej nikt na tym piętrze nie mieszkał. Kiedy szła do łazienki, wszystkie pokoje były puste, a nie sądziła, żeby ktoś zameldował się w Sweet Briar Inn o tej porze.

Szybko zebrała swoje rzeczy i otworzyła drzwi. Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to powiew chłodniejszego, suchszego powietrza, który powitał ją, kiedy wyszła na korytarz z zaparowanego pomieszczenia.

W następnej chwili zauważyła, że drzwi pokoju dokładnie naprzeciwko łazienki - numeru szóstego, z żółtą tapetą i królewskich rozmiarów łóżem - są teraz zamknięte. A więc jednak ktoś się wprowadził, podczas gdy ona brała prysznic.

Jakiego rodzaju osoba pojawiłaby się w hotelu o tej porze? Nagle zaświtało jej, że to pewnie para szukająca miejsca, by wspólnie spędzić noc, tak jak przed wielu laty zrobili to oni z Noahem.

Myśl o dzieleniu piętra z młodymi namiętymi kochankami przeraziła ją bardziej niż perspektywa spędzenia kolejnej bezsennej nocy w wielkim łóżku. Samej. Ale nie wolno się nad tym rozwodzić. Samotność tutaj nie powinna robić Mariel specjalnej różnicy. Przecież jest przyzwyczajona spać sama. Po Noahu nie miała już nikogo. Nawet gdyby spotkała mężczyznę, z którym chciałaby pójść do łóżka, nigdy by już nie zaryzykowała, że zostanie samotną matką. A jedyną niezawodną metodą zapobiegania ciąży była całkowita abstynencja.

Przechodząc, leciutko zastukała do pokoju numer 6 i cicho zawołała:

- Łazienka jest już do państwa dyspozycji.

Potem, nie czekając na odpowiedź, ruszyła dalej korytarzem, weszła do swojej sypialni i starannie zamknęła drzwi na klucz.

Noah zastygł na dźwięk kobiecego głosu. To była Mariel. Poznałby ją wszędzie.

Podejrzał, że to ona, kiedy parę chwil wcześniej odezwała się z łazienki. Podejrzał już wtedy, gdy wdrapawszy się na drugie piętro, zauważył, że drzwi do łazienki są zamknięte, i usłyszał szum wody lejącej się z prysznica. Nie miał żadnej pewności, ale coś mu mówiło, że według wszelkiego prawdopodobieństwa drugi spośród zamieszkałych pokoi zajmuje właśnie Mariel.

Kiedy parę minut temu się meldował, starsza pani w recepcji wspomniała, iż pokoje na pierwszym piętrze to większe apartamenty z łazienkami, obecnie wszystkie zajęte. Na drugim piętrze mieszkał tylko jeden gość, jak dodała niemal figlarnie - kobieta.

Oznaczałoby to, że Mariel jest tu sama. Czy należy przez to rozumieć, że dotąd nie wyszła za mąż?

Niekoniecznie, uświadomił sobie, słysząc jej kroki oddalające się korytarzem, zanim zatrzasnęły się za nią drzwi pokoju. Życie intymne Mariel bądź jego brak, napominał samego siebie, nie powinno mnie interesować. Znalazłem się tu wyłącznie z jednego powodu: moja córka miała kłopoty.

Kiedy telefonując, nie zastał Mariel w hotelu, nie zastanawiał się dwa razy, tylko wsiadł do samochodu i przyjechał. To była automatyczna reakcja; nie mógł czekać ani chwili dłużej, żeby dowiedzieć się, co się stało.

Strasburg jest małym miastem i Noah wiedział, gdzie Mariel się zatrzymała.

W tym samym hoteliku, do którego zabrał ją tej nocy, kiedy po raz pierwszy się kochali. Drzemiący w nim chłopiec pragnął wierzyć, że Mariel wybrała to miejsce z przyczyn sentymentalnych, mających coś wspólnego z jego osobą. Ale trzeźwo myślący, znużony mężczyzna, którym był obecnie, wiedział lepiej. Noah pamiętał Strasburg wystarczająco dobrze, żeby się orientować, że jeśli ktoś chciał spędzić tutaj noc, możliwości miał ograniczone do moteli Super 8 i Best Western na peryferiach przy autostradzie oraz hoteliku Sweet Briar Inn w centrum miasteczka. Trudno to uznać za wielki wybór, a Sweet Briar Inn był oryginalny i uroczy w przeciwieństwie do umiejscowionych przy wyjeździe ze Strasburga nowoczesnych betonowych pawilonów, oferujących tylko szybkie dania.

Kiedy nie udało mu się złapać Mariel w hotelu, wrzucił trochę ubrań do marynarskiego worka i pożyczył samochód od Danny'ego, tłumacząc się nagłym wypadkiem w rodzinie. Nie wdawał się w szczegóły, a Danny nie naciskał ani nie odniósł się niechętnie do pomysłu wypożyczenia Noahowi swojej siedmioletniej toyoty. Danny zawsze skarżył się na niewygodę związane z posiadaniem samochodu w mieście - na godziny, które tracił co tydzień, jeżdżąc w poszukiwaniu któregoś z legalnych miejsc parkingowych, prawie nie istniejących na Manhattanie. Pozbycie się toyoty na co najmniej dwadzieścia cztery godziny oznaczało, że dla odmiany przez następną dobę nie będzie musiał martwić się o parking.

Trasę do Strasburga Noah pokonał w rekordowym czasie. Dość dobrze znał tamtejsze drogi, bo jeździł nimi niezliczoną ilość razy w czasie studiów, a potem jeszcze kilkakrotnie na weekendy i spotkania absolwentów. Zawsze chciał zabierać ze sobą Kelly, ale ona za każdym razem znajdowała jakąś wymówkę. Sama ukończyła Radcliffe i w najmniejszym stopniu nie była zainteresowana, jak to określała, „wysiadywaniem i kręceniem młynka palcami, podczas gdy jej mąż będzie zajęty snuciem wspomnień z grupą mydlkowatych chłopczków”.

Może dawni kumple Noaha rzeczywiście byli mydlkowatymi chłopczkami. Może również i on był taki. Więc co z tego? Czasami myślał, że miał dużo szczęścia, skoro zdołał wynieść jakieś miłe wspomnienia z college'u po przeżyciach pierwszego roku studiów. W ciągu tego długiego, samotnego lata w Queens, gdy oddali dziecko i Mariel wróciła do domu, uświadomił sobie, że mógł albo pozwolić, aby ta strata zrujnowała mu życie, albo wrócić jesienią do Strasburga i spróbować zacząć wszystko od nowa. Zdecydował się na to drugie i dołączył do korporacji studenckiej, traktując to jako sposób na poznanie nowych ludzi i nawiązanie kontaktów towarzyskich. Po latach, patrząc wstecz, uważał, że postąpił słusznie. Życie w domu Phi Sig było pełne zgiełku, często szalone i ostatecznie

pozwoili mu się uwolnić od smutnych wspomnień. A teraz te smutne wspomnienia dopadły go znowu w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Był tutaj, wiedząc, że od Mariel Rowan dzieli go zaledwie kilka metrów korytarza, wystarczająco mało, żeby móc z nią porozmawiać, gdyby się na to zdecydował - albo jej dotknąć. Musi pamiętać, do czego doprowadziło go to poprzednim razem. Nie może pozwolić, żeby znowu go zauroczyła, niezależnie od tego, jak wyglądała jako dojrzała kobieta.

Nie wątpił, że zachowała cały swój powab. Dobrze pamiętał jakie to było uczucie zanurzyć palce w długich, jedwabistych włosach i jak jej napięte smukłe ciało reagowało w jego ramionach. Nadal miał w uszach gardłowy śmiech Mariel, nadal czuł ciężar jej głowy na swojej piersi, kiedy leżeli przytuleni po miłosnych zapasach.

Odpychając od siebie wspomnienia, sięgnął po pojemniczek ze szklami kontaktowymi i wyszedł. Zawahał się przez chwilę, spoglądając na zamknięte drzwi po przeciwległej stronie pogrążonego w półmroku korytarza. Panowała za nimi absolutna cisza. W tej sytuacji nie wypadało zastukać. Nie, nie teraz.

Zaczeka z tą rozmową do rana. Lepiej to zniesie po dobrze przespanej nocy. Droga do Strasburga mogła być mu dobrze znana, ale nie zmieniało to faktu, że wymagała czterech godzin wyczerpującej jazdy. Noah nie czuł się jeszcze gotowy na ponowne spotkanie z Mariel. Potrzebował czasu, żeby w pełni pojąć, że rzeczywiście jest tutaj i zdobyć się na konfrontację z przeszłością, której tak długo unikał, i z wiadomościami o swojej córce, które z pewnością okazały się niepokojące.

Zawrócił i ruszył korytarzem w drugą stronę. W łazience nadal było ciepło i wilgotno po kąpieli Mariel. Przystępując próg, oparł się o framugę drzwi, zaskoczony zapachem pełnego pary powietrza. Nawet gdyby nie słyszał, kiedy odezwała się do niego kilka minut temu z korytarza, ta woń, tak bardzo kojarząca się z Mariel, potwierdziłaby podejrzenie, że to ona zajmuje drugi pokój na piętrze. Świeży, ziołowy aromat - balsam, szampon, może woda toaletowa. Nigdy nie dowiedział się, co to było, i nie zdarzyło mu się już potem zetknąć z tym zapachem, odkąd się rozstali. A teraz znowu go czuł.

Przez moment stał bez ruchu, oddychając głęboko, zatopiony w intensywnej woni, która przenosiła go nie w ciężkie czasy, lecz w te najśodsze, które dzielili ze sobą w najbardziej intymny sposób.

Po chwili, gdy rzeczywistość zmusiła go, by oprzytomniał, ściągnął przeponą koszulę i spryskał twarz zimną wodą.

Zapomniała w łazience szczotki.

Westchnęła, odkładając kosmetyczkę, którą właśnie na próżno przeszukała. Trzeba będzie znowu wyjść na korytarz. Gdyby poszła spać, zostawiając swoje naturalnie wijące się włosy bez skropienia ich odżywką i wyszczotkowania, rano wstałaby z kołtunem.

I tyle mam z pietra dla siebie, pomyślała, kiedy przeszedłszy boso korytarzem, zastała drzwi zamknięte. Zastanawiała się czy zastukać, ale w końcu uznała, że byłoby to niegrzeczne. Równie dobrze mogła posiedzieć na wyściełanej ławeczce, ustawionej pod oknem u szczytu schodów, i poczekać, nie tracąc nadziei, że ktokolwiek zajmuje łazienkę, nie będzie tam długo siedział. Pysznic odprężył Mariel i dopadły ją skutki napięcia z ostatnich dwóch dni. Marzyła tylko o tym, żeby się położyć.

Jednak ledwie usadowiła się wygodnie, usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Podniosła się i w tej samej chwili na korytarzu, o kilka kroków od niej pojawił się człowiek, który zajmował łazienkę...

Mariel stwierdziła, że stoi twarzą w twarz z nagim do pasa Noahem Lyonsem.

Rozdział 4

Mariel.

Usłyszał, jak to imię wymyka mu się bezwiednie z ust w chwili, gdy owionął go jej zapach, a oczy zarejestrowały niewiarygodny widok stojącej przed nim znajomej postaci. Widział nagą skórę, wilgotne włosy i ogromne, zielone oczy. Z trudem zdołał się opanować, żeby nie osunąć się do tyłu, na framugę drzwi. Okno za plecami Mariel ujmowało jej sylwetkę w ramę, a wlewające się przezeń światło księżycy sprawiało, że krótka nocna koszulka stała się niemal przezroczysta, nie pozostawiając wyobraźni Noaha dużego pola do popisu.

Mariel była nadal szczupła, nadal piękna, chociaż nieco kanciastą dziewczęcą figurę zastąpiły miękko zarysowane linie dojrzałego ciała: zaokrąglone biodra, pełne piersi i nieznaczna wypukłość brzucha, w którym kiedyś nosiła dziecko.

Wraz z tą myślą powróciła cała przeszłość: szok wywołany wiadomością o ciąży, odrzucenie jego oświadczeń, decyzja Mariel, żeby oddać ich córeczkę, poprzedzona przeżyтыми w odrętwieniu miesiącami oczekiwania na jej narodziny i nieuniknione spustoszenie jako wynikłego wszystkiego.

Ściągnięty przez te wspomnienia brutalnie na ziemię, Noah zdołał w końcu odzyskać głos.

- Usiłowałem się do ciebie dodzwonić. Nie mogłem cię złapać, więc przyjechałem.

Tylko skinęła głową. Nie potrafiła jeszcze wydobyć z siebie słowa ani oderwać wzroku od jego twarzy. Uświadomił sobie, że musiała być znacznie bardziej zaskoczona jego widokiem niż on, kiedy wychodząc z łazienki, wpadł prosto na nią, i to tak skąpo odzianą. Wiedział przynajmniej, że Mariel znajduje się pod tym

dachem, a ona nie dostała żadnego ostrzeżenia, nie miała ani sekundy, żeby się przygotować.

A może wyobrażał sobie zbyt wiele? Może mylił się, sądząc według własnych emocji, że jego obecność wywarła na niej tak piorunujące wrażenie?

Zważywszy jednak na jej reakcję, chyba ocenił sytuację prawidłowo. Znał niegdyś Mariel wystarczająco dobrze, żeby poznać ten wyraz oczu, który mieszał się teraz z oszołomieniem. Noah pociągał ją. Nadal. Po tych wszystkich latach, po wszystkim, co się wydarzyło, zachowała do niego jakieś żywsze uczucia.

Dał się ponieść nadziei chyba tylko po to, żeby narazić się na twarde lądowanie, bo po chwili maska obojętności skryła emocje, których przeblysłk dostrzegł, i Mariel wreszcie odzyskała głos.

- Nie musiałeś przyjeżdżać, Noah. Chciałam tylko porozmawiać z tobą o tym, co się stało, dowiedzieć się, czy...

- Nie musiałem przyjeżdżać? - przerwał jej gniewnie. - Czyżbym był w mniejszym stopniu rodzicem naszej córki niż ty? Na miłość boską, przecież to właśnie ja chciałem ją zatrzymać.

Twarz Mariel stężała, oczy rozblęły ogniem.

- Chciałeś zatrzymać ją kosztem jej dobra. Nie myślałeś o tym, co dla niej będzie najlepsze. To był egoizm.

- O nie, Mariel, to ty postąpiłaś egoistycznie - oddał cios, zanim zdążył się pohamować.

Było mu przykro za te słowa, przykro, że nadal tak to odczuwał, po piętnastu latach prób przekonania samego siebie, że ona, że oni podjęli słuszną decyzję. Rozum mówił mu, że nie mogli zatrzymać małej, żyć razem, wychowywać jej. A jednak w głębi serca pozostało poczucie, że opuścił - że opuścili - swoje dziecko. Że zrzucili z siebie odpowiedzialność.

Do diabła, ona nawet nie rozważała takiego wyjścia. Nie chciała ryzyka, które podjęła jego matka, kiedy mniej więcej w tym samym co Mariel wieku zaszła w ciążę. Matka jednak, w przeciwieństwie do Mariel, nie miała żadnej możliwości poślubienia ojca swego dziecka. Dzielnie walczyła z przeciwnościami losu, samotnie wychowując Noaha, i odniosła zwycięstwo.

- Więc nadal mnie nienawidzisz, po tylu latach - powiedziała Mariel martwym głosem. - Wcale mnie to nie dziwi.

Ale Noaha to dziwiło. Był wstrząśnięty intensywnością gniewu, który z taką łatwością zawrzał w nim i wydobył się na powierzchnię. Co się stało, to się nie odstanie. Przecież zaakceptował przeszłość, zostawił ją za sobą. A może nie? Może nie mógł?

Chciał wytłumaczyć się, obronić, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, żeby zacząć. Zdołał tylko wydusić podobnym do tonu Mariel, drewnianym głosem:

- Co jej się stało?

- Zniknęła - padła zwiędła odpowiedź.

- Zniknęła? - Niezliczone pytania kłębiły mu się w głowie. Zawahał się, ale po chwili zadał najbardziej spośród nich oczywiste: - Jak się o tym dowiedziałeś?

Mariel nabrała w płuca duży haust powietrza.

- To długa historia. Może poczekać do rana...

- Nie.

- Noah, jest już późno. - Wyminęła go nie dotykając, weszła do łazienki i zabrała swoją zgubę, która leżała na umywalce.

Noah podczas mycia zwrócił uwagę na szcnotkę do włosów, ale nie przypuszczał, że to własność Mariel. Gdyby wiedział... Nie. Nie był usychającym z miłości szczeniakiem, zdolnym zwędzić coś z jej rzeczy i przechowywać jak skarb. Był dojrzałym mężczyzną, który czuł do tej kobiety jedynie głęboką urazę i lepiej, żeby o tym pamiętał.

- Obydwoje powinniśmy się trochę przespać, bo to skomplikowana sprawa i nie mam pojęcia, jak mamy się do niej zabrać - ciągnęła Mariel, znowu się koło niego przeciskając w wąskich drzwiach. Tym razem biodrem lekko otarła się o jego udo. Noaha ogarnęła wściekłość, kiedy poczuł, jak pod wpływem tego przelotnego kontaktu z jej ciałem rozbudzona męskość zaczyna wypychać mu dzinsy.

- Mariel, nie po to jechałem cztery godziny po nocy, żeby się wysypiać. Przypominam ci, że to ty do mnie telefonowałaś.

Westchnęła, omiatając spojrzeniem korytarz. Nagle tknięta jakąś myślą spuściła wzrok na swój kusy strój i spróbowała się osłonić skrzyżowanymi na piersi ramionami. Pomimo irytacji Noah poczuł kolejny przyływ pożądania.

- Czy możemy chociaż odbyć tę rozmowę w jakimś bardziej prywatnym miejscu? - zapytała, najwyraźniej godząc się z faktem, że przynajmniej chwilowo nie zdoła się od Noaha uwolnić.

Skinął głową.

- Chodźmy do mojego pokoju.

- Nie, do mojego.

Touché, pomyślał. Mariel już energicznie przemierzała korytarz, więc pospieszył za nią, nadal trzymając w ręku rzeczy, które zabrał ze sobą do łazienki.

Otworzyła drzwi. Wszedł za nią i obrzucił obojętnym spojrzeniem niebiesko-białe tapety, stylowe meble i otwartą walizkę na stojaku na bagaż. Nie wypakowała ubrań, uświadomił sobie. Albo przyjechała dopiero dzisiaj, albo nie zamierza zostawać na dłużej.

- A teraz mów - odezwał się surowym tonem, zamknąwszy za nimi drzwi.

Mariel sięgnęła po zawieszony na jednej z gałek w nogach staroświeckiego łóżka mechaty szlafrok. Otuliła się nim, energicznie ściągnęła w talii paskiem i dopiero wtedy odwróciła się do Noaha.

- Możesz usiąść - powiedziała, wskazując mu głęboki klubowy fotel po drugiej stronie łóżka.

- Postoję.

Wzruszyła ramionami i zajęła miejsce na brzegu materaca, w trzech czwartych odwrócona plecami do swego gościa, tak że nie mógł dostrzec jej twarzy, kiedy zaczęła opowiadać.

- Kilka tygodni temu dostałam od niej e-mail.

- Od kogo? - zapytał, chociaż wiedział, o kim mowa. E-mail od ich córki. Ich córka była w kontakcie z Mariel. Zazdrość zapłonęła w nim; walczył, żeby ją zdusić.

- Nazywa się teraz Amber Steadman - ciągnęła Mariel, szczotkując jednocześnie włosy.

Amber Steadman, pomyślał. Brzmiało to obco. Imię i nazwisko nieznanego. Nie potrafił go powiązać z ciemnowłosym noworodkiem, którego tak krótko trzymał w ramionach tamtego dawno minionego lipcowego dnia.

- Noah, ona napisała do mnie, pytając, czy jestem jej matką.

- Więc dopiero teraz po raz pierwszy dostałaś od niej wiadomość? - Noah okrążył łóżko i stanął naprzeciw Mariel. Chciał ją zobaczyć. Przestała szczotkować włosy i siedziała ze spuszczoną głową, pocierając ręką czoło, jakby jej było ciężko o tym mówić.

- Tak - potwierdziła. - Nie widziałam jej ani o niej nie słyszałam od tamtego pierwszego dnia - tamtego ostatniego dnia - w szpitalu. Kiedy tamci ją zabrali.

Noah wiedział, że Mariel z trudem wydobywa głos ze ściśniętego gardła, ale zduł w sobie pragnienie, by powiedzieć coś pocieszającego. To ona zadecydowała, żeby oddać dziecko. Teraz musiała więc żyć ze świadomością skutków swojej decyzji. Gdyby wtedy cokolwiek od niego zależało.

Ale nie zależało. I przerabiał ten temat już o wiele za często w ciągu ostatnich minut, nie mówiąc już o ostatnich piętnastu latach.

- Więc skontaktowała się z tobą poprzez e-mail, żeby się dowiedzieć, czy jesteś jej matką - podsumował. - A ty jej odpisałaś?

- Nie. Nie mogłam. Nie wtedy. Chciałam poczekać, żeby zobaczyć się z nią osobiście. Właśnie dlatego tu przyleciałam...

- Skąd? - Noah uświadomił sobie, że nic nie wie o życiu Mariel. Co się z nią przez te lata działo? Nie potrafił nawet odgadnąć.

- Z Missouri - odparła. Jeszcze jedna niespodzianka podczas tej nocy niespodzianek.

- Nadal mieszkasz w Missouri?

Śmiech Mariel zabrzmiał gorzko.

- Nadal w Rockton, skąd startowałam.

- Od kiedy?

- Odkąd stąd wyjechałam - ucieła krótko. - W każdym razie wczoraj przyleciałam tutaj. Miałam pojechać się z nią zobaczyć... albo najpierw zatelefonować. Już sama nie wiem, co planowałam. Wiedziałam tylko, że nie mogłam jej tego powiedzieć na odległość. I kiedy znalazłam się w Strasburgu, odkryłam przez przypadek - dzięki artykułowi w gazecie - że nikt jej nie widział już od ponad tygodnia.

Do ich rozmowy zaczął przesączać się lęk.

- Została porwana?

Mariel wzruszyła ramionami i po raz pierwszy podniosła na Noaha oczy. Poczł się zaskoczony malującym się w nich wyrazem pustki.

- Policja sądzi, że mogła uciec z domu. Jej rodzice szaleją z niepokoju, przynajmniej według prasy. Jej rodzice. Tak. Ci obcy ludzie, którzy ją wychowywał i, są jej rodzicami.

Nie on i Mariel.

Ale to ich więź sprzed lat dała początek jej życiu; ich krew płynie w jej żyłach. Nie miał pojęcia, co się działo z zaginioną dziewczynką po jej pierwszych, tak dla niego cennych, godzinach na tym świecie; a jednak jej pomysłowość stała się nagle częścią jego własnej i wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie będzie pewien, że Amber jest żywa i bezpieczna.

- Jeżeli uciekła - powiedział powoli, rozważając słowa Mariel - to znaczy, że coś było nie tak. Może coś w domu. Mariel potakująco skinęła głową.

- Zastanawiam się, czy nie chodzi o złe traktowanie albo...

Z trudem przełknął ślinę. Na zniekanej twarzy Mariel wyraźnie malowało się poczucie winy i Noah nagle poczuł, że nie chce go powiększać. Pragnął ulżyć jej w cierpieniu, co było szaleństwem, zważywszy, że Mariel sama to wszystko spowodowała i to właśnie ona go skrzywdziła.

- Mówiłaś o tym komuś? - zapytał, starając się skupić na jednej sprawie naraz. Najważniejsze najpierw. To, co czuł w związku z tą kobietą, nie miało teraz znaczenia - albo tak sobie wmawiał, walcząc z pragnieniem, by przysunąć się do niej bliżej. Stał nieporuszenie kilka kroków od łóżka, zwrócony twarzą ku Mariel, wpatrzony w

nią.

- Tylko tobie - powiedziała, przeciągając po wilgotnych włosach szczotką, która uwięzia w płataninie wijących się kosmyków. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. Bałam się, że jeśli pójde do jej rodziców albo na policję, oni w jakiś sposób wykombinują, że miałam z tym coś wspólnego.

Noah chciał powiedzieć, że Mariel znowu robi to samo - stawia siebie na pierwszym miejscu. Ale ugryzł się w język.

Tymczasem ona bez ogródek zapytała, czy nie dostał żadnej wiadomości od Amber.

- Nie sądzisz, że powiedziałbym ci już do tej pory, gdyby tak było? - przerwał jej ostro. - Myślisz, że siedziałbym tutaj, zachowując to dla siebie?

- Przestań, Noah - w głosie Mariel brzmiało rozgoryczenie.

- Niby z czym mam przestać?

- Przestań mówić do mnie w taki sposób. Jeżeli jesteś aż tak wściekły, że nie potrafisz zachowywać się rozsądnie, powinieneś po prostu wyjechać.

- Nigdzie nie wyjadę, Mariel. Mam takie samo prawo jak i ty być tutaj. Ona jest również moją córką.

Ona jest moją córką.

Nigdy dotąd nie wypowiedział tych słów głośno. Słyszając je, dostrzegł cały surrealizm tej sytuacji. Oto oni, ojciec i matka kłócący się o dziecko, jak to robiły i robią miliony rodziców od początku świata. Gdyby się trochę postarał, mógłby na moment zapomnieć, że oddali noworodka i rozeszli się każde w swoją stronę.

Wcale nie stanowili rodziny, on, Mariel i Amber Steadman. Byli trojgiem obcych sobie ludzi wiodących zupełnie oddzielnie życie, pomijając to krótkie interludium, które przecież niczego nie zmieniało.

- Noah - odezwała się Mariel, a on dopiero wtedy zdał sobie sprawę z nieprzyjemnej ciszy, która zawisła między nimi, kiedy jego myśli podążyły innym torem. - Zadzwoiłam do ciebie, bo chciałam się dowiedzieć, czy Amber próbowała się z tobą skontaktować. Sądziłam, że to możliwe. Twoje nazwisko również figuruje w dokumentach adopcyjnych.

- Cóż... nie próbowała - powiedział, czując, jak przepelniają go rozczarowanie, żal i, tak, zazdrość. Zazdrościł Mariel, która dostała szansę, jaka jemu nie była dana. Gdyby córka skontaktowała się z nim, nie przepuściłby okazji, żeby ją poznać. Pomóc jej. A może też i zapełnić ziejącą wyrwę w swoim własnym życiu.

Wziąwszy głęboki oddech, oświadczył:

- Mam zamiar zatelefonować na policję i sprawdzić, co o tej sprawie wiedzą władze. Bo jeżeli ci ludzie, którzy ją wychowują, zrobili jej jakąś krzywdę...

- Noah, nie możesz tak po prostu zadzwonić na policję - przerwała mu Mariel. - Pomyślą, że jesteś w to zamieszany.

- Bardzo szybko stwierdzą, że nie mam z tym nic wspólnego. Że jestem osobą z zewnątrz.

- Właśnie.

Jej głos nagle złagodniał. Noah poczuł się zaskoczony tą zmianą i tym, że teraz Mariel patrzyła mu prosto w oczy.

- Obydwoje jesteśmy osobami z zewnątrz, Noah. Obcymi dla niej - powiedziała. - Ze wszystkich ludzi na świecie tylko ty wiesz, co czuję. Rozumiesz, jak to możliwe, żeby niepokoić się tak bardzo o kogoś, czyje życie tylko odrobinę zetknęło się z twoim.

- Odrobinę? Jej życie przewróciło nasze do góry nogami. - Noah aż zadrżał ze wzruszenia. - Gdyby to się nie zdarzyło, to... to kto wie.

Nie mógł oderwać wzroku od posępnych zielonych oczu Mariel. Wpatrzony w nią, zrobił krok do przodu, nie dopuszczając do głosu rozsądku, cenzury myśli.

- Przysięgam, że w ciągu tych piętnastu lat nie było dnia, żebym się nie zastanawiał, co się dzieje z tobą i z nią - ciągnął, nie panując już nad sobą.

- Ja tak samo - wyznała prawie szeptem. - Chciałam, żeby była zdrowa i szczęśliwa. I żebyś ty... Chciałam, żebyś ty był...

- Czego chciałaś? - zapytał, kiedy przerwała w pół zdania.

Milczała.

Z trudem przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło. To Mariel. Znał ją tak intymnie, a zarazem tak przelotnie, tak dawno temu. A teraz była tutaj, tuż przy nim, zupełnie jakby czas się zatrzymał, a on nadal jej pragnął i mógłby przysiąc, że ona czuła to samo.

- Gdzie byłeś przez te wszystkie lata? - spytała w końcu, nie opuszczając oczu. - Jesteś żonaty? Masz dzieci?

- Nie mam dzieci - zawahał się. - Tylko ją. Jeśli ją liczysz.

- Tak - potwierdziła cicho. - A co z żoną?

- Nie mam żony. - Dłonie Noaha zacisnęły się w pięści. - Miałem, ale to już nieaktualne.

Z wyrazu twarzy Mariel niczego nie można było odczytać, kiedy zadawała kolejne pytanie:

- Co się stało?

Przedłożyła własną osobę ponad stworzenie rodziny ze mną. Dokładnie jak kiedyś ty, Mariel.

- Różnice nie do pogodzenia - powiedział na głos. - Chcieliśmy od życia zupełnie czego innego.

- Jak długo byłeś żonaty?

- Siedem lat. Sprawa rozwodowa ma się zakończyć w tym miesiącu i co z tobą?

- Ze mną? Ja nie jestem rozwiedziona.

Serce zaciążyło mu w piersi.

- Aha - starał się, jak mógł, żeby zabrzmiało to obojętnie.

- Nigdy nie wyszłam za męża.

Serce podskoczyło radośnie.

- Aha - powtórzył chłodnym tonem. Za nic nie chciał dopuścić, żeby Mariel wiedziała, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa. Do diabła, wcale tego nie chciał. Stan cywilny Mariel nie był jego sprawą. Nie zależałyby mu na niej ani odrobinę mniej, nawet gdyby miała męża i pięcioro dzieci w tym Rockville, czy skąd tam, do diabła, przyjechała.

No i dobrze.

- Czym się zajmujesz? - zapytała, a jemu zajęło dobrą chwilę, zanim zrozumiał, o czym mówi.

- Pracuję w dziale projektów pewnej agencji reklamy.

- Naprawdę? - Wydawało się, że Mariel jest pod wrażeniem. Pewnie. Zawsze była z niej dobra aktorka, pomyślał kwaśno. Dobrze wiedział, że w jego pracy nie ma nic imponującego. - Lubisz to? - dopytywała się dalej.

- Ani trochę - odparł szczerze. - Inaczej widziałem swoją przyszłość.

- To dlaczego się tym zajmujesz?

Bo żona mnie tak urobiła.

- Bo muszę zarabiać na utrzymanie w Nowym Jorku, a autorzy scenariuszy, którzy niczego nie sprzedają, nie mogą pozwolić sobie na astronomiczny czynsz.

- Jesteś autorem scenariuszy?

- Tylko w marzeniach - roześmiał się z goryczą. - Mam ich na składzie z tuzin, dociągniętych do połowy i wciąż się pocieszam, że pewnego dnia siądę, dokończę któryś i sprzedam.

- A dlaczego tego nie robisz?

- Myślę, że jestem całkiem wypalony - stwierdził, czując się niezręcznie z powodu własnej szczerości, a mimo to nie mogąc się powstrzymać. - Moja praca to wyścig szczurów. Spędzam całe dni na zaspokajaniu zachcianek wymagających klientów i przerabianiu setki razy jednego i tego samego. Trudno po czymś takim jeszcze mieć natchnienie. Ale nie wiem, może teraz, kiedy...

- Kiedy co? - zapytała Mariel, gdy zamilkł.

O mały włos nie wyrwało mu się: „kiedy Kelly odeszła”, a przecież nie chciał o tym mówić. Nie teraz. Nie z Mariel. Zamiast tego odpowiedział szczerze:

- Teraz, kiedy już się nieco postarzałem, może spróbuję czego innego. Może porzucę ten wyścig szczurów i wyniosę się gdzieś, gdzie życie nie płynie tak gorączkowo i koszty utrzymania są niższe. I wtedy... zacznę pisać.

Skinęła głową z odległym wyrazem oczu.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Przed chwilą opisałeś Rockton. Życie nie płynie tam ani trochę gorączkowo i koszty utrzymania są zdecydowanie przystępne. Ale wyścig szczurów ma dla mnie zdecydowanie więcej uroku. Widzisz, zawsze wyobrażałam sobie, że będę mieszkać w Nowym Jorku. Miałam zamiar zostać wielką gwiazdą. A teraz tylko na mnie popatrz.

Właśnie niczego innego nie robił. Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Czym się zajmujesz w Rockton, Mariel?

- Uczę pierwsze klasy. Tylko się nie przewróć - dodała, chwytając jego zdumione spojrzenie. - Wiem, wiem. Nie o takiej karierze marzyłam.

- Lubisz swoją pracę?

- Kocham - odparła z uśmiechem. - Dzieciaki są słodkie, a poza tym lubię myśleć, że robię coś ważnego, co zmienia wiele w ich życiu. Zdumiewa mnie, że mam takie możliwości, że pomagam pokierować tymi maleńkimi ludźmi na początku ścieżki, którą będą kroczyć. Nigdy nie sądziłam, że jest we mnie skłonność do robienia czegoś tak...

- Szlachetnego - podpowiedział, kiedy Mariel zawahała się, szukając właściwego słowa.

- Szlachetnego? Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. - Skierowała spojrzenie na Noaha. - I nie przypuszczałam, że usłyszę taką opinię od ciebie. Na pewno nie tuż po tym, kiedy mówiłeś mi, jak bardzo mnie nienawidzisz.

- Nigdy nie powiedziałem, że cię nienawidzę - zaprotestował, a w głowie wirował mu kołowrót, którego nie potrafił zatrzymać ani nawet przyhamować, żeby oprzytomnieć.

- Nie musiałeś mówić. To oczywiste.

- Oczywiście, że cię nienawidzę? - powtórzył. Serce waliło mu jak oszalałe. - Teraz? Czujesz, że cię nienawidzę?

Mariel przez chwilę bacznie się w niego wpatrywała. A wtedy on, owładnięty impulsem, nad którym nie potrafił

zapanować, pochylił się i zaczął ją całować.

Kiedy wargi Noaha dotknęły jej ust, Mariel przywarła do nich chciwie. Nie potrafiła już jasno myśleć. Chciała właśnie tego. Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Czuła smak miętovej pasty do zębów i zapach mydła, i gdy Noah przesunął palcami po jej policzkach, zadrzała, przypominając sobie, że tak, właśnie tak to było. W taki sposób zawsze zaczynał ją całować - gładził jej twarz, ujmował w obie dłonie i powoli zbliżał usta do warg Mariel.

Jak dobrze, niewypowiedzianie dobrze było znów to przeżywać. Otworzyła usta, przyjmując jego ciepły, delikatnie zagłębiający się w nie język. I kiedy Noah przywarł do niej, zarzuciła mu ręce na ramiona i opadła na łóżko, pociągając go na siebie. Żołądek podchodził do gardła, kręciło jej się w głowie, nie mogła zebrać myśli; mogła tylko czuć. I pożądać.

Pragnęła go rozpaczliwie, pragnęła przez całe lata, i teraz był z nią tutaj. Znowu spotkali się w tym hoteliku, w tym mieście...

I nagle przypomniała sobie, z jakiego powodu. Zastygła, a po chwili odwróciła głowę, przerywając pocałunek.

- Co się stało? - wyszeptał, ale kiedy otworzyła oczy, dostrzegła, że on też oprzytomniał.

Usiedli. Przez chwilę w pokoju słychać było tylko ich oddechy. Mariel czekała, aż puls zwolni tempo i ustąpi bolesne pożądanie, ale na próżno. Każda drobina jej energii ogniskowała się na wypełniającym całe ciało pragnieniu, by znowu rzucić się Noahowi w ramiona, błagać, żeby dokończył to, co zaczął - i do diabła z konsekwencjami.

- Co my, u licha, wyprawiamy? - jęknął Noah, podnosząc się z łóżka.

Przyglądała mu się, kiedy tak stał bez koszuli, ogarniała spojrzeniem mocne bicepsy i ramiona, szeroką nieowłosioną klatkę piersiową! naprężone mięśnie torsu. Noah miał na sobie wyblakłe, opięte na biodrach dzinsy, które nie mogły przed Mariel ukryć faktu, że dręczyła go taka sama jak i ją namiętność.

Mariel skoncentrowała więc uwagę na twarzy Noaha, śniadej przystojnej twarzy, która pojawiała się w jej snach w ciągu tych wszystkich lat. Pod wieloma względami nic się nie zmieniło - te same gęste ciemne rzęsy okalające ciemne oczy, ta sama mocna szczęka, pełne wargi i rowek w podbródku. Mimo to nie było już śladu po miłym, pełnym zapału chłopcu, którego kiedyś знаła. Teraz miała przed sobą szorstkiego mężczyznę, zdecydowanego nie dać się nikomu wystrychnąć na dudka.

- Nie możemy tak się zachowywać - powiedziała, próbując przekonać bardziej siebie niż jego, a on wcale nie starał się jej tego wyperswadować.

Potrząsnęła głową z wyraźnym niesmakiem. Uświadomiła sobie, że w tej chwili Noah brzydzi się nimi obydwójkiem, a może nawet odczuwa za nią to, co ona powinna przeżywać. Nienawiść, oburzenie, gniew, które przelotnie dostrzegła, zniknęły jednak, kiedy się odezwał:

- Przepraszam, Mariel. Sam nie wiem, co sobie myślałem. W ogóle nie myślałem, w tym problem. Ale to się już nie powtórzy.

- Nie - potwierdziła, zastanawiając się, czy nie dosłyszał nuty rozczarowania w jej głosie. - To się zdecydowanie nie powtórzy.

- Więc co zamierzamy zrobić? - zapytał, przemierzając szybkimi krokami przestrzeń aż do okna, z rękami wepchniętymi w kieszenie dzinsów. Mariel była ciekawa, czy chciał w ten sposób rozładować napięcie, czy ukryć stan podniecenia, które w nim wzbudziła. Poczowała szarpnięcie żalu. Co za koszmar. A przecież sama to sobie zafundowała. To ona ściągnęła Noaha do Strasburga, a teraz musi ponosić konsekwencje.

- Będziemy trzymać się z daleka od siebie - powiedziała stanowczo.

Odwrócił się, a w jego ciemnych oczach błysnęło rozbawienie.

- Nie o tym myślałem. To się rozumie samo przez się.

- Och. - Mariel poczuła, jak gorący rumieniec zalewa jej policzki.

- Miałem na myśli, co zrobimy w sprawie Amber Steadman? Teraz, kiedy jesteśmy tu oboje... jaki jest nasz następny krok?

Dotąd Mariel nie planowała dalej, niż żeby sprawdzić, czy Noah nie dostał wiadomości od ich córki. A z pewnością nie wyobrażała sobie ich obydwójka w Strasburgu, wspólnie zajmujących się tą sprawą.

Świadomość, że nie jest już sama, sprawiła jej taką ulgę, że Mariel zdołała pokonać uczucie zamętu i skrępowania tym, co właśnie między nimi zaszło, i skoncentrować się wreszcie na najpilniejszej kwestii.

- Noah, musimy się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Zgoda. Ale jeśli policja bada tę sprawę, powinniśmy...

- Nie. Nie możemy iść na policję - ucięła stanowczo.

- Uważam, że nie masz racji. Właśnie musimy iść na policję. Trzeba ich zawiadomić, że ona się z tobą kontaktowała. Próbowała odnaleźć swoją biologiczną matkę, a potem zniknęła. To nie może być prosty zbieg okoliczności.

- Też tak myślę - zgodziła się Mariel. - Ale zamiast zgłaszać się na policję, powinniśmy chyba zacząć od tamtych rodziców.

- Tylko ściągniemy na siebie kłopoty. Ci ludzie potraktują nas podejrzliwie. A poza wszystkim, jeżeli obchodzili

się z nią źle albo zrobili coś, co spowodowało jej ucieczkę...

- Wtedy pewnie to wyczujemy, Noah. Wysoce prawdopodobne, że zdołamy stwierdzić, czy coś się tam działo niedobrego.

- Niekoniecznie. Nie jesteśmy detektywami, Mariel. Jesteśmy tylko...

- Obcymi ludźmi. Wiem. Obcymi, którzy... - Głos jej się załamał i poczuła wzbierające pod powiekami łzy.

- Obcymi, którzy się niepokoją - dokończył łagodnie Noah. Zawrócił spod okna i stanął nad nią. Wyglądało, jakby się zawahał, zanim wyciągnął rękę i pogłaskał Mariel po ramieniu. - Posłuchaj, czuję to samo co ty. Jedziemy na tym samym wózku, więc pomóżmy sobie nawzajem, dobrze?

Skinęła głową, pragnąc przysunąć się do niego w poszukiwaniu oparcia, wiedziała jednak, że nawet przelotny fizyczny kontakt jest dla nich niebezpieczny.

- Dobrze, rano wybierzemy się do jej rodziców - ustąpił. - Wyglądasz na równie wykończoną jak ja. Prześpijmy się teraz choć trochę.

- Okay.

Sen był ostatnią rzeczą, na którą potrafiła się zdobyć, kiedy Noah zostawił ją samą i wreszcie się położyła. W ciągu Bóg wie ilu nocy podczas ubiegłych tygodni jej umysł całkowicie absorbowwała córka.

Teraz, przewracając się z boku na bok w gorącej wilgoci hotelowego pokoju, Mariel mogła myśleć wyłącznie o Noahu. Znowu go zobaczyła, znowu całowała i obudziły się w niej uczucia, przed którymi przez tyle lat starała się uciec. A teraz on tu przyjechał i nie było już możliwości ucieczki.

Nie może opuścić Strasburga, dopóki się nie dowie, co się stało z Amber. Musi więc być wystarczająco silna, żeby oprzeć się temu, co czuje do Noaha, i należy tylko mieć nadzieję, że i on zachowa się podobnie.

Rozdział 5

W sobotę, zgodnie z umową, spotkała się z Noahem o dziewiątej rano. Planowała, że przyjdzie pierwsza, żeby usiąść wygodnie i uspokoić się, zanim znowu go zobaczy. Jednak budzik, który ustawiła na stoliczku przy łóżku, odmówił posłuszeństwa, więc musiała nieźle się spieszyć, żeby w ogóle zdążyć na czas. Było już dziesięć po dziewiątej, kiedy w końcu zjawiła się w dużej, eleganckiej jadalni i w odległym kącie wypatrzyła Noaha przy okrągłym stoliku dla dwóch osób.

Restaurację zapełniali tłumnie nie tylko goście hotelowi, ale i, jak się zdawało, miejscowi mieszkańcy, którzy pewnie wpadli tu w drodze z porannej mszy. Idąc przez salę, Mariel poczuła się zażenowana swoim niedbałym strojem. Tego ranka miała na sobie szorty khaki, sandały i jasnozieloną koszulkę bez rękawów, a włosy związała wysoko w koński ogon, żeby w tym upale mieć je jak najdalej od szyi.

Mimo spóźnienia zdążyła poświęcić kilka chwil na lekki makijaż: rzęsy, smuga brązowego cienia na powieki, żeby oczy wydawały się większe, jasnoróżowy błyszczak na wargi. Wmawiała sobie, że to nie z powodu Noaha, ale teraz, kiedy ujrzała go i poczuła pełną oczekiwania reakcję własnego ciała, przyznała sama przed sobą, że to nieprawda. Chciała być dla niego pociągająca - a jednocześnie nie chciała, żeby cokolwiek z tego wynikło.

Oj, Mar, masz kłopoty z logiką, pomyślała kwaśno, zbliżając się do stolika.

Noah czytał gazetę, a przed nim parowała filiżanka kawy. Mariel z ulgą stwierdziła, że również ubrał się swobodnie. Podobnie jak ona włożył szorty khaki, a do tego granatową koszulkę polo z krótkimi rękawami i adidasy na gołe stopy. Był tak pochłonięty lekturą, że zauważył Mariel dopiero, gdy chrząknęła i odezwała się:

- Cześć, Noah.

Drgnął i odpowiadając na pozdrowienie, poderwał się, żeby odsunąć dla niej krzesło.

Przypomniała sobie, jakie wrażenie robiły na niej dawniej jego dobre maniery. Był pierwszym chłopakiem, który traktował ją jak damę, przytrzymał drzwi, podawał krzesło, pomagał włożyć płaszcz, proponował, że poniesie jej plecak. Kiedy oczekiwała dziecka, stał się nawet jeszcze bardziej szarmancki, ale wtedy jego rycerskość raczej ją irytowała, niż pochlebiała.

Teraz opadłszy na krzesło, które dla niej odsunął, Mariel starała się wzbudzić w sobie dawne zniecierpliwienie, ale nie potrafiła.

Uśmiechnęła się do Noaha, gdy wrócił na swoje miejsce, i powiedziała:

- Dzięki. Zawsze byłeś dżentelmenem.

- Matka dobrze mnie wychowała.

Mariel spochmurniała. Wzmianka o matce przypomniała jej, jak przed laty, namawiając ją do małżeństwa, Noah powtarzał, że nie chce, aby jego dziecko dorastało bez ojca, tak jak jemu się to przydarzyło.

- Dobrze spałaś? - zapytał, składając gazetę. Zauważyła, że to jeden z tytułów lokalnych i była ciekawa, czy szukał informacji o Amber.

- Tak sobie - odparła, ale nie chcąc, by domyślił się, że to właśnie on był tego przyczyną, dodała szybko: - Jest tak cholernie gorąco. - Wysunęła dolną wargę i wymownie dmuchnęła, rozwiewając grzywkę.

- To prawda, jest gorąco - zgodził się Noah. - Spędziłem tu tylko jedno lato, to przed ostatnim rokiem studiów, i nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek tak prażyło słońce albo żeby temperatura przekroczyła trzydzieści stopni. Wiesz, jak się tu mówi. W tym rejonie stanu Nowy Jork bywają tylko dwie pory roku: zima i Dzień

Niepodległości.

Zamarła. On także, kiedy zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział. Urodziny Amber.

- Przepraszam - wymamrotał, wbijając wzrok w gazetę, którą zmiął w palcach.

- Nic się nie stało - uspokoiła go, ale ręce jej się trzęsły, kiedy rozkładała na kolanach płócienną serwetkę.

Wreszcie podniosła oczy na Noaha, a on podał jej jedną z kart opartych o umieszczoną na środku białego obrusa wazę ze świeżymi kwiatami.

- Kelnerka już raz podchodziła - powiedział. - Twierdzi, że francuskie grzanki są fantastyczne.

- Zamówiłeś?

Potrząsnął głową.

- Czekałem na ciebie. Jestem dżentelmenem, już zapomniałaś?

Lody znowu zostały przełamane. Mariel uśmiechnęła się.

Przez kilka minut, zanim kelnerka wróciła do ich stolika, gawędzili o jedzeniu. Beztroska rozmowa przynosiła ulgę i Mariel złapała się na tym, że z prawdziwym zainteresowaniem wylapuje szczegóły dotyczące osoby Noaha. Że musiał wyrzec się mięsa i żółtego sera, bo ma wysoki poziom cholesterolu, że na śniadanie najbardziej lubi bajgle z serkiem śmietankowym, a na to plasterek wędzonego łososia i cebulkę.

Przestudowali listę kuszących specjałów w menu. Noah uznał, że chciałby spróbować naleśników z malinami, a Mariel oświadczyła, że poważnie myśli o pasztecikach ze szpinakiem. Potem pojawiła się kelnerka i obydwójce zgodnie zamówili francuskie grzanki. Ledwie odeszła, wybuchnęli śmiechem.

- Myślałem, że weźmiesz paszteciki - powiedział Noah.

- Myślałam, że weźmiesz naleśniki z malinami.

- Jutro. Dzisiaj mam nastrój na francuskie grzanki.

- Jutro? - powtórzyła, a jej ręka zastygła na torebeczce z cukrem. - Więc zamierzasz zostać?

- Sam nie wiem. - Oczy Noaha przygasły. - Powiniennem pojawić się w pracy, ale dopóki nie dowiem się, co tu się dzieje... Po prostu nie wyobrażam sobie, jak mógłbym wyjechać.

- To co zrobisz? Zadzwońisz, że jesteś chory?

Wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym wyjeżdżać, ale chyba nie powinienem się posuwać do kłamstwa, co? Jak myślisz? Mam jutro jechać?

Nie potrafiła odgadnąć, czy się z nią droczy, czy mówi serio. W jego tonie brzmiało rozgoryczenie nie pasujące do charakteru Noaha, ale w końcu, zreflektowała się Mariel, ile naprawdę o nim wie? Nie był już tą samą osobą co kiedyś. Właściwie to obcy człowiek, mimo że od czasu do czasu przez mgnienie oka dostrzegała w nim coś dobrze znanego.

- Mówisz poważnie? - zapytała.

- Niestety. - Wsypał jeszcze jedną porcję cukru do kawy, którą kelnerka właśnie dla niego podgrzała, i zaczął mieszać z ponurą miną.

- Coś mi się zdaje, że naprawdę nie lubisz swojej pracy.

- W najmniejszym stopniu.

- Więc jak to się stało, że trafiłeś do tej agencji?

Spojrzał jej w oczy.

- To był pomysł mojej żony.

Mojej żony. Mariel poczuła lekkie ukłucie bólu. Owszem, Noah był rozwiedziony, czy też prawie rozwiedziony, ale kochał kiedyś inną kobietę.

Inna poszła z nim do ślubu, dzieliła jego łóżko i życie, podczas gdy Mariel upływały samotnie kolejne lata w Rockton.

- Chciała, żebyś pracował w reklamie? - zapytała, mając nadzieję, że Noah nie wyczuł, o czym myślała.

- Chciała, żebym pasował do jej świata - odparł, a Mariel poczuła się zaskoczona otwartością i szczerością, z jaką to powiedział. Ostatniej nocy odniosła wrażenie, że temat swego małżeństwa starał się traktować wymijająco. - Kelly jest adwokatem - ciągnął. - Pochodzi z uprzywilejowanej sfery, więc przywykła do określonego standardu życia. Borykający się z problemami finansowymi pisarz nie przystawał do jej wyobrażenia o dobrym kandydacie na męża. Do mojego zresztą też nie. Poznaliśmy się, kiedy robiłem dyplom z literatury angielskiej na Uniwersytecie Nowojorskim. Wtedy wywarło to na niej wrażenie, ale gdy się tylko obroniłem, natychmiast, dzięki swoim znajomościom, zorganizowała mi szereg spotkań w sprawie posady. Większość dotyczyła kreatywnej działalności w agencjach reklamy. Kelly twierdziła, że *public relations* i praca wydawnicza nie opłacają się dostatecznie.

- A ty wolałbyś *public relations* albo pracę wydawniczą?

- Mógłbym nawet być barmanem albo dorywczo trudnić się korektą, dopóki bym miał czas na swoje scenariusze - powiedział, wzruszając ramionami, i pociągnął łyk kawy.

- Więc zacząłeś pracować w agencji reklamowej, żeby zrobić przyjemność żonie, i czułeś się tam nieszczęśliwy. - Mariel potrząsnęła głową. - A teraz, kiedy żona już zniknęła z twego życia, nie mógłbyś robić czegoś innego?

- Byłem już bliski tej decyzji - zaczął i ostrożnie odstawił filiżankę na spodeczek.

- Kiedy... co?

- Hmm? - Noah spojrzął nie rozumiejąc.

- Byłeś bliski decyzji o robieniu czegoś innego, kiedy co się stało?

- Kiedy dostałem twój e-mail. - Wzruszył ramionami. - Wczoraj wieczorem siedziałem u siebie w domu - Boże, a wydaje mi się, jakby to było całe miesiące temu - właśnie zamierzałem wejść do Internetu i zacząć rozglądać się za jakąś okazją.

- Jakiego rodzaju u okazją?

- Sam nie wiem. Za tanimi miejscami, gdzie by można zamieszkać, interesującymi posadami... za czymś innym. Czymś, co pozwoliłoby mi się wyrwać z mojego życia. Właśnie wtedy dostałem twoją wiadomość, zostawiłem w diabły Nowy Jork i przyjechałem.

- Ale przecież przyjechałeś z powodu Amber... prawda? - zapytała, nagle zaniepokojona, w jakim stopniu szczerzy był jego niepokój o córkę.

- Oczywiście, że z powodu Amber. - Wyraz zniecierpliwienia i troski na twarzy Noaha natychmiast rozwiął jej wątpliwości. - Kiedy tylko skończymy jeść, ruszamy pogadać ze Steadmanami.

Zgodnie przytaknęła.

- Myślisz, że powinniśmy najpierw do nich zadzwonić?

Noah potrząsnął głową:

- Po co dawać im czas na przygotowanie? Zobaczmy, jacy są naprawdę.

- Chyba nie będzie łatwo wydobyć od nich jakąś wskazówkę w sprawie Amber. Oni są jej rodzicami. Kiedy się dowiedzą, kim my jesteśmy, nie zechcą z nami rozmawiać. Pewnie odchodzi od zmysłów, próbując ją odnaleźć. I według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mają nic wspólnego z tym, co się jej przydarzyło.

- Sama mówiłaś, że policja podejrzewa ucieczkę.

- Ale to nie znaczy...

- Mariel, dzieciaki nie uciekają ze szczęśliwych domów - przerwał jej w pół słowa.

Wzruszyła ramionami. Myślała o własnej przeszłości. O rodzicach, którzy kochali ją do szaleństwa i starali się dać jej wszystko, i o tym, jak przez całe dzieciństwo z utęsknieniem oczekiwała chwili, kiedy będzie mogła uciec. Ale przecież tak naprawdę nie uciekła. Mając osiemnaście lat po prostu wyjechała do college'u.

A Amber pewnego dnia zniknęła w drodze do szkoły.

Przyprawiające o dreszcz znaczenie słów Noaha w pełni dotarło do Mariel, kiedy napotkała jego pełne napięcia spojrzenie.

- Masz rację - powiedziała. - Coś musiało być nie tak. Inaczej by nie uciekła. A jeśli została uprowadzona?

Na twarzy Noaha malowała się zawziętość.

- Po kolei, Mariel. Nie wszystko naraz, dobrze?

Skinęła głową, jeszcze raz czując przypływ wdzięczności za jego obecność.

- Dobrze - powiedziała właśnie w chwili, kiedy kelnerka pojawiła się z syropem klonowym i masłem.

Droga do Valley Falls zabrała im więcej czasu, niż Noah przewidywał. W okresie studiów nieraz przemierzał ją z kolegami. Przyjeżdżali tu pograć w kule albo do klubu zwanego Black Door, gdzie w weekendy była muzyka na żywo i obowiązkowo co najmniej po dwa drinki na głowę. Teraz klub zastąpiła restauracja Cracker Barrel, a w kilku miejscach budowano dwupasmową magistralę, głównie dla usprawnienia dojazdu do supermarketów i nowych osiedli.

- W ogóle sobie tego nie przypominam - skomentował Noah, kiedy mijali rozległe centrum handlowe z dużym pawilonem Home Depot i jeszcze większym Wal-Mart. - Cały ten rejon został przebudowany.

- To wspaniałe - zachwyciła się Mariel. - Chciałabym, żeby w Rockton był Wal-Mart.

- Wspaniałe? Jak możesz tak mówić? - Noah zwolnił, zauważywszy na drodze przed sobą kolejnego robotnika w pomarańczowej kamizelce. - Miejsca takie jak to powinny zachować swój wiejski charakter. Dzięki temu właśnie atrakcyjne.

- Powiedziane, jak przystało na prawdziwego mieszczucha - roześmiała się Mariel. - A może nie. Może to znak, że powinieneś wynieść się z wielkiego miasta.

- Kiedy tu przyjeżdżam i widzę, jak wycinają drzewa i stawiają te brzydkie betonowe, pozbawione wszelkiej indywidualności klocki, po prostu szlag mnie trafia.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś kiedykolwiek mieszkał w miejscowości typu Rockton. Ileż to razy oddałabym wszystko za porządną pizzę albo miejsce, gdzie można kupić parę dzinsów, nie tracąc czterdziestu pięciu minut na dojazd.

- Chyba nigdy w ten sposób o tym nie myślałem - przyznał. Miał ochotę zapytać, dlaczego wróciła tam, skoro nie czuła się szczęśliwa, wiodąc małomiasteczkowe życie. Ale Mariel odwróciła twarz w stronę okna, co uznał za sygnał, że zgadła, o czym pomyślał, i nie chciała na ten temat rozmawiać.

Przez parę minut jechali w milczeniu. Noah zastanawiał się, jak to się dzieje, że w jednej minucie tak mu dobrze

z Mariel, a już w następnej jest tak diabelnie skrepowany. Od chwili gdy w nocy ujrzał ją na hotelowym korytarzu, czuł się zupełnie jak w kolejce górskiej w wesołym miasteczku. Wczorajsze pocałunki na pewno nie poprawiły sytuacji, zważywszy, że odtąd większość czasu spędzał zastanawiając się, kiedy, w jaki sposób i czy w ogóle mógłby to zrobić jeszcze raz. I to po tym, jak przysiągł sobie i jej, że podobna historia już się nie powtórzy.

Jednak teraz, kiedy Mariel ponownie pojawiła się w jego życiu, nie potrafił myśleć logicznie. Zresztą i dawniej nie był w stanie, gdy ona znajdowała się w pobliżu; na tym właśnie polegał problem. Przy niej tracił głowę. Zawsze tak było i powinien wiedzieć, że to się nie zmieni.

Gdyby chociaż nie była taka pociągająca - i taka zupełnie inna niż Kelly. Jego żona należała do tych bardzo szczupłych, nerwowych kobiet z wielkiego miasta - eleganckich, o wyrafinowanych gustach, świetnie ubranych. Jej idealne rysy, proste jasne włosy i posągowa figura sprawiały, że mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. Jemu też się to przydarzyło, przypomniał sobie Noah. Ale potem poczuł przesyt, a Kelly okazała się w końcu księżniczką z lodu, podczas gdy Mariel...

Cóż, mimo wszystko z Mariel to nie był jeszcze koniec i Noah nadal nie wiedział, jaka ona jest. Z całych sił starał się kiedyś przekonać samego siebie, że to zimna egoistka nie zasługująca na jego przebaczenie, a tym bardziej miłość, ale teraz zrozumiał, że nic nie było takie proste i jasne, jak usiłował to sobie wmówić. Wtedy chciał wierzyć, że Mariel wyrzekła się ich dziecka - i jego samego - żeby móc wyjechać, zrobić karierę na scenie i podróżować po całym świecie.

Tymczasem okazało się, że wróciła do rodzinnego miasteczka, o którym zawsze mówiła, że go nienawidzi, i zaczęła uczyć maluchy w miejscowej szkole. Wiodła życie, jakiego nigdy nie chciała. Pamiętał rozmowy, które prowadzili na początku znajomości. Z jaką pasją opowiadała mu wówczas, co zamierza dalej robić. W jej planach nie było miejsca na małżeństwo i dzieci - świetnie pamiętał, że o tym mówiła. Poruszyło go to, bo nawet w wieku osiemnastu lat wiedział, że chciałby pewnego dnia założyć rodzinę, i sądził, że znakomita większość ludzi właśnie tego pragnie od życia.

Niestety, Mariel do nich nie należała.

Teraz znowu ją spotkał. Nadal samotną. Bezdzielną.

Dlaczego nie potrafił przyjąć do wiadomości, że po prostu już wtedy znała swoje ograniczenia?

- Noah! Tutaj! - odezwała się nagle Mariel, a on uświadomił sobie, że o mało nie minął skrzyżowania z szosą numer 21, prowadzącą do Valley Falls.

Skręcił i ruszyli szeroką drogą w stronę miasteczka. Po obu stronach wznosiły się wielkie staroświeckie domy z gankami i trawnikami od frontu, a wysokie klony i dęby rzucały na nie cętkowany cień. Wszędzie widać było amerykańskie flagi, skrzynki tonące w kwiatkach, huśtawki, piaskownice, rozbrykane psy i dzieci na trój kołowych rowerkach.

W miarę jak zbliżali się do miasteczka, napotykali coraz więcej ludzi i samochodów. Sporo aut parkowało wzdłuż ulicy i na placu przed malowniczym białym kościołem, z którego wież rozbrzmiewał głos dzwonów. Minęli jakąś rodzinę. Najwidoczniej spóźnieni na mszę spieszyli do kościoła - żona w ostatnich miesiącach ciąży szła typowym dla jej stanu krokiem, mąż pochylał się nad wyciągającym rączki kilkulatkiem, żeby posadzić go sobie na ramionach.

Właśnie tego chcę, pomyślał Noah. Chciał tego aż do bólu.

Tego wszystkiego. Życia w małym miasteczku, domu z podwórkiem, żony, dziecka, dzidziusia w drodze. Był ciekaw, czy mężczyzna, którego właśnie minęli, wiedział, jaki z niego szczęściarz, czy każdego dnia odczuwał zadowolenie i wdzięczność za te dary losu.

Głos Mariel wdarł się w myśli Noaha.

- Trzeba będzie zapytać kogoś, gdzie jest ta Berry Street - powiedziała, nerwowo mnąc w dłoni karteczkę, na której w hotelu nagryzmoliła uzyskany z biura numerów adres Steadmanów. - Chyba że chcesz po prostu pojeździć po miasteczku i spróbować trafić samodzielnie. Valley Falls nie jest duże.

- Nie, lepiej spytajmy - odparł szybko. Nie miał ochoty kręcić się tutaj, przyglądając się obrazkom z cudzego życia - właśnie takiego, jakiego innym zazdrościł i jakiego nigdy nie będzie miał. Im szybciej znajdą Steadmanów, tym lepiej.

Mariel wpatrywała się w dom przy Berry Street.

Biały, w stylu kolonialnym, z czarnymi żaluzjami, schludnym słonecznym podjazdem i przybudówką mieszczącą garaż na dwa samochody. Wzdłuż ceglanej podmurówki małego betonowego tarasu kępy bujnych piwonii uginały się pod ciężarem ogromnych różowych kwiatów, a przed nimi ciągnął się szlak białych niecierpków, które wyglądały, jakby potrzebowały porządnego podlewania i jakiejś osłony przed palącym w południe słońcem.

Mariel przyłapała się na tym, że wścieka ją ta bezmyślność. Ktokolwiek zasadził tu niecierpki, nie miał pojęcia, że rośliny jednoroczne potrzebują cienia i mnóstwa wody. Jakiego rodzaju osoba mogła skazać kwiaty na tak niekorzystne warunki?

Osoba, która potrafiłaby się źle odnosić do adoptowanej córki.

Wiedziała, że się ośmiesza - a raczej, że prawie na pewno się ośmiesza - ale nic nie mogła na to poradzić.

Patrzyła na posiadłość Steadmanów krytycznym okiem, szukając dowodu, że ludzie, którzy wychowywali jej córkę, są podłymi draniami.

- O czym myślisz? - odezwał się Noah tuż koło niej, a ona nagle przypomniała sobie o jego obecności.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz i zauważyła, że również i on obrzuca dom ocenającym, czujnym spojrzeniem.

- Nie zajmują się należycie ogrodem - oświadczyła ponuro.

Zamrugał zdumiony i przeniósł wzrok na rabatki.

- Uczciwie rzecz biorąc, jak dla mnie ogród wygląda świetnie.

- To dlatego, że jesteś z Nowego Jorku. Każdy skrawek zieleni będzie dla ciebie dobrze wyglądał. Piwonie są mało wymagającymi bylinami, ale wierz mi, że to, co ci ludzie robią z niecierpkami, woła o pomstę do nieba.

Noah wzruszył ramionami.

- Zapewne masz rację. Chodź, idziemy.

Wysiedli z samochodu i ruszyli ścieżką w stronę drzwi wejściowych. Mariel przyjrzała się okolicznym domom i doszła do wniosku, że to dzielnica zamożniejszej klasy średniej, a sądząc z ilości rozmaitych plastikowych zabawek, którymi usiane były ogródki, zamieszкана w dużej mierze przez młode małżeństwa. W polu widzenia kręciło się kilku mieszkańców sąsiednich posesji - matki dogładające swoich pociech, emeryci podlewający i koszący trawniki. Raz czy drugi ktoś z nich rzucił Mariel i Noahowi obojętne spojrzenie, ale nie wyglądało, żeby goście Steadmanów budzili większe zainteresowanie.

Gdy Noah uniósł rękę, chcąc zastukać, Mariel kątem oka zauważyła jakieś poruszenie. Zerknęła czujnie na wielkie okno po prawej stronie od wejścia w samą porę, by dostrzec opadającą na dawne miejsce zasłonę. Ktoś obserwował ich przybycie.

Drzwi otwały się niemal natychmiast.

Rozpoznała mężczyznę, którego widziała na fotografii w gazecie. Carla Steadmana okulary przypominające gogle pilota i wianuszek ciemnych włosów wokół rozległego płata błyszczącej łysiny - trudno było nazwać przystojnym. Niewiele przewyższał wzrostem Mariel z jej metr sześćdziesiąt pięć. Miał na sobie białą koszulkę polo, ale, w przeciwieństwie do Noaha, włożył do niej granatowe szorty, skarpety w tym samym odcieniu i sandały. Nie umiejąc się powstrzymać przed porównywaniem obu mężczyzn, Mariel uświadomiła sobie, że mogłaby współczuć Steadmanowi, gdyby była pewna, że w żaden sposób nie przyczynił się do zniknięcia swojej adoptowanej córki. Teraz jednak przyglądała mu się nieufnie i zauważyła, że odpłacał jej i Noahowi tym samym.

- Słucham? Czym mogę państwu służyć? - zapytał, a tuż za nim pojawiła się jakaś kobieta.

Mariel poznała w niej żonę Steadmana i instynktownie wyczuła, że to właśnie ona przed chwilą zerkała zza zasłony. Nie wiedziała przecież, że ma się spodziewać gości. Czy często tak wyglądała na ulicę? Czy może przerażona, niespokojna czuwała w oknie z powodu zaginionej córki?

Zganiwszy się w duchu za wymyślanie kolejnych scenariuszy, Mariel postanowiła odsunąć na bok wszelkie współczucie. Sprawa Amber na tyle ją obchodziła, że ta obca kobieta musiała pozostać wrogiem, dopóki nie zostanie dowiedzione coś przeciwnego. Mimo że wyglądała tak bardzo... macierzyńsko. Tak inaczej niż Mariel. Z okularów wsuniętych na krótkie jasne włosy zwisał zabezpieczający łańcuszek. Pozbawione makijażu oczy otaczały delikatne zmarszczki, wyrysowane przez wiek lub troski. A może i to, i to. Joanne Steadman miała na sobie bładoniebieskie spodnie, pantofle na płaskim obcasie i białą bluzeczkę z krótkim rękawem. Nieokreślony styl, typowy dla pochodzących ze Środkowego Zachodu zamożnych matek, w średnim wieku, pomyślała Mariel.

Typ matrony, kobieta, która pewnie nigdy nie nosiła džinsów i adidasów, nie chwytiała dowcipów Davida Lettermana, a radio w samochodzie miała nastawione na jakąś stację łatwą i przyjemną dla ucha. Mariel nie mogła pohamować ciekawości, którą z nich dwóch Amber wybrałaby na matkę, i wściekłości, że w ogóle się nad tym zastanawia.

- Dzień dobry państwu - pierwszy odezwał się Noah. - Przepraszamy, że przeszkadzamy...

Przepraszamy, że przeszkadzamy. Mariel przyłapała się na tym, że wychwytuje w jego wypowiedziach formę pierwszej osoby liczby mnogiej, której używał z taką naturalnością, jakby nadal byli parą.

Wiedziała, że to nic nie znaczy, a jednak znajdowała w tym dziwną pociechę. Niezwykle poczucie przynależności, którego nie zaznała od czasu...

Tak, od tamtych odległych chwil w jego ramionach, zanim świat rozpadł się na kawałki.

- Czym możemy służyć? - zapytał Carl Steadman, wodząc wzrokiem od Noaha do Mariel.

- My w związku z państwa córką - powiedział Noah po chwili wahania.

I znowu słowa, których użył, wstrząsnęły Mariel. Tym razem był to zwrot „z państwa córką”. Z państwa córką.

Przecież Amber nie jest ich córką - ona jest nasza, pomyślała z pełnym brakiem logiki, podczas gdy twarze Steadmanów wyraźnie stężały.

Zapadło milczenie.

Czując, że narastający lęk doprowadza ją do kresu wytrzymałości, Mariel niezręcznie przerwała ciszę:

- Chcieliśmy się dowiedzieć, czy mają państwo jakieś nowe informacje na temat córki?

- Kim jesteście? - odezwała się po raz pierwszy Joanne Steadman, wyraźnie wytrącona z równowagi.

Ale kiedy ich oczy się spotkały, Mariel uświadomiła sobie, że było to pytanie wyłącznie retoryczne. Ona wie, pomyślała. Jakimś cudem Joanne Steadman odgadła, kim są. Udawanie czegokolwiek nie miało już sensu.

- Jesteśmy biologicznymi rodzicami Amber - zdołała wykrztusić Mariel. Czują, jak stojący obok niej Noah sztywnieje. Nie potrafiła na niego spojrzeć.

Musiała Steadmanom przyznać, że umieli nad sobą panować. Ich twarze przybrały nieprzeniknione, obojętny wyraz.

- Proszę wejść - powiedział w końcu Carl.

Mariel zauważyła, że nie spojrzął na żonę, żeby sprawdzić, jak zareagowała na oświadczenie nieoczekiwanych gości, i nadal na nią nie patrzył, zapraszając ich do środka. Cóż za zimna, sztywna para, pomyślała z niesmakiem, chociaż gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to zapewne niesprawiedliwy osąd. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Steadmanowie byli w stanie szoku z powodu zaginięcia ich dziecka. Zresztą czego się spodziewała? Że zastanie ich trzymających się za ręce i roześmianych?

Kiedy oboje z Noahem podążali za gospodarzami do sąsiadującego z hallem salonu, Mariel rozglądała się dookoła z niemal wścibską ciekawością. Natychmiast zauważyła kolekcję oprawionych w ramki fotografii zdobiącą ścianę wzdłuż schodów i uświadomiła sobie, że wszystkie zdjęcia przedstawiają Amber.

Amber jako tłusciutki dzidzius; Amber jako psotny kilkulatek; Amber - uczennica szkoły podstawowej, ze szczerbą w przednich zębach i włosami związanymi w mysie ogonki.

Fotografie zaparły Mariel dech w piersiach i wszystko, co mogła zrobić, to nie zatrzymywać się i nie gapić na nie.

Kiedy wchodzili do salonu, rzuciła ukradkowe spojrzenie na Noaha i stwierdziła, że nim również wstrząsnął widok portretów ich córki. Widziała, jak odwrócił głowę, żeby raz jeszcze zerknąć przez ramię, a po chwili zaczął wpatrywać się badawczo w podobną rodzinną galerię, tym razem na gzymsie kominka z białej cegły.

Zajawszy miejsce na kanapie, które uprzejmie wskazał jej Carl Steadman, Mariel uważnie rozejrzała się po pokoju, szukając - z dobrym skutkiem - kolejnych śladów dorastającej w tym domu nastolatki. Na fortepianie w kącie pokoju leżały otwarte nuty i Mariel wyobraziła sobie Amber, jak siedzi tu i gra. Wbudowane koło kominka półki wypełniały, obok bestsellerów i informatorów, książki o Harrym Potterze i popularne wydania powieści dla młodzieży. I wszędzie pełno zdjęć - fotografie w ramach porozstawiane dosłownie na każdym skrawku wolnej powierzchni. Jednak Mariel nie mogła poderwać się z kanapy, podejść bliżej, wziąć ich do ręki i pochłaniać wzrokiem, tak jak tego pragnęła.

Siedziała zupełnie skamieniała, gotowa przyjąć to, co nastąpi, oszołomiona nieznanym dotąd wzruszeniem. Nie wiedziała, jak powinna reagować na to miejsce i na tych ludzi. Kiedy podjęła już decyzję o przyjeździe do Valley Falls, nie pozwoliła sobie na snucie fantazji o tym spotkaniu. A nawet gdyby próbowała je sobie wyobrazić, pewnie nie potrafiłaby przewidzieć intensywnej mieszaniny bólu i przyjemności, które dała jej możliwość zajrzenia do wnętrza tak dobrze znanych jej córce.

Pokój był niezwykle schludny, a jednak wygodny, czym bardzo przypominał Mariel dom jej dzieciństwa. Matka, zamiłowana gospodyni, odnosiła się do ich mocno zużytych mebli z takim pietyzmem, z jakim mogłaby traktować bezcenne antyki. Obejmując wzrokiem staroświecką kanapę z obiciem w szkocką kratę, sfatygowany stolik do kawy i nieco wyblakłą dywanową wykładzinę, Mariel, mimo wszelkich starań, nie potrafiła uznać tego otoczenia za obce i nieprzyjazne. Był to małomiasteczkowy, mieszczkański dom, ładząco podobny do tysięcy innych małomiasteczkowych, mieszczkańskich domów. Podobny do domu, w którym się wychowała i w którym nadal mieszkała. Nie mogłaby zaoferować Amber nic lepszego - jeśli chodzi o dostatek materialny.

Ale czy Steadmanowie ją kochają? Czy dobrze się do niej odnoszą?

- Nie wiem, co powiedzieć - bez ogródek stwierdziła Joanne, kiedy już wszyscy czworo zajęli miejsca w salonie. Dla siebie wybrała głęboki fotel klubowy naprzeciwko kanapy, podczas gdy Carl przycupnął na skraju fotela bujanego.

Goście siedzieli obok siebie i chociaż się nie dotykali, Mariel wyraźnie wyczuwała, jak tuż przy niej ugięły się pod ciężarem Noaha poduszki kanapy. Pragnęła się do niego przytulić, wiedząc, że doświadcza teraz tego samego co ona - że tylko on jeden rozumie, co ona czuje. Jednak nie przysunęła się bliżej. Nie mogła. Nie wolno jej było poddać się złudzeniu, że są kimś więcej niż parą obcych sobie ludzi, których łączy jedynie dawno minione przeżycie. A może raczej dawny błąd.

- Nazywam się Noah Lyons - powiedział Noah i odchrząknął. - A to jest Mariel Rowan.

- Wiemy - odparł Carl z zakłopotaniem. - W dokumentach dotyczących adopcji były nazwiska państwa.

Cisza. Znowu.

Myśli Mariel zaczęły krążyć wokół tamtych dni. Wtedy, piętnaście lat temu, nie spotkała się ze Steadmanami. Wybrała ich podanie spośród pliku wniosków, które wręczyła jej jedna z zakonnic, kiedy cięża stawała się coraz bardziej zaawansowana, a Mariel nadal upierała się przy swojej decyzji. Dobrze wyglądali na papierze, Carl i Joanne Steadmanowie.

On był agentem ubezpieczeniowym, a jako swoje hobby podawał stolarstwo. Mariel wyobrażała go sobie, jak buduje domek dla lalek, bo chociaż nikt jej tego nie powiedział, była pewna, że urodzi dziewczynkę. Odsuwała od siebie niechciane obrazy - Noaha w roli ojca dziecka, które nosiła w swoim łonie, Noaha robiącego mebelki dla

lalek, Noaha kołyszącego w ramionach małe różowe zawiniątko.

Podobnie zabroniła sobie wyobrazać, że pewnego dnia zostanie mamą nienarodzonego jeszcze maleństwa. Zdołała przekonać samą siebie, że ta nieznajoma kobieta dużo lepiej się do tego nadaje. Joanne Steadman, z zawodu pielęgniarka, urodziła się i wychowała w Valley Falls, gdzie nadal mieszkali jej rodzice i obie siostry. Dziewczynka miałaby więc dziadków i ciotki w najbliższym sąsiedztwie, dużą rodzinę, która kochałaby ją i dbała o nią. Mariel rozpaczliwie chciała w to wierzyć.

- W jaki sposób dowiedzieli się państwo o Amber? - Głos Joanne brutalnie wdarł się do świata jej wspomnień. Trudno było nie wyczuć w nim chłodu.

- Przeczytałam o tym w lokalnej prasie - odpowiedziała, kiedy Noah się nie odezwał.

- I przyjechali państwo tutaj, ponieważ...

- Ponieważ się niepokoiimy - Noah wszedł w słowo pani Steadman. - Obydwoje martwimy się o państwa córkę.

Nie o naszą córkę. Oczywiście, że nie. I nie aż tak bardzo, jak martwią się ci ludzie.

- Myśleliśmy, że możemy pomóc - włączyła się znów Mariel, próbując rozładować panujące w pokoju napięcie.

- Pomóc... w jaki sposób? - spytał Carl. - Przecież to państwo parę minut temu prosili nas o informacje.

- To prawda - przytaknął Noah. - Jak już powiedziałem, jesteśmy zaniepokojeni.

- Dlaczego? - ostro rzuciła Joanne.

Mariel spojrzała na nią, zaskoczona. To jedno słowo niespodziewanie rozpało w niej wrogie emocje. Jak ta kobieta śmie pytać, dlaczego oni niepokoją się losem Amber?

- Powinni państwo wiedzieć - odezwał się Noah z niebezpiecznym błyskiem w oczach - że Amber ostatnio skontaktowała się z Mariel. Chciała wiedzieć, czy Mariel jest jej biologiczną matką.

Po raz pierwszy Steadmanowie spojrzeli na siebie.

Mariel zauważyła, że ta wiadomość zdumiała ich i przygnębiła, i poczuła dziwną satysfakcję. Nagle chciała zranić tych ludzi, którzy, jak się zdawało, cierpieli już i tak z powodu zniknięcia córki. Chciała obedrzeć ich z poczucia praw rodzicielskich, dać im do zrozumienia, że Amber jest świadoma, że miała, choć tylko przez krótki czas, inną matkę, i innego ojca.

Zerknęła na Noaha.

Wpatrywał się w Steadmanów, czekając na ich reakcję.

- Kiedy Amber do pani dzwoniła? - zwrócił się do Mariel Carl Steadman.

- Nie dzwoniła. Wysłała e-mail.

Znowu wymiana spojrzeń, ale tym razem Mariel nie potrafiła odczytać ich znaczenia.

- Czego chciała?

- Upewnić się, czy to ja byłem jej matką - odpowiedziała bez ogródek i zauważyła, jak Joanne cofnęła się na dźwięk ostatniego z tych słów. Mariel mogła to inaczej sformułować, powiedzieć: matką biologiczną. Ale nie chciała.

- I co jej pani odpisała?

- W ogóle nie odpisałam. Sądziłam, że lepiej będzie porozmawiać osobiście. Właśnie przyjechałam, żeby się z nią zobaczyć.

- Przyjechała pani? Więc nie mieszka już pani w tych okolicach? - Na twarzy Carla odmalowała się wyraźna ulga.

- Mieszkam w Missouri - wyjaśniła Mariel.

- I jesteście państwo małżeństwem? - znowu włączyła się do rozmowy z Joanne.

Chociaż Mariel zdawała sobie sprawę, że na pierwszy rzut oka mogło tak wyglądać, słowa te zaskoczyły ją. Steadmanowie sądzili, że oni nadal są parą. Nie mieli pojęcia o tym, co między Mariel i Noahem zaszło, o katastrofie, jaką na ich związek sprowadziły narodziny dziecka i decyzja o adopcji. Ci ludzie myśleli, że oni tak po prostu zebrali się i przyjechali... razem.

- Nie, nie jesteśmy małżeństwem - odparła szybko i stwierdziła, że mówi unisono z Noahem, który też usiłował sprostować pomyłkę.

- Mieszkam obecnie w Nowym Jorku - tłumaczył. - Kiedy Mariel zawiadomiła mnie, co się stało, od razu przyjechałem.

- I dowiedziała się pani o tym przypadkowo z gazet? - upewnił się Carl Steadman, obejmując Mariel taksującym spojrzeniem.

Poczuła się nieswojo, próbując sprawić, żeby jej zachowanie i głos wypadły naturalnie:

- Tak.

To, rzecz jasna, była prawda. Mariel nie miała żadnego powodu wiercić się nerwowo albo unikać jego oczu. Ale nie potrafiła nic z tym zrobić. Czowała się winna.

Dlaczego?

Nie chodziło po prostu o wyrzuty sumienia w związku z tym, jak zareagowała - czy raczej nie zareagowała - na e-mail. Tkwiło w niej głęboko zakorzenione, dawne poczucie winy, zrodzone z decyzji, którą podjęła przed piętnastu laty; poczucie winy, z którym dotąd się nie uporała, niezależnie od tego, co usiłowała wmówić Noahowi i Steadmanom.

Nagle znowu poczuła się zupełnie sama. Obecność Noaha nie stanowiła już pociechy, lecz utrapienie. Oznaczała, że Mariel musi bronić siebie i swoich czynów nie przed osądem dwojga ludzi, ale trojga.

- Dosyć dziwny zbieg okoliczności, że pojawiła się pani tutaj zaraz po zaginięciu naszej córki - skomentowała Joanne Steadman.

W tej chwili Mariel zniechęciła ją. Nie tylko za to, co powiedziała i za sposób, w jaki na nich patrzyła, ale za bezcenny dar, który otrzymała, a którego Mariel dobrowolnie, może głupio, się zrzekła.

- Jeżeli chce pani przez to powiedzieć, że mnie podejrzewa, traci pani tylko czas - odparła sztywno. - Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Amber.

Pani Steadman bez słowa wzruszyła ramionami.

Noah wstał.

- Nie wydaje mi się, żeby to spotkanie służyło czemuś czy wносиło coś nowego, jak żeśmy to sobie z Mariel po nim obiecywali - oznajmił. - Zatrzymaliśmy się w Strasburgu w Sweet Briar Inn, gdyby państwo chcieli się z nami skontaktować. Będziemy wdzięczni, jeśli powiadomią nas państwo, kiedy policja natrafi na jakieś nowe ślady albo kiedy Amber wróci do domu.

Tak, dobrze, pomyślała Mariel, idąc w jego ślady i podnosząc się z kanapy. Nogi miała jak z waty. Nie było mowy, żeby ci ludzie dopuścili ich do dochodzenia albo chociaż kiedyś powiedzieli swojej córce o tej wizycie.

Cała czwórka sztywno przeszła do hallu z widniejącą nad schodami galerią fotograficznych portretów Amber. Już w drzwiach Mariel odwróciła się jeszcze do Steadmanów, żeby zadać ostatnie pytanie.

- Czy podzielają państwo opinię policji, że Amber uciekła?

- Zdecydowanie nie - odparł Carl natychmiast, podczas gdy Joanne zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Nasza córka nigdy dobrowolnie nie porzuciłaby domu - poparła męża. - Ona nas kocha. Kocha to miejsce. Dobrze się tu czuje i jest szczęśliwa. - Jej głos stawał się coraz bardziej zduszony, a jednak ciągnęła: - Ktoś nam ją zabrał. Ale Carl i ja nie spoczniemy, dopóki nie wykryjemy, kto to zrobił i dlaczego. I nie spoczniemy, dopóki nie znajdziemy jej żywej.

Mariel z trudem przełknęła ślinę. Ostatnie słowa sprawiły, że w gardle zaczął jej narastać dławiący ucisk. W tej chwili naprawdę uwierzyła, że ma przed sobą matkę, która odmawia stawienia czoła swoim lękom. Joanne Steadman najwyraźniej wierzyła, że Amber jest w niebezpieczeństwie.

I prawda była taka, że mogła mieć całkowitą rację.

Rozdział 6

I co teraz? - spytał Noah, kiedy znowu znaleźli się na szosie do Strasburga.

Przez kilka pierwszych minut jazdy żadne z nich się nie odzywało, uznał więc, że Mariel była równie głęboko jak i on pogrążona w myślach. Konfrontacja z rzeczywistością, której unikał przez tyle lat, sprawiła, że czuł się zupełnie odrętwiały.

Jego córka należała do kogoś innego.

Obecność Amber w tamtym domu była tak namacalna, jakby dziewczynka miała za chwilę stanąć w drzwiach. Steadmanowie okazali się najwyraźniej kochającymi rodzicami. Noah nie przeoczył wszechobecnych fotografii, brązowych niemowlęcych buczków na bocznym stolczku, starannie oprawionego rysunku pastelami, który mignął mu na ścianie sąsiedniego pokoju.

Uświadomił sobie, że wolałby wierzyć, że Carl i Joanne nie sprawdzili się, zrobili coś, co skłoniło ich córkę do ucieczki, a nie że Amber padła ofiarą przestępstwa.

Łatwiej było mu znieść myśl o niej bezdomnej na ulicach Syracuse lub Albany, niż spekulować, co mogło się przytrafić ładnej nastolatce, która pewnego słonecznego czerwcowego ranka wyszła do szkoły i odtąd wszelki ślad po niej zaginął.

- Nadal sądzę, że ona uciekła - odezwała się Mariel głuchym głosem.

Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Sama już nie wiem. Może po prostu chcę w to wierzyć - powiedziała smutno.

Noah wiedział, że jej myśli biegną tym samym ponurym szlakiem, który i on przebył.

- Niezależnie od tego, co o tym wszystkim sądzimy, nie poddamy się; nie zostawimy tej sprawy Steadmanom i policji - oświadczył, czując ucisk w żołądku. - W każdym razie ja nie zamierzam.

- Ani ja.

Serce zakołatało mu mocniej, kiedy usłyszał stanowczy ton Mariel.

Do diabła, co on sobie w ogóle wyobrażał? Że jej nie zależy? Bzdura. Przyleciała taki kawał drogi z Missouri, wezwała go tutaj i już wielokrotnie mówiła o swoich obawach, które teraz wyraźnie malowały się na jej twarzy. Nie było wątpliwości, że Mariel zależy na Amber Steadman. Noah chciał wierzyć, że również na nim. Że zdecydowała się zostać i ze względu na niego. Wiedział, że to nieprawda, a jednak nic na to nie mógł poradzić, że tęsknił za niemożliwym.

- Nie martw się - powiedział, zerknąwszy na Mariel ukradkiem. Siedziała z twarzą odwróconą w stronę okna. - Znajdziemy ją. Będziemy szukać na własną rękę.

- A od czego zaczniemy?

- Porozmawiamy z jej nauczycielami i przyjaciółmi. Z każdym, kto mógłby mieć choć najmniejsze podejrzenia, co się z nią stało.

- Ale policja prawdopodobnie właśnie to robi - zauważyła. - Czy zdołamy wykryć coś, co oni przeoczyli?

Noah najeżył się.

- Policja traktuje sprawę Amber jako przypadek ucieczki. Mogą nie rozpatrywać innych scenariuszy wydarzeń.

- Więc nie wierzysz, że ona uciekła? Sądziś, że ktoś ją porwał? Ktoś w rodzaju tych seryjnych morderców albo pedofilów, którzy polują na małe dziewczynki... Niedobrze mi, Noah. - Głos Mariel balansował na granicy hysterii.

- Sam nie wiem, co myśleć, ale nie wykluczam żadnej ewentualności. Z tego, co widzieliśmy, Carl i Joanne są nieciekawą parą. Amber nie mogła wytrzymać życia z nimi, więc prysnęła. Nie tak trudno to sobie wyobrazić, prawda?

Mariel zawahała się.

- Chyba masz rację - odparła po chwili.

Noah myślał o domu, który właśnie opuścili, i o jego mieszkańcach. Trudno w tych warunkach ocenić wewnętrzną dynamikę układu, jakim jest rodzina. Steadmanowie byli spięci, kiedy otworzyli drzwi, a jeszcze bardziej, gdy odkryli, kto ich odwiedził. Sądząc z pozorów, bardzo kochali córkę. Jednak pozory mogą mylić, zreflektował się natychmiast, przypominając sobie, jak zostali przez Steadmanów wzięci za małżeństwo.

- Jesteś głodna? - zapytał, odwracając się do Mariel, kiedy zatrzymali się na skrzyżowaniu otoczonym barami i restauracjami szybkiej obsługi.

- Nie. - Powstrzymała ziewnięcie. - Ale napiłabym się kawy. Ostatniej nocy nie najlepiej spałam.

Sposób, w jaki próbowała zbagatelizować słowa, które bezwiednie się jej wymknęły, mówił sam za siebie, kto był przyczyną tej bezsenności. Serce znowu zabiło Noahowi mocniej.

Na pewno, tak jak i on, leżała wspominając ich pocałunek. Nie łudził się jednak, że tylko to zaprzętało jej myśli. Oczywiście zamartwiała się o Amber. On też. Ale nawet przeżywany wspólnie niepokój przypominał wszystko, co niegdyś dzielili. Pobyt tutaj, razem, wiązał się z przebudzeniem uczuć, które nigdy całkowicie nie wygasły, mimo że związek z Mariel skończył się tak nagle.

Przez te wszystkie lata, kiedy tylko powracał myślą do tego, co między nimi zaszło, Noah pamiętał przede wszystkim ten straszny dzień - czwartego lipca - gdy ich córka przyszła na świat, zostały podpisane dokumenty o adopcji, a on sam, oszołomiony, półprzytomny opuścił szpital. Wrócił następnego ranka, ale Mariel już wyjechała.

Wiedział, że tak będzie.

Bo klęska ich związku to nie kwestia tego ostatniego dramatycznego dnia; to postępujący proces, rozpoczęty w chwili, gdy Mariel odrzuciła oświadczyzny. Dopiero później Noah zdał sobie sprawę, że miesiące, które nastąpiły po scenie w sypialni, stanowiły jedno długie, przeciągające się pożegnanie.

- To co, zatrzymamy się na kawę? - zapytała, przywołując go raz jeszcze do rzeczywistości.

- Na kawę? Tak, oczywiście - oprzytomniał. - I coś przekąsimy.

- Jesteś głodny?

- Potwornie - przyznał.

- Zawsze odznaczałeś się wilczym apetytem - powiedziała niemal z czułością, zupełnie jakby na chwilę zapomniała, kim - i gdzie - teraz są. - Jedyne, na co ciągle miałaś ochotę, to jedzenie. Przed zajęciami, po zajęciach i...

- Zawsze - dokończył za nią, machinalnie wciskając gaz, kiedy światło się zmieniło.

Mariel zastygła z rękami zaciśniętymi na podolku. Noah wiedział, że przypominało jej się to samo co jemu. Ich pierwsza wspólna noc, kiedy zabrał ją do Sweet Briar Inn i uwiódł na staroświeckim łożu w jednym z pokoi na drugim piętrze.

Gdy leżeli nadzy i wyczerpani, obejmując się i sennie głaszcząc w migotliwym blasku przyniesionych przez Noaha wotywnych świec, zapytał ją, czy nie jest głodna. Po czym wyjął koszyk z zapasami, które starannie tego popołudnia zgromadził, wymieniając w uczelnianej stolówce wszystkie talony żywnościowe z całego dnia na winogrona, krakersy, sery i czekoladę. Podczas tej uczty Mariel pokpiwała sobie z jego niepohamowanego łakomstwa, a potem on raz jeszcze dał upust swemu apetytowi, kochając się z nią, aż szare światło poranka zaczęło przesączać się przez zasłony i Mariel usnęła.

Dźwięk klaksonu wyrwał go ze świata marzeń. Zjechał na bok akurat w porę, żeby uniknąć zderzenia ze skręcającą w lewo ciężarówką.

- Chyba też potrzebuję kawy - oświadczył, próbując zapanować nad nerwami. Lepiej przypisać to rozproszenie uwagi zmęczeniu, niż przyznać się, że tak zaabsorbowały go myśli o niej - o nich. W tej samej chwili zauważył restaurację Cracker Barrel. - Zatrzymajmy się tutaj.

- Cracker Barrel? - Mariel wzruszyła ramionami. - Jak dla mnie, doskonale. Mają pyszne lody. Przyda mi się oprócz kofeiny trochę cukru.

- Już tu byłeś? - zdziwił się Noah. Mówiła mu przecież, że dopiero wczoraj przyjechała do Strasburga.

- Miliony razy, ale u nas, w Missouri.

- Aha. - Wjechał na parking na tyłach budynku, którego oryginalna architektura i ozdobiony bujanymi fotelami, starszowiecki ganek mogły wprowadzić w błąd. - Więc to jest sieć restauracji.

Mariel wyglądała na ubawioną.

- Nigdy nie słyszałeś o Cracker Barrel?

- Przypominam ci, że mieszkam na Manhattanie. Mamy delikatesy i lokale pięciogwiazdkowe, a nawet bary szybkiej obsługi. Ale nie Cracker Barrel.

- Spodoba ci się - zapewniła go. - Dostaniesz tu siekane kotlety.

Słowa Mariel zaskoczyły go. Więc pamiętała.

Ledwie ośmielił się na nią spojrzeć, kiedy zatrzymali się na parkingu. Z uwagą śledziła swoje odbicie w lusterku wstecznym.

- Siekane kotlety - powtórzył.

Mariel spojrzała mu w oczy i wzruszyła ramionami, ale nie było w tym geście nonszalancji.

- O ile dobrze pamiętam, lubisz siekane kotlety. Prawda?

Pytanie było z gatunku retorycznych. Znała na nie odpowiedź.

Pewnego dnia rozmawiali o tym, leżąc przytuleni. Opowiedział jej wtedy, że zawsze marzył o życiu rodzinnym, w którym w czystym, pełnym smakowitych zapachów domu czekałaby matka z domowym obiadem, najlepiej z siekanym kotлетem i tłuczonymi ziemniakami, polanymi sosem. W rzeczywistości matka Noaha zawsze pracowała na dwóch etatach i nigdy jej nie było, kiedy wracał ze szkoły, a znakomita większość jego obiadów w tym okresie pochodziła z puszek lub torebki i sam je sobie przygotowywał.

Pamiętał, że wysłuchawszy tej opowieści, Mariel pocałowała go w kark i w policzek, i obiecała przyrzucić mu kiedyś siekane kotlety i tłuczone ziemniaki z sosem. Odtąd ilekroć ją odwiedzał, żartował sobie, że oczekuje sutego obiadu. Oczywiście do czasu, gdy okazało się, że Mariel jest w ciąży, bo wtedy skończyły się między nimi czułe przekomarzania.

- Lubię siekane kotlety - powiedział wolno, szukając w jej twarzy śladów dziewczyny, na której kiedyś tak bardzo mu zależało. Wiedział, że ona gdzieś tu jest. Ciągłe prześladowały go strzępy wspomnień o tamtej dawnej Mariel. Mariel, którą prosił o rękę, z którą chciał spędzić resztę życia.

Ale nie tej gniewnej, zgorzkniałej, wystraszonej, która go odtrąciła.

- A więc - zakomenderował, gasząc silnik - naprzód, do Cracker Barrel.

- I wtedy Robbie mówi: „Panno Rowan, Melvin wygląda jakoś dziwnie i już strasznie długo drzemie”. „Jak długo?”, pytam. A on na to: „Od zeszłego wtorku”. - Mariel roześmiała się na wspomnienie malca, który w tym roku był jednym z jej ulubionych uczniów.

Noah też się roześmiał. I to naprawdę. Już drugi raz w ciągu pół godziny, odkąd zasiadła naprzeciw niego w dużej, przytulnej sali i zaczęła bawić go anegdotkami o swoich podopiecznych.

- Rodzice Robbiego będą mieli nauczkę, żeby nigdy więcej nie kupować mu żadnych domowych zwierzątek - podsumował, sącząc piwo korzenne ze szklanego kufła.

- O nie, Melvin nie był domowym zwierzątkiem - odparła Mariel. - Był gąsienicą. Robbie cierpi na tak silną alergię, że to niemal wszystko, na co może sobie pozwolić, jeśli chce hodować jakieś stworzenie. Sama pomogłam mu złapać Melvina i wsadziłam go do słoja, do którego Robbie upchał listki i gałązki. Biedak chciał zobaczyć, jak Melvin zamienia się w pięknego motyla. A zamiast tego musiałam mu pomóc zrobić małą trumnę z pudełka od zapalek i urządzić pogrzeb.

- Biedny Robbie. - Noah potrząsnął głową i zaczął bawić się swoją słomką. - Ale miał szczęście, że trafiła mu się taka nauczycielka jak ty.

- To ja miałam szczęście, że trafił mi się taki uczeń jak on. Wszystkie te dzieciaki są czarujące, ale w tym roku Robbie należał do moich ulubieńców.

- Ty naprawdę lubisz uczyć.

- Naprawdę lubię - przytaknęła i samą ją trochę zdziwiły własne słowa. Właściwie nie była to żadna nowina, ale Mariel, kiedy nie była akurat zajęta pracą, rzadko myślała o tym, jak bardzo jej to zajęcie odpowiada, mimo iż została nauczycielką tylko dlatego, że poddała się walkowerem.

- Nigdy bym nie uwierzył, gdyby mi ktoś wtedy powiedział. - Noah oparł podbródek na rękę i nie spuszczał z niej oczu.

Udała, że jest szalenie zajęta dojadaniem ostatnich okruszków kukurydzianego chleba, chociaż z trudem mogła jeszczé cokolwiek w siebie wcisnąć. Noah namówił ją, żeby przekąsiła coś solidniejszego i zanim się spostrzegła, pochłonęła kurczaka z kluseczkami, a na przystawkę południowe jarzyny i smażone jabłka.

- Zawsze sądziłem, że zostaniesz aktorką - ciągnął, najwyraźniej nie zamierzając zrezygnować z tego tematu.

- Cóż, tak rzeczywiście planowałam.

- Więc co się stało, że zmieniłaś zdanie?

- Mój Boże, w Rockton nie ma specjalnego popytu na gwiazdy - odparła z goryczą.

- Ale przecież nie chciałaś mieszkać w Rockton. Kiedy tam wróciłaś po... po tym wszystkim, sądziłem, że to

tylko na jakiś czas. Na lato. Że potem zakotwiczysz się gdzie indziej.

Zręczne posunięcie, pomyślała Mariel, nadal nie odrywając wzroku od resztek kukurydzianego chleba, które przesuwiała widelcem po talerzu. Wcześniej czy później temat przeszłości musiał się pojawić, nawet nie ich wspólnej przeszłości, ale tej bliższej, którą przeżywali z dala od siebie. Sama chciała wiedzieć więcej o życiu Noaha, o małżeństwie...

Ale czy na pewno?

Nie powinna się czuć zagrożona z powodu kobiety, która nie była już jego żoną.

Powinna się za to spodziewać, że i Noaha dręczy podobna ciekawość - co działo się z Mariel w ciągu tych wszystkich lat, odkąd widzieli się po raz ostatni. I dlatego zabawiała go dykteryjkami z życia pierwszej klasy. Snucie opowieści o uczniach sprawiało Mariel dużą przyjemność, zwłaszcza że Noah reagował z autentycznym zainteresowaniem. I nie była to z jego strony zwykła uprzejmość; naprawdę słuchał, naprawdę śmiał się, naprawdę go to obchodziło.

Teraz natomiast czekał skupiony, aż mu Mariel wyjaśni, dlaczego osiadła na stałe w rodzinnym miasteczku, którego przedtem nienawidziła.

A prawda wyglądała tak, że zdecydowała się na Rockton, gdyż wydawało się jej ono miejscem bezpiecznym, a w dodatku najbardziej oddalonym od Noaha i od Strasburga, jakie tylko mogła wymyślić. W żaden sposób, nawet ze świadomością, że on szczęśliwie studiuje na drugim roku strasburskiego college'u, nie potrafiła marzyć o Nowym Jorku. Nie, bo Noah tam dorastał, bo mieszkała tam jego matka, bo, jak sądziła Mariel, pewnego dnia, zakończywszy naukę, właśnie tam miał wrócić.

I tak się stało.

Dzięki Bogu, postąpiła rozsądnie.

Chociaż z drugiej strony Nowy Jork to ogromne miasto. Wystarczająco duże dla nich obojga, gdyby ośmieliła się zaryzykować. Ale ta Mariel, która powróciła do Rockton po tragicznym pierwszym roku studiów, nie miała już odwagi na nic. Chciała tylko wycofać się, ukryć i leczyć rany.

I wyleczyła je.

- Doszłam do wniosku, że kariera aktorska to mimo wszystko nie to, czego chcę - wyjaśniła spokojnie.

- Ale przecież w czasach, kiedy cię znałem, tak bardzo o niej marzyłaś.

- Znałeś mnie tylko przez kilka miesięcy - wytknęła mu.

- Ale przez tych kilka miesięcy ani razu nie odniosłem wrażenia, że dajesz się powodować kaprysom. Miałaś silną wolę, Mariel. Byłaś energiczna i ambitna. Dokładnie wiedziałaś, czego chcesz, i miałaś zamiar to zdobyć. Ile razy mówiłaś, że nie wrócisz do Rockton za żadne skarby świata, chyba że na Boże Narodzenie albo żeby spocząć w rodzinnym grobie.

- Rany, rzeczywiście tak mówiłam? Zdaje się, że zawsze była ze mnie dramatyczna heroina - zażartowała, starając się, żeby jej ton brzmiał lekko. Ale wesoły, swobodny nastrój ich rozmowy zniknął już bezpowrotnie.

Mariel myślała przez chwilę o swoim życiu, takim jakie ono teraz było, i uświadomiła sobie, że jeśli nie czuła się całkiem zadowolona, to nie z powodu pracy czy miejsca, w którym mieszkała. W gruncie rzeczy lubiła Rockton i lubiła uczyć.

- Czy zakochałaś się w kimś po powrocie w swoje strony, Mariel? Dlatego zostałaś? - Pytanie było tak niespodziewane, że o mało nie upuściła filiżanki z kawą.

- Nie! - odpowiedziała bez wahania i w tej samej chwili tego pożałowała. Może powinna była skłamać, wymyślić jakiegoś narzeczonego, który czeka na nią w domu. Wtedy Noah na pewno trzymałby od niej rękę z daleka...

O czym ona w ogóle myśli? Przecież Noah przyrzekł, że to się już nie powtórzy. I ona też przyrzekała. Żadnego całowania, żadnych uścisków. Spotkali się w określonym celu. Muszą odkryć, co się stało z ich córką. Koniec, kropka.

Otworzyła usta, żeby skierować rozmowę na sprawę zniknięcia Amber, ale Noah ją ubiegł.

- Więc nigdy nie było nikogo? Po mnie? Nigdy więcej się nie zakochałaś?

Jego gwałtowne słowa zawisły między nimi i Mariel zauważyła, że kiedy zdał sobie sprawę, co właściwie powiedział, po twarzy przemknął mu wyraz zakłopotania.

Miłość.

Dawniej nigdy nie rozmawiali o miłości. Nigdy nie przyznali, że są w sobie zakochani, nawet kiedy to się działo... jeśli to było rzeczywiście to. Czy wtedy kochała Noaha?

Nie chciała się nad tym zastanawiać. A tym bardziej nie chciała, żeby on snuł na ten temat jakieś przypuszczenia.

- Nigdy nie byłam zakochana - oznajmiła, po raz kolejny bez powodzenia próbując przybrać beztroski ton. - Więc nie pochlebiaj sobie zanadto, Lyons.

Pozbierał się błyskawicznie, musiała mu to przyznać. Przechylił głowę na bok, zerknął na Mariel, a po chwili uśmiechnął się szeroko, kiedy udało mu się nadziać na widelec ziarenko fasolki.

- O, moje złamane serce - zakpił nonszalancko i zwracając się do wyimaginowanej widowni, dodał: - I tym akcentem, panie i panowie, kończymy krępującą część naszej rozmowy.

Mariel uśmiechnęła się.

- A co powiesz na lody, które tak zachwalałaś? - zapytał, sięgając po kartę deserów zostawioną przez kelnera na ich stoliku.

- Nie zdołam wepchnąć w siebie już ani kęsa - jęknęła.

- Na pewno? Bo ja wezmę porcyjkę.

- Boże, jesteś niesamowity - stwierdziła, kręcąc głową.

Wcale nie chciała, żeby tak to zabrzmiało. I nie spodobał jej się błysk w oczach Noaha, który mrugnął łobuzersko, zanim oświadczył:

- Ty też jesteś niczego sobie, Rowan.

- Za pięć minut zamykamy - oznajmiła bibliotekarka, stając za plecami Noaha.

Zaskoczony niespodziewanym dźwiękiem, odwrócił się gwałtownie i spojrzał na zegarek.

Aż trudno uwierzyć. Spędził nad przeglądarką do mikrofilmów bite dwie godziny. Odszukał wzrokiem Mariel, która siedziała niedaleko przy komputerze i kopiowała wyświetlony na ekranie tekst.

- Już się stąd zabieram.

Bibliotekarka uśmiechnęła się, skinęła głową i ruszyła do Mariel, żeby udzielić jej tej samej informacji.

Noah zaczął przewijać w przeglądarce szpulkę z mikrofilmem, teraz już niczym prawdziwy specjalista. Zabawne, ale kiedy tego wieczoru po raz pierwszy od lat pojawił się w czytelnicy, bibliotekarka musiała go uczyć, jak się z tym urządzeniem obchodzić. A przecież pamiętał, że korzystał z mikrofilmów - potrzebował gazet sprzed lat do jednej ze swoich prac - kiedy był studentem. Nawinięcie filmu na rolkę nie przedstawiało większych trudności, ale już obsługiwanie skanera w taki sposób, żeby przesuwając film we właściwym tempie pozwalającym odnaleźć artykuły, które zawierają istotne informacje, wymagało pewnego doświadczenia.

Tym razem Noahowi chodziło oczywiście o odszukanie w lokalnej i regionalnej prasie z ostatnich dni wszelkich wzmianek o Amber Steadman.

Przeczytał wszystko, co tylko udało mu się znaleźć na temat zniknięcia dziewczynki. Zapisał każdy ważny szczegół w notesie o czarno-białej „marmurkowej” okładce, który kupił, kiedy po lunchu w Cracker Barrel odwiedzili z Mariel supersam oferujący sprzęt biurowy. Mariel miała podobny notes i właśnie teraz Noah dostrzegł, jak go z impetem zamyka i wychodzi z Internetu.

Umieścił mikrofilm w specjalnym pojemniczku, wrzucił do wyznaczonego pudełka i wyłączył przeglądarkę. Spotkali się przy drzwiach w chwili, gdy górne światła akurat zaczynały gasnąć.

- Już drugi raz biorę udział w zamykaniu strasburskiej biblioteki - roześmiała się Mariel, gdy bibliotekarka brzęcząc kluczami wypuszczała ich na dwór.

Wyszli z klimatyzowanego wnętrza. Powitała ich ściana parnego nocnego powietrza.

- Znalazłaś coś, co może nam się przydać? - spytał Noah, kiedy schodzili po szerokich betonowych stopniach nowoczesnego budynku.

Skinęła głową, wskazując wepchnięty pod pachę notatnik.

- Mam nazwiska nauczycieli i dyrekcji szkoły, i powiększony planik Valley Falls z zaznaczoną drogą, którą Amber prawdopodobnie szła tamtego ranka.

- A ja mam nazwiska wszystkich jej przyjaciół i sąsiadów, którzy udzielili wywiadu dziennikarzom, plus listę miejsc, gdzie zapewne bywała, takich jak sklepy w pasażu czy bary szybkiej obsługi. Możemy popytać o nią tamtejszych pracowników.

- Od czego zaczniemy? - spytała Mariel, odsuwając kosmyk włosów z już wilgotnego czoła.

- Myślę, że najsensowniej byłoby pogadać z jej nauczycielami. I przyjaciółmi. Zrobimy krótką listę i odfajkujemy ich po kolei jutro rano.

Szli przez rozległy, porośnięty trawą dziedziniec. Gdzieś w tle rytmicznie brzęczał chór cykad i nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszało gałązek nad głowami.

- Dopiero jutro rano? - Mariel była rozczarowana.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli nachodzić tych ludzi po nocy - wyjaśnił Noah, ścierając z szyi strużkę potu.

- Obawiam się, że masz rację.

Przez chwilę milczeli.

- Właściwie szkoda, że nie zdecydowałam się zatrzymać w Super 8 - zagadnęła znowu Mariel. - Przynajmniej mają tam basen. Z rozkoszą bym sobie teraz popływała.

- Wiem. Jestem przyzwyczajony do uciążliwego upału w mieście, ale tutaj wydaje się jakoś jeszcze bardziej duszno. Chociaż pamiętam jedną taką wiosnę. Akurat w porze egzaminów - chyba na drugim roku - nadeszły straszliwe upały. Akademik naszej korporacji nie miał klimatyzacji i...

- Akademik korporacji? - powtórzyła Mariel. - Nie wiedziałam, że należałaś do korporacji, Noah. Jakoś mi to do ciebie nie pasuje.

Przez chwilę potrafił skupić się tylko na brzmieniu swego imienia, tak niezwykłym w jej ustach. Dawniej uwielbiał sposób, w jaki wymawiała słowo „Noah”, z akcentem typowym dla Środkowego Zachodu, przeciągając zgłoski, zupełnie przeciwnie niż nowojorczyki, których wieczny pośpiech odbija się nawet w mowie. Pozwoliwszy

sobie przez chwilę podelektować się tym miłym dla jego ucha dźwiękiem, w końcu odparł:

- Chcesz powiedzieć, Mariel, że nigdy nie podejrzewałaś, że mógłbym zostać członkiem studenckiej korporacji z przekonania?

- Zupełnie nie potrafię wyobrazić sobie ciebie mieszkającego w jednej z tych podupadłych, brudnych ruder.

Miała na myśli szereg odrapanych, oznaczonych greckimi literami wiktoriańskich kamienic, które ciągnęły się wzdłuż Hudson Street, nieopodal campusu. Dom Phi Sig, ostatni z rzędu na szczycie pagórka, na który wspinała się ulica, uchodził za siedlisko najgorszych rozrabiaków i służył z najlepszych imprez towarzyskich.

- Nie było znowu aż tak brudno - zachichotał Noah. - Zwłaszcza odkąd zarządziliśmy, że nowi na czworakach szorują całą chałupę. A poza tym regularnie odwiedzał nas specjalista od tępienia myszy i pluskiew.

Mariel wzdrygnęła się.

- Świetnie się bawiłem w Phi Sig. - Uśmiechnął się szeroko. - Nadal utrzymuję kontakt z chłopakami z naszego bractwa. To właśnie jeden z nich, Danny, pożyczył mi ten samochód.

Tego ranka Mariel chciała jechać do Valley Falls wynajętym wozem, ale Noah z jakiegoś powodu nalegał, że to on będzie prowadził.

- Cieszę się, że masz takich dobrych przyjaciół - powiedziała szczerze.

- A ty? Masz prawdziwych przyjaciół tam u siebie, w Rockton?

Skinęła głową.

- Z Kalie Beth znamy się właściwie od przedszkola. No i jest jeszcze moja siostra Leslie i Jed.

- Jed? - Przeszyło go ukłucie zazdrości. Przecież mówiła, że w jej życiu nie było nikogo, oprócz... Kim jest ten Jed? Wyobraził sobie surowego mężczyznę w typie kowboja i nagle poczuł się zupełnie nie na miejscu w swojej koszulce polo i szortach.

- Jed jest narzeczoną Leslie. Za parę tygodni biorą ślub i ona, jak ją znam, pewnie już panikuje z powodu mojej nieobecności. Mogę się założyć, że ojciec ma z nią pełne ręce roboty.

- A co z twoją matką?

Mariel spochmurniała.

- Nie żyje - powiedziała krótko.

- O Boże, tak mi przykro.

- Mnie też. - Ciężko westchnęła. - To już prawie dwa lata, a czasem zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdołam się z tym pogodzić.

Dotarli do bramy kampusu prowadzącej na Main Street. Ich hotelik znajdował się dokładnie po drugiej stronie ulicy. Z jego okien sączyło się przyćmione światło lamp, a na werandzie skrzypiały cieszące się o tej porze powodzeniem bujane fotele.

- Wiesz co, jest jeszcze dosyć wcześnie - powiedział nagle Noah, jakby chciał odsunąć w czasie moment rozstania.

- Przed chwilą twierdziłeś, że jest późno. - W głosie Mariel dało się dosłyszeć rozbawienie. Uznał to za dobry omen.

- Za późno, żeby nachodzić obcych ludzi. Ale nie za późno na zimnego drinka. - Wskazał małą meksykańską knajpkę oddaloną o kilka domów od Sweet Briar Inn. - Co ty na to?

- Na pewno nie odmówię zimnego drinka, kiedy po zachodzie słońca mamy ponad trzydzieści stopni - oświadczyła.

Ruszyli w dół ulicy i w parę minut później siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku dla dwojga. Sala była mała, bez klimatyzacji. Kafelki z terakoty, migoczące świece, wokół ani żywego ducha. Wentylator na suficie szumił im nad głowami, stojący niedaleko wiatrak pracowicie poruszał powietrze, ale bez większego skutku. Na ścianie nad barem dostrzegli afisz zapraszający w sobotnie wieczory na występy muzyków mariacki.

Pojawił się uśmiechnięty hiszpański kelner, postawił przed nimi koszyk chipsów i misę z salsą i spytał, czy życzą sobie kartę dań.

Noah spojrzał na swoją towarzyszkę. Odmownie potrząsnęła głową.

- Jestem jeszcze napchana po Cracker Barrel.

- Ja też. Weźmiemy tylko coś do picia - oświadczył kelnerowi, który zastygł z długopisem nad bloczkiem zamówień, czekając na decyzję Mariel.

- Poproszę mrożoną herbatę - powiedziała, ale natychmiast zmieniła zdanie. - Zaraz, minutkę. O tej porze lepiej już nie będę łądować w siebie więcej kofeiny. Dla odmiany powinnam się wreszcie wyspać. Czy macie coś bezkofeinowego?

Kelner obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- W Margaricie nie ma ani krzty kofeiny.

- I to właśnie ja poproszę - zdecydował Noah. - Dobrze schłodzoną. Bez soli.

Po chwili wahania Mariel poddała się.

- Dobrze, niech będzie to samo. Ale dla mnie z solą.

- Proszę państwa o moment cierpliwości. - Kelner błyskawicznie zniknął w kuchni.

Chrupali chipsy i gawędzili o meksykańskiej kuchni, o pokazach kulinarnych w telewizji, wreszcie o filmach.

Kiedy pojawiły się zamówione napoje, Noah uniósł szklankę i wyrecytował z braku lepszego pomysłu:

- Za zimne drinki w upalną noc.

Trąciła się z nim szklanką.

Skosztował łyk koktajlu, delektując się uczuciem chłodu na języku. Mógł wyraźnie wyodrębnić smak tequili, co oznaczało, że lepiej nie pić Margarity duszkiem niż woda z lodem. Ale trudno mu się było powstrzymać w tym upale i w dodatku po takich wyczerpujących dwudziestu czterech godzinach.

Zauważył, że Mariel też nie sący swego drinka tak powoli, jak by należało.

- Uderza do głowy, co? - odezwała się, przyłapując Noaha na tym, że ją obserwuje.

Podsunał jej koszyk z chipsami.

- Nigdy nie pij na pusty żołądek.

- Po dzisiejszym dniu mój żołądek raczej trudno nazwać pustym - oświadczyła, ale mimo to wzięła kilka chipsów.

Rozmowa znów wróciła do filmów, które ostatnio oglądali, i Noah nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Mariel, podobnie jak on, większość z nich widziała na wideo albo w telewizji kablowej. Dręczyła go ciekawość, czy w Rockton nie ma kina, czy może raczej Mariel nie miała się z kim umawiać.

Usiłował sam siebie przekonać, że chyba przesadził. W końcu setki ludzi bywają w kinie niekoniecznie w związku z randką. Chodzą samotnie albo z przyjaciółmi, albo z rodziną. Lepiej by było, żeby przestał we wszystkim doszukiwać się wskazówek dotyczących jej prywatnego życia, a po prostu wziął się na odwagę i spytał wprost, jeśli chce się czegoś dowiedzieć.

Jednak nie potrafił się na to zdobyć, bo przecież nie powinno go to w ogóle interesować. Zmienił więc temat z filmu na muzykę, potem na pogodę. Do tego czasu zaczął już zdecydowanie odczuwać skutki tequili i miał wrażenie, że Mariel również. Policzki jej się zarumieniły, uśmiech nie schodził z twarzy. Siedziała wygodnie oparta, z łokciami na stole. Wyglądała na zupełnie odprężoną, niemal zalotną, chociaż rozmowa toczyła się jedynie o pogodzie.

Kiedy już po raz któryś z rzędu Mariel pożałowała, że nie wybrała Super 8, gdzie mogłaby popływać i się ochłodzić, Noah zarzucił przynętę.

No dobrze, może nie była to przynęta. Wiedział, że w słowach Mariel nie ma nawet cienia podtekstu. Za pierwszym razem bez żadnych ukrytych intencji zaczął opowiadać jej o majowych upałach, które przeżył tu przed laty, dopóki nie weszła mu w słowo. Teraz jego intencje nie były już takie czyste.

- Jak ci już mówiłem, trafiłem kiedyś w Strasburgu na taką falę upałów. Jeszcze w czasach college'u - zaczął niewinnym tonem.

- A tak, kiedy mieszkałeś w domu Delta, czy jak to się tam nazywało.

- Niestety nie tam. Delta była dla dziewczyn - odciął się żartobliwie. - Ja byłem w Phi Sig.

- Ooo, przepraszam.

- Tak czy siak - Noah nie dawał się odwieść od tematu - pewnej nocy wybraliśmy się z kumplami popływać i było naprawdę świetnie.

- A niby jak to zrobiliście? Zakradliście się do jakiegoś prywatnego basenu?

- Lepiej - oświadczył. - Niedaleko stąd, w lesie, jest jezioro. Pływaliśmy tam i nurkowali. Woda była zimna. Mówię ci, niesamowita frajda.

Oczy Mariel roziskrzyły się. Dopijając resztkę swego drinka, powiedziała:

- Brzmi to nieźle, szczególnie w taki upał jak dzisiaj.

- I dlatego właśnie powinniśmy to zrobić.

- Co zrobić?

- Iść popływać - wyjaśnił. - A co? Podejrzewałaś, że co miałem na myśli?

To bezczelne pytanie Noah wygłosił bez zastanowienia, ośmielony przez alkoholowy zawrót głowy. Jednak kiedy wymknęło mu się ono nieopatrznie, spodziewał się, że jego towarzyszka zmrozi go spojrzeniem, każe mu zamilknąć albo chłodno przypomni, że jest noc.

Tymczasem Mariel uśmiechnęła się tylko szeroko i oświadczyła:

- Nieważne, co podejrzewałam, ale popływać byłoby miło.

- Mówisz poważnie?

- Marzę, żeby się ochłodzić przed pójściem do łóżka. - Wzruszyła ramionami. - I od wieków już nie nurkowałam w leśnym jezioro. Chodziliśmy pływać w czymś takim, kiedy byłam dzieckiem. Mama zawsze się wtedy denerwowała. I chyba nie bez powodu. Pewnego razu moja przyjaciółka, Katie Beth, skoczyła do wody i o mało nie uderzyła głową w duży głaz.

- W porządku. Żadnych skoków do wody. - Noah zauważył, że na twarzy Mariel pojawiło się wahanie.

- Żałuję, że nie wzięłam kostiumu albo że tu w pobliżu nie ma żadnego miejsca, gdzie mogłabym o tej porze coś sobie kupić.

- Daj spokój, Mariel. Przecież możesz pływać w ubraniu - zniecierpliwził się. - Ja idę, z tobą czy bez ciebie. Jest

tak cholernie gorąco. No, decydujesz się?

- Chodźmy.

Jakim cudem, u licha, mogła się w to wpakować?

Teraz, kiedy leśna ścieżka doprowadziła ich na małą, otoczoną drzewami polankę, gdzie w świetle księżyca błyszczał dziki staw, kąpiel nie wydawała się już Mariel takim dobrym pomysłem.

Właściwie wyglądało, że to raczej kiepski pomysł.

Polanka była całkowicie odludna.

Wyszedszy z restauracji, Mariel i Noah ruszyli spacerem w dół zabudowanej mieszkalnymi domami ulicy, która kończyła się kilka przecznic za Sweet Briar Inn, poczym skręcili w wiodącą między drzewami ścieżkę. Tutaj, z dala od ludzi i świateł latami, Mariel z całą wyrazistością uświadomiła sobie obecność Noaha - otaczającą ich parną noc, cykanie świerszczy, szelest wśród poszycia, kiedy jakieś dzikie stworzonko przebiegło im drogę.

Zatrzymała się na skraju polanki. Noah zastygł nieruchomo tuż obok.

- Jest dokładnie tak, jak zapamiętałem - powiedział ścisłym głosem.

- Pięknie. - Stała zapatrzona w migoczącą wodę, w której przeglądały się gwiazdy i przymglony księżyc. Odbite w lustrze jeziora płynne światło wydobywało z mroku zarysy najbliższych drzew.

Mariel czuła, że ciało lepi jej się od potu i marzyła, żeby zanurzyć się w chłodną głębinę.

Ale oznaczałoby to powrót do Sweet Briar Inn w mokrym ubraniu, co jeszcze niedawno w brawurowym nastroju, który zawdzięczała tequili, uważała za niezły pomysł. Właściwie dlaczego nie wstąpili po drodze do hotelu, żeby chociaż zabrać ręczniki?

Noah nadal trzymał pod pachą oba ich notesy. Na litość boską, to było czyste szaleństwo.

- Kto ostatni w wodzie, ten trąba - zawołał nagle, ostrożnie umieścił notatniki na płaskim kamieniu przy samym brzegu jeziora i ściągnął koszulę przez głowę.

- Zmieniłam zdanie - oświadczyła Mariel, ciężko opadając na porośnięty mchem głaz. - Posiedzę tu i zaczekam na ciebie.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

Noah wyglądał, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale już się nie odezwał. Zamiast tego sięgnął do guzika szortów i odpiął go.

Mariel ze zdumieniem uświadomiła sobie, że zamierza je zdjąć. W końcu, czego się spodziewała? Pewnie miał coś pod spodem. Pewnie? Jasne, że miał, bo inaczej...

Odsunęła od siebie myśl o jego nagim ciele. Pamiętała, że dawno temu, w czasach college'u, lubił chodzić w bokserkach. Ciekawe, czy nadal je nosi? Wszystko wskazywało na to, że za chwilę miała się o tym przekonać.

Jedyne co mogła zrobić, to nie patrzeć, kiedy zdejmował szorty i układał je starannie na kamieniu koło koszuli i notesów. Czuła, jak strużka potu spływa jej po szyi, a druga zbiera się przy linii włosów, nad skronią. Wysunęła dolną wargę i próbowała zdmuchnąć wilgotną grzywkę z czoła, ale kosmyki włosów przylgnęły do spoconej skóry. Wspaniale.

Można było zemdleć z upału. Mariel dałaby się zabić za kąpiel w leśnym jezioru.

- Pewna jesteś, że nie chcesz się zanurzyć? - zapytał raz jeszcze Noah, zupełnie jakby czytał w jej myślach. Wyglądało to niemal na kpinę.

- Jestem pewna. - Walczyła z pragnieniem, żeby uwolnić kark od ciężaru końskiego ogona. Dlaczego z rana po prostu nie spięła włosów na czubku głowy? Byłoby znacznie chłodniej.

Noah wzruszył ramionami i wsunął kciuki za gumkę bokserek.

- Co ty robisz? - przeraziła się Mariel.

- Zdejmuję bokserki - powiadomił ją niewinnym tonem, ale dostrzegła błysk w jego oczach.

- Nie ośmielisz się, Noah.

- Hę? - Zatrzymał się w pół gestu, patrząc na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Mówię poważnie. Jeśli zdejmiesz bokserki, idę stąd.

- Ale dlaczego, Mariel? - Przynął się o krok do głazu, na którym siedziała, co umocniło ją tylko w uporze. - Przecież dawniej widywałeś mnie nagiego.

Właśnie.

Kiedy wypowiedział to na głos, nie potrafiła już dłużej się bronić. Pamiętała, jak wyglądał nago i na to żywe wspomnienie reagowały dolne partie jej ciała. Noah był pierwszym - jedynym - mężczyzną, którego widziała całkiem rozebranego, jedynym, którego kiedykolwiek w tak intymny sposób dotykała. Był jedynym mężczyzną, z którym uprawiała miłość, więc gdy stał przed nią gotów znowu się obnażyć, nie potrafiła o tym zapomnieć.

Jeszcze przed chwilą tylko się przekomarzali. Teraz działo się coś o wiele poważniejszego. Noah bez ogródek przypomniał o ich dawnej zażyłości, chociaż obydwoje przez ostatnią dobę albo omijali ten temat, albo starali się traktować go z przymrużeniem oka.

Więc jak powinna się teraz zachować?

Nie potrafiła zebrać myśli. Ciało zdradziło ją, a wyraziste wspomnienia nie dawały się wyprzeć z pamięci. Noah wpatrywał się w nią, więc spuściła wzrok i wlepiła go w kurczowo zaciśnięte na podolku dłonie.

- Nie przejmuj się, Mariel. Przecież to dla ciebie nic nowego - powiedział lekkim tonem, który całkowicie przeczył prawdziwemu znaczeniu tych słów. Zsunął bokserki, cisnął je niedbale na ziemię i skoczył do wody.

Obrzygały ją chłodne krople. Mariel podniosła oczy akurat w odpowiednim momencie, żeby zobaczyć, jak Noah wynurza się parszkając. Obrócił się na plecy, kilkoma leniwymi ruchami ramion wypłynął na środek jeziora i zawrócił w jej stronę.

- Powinnaś spróbować, Mariel. Jest fantastycznie.

- Nie wątpię. - Gdybyż on wiedział, jak bardzo marzyła, żeby zrzucić z siebie wszystko i do niego dołączyć...

A może właśnie wiedział. Może właśnie dlatego to robił. W końcu co takiego się stanie, jeśli ona odpuści sobie te ostrożności? Nic. Nic się nie stanie, bo obydwójce dali słowo.

- No, chodź - kusił tymczasem Noah. - Przecież zaraz się ugotujesz.

- Wiem. - Głos Mariel brzmiał defensywnie nawet dla jej własnych uszu.

- Od razu poczujesz się o niebo lepiej. Będziesz lepiej spała.

Nie, nie będzie. Nie będzie dobrze spała, dopóki Noah znów nie zniknie z jej życia i dopóki Amber nie wróci bezpiecznie do domu, a ona sama do Rockton, gdzie jest jej miejsce.

- Mariel, chodź - prosił, chlapiąc na nią wodą.

- Odczep się, Noah.

- A dlaczego? Nie jesteś już i tak zmoczona?

Znowu zaczął chlapać. Mariel uchyliła się zrećznie, ale i tak poczuła na policzku chłodne bryzgi. Roześmiała się.

- Boże, Noah, zachowujesz się jak uczeń.

- Bo pod pewnymi względami nim jestem - odpowiedział i wpatrzony w nią, podpłynął powoli, aż jego głowa znalazła się dokładnie poniżej miejsca, gdzie siedziała Mariel.

To spojrzenie przygoździło ją. Nie potrafiła odwrócić oczu.

- Niby co masz na myśli? - wyjąkała.

Wyciągnął ręce i ujął jej dłonie. Dotyk mokrej skóry zaparł Mariel dech w piersiach. Z trudem wciągnęła powietrze.

- Mam na myśli, że chłopcom w wieku szkolnym zwykle tylko jedno w głowie.

Nie umiała zdobyć się na ciętą odpowiedź. Świat zawirował jej przed oczami, ciało cierpiało udrukę pożądania. Noah pragnął jej. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziała, że łamie ich umowę i ona, Mariel, nie może już czuć się przy nim bezpieczna. Zresztą przestało jej na tym zależeć. Chciała tego samego i do diabła z konsekwencjami.

Delikatnie pociągnął ją za rękę, a jego głos stał się jeszcze bardziej pieszczotliwy.

- Chodź, Mariel. Woda jest cudowna.

Usilnie próbowała przypomnieć sobie argumenty, które zagubiły się gdzieś w wirze wspomnień sprzed lat.

- Mówiłam ci... Nie chcę zamoczyć ubrania - broniła się słabo.

- Więc je zdejmij.

Wyciągnął rękę i szarpnął za brzeg jej szortów.

- To tylko ja - powiedział cichym głosem.

- W tym właśnie sęk. - Czowała, jak cała drży pod dotknięciem jego dłoni. Spojrzała w dół. Kropelki chłodnej wody błyszczały na udzie, tuż przy skraju nogawki. Mariel przeszył dreszcz.

- Do licha, sam już nie wiem, co się ze mną dzieje. Jeśli chcesz, żebym przestał, przestanę.

Ale ona wcale tego nie chciała. Ogarnęło ją tak silne pragnienie jego bliskości, że nie pozostało już miejsca na racjonalne argumenty czy nawet na dalsze wahania. Niemal bezwiednie wyszeptała tylko dwa słowa, ale to wystarczyło Noahowi.

- Nie przestawaj.

Słyszała, jak wstrzymał oddech.

- Nie, zaczekaj. - Nagle z hukiem ruszyła lawina wspomnień i Mariel uświadomiła sobie, na jakie ryzyko o mało się nie narazili. Poczowała, jak narasta w niej wściekłość na samą siebie, że choćby na chwilę zapomniała, czym to grozi.

- Co się stało? - zapytał skonsternowany.

- Nie możemy, Noah. Nie możemy bez zabezpieczenia. Do diabła, czy ja w ogóle myślę?

Noah roześmiał się.

- Mam wszystko, czego nam potrzeba - oświadczył, sięgając po szorty i wyjmując z kieszeni małą paczuszkę w srebrnej folii.

Mariel zawtórowała mu śmiechem, beztróskim i pełnym ulgi. Nie było już nic, co mogłoby ją powstrzymać, żadnego powodu do wahania.

Zaczęła się rozbierać. Podwinęła koszulkę, ściągnęła ją przez głowę, odpięła szorty i zsunęła je z bioder. Pod spodem miała biały koronkowy staniczek i obszyte koronką figi. Rano, kiedy wybierała je na chybił trafił, z

pewnością nie przypuszczała, że Noah zobaczy ją w takim stroju. Teraz czuła na sobie jego palące spojrzenie i przez moment pożałowała, że nie może pokazać mu się w czymś jedwabnym i kuszącym. W gruncie rzeczy nie miało to jednak znaczenia, bo i tak po chwili uwolniła piersi ze stanika, wyslizgnęła się z majteczek i stanęła na brzegu naga.

Usłyszała długie westchnienie i nie była pewna, czy nie jej się ono wyrwało, dopóki nie spojrzała w dół i nie uświadomiła sobie, że to Noah. Wpatrywał się w nią z rozchyłonymi ustami, jak pogrążony w transie, i Mariel ogarnęło niejasne zdziwienie, że w ogóle nie jest tym zażenowana.

Nigdy nie czuła się tak przy Noahu, mimo nieśmiałości i braku doświadczenia. Jakimś cudem jego bliskość dodawała jej pewności siebie - i wiary w jego uczucia.

- Chodź - poprosił.

Zawahała się tylko przez chwilę. Potem, nie pozwalając, by rozsądek doszedł do głosu, zamknęła oczy i skoczyła do wody głową naprzód. Kiedy się wynurzyła, pierwszym odruchem Noaha było podpłynąć i wziąć ją w ramiona. Rozumiał, co to znaczy, że zdecydowała się przy nim rozebrać, ale próbował powściągnąć gwałtowne pożądanie, które ogarnęło go na widok jej nagiego ciała.

Zmusił się do cierpliwości. Chciał, by przywykła do chłodu wody i myśli o nieuniknionym rezultacie ich wspólnej kąpieli. Wiedział, że jeszcze chwilę temu Mariel wahała się, czy się nie wycofać, a zbyt mocno jej pragnął, żeby zaryzykować ponowną utratę.

Cokolwiek miało nastąpić po tej nocy - po tym interludium - należało złożyć na los szczęścia. Ale nie to.

Widział, jak przesunęła dłońmi po policzkach i oczach, żeby wytrzeć ściekającą wodę, jak odgarnęła z twarzy jedwabiste włosy. W świetle księżyca wyglądała prześlicznie, z ogromnymi oczyma i wychylającymi się z wody śmietankowobiałymi ramionami. Wyobraził sobie to, co pozostawało niewidoczne, i o mało nie jęknął. Tak bardzo jej pragnął. Od tak dawna...

Długie miesiące minęły od czasu, kiedy kochał się z Kelly, a całe lata, odkąd miało to prawdziwe znaczenie. Jeżeli nawet kiedyś przyszedł mu do głowy pomysł zaspokojenia wyłącznie potrzeb fizycznych, była to tylko przelotna myśl. Noah dobrze wiedział, że w rzeczywistości nie tego chce.

Utrzymał się na swoich pozycjach, w pełnym tych słów znaczeniu, poruszając w wodzie nogami, chociaż w miejscu, w którym się znajdował, nie było głęboko.

To Mariel podpłynęła. Zatrzymała się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego, a woda rozkołysana ruchem jej ciała drażniła i dręczyła jego wrażliwą skórę.

- Mariel, czy mogłabyś przysunąć się jeszcze bliżej? - wykrztusił z trudem.

Posłuchała. Popłynęła prosto w jego ramiona. Objął ją. Jego stopy stanęły mocno na dnie, gdy przytulał ją i całował.

Jęknął, a ona otworzyła usta i pozwoliła mu smakować siebie, badać miękki wewnętrzny brzeg warg i pieścić językiem język. Kiedy przycisnął ją do siebie, owinęła mu się nogami wokół pasa, tuż nad napiętym boleśnie członkiem. Trzymając w ramionach pozbawione wagi ciało, pochylił głowę i zbliżył usta do jej piersi. Pieścił sutek, aż zeszytywniał w pomarszczoną, twardą bryłkę, potem przesunął wargi na drugi. Mariel westchnęła, kurczowo wbijając mu palce w plecy. Kiedy zaczęła pocierać kroczeniem o jego brzuch, poczuł, że za chwilę oszaleje z pożądania.

- Nie mogę... Nie mogę...

Otworzyła oczy i poszukała wzrokiem jego twarzy.

- Nie możesz tego zrobić?

- Nie, do diabła, Mariel, nie mogę już dłużej czekać.

- Więc nie czekaj - szepnęła.

Ta zachęta zupełnie Noahowi wystarczyła. Podtrzymując pośladki Mariel, pociągnął ją w dół tak, że obsunęła się nieco, nadal oplatając nogami jego biodra, i wszedł w nią z jękiem rozkoszy. Czuł jej przyjazne ciepło i kontrastujący z nim chłód wody falującej wokół napiętego ciała przy każdym rytmicznym ruchu. To doznanie nie przypominało niczego, czego dotychczas doświadczał. Oderwał usta od warg Mariel, ukrył twarz w jej mokrych włosach i, zbliżając się do spełnienia, wdychał wilgotną ziołową woń szamponu.

Właśnie w chwili, gdy wiedział już, że dłużej nie wytrzyma, usłyszał jej głos.

- Tak, Noah, kończ - szepnęła i pogładziła go po czole.

I wtedy dał się ponieść, sięgając szczytu, rozpluwając się w niej białym gorącym, dysząc ciężko w jej ramionach, podczas gdy jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze.

- Przepraszam - wykrztusił, kiedy już mógł mówić, chociaż z trudem jeszcze łapał powietrze. - Ty nie...

- Wszystko w porządku - przerwała mu.

- Już tak dawno... - próbował się tłumaczyć.

- Piętnaście lat, Noah.

Nie to chciał powiedzieć. Myślał o czasie, który minął, odkąd w ogóle ostatni raz to robił. I nagle uświadomił sobie, że nie w tym rzecz. Nawet gdyby w ciągu ostatnich piętnastu lat co noc kochał się namiętnie z inną kobietą, teraz równie rozpaczliwie pragnąłby Mariel i nie potrafiłby poskromić pożądania.

Spojrzał na nią i dostrzegłszy lekki uśmiech, czule pocałował ją w usta. A ona nie przestawała się uśmiechać.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O tym, że w tym momencie nic innego nie ma znaczenia - odparła, przesuwając koniuszkami palców po jego policzku, śladem spływającej kropelki wody. - Nic innego nie ma znaczenia. Zupełnie jakby świat kończył się za tą leśną ścieżką, jakby nie istniało żadne inne miejsce poza tym jeziorkiem, jakbyśmy mieli zostać tu na wieki, a słońce nigdy już nie miało wzejść.

Ale nie zostaniemy tu i słońce wszędzie. Czują, jak ogarnia ją pustka, więc zmusiła się, żeby odegnać melancholijne myśli. Słusznie. Liczyła się tylko ta noc.

Jeszcze zdążą się pomartwić o resztę - o wszystko - jutro rano.

Rozdział 7

W poniedziałek rano obudził Mariel natarczywy dźwięk telefonu.

Półprzutomna, przewróciła się na drugi bok i znalazła twarzą w twarz z Noahem.

W tym samym momencie zwały się na nią wspomnienia ubiegłej nocy. Przypomniała sobie, jak kochali się w jeziorze, a potem wrócili do hotelu, tylko po to, żeby nie traciąc czasu rozebrać się nawzajem i rzucić do łóżka.

Czyjego?

Rozejrzała się. Dostrzegła tapetę w żółte różyczki i kremowe zasłony. A więc do jego łóżka. Byli w pokoju Noaha. Z czego wniosek, że to jego telefon i że to on powinien odebrać.

Noah też najwyraźniej doszedł do tego wniosku.

- Tak? - Podniósł słuchawkę, leniwie się przeciągając.

Zauważyła, jak po chwili oczy zwięzły mu się, a dłoń zacisnęła mocniej. Widząc tę zmianę, nie miała już złudzeń, że nadszedł rano, a wraz z nim rzeczywistość, która zburzy ich idyllę, dokładnie tak jak to przeczuwała.

- Kiedy? - rzucił ostro Noah. Po czym dodał: - Świetnie. Ja również chciałbym pana spytać o parę spraw.

Zapadła cisza. Po chwili Noah znowu się odezwał:

- Proszę się o to nie kłopotać. Zawiadomię ją.

Odłożył słuchawkę i wyskoczył z łóżka. Stał nagi, spoglądając w dół na Mariel, a ona mimo zmiany nastroju poczuła przypływ pożądania.

- Kto to był? - zapytała.

- To - zaczął, przechodząc w drugi koniec pokoju, gdzie ze stojącej na podłodze walizki wyciągnął podkoszulek - to był prywatny detektyw, którego wynajęli Steadmanowie, żeby odnalazł Amber.

Mariel spojrzała na Noaha wielkimi oczami.

- A czegoż on chciał od ciebie?

- Szukał nie tylko mnie. Życzy sobie porozmawiać również z tobą. Miał zamiar zatelefonować do twojego pokoju, ale mu powiedziałem...

- Wiem, wiem. Słyszałam. - Usiadła, podciągając jasnożółte prześcieradło, żeby zasłonić piersi. - I o ile się nie mylę, umówiłeś się z nim.

- Zgadza się. Za godzinę spotkamy się w restauracji na śniadaniu. - Włożył podkoszulek.

Właśnie. Ich nagość była już wystarczająco osłonięta. Koniec z gołym ciałem, którego widok odrywałby myśli od najważniejszej sprawy albo ludził, że byli tu razem z jakiejś innej przyczyny niż poszukiwanie zaginionej córki.

- Czego on może chcieć? - Starła się skupić uwagę na zbliżającym się spotkaniu.

- A jak sądzisz? - Noah wydobyl z walizki przybory do golenia, bokserki i krótkie spodnie. - Wezmę teraz prysznic. To nie potrwa długo.

- Pójdę do siebie po moje rzeczy. Zastukaj, kiedy łazienka będzie wolna.

- Dobrze.

Wyszedł, zostawiwszy Mariel w łóżku, z poduszką pod plecami i zamęt w głowie.

Zaledwie parę godzin temu leżeli tu razem, okryci ciemnością, spleceni ramionami, kochając się znowu i znowu, kiedy jedno uniesienie stapiało się z następnym. Nie istniało nic poza nimi; ani nieubłagany upał, który sprawiał, że ich ciała były śliskie od potu, a prześcieradła wilgotne, ani fakt, że wykradali przeszłości zapomniane wspólne chwile, udając, że to zwykła wlej rzeczy.

Teraz Mariel nie mogła już dłużej udawać. Przyszedł czas, żeby zmierzyć się z rzeczywistością. Pozwolić na wkroczenie w ich sam na sam intruzowi, który niewątpliwie zechce zgłębiać powiązania Amber Steadman z jej biologicznymi rodzicami.

Dopiero teraz dotarło do Mariel znaczenie słów Noaha. Przycisnęła do ust drżącą pięść. Steadmanowie wynajęli prywatnego detektywa.

Czy oznaczało to, że nie wierzyli w słuszność przyjętego przez policję założenia, że Amber opuściła dom z własnej woli? Podejrzewali zbrodnię? Widzieli większe prawdopodobieństwo porwania niż ucieczki?

Sparaliżowana strachem, Mariel wyrzucała sobie nocne godziny zapomnienia. Przyjechała tu, żeby odnaleźć córkę i kropka. A tymczasem balowała po restauracjach, upijała się koktajlami, baraszkowała w jeziorze z kochankiem, zupełnie jakby to były długo odkładane wakacje, jakby czekała ją jakaś przyszłość z mężczyzną,

którego do niedawna w ogóle nie spodziewała się zobaczyć - nie chciała widzieć.

Cóż, trzeba z tym zrobić porządek. Nigdy więcej nie stracę kontroli nad sobą, przyrzekła sobie, wyslizgując się z łóżka. Narzuciła zmiętoszoną odzież i ruszyła korytarzem w stronę swego pokoju.

- Henry Brando - przedstawił się ciemnowłosa, zdumiewająco młody mężczyzna, który na widok Mariel i Noaha podniósł się zza stolika w odległym kącie sali.

- Cóż, wie pan, kim jesteśmy - powiedział Noah, lustrując detektywa szybkim spojrzeniem. Henry Brando w najmniejszym stopniu nie przypominał znanego z filmów stereotypowego łapsa, w zmiętym ubraniu i z cygarem w zębach. Był starannie ogolony, schludny i, mimo panującego na dworze upału, ubrany w elegancką koszulę i długie spodnie.

Noah tego ranka włożył prosty biały T-shirt i szorty w kolorze khaki, Mariel natomiast miała na sobie czerwoną sukienkę bez rękawów, a do tego sandały. Tym razem spięła włosy na czubku głowy i tylko gdzieś tam spod wsuwek wymykały się niesforne kosmyki. Noaha za każdym razem, gdy na nią spoj rżał, kusilo, żeby je odgarnąć.

Wyciągnął rękę, chcąc odsunąć krzesło dla Mariel, ale Henry Brando go ubiegł. Dostrzegł pełne uznania spojrzenie, jakim detektyw obrzucił jego towarzyszkę, i zmusił się, by zwalczyć piekące uczucie zazdrości. Boże, a czego się spodziewał? W końcu Mariel wyglądała niezwykle pociągająco - tak pociągająco, że sam nie potrafił się jej oprzeć.

Ale będzie musiał, pomyślał. Nie może sobie pozwolić, by poniosły go emocje właśnie teraz, gdy ostatecznie ma się uwolnić od niszczącego zamętu małżeństwa. A w dodatku, odkąd tego ranka zawiadomił telefonicznie agencję, że jest chory i nie pojawi się w pracy, jego posada zawisła na włosku.

Nie był pewien, czy David Grafton uwierzył w opowieść o zatruciu nieświeżymi skorupiakami. Raczej nie. A nawet jeśli przyjął to kłamstwo za dobrą monetę, oczekiwał, że jego podwładny upora się ze swymi kłopotami niezwłocznie. Na przykład, do jutra.

Jednak nic na to nie wskazywało. Trzeba było wymyślić jakąś chorobę, która trwa co najmniej kilka dni... Albo powiedzieć prawdę.

Dlaczego nie powiedział Davidowi prawdy? Bo nigdy z nikim nie rozmawiał o Amber. Nawet z Kelly czy z matką. Żadna z nich nie wiedziała, że miał córkę, którą oddał do adopcji. Tym bardziej nie mówił o tym przyjaciółom. Teraz sam nie wiedział czemu. Mogłoby mu to przynosić ulgę przez te wszystkie lata. A może pogłębiałoby tylko ból i tęsknotę.

W każdym razie nie miał najmniejszej ochoty informować Davida, że znajduje się o cztery godziny drogi od Nowego Jorku, ponieważ szuka swojej zaginionej córki. Nie powie mu ani słowa, dopóki nie będzie musiał ratować zagrożonej posady. W agencji reklamowej nie były przyjęte telefoniczne zawiadomienia o chorobie - zwłaszcza przy ogromnej liczbie zamówień i wymagających klientach, którzy nie pozwalali zapomnieć o sobie przez siedem dni w tygodniu, po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Noah już kilkakrotnie bywał w ostatniej chwili proszony o odłożenie urlopu.

Kelly wcale to nie irytowało, co zrozumiałe, zważywszy na jej podejście do pracy i całkowite poświęcenie karierze zawodowej, a przede wszystkim na fakt, że sama - w większym czy mniejszym stopniu - spowodowała, że Noah trafił do świata reklamy. Za pierwszym i drugim razem zmieniła własne plany, tak że mogli wspólnie spędzić wakacje w późniejszym terminie. Ale nieco ponad rok temu, kiedy sytuacja się powtórzyła, Kelly poinformowała męża, że nie może przesunąć urlopu i zamierza jechać bez niego. Poleciała do St. Thomas, a tymczasem Noah codziennie przez sześć kolejnych dni szarpał się po godzinach z nową kampanią reklamową. Ostatecznie klient odrzucił jego projekt, decydując się na powrót do pierwotnej koncepcji dosłownie na kilka godzin przed tym, gdy na La Guardia wylądował samolot, z którego wysiadła Kelly z bajeczną opalenizną i walizką pełną suvenirów.

Wykańczająca robota.

- Nie siada pan? - uprzejmie zaprosił Henry Brando. Dopiero teraz Noah zdał sobie sprawę, że jako jedyny z ich trójki nadal stoi.

Zajął miejsce koło Mariel i uważnie spojrzał przez stół na detektywa, przed którym stała filiżanka parującej czarnej kawy, a tuż obok leżały trzy karty dań. Czyżby facet wyobrażał sobie, że w takich okolicznościach będą mieli ochotę się objadać? W każdym razie on całkiem stracił apetyt.

Jakby na przekór jego myślom przy ich stoliku pojawiła się kelnerka. Wyglądała absolutnie stereotypowo, od rudej fryzury po różowy uniform, biały fartuszek i zatknięty za uchem długopis, który teraz wyciągnęła i trzymała gotowy nad bloczkiem zamówień.

Czym mogę państwu służyć? - zapytała.

- Poproszę kawę - powiedziała Mariel.

- Ja to samo.

Henry Brando oddał wszystkie trzy egzemplarze menu.

- Dziękujemy.

Kiedy tylko kelnerka się oddaliła, Noah przystąpił do rzeczy, zanim detektyw miał szansę zaatakować pierwszy.

- Powiedział pan, że pracuje dla Steadmanów. Kiedy pana zatrudnili?

- Drugiego dnia policyjnego śledztwa - odparł Brando. - Kiedy zorientowali się, że gliny uważają tę sprawę za przypadek ucieczki i bazują na założeniu, że Amber zniknęła z własnej woli i sama wróci, i to raczej wcześniej niż później.

- A pan myśli, że zdarzyło się coś innego? - spytała Mariel załamującym się głosem.
Brando wzruszył ramionami.

- Oni myślą, że zdarzyło się coś innego. A co pan na ten temat sądzi, panie Lyons?
Noah spojrział mu w oczy.

- Ja sądzę, że lepiej, żeby pan robił wszystko, co w pana mocy, żeby odnaleźć ich córkę, panie Brando.

- Dlatego właśnie zaprosiłem oboje państwa na dzisiejsze spotkanie. - Detektyw pomieszał kawę i skosztował łyżeczek, obdarzając teraz całą uwagą Mariel. - Powiedziała pani Steadmanom, że otrzymała e-mail od ich córki. Czy mógłbym rzucić na niego okiem?

Mariel potrząsnęła głową.

- Usunęłam go.

Zapadła martwa cisza, a po chwili Brando powtórzył:

- Usunęła go pani? Dostała pani wiadomość od dawno utraconej córki, którą zaraz po urodzeniu oddała pani do adopcji, i tę wiadomość pani usunęła?

Mariel wbiła wzrok w swoje dłonie i skinęła głową. W tym momencie Noah zapragnął objąć jej opuszczone nagle ramiona, żeby ją pocieszyć, ale instynktownie powstrzymał ten odruch. Im mniej Henry Brando widział z tego, co działo się między nimi, jakkolwiek by to nazwać, tym lepiej.

Kiedy Mariel znowu podniosła oczy na detektywa, jej spojrzenie było zdecydowane. Niemal wyzywające, pomyślał Noah, nie mogąc się powstrzymać od uczucia podziwu.

- Usunęłam ten list, bo nie chciałam, żeby ktoś z mojej rodziny natknął się na niego - wyjaśniła spokojnie. - Nikt nie wiedział, że kiedy studiowałam w college'u, zaszłam w ciążę i urodziłam dziecko.

- Nigdy nie powiedziała pani o tym rodzicom?

- Mój ojciec jest pastorem. Miałam wtedy osiemnaście lat. Nie.

- Więc to była tajemnica, którą obydwójce zachowaliście przez te wszystkie lata? A co z panem, panie Lyons? Czy zwierzył się pan komuś z rodziny?

- Mam tylko matkę - odparł Noah. - Nie, nigdy jej o tym nie mówiłem.

- A co ze współmałżonkami? Czy któreś z państwa kogoś poślubiło?

- Ja - powiedział Noah, podczas gdy Mariel tylko przecząco potrząsnęła głową. - Ale to już przeszłość.

- I nigdy nie powiedział pan żonie, że miał pan córkę?

- Nie, nigdy.

Detektyw przyglądał mu się bacznie przez dłuższą chwilę. Noah zmusił się, żeby nie spuścić oczu. Wreszcie Brando zapytał, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego z nich:

- Czy macie państwo jakieś podejrzenia, kto mógłby chcieć uprowadzić państwa córkę albo zrobić jej krzywdę?

- Ona nie jest naszą córką - odparła Mariel. - Nie jest naszą, odkąd przekazaliśmy ją w ręce ludzi z agencji adopcyjnej w dniu, w którym przyszła na świat.

- Nic nie wiemy o jej życiu - dodał Noah. - Nie mieliśmy z nią żadnego kontaktu od chwili, kiedy ją oddaliśmy. - I nigdy nie próbowali państwo dowiedzieć się, gdzie mieszka, sprawdzić, co się z nią dzieje? - nie ustępował Brando.

Obydwójce pokręcili głowami.

- A ona nie skontaktowała się z panem, panie Lyons? Jedyne z panią Rowan?

- Nie, ze mną nie. - Zabolało. Nic na to nie mógł poradzić. Gdyby tylko Amber Steadman odezwała się do niego, to on...

Co on? Postąpiłby inaczej niż Mariel? Zdołałby ochronić córkę przed tym, co jej się przydarzyło?

- Jak to się stało, że obydwójce państwo pojawili się w Strasburgu i w Valley Falls? - spytał obcesowo Brando, po czym zręcznie zmienił temat, kiedy do stolika podeszła kelnerka, żeby dolać im kawy.

Noah zerknął na Mariel, czekając, aż odpowie na zadane przed chwilą pytanie. W końcu to ona przyjechała tu pierwsza i w gruncie rzeczy wezwała go.

Mariel powtórzyła więc to, co uprzednio opowiadała już Noahowi - że chciała odpowiedzieć na e-mail Amber osobiście, wiedząc, że dla dziewczynki w tym wieku odkrycie matki, która ją urodziła, może być wielkim wstrząsem emocjonalnym.

- A więc tylko przypadek sprawił, że przyjechała pani tutaj akurat wtedy, kiedy Amber zniknęła, pani Rowan?

- Przyjechałam w tydzień później, panie Brando - poprawiła go Mariel zwięźle. - I nie miałam nic wspólnego z jej zniknięciem, jeśli to chciał pan zasugerować.

Brando, ignorując jej słowa, zwrócił się do Noaha, który mieszał właśnie kawę ze śmietanką.

- A w jaki sposób pan się tu znalazł, panie Lyons?

- Mariel skontaktowała się ze mną, kiedy odkryła, co się stało.

- Rozumiem z tego, że państwo utrzymują bliskie stosunki przez te wszystkie lata?

- Nie, nie - zaprzeczył szybko Noah unisono z Mariel. - Nie widzieliśmy się od dnia, kiedy oddaliśmy dziecko.

- Dlaczego?

Zupełnie proste pytanie. Tylko że nie było na nie prostej odpowiedzi. I znowu Noah pozostawił wyjaśnienia Mariel.

- Wróciłam w rodzinne strony - odparła, wzruszając ramionami. - Żyłam swoim życiem. Noah swoim. Po prostu... nasze drogi się rozeszły.

Detektyw przez chwilę rozważał jej słowa, po czym zmienił temat:

- Co państwo sądzą o Steadmanach?

Noah wydawał się kompletnie zaskoczony.

- Co pan przez to rozumie?

- Co? Na przykład, czy uważają państwo, że okazali się odpowiednimi rodzicami? Czy spodobało się wam to, co zobaczyliście w Valley Falls? Czy Steadmanowie są takimi ludźmi, jak wyobrażali to sobie państwo, oddając im przed laty córkę?

Jak odpowiedzieć na takie pytania? Noah nie pamiętał już, co sobie wtedy wyobrażał. Zapewne powracał do utraconych marzeń o tym, jak wszystko mogłoby się ułożyć - o szczęśliwym życiu rodzinnym z żoną i dzieckiem.

- W tych okolicznościach trudno ich oceniać - Mariel wyraziła wątpliwości obojga. - Są teraz w stanie ogromnego napięcia.

- To prawda - zgodził się Brando. - Zaginięcie Amber i separacja to dla nich wyjątkowo ciężkie przeżycia...

- Separacja? - zawołał Noah z niedowierzaniem, wlepiając wzrok w detektywa. - Postanowili się rozstać, kiedy ich córka zniknęła?

Spojrzał na Mariel, która wyglądała na równie zdumioną.

- Przedtem - sprostował detektyw. - Zdecydowali się na separację około dwóch miesięcy temu.

- Dlaczego? - Noah nagle przypomniał sobie drobiazgi, na które nie zwrócił większej uwagi, kiedy wczoraj z Mariel odwiedzili Valley Falls. Ani razu nie zauważył, żeby Steadmanowie próbowali dodać sobie nawzajem otuchy. Starali się nie dotykać i prawie na siebie nie patrzyli. To wiele mówiło. Oczyma wyobraźni zobaczył siebie i Kelly. Znał te wszystkie oznaki rozpadu małżeństwa, a mimo to nie nabrał podejrzeń.

- Nic mi o tym nie wiadomo - zwięźle odparł Henry Brando.

Noah nie mógł w to uwierzyć. Robota detektywa wymagała, żeby facet wiedział, co w trawie piszczy i wykopał ile się da również o ludziach, którzy go wynajęli.

- Jakie są teraz pani plany, skoro nie wyszło to, po co pani przyjechała? - zwrócił się Brando do Mariel.

- Mam zamówiony lot na jutro rano, ale zamierzam odwołać rezerwację i zostać jak najdłużej - odparła szczerze.

- Chciałabym na własne oczy zobaczyć, że Amber bezpiecznie wróciła do domu.

- I jaką rolę spodziewa się pani odgrywać w jej życiu?

Mariel zawahała się.

- Nie sędzę, żebym spodziewała się odgrywać w jej życiu jakąś rolę - powiedziała w końcu. - Chcę tylko mieć pewność, że nic się jej nie stało.

- A pan, panie Lyons?

- Ja dokładnie tak samo - odpowiedział, choć naprawdę pragnął obu tych rzeczy.

Pragnął jednak niemożliwego. Chciał zmienić wszystko, co wydarzyło się od tego dawno minionego dnia, kiedy test ciążowy wykazał, że będą mieli dziecko. Chciał mieć Mariel za żonę, a Amber za córkę. Chciał mieć taką rodzinę, jaką zawsze sobie wyobrażał.

Rodzinę, która rzeczywiście istniała przez krótką chwilę w tamtym szpitalnym pokoju, zanim przeznaczenie unicestwiło ją i zepchnęło w niepamięć.

Zachmurzyło się. Powietrze było aż gęste od wilgoci, tak że Mariel jeszcze po dwudziestu minutach w klimatyzowanym wnętrzu wynajętego samochodu czuła się przemoczona do nitki. Pożyczony od Danny'ego wóz nie miał klimatyzacji, więc uparła się, że tym razem to ona będzie kierowcą, a Noah wyjątkowo szybko ustąpił. Mariel dobrze wiedziała, dlaczego zwykle wolał sam prowadzić. Już w czasach college'u był typem staroświeckiego dżentelmena. Otwierał przed Mariel drzwi, a kiedy jej towarzyszył na ulicy, szedł od strony krawężnika. Przyzwyczał się opiekować matką i w ten sam sposób traktował swoją dziewczynę.

Można by sądzić, że musiało ją to irytować, kiedy była osiemnastoletnią studentką, zważywszy na jej niezależną naturę i silne pragnienie, by po latach spędzonych pod opieką kochających rodziców zyskać samodzielność.

Ale ona nigdy nie miała nic przeciwko pełnym galanterii manierom Noaha. Już wtedy ją oczarowały, podobnie było teraz.

Nie oznaczało to jednak, że chciała zrezygnować z prowadzenia samochodu. Albo że zmieniła postanowienie, żeby nie wikłać się znowu w romans, za czym przemawiał rozsądek, nawet jeśli ciało ją zdradzało, gdy tylko wzrokiem napotykała spojrzenie Noaha. Na samo wspomnienie pieszczot, którymi obdarzył ją ostatniej nocy, przeszły ją ciarki.

- Jesteśmy na miejscu. - Głos Noaha wyrwał Mariel z zamyślenia.

Tuż przed sobą po prawej stronie ulicy ujrzała piętrowy budynek z czerwonej cegły. Szkoła średnia w Valley Falls. Mariel zwolniła i wjechała na krawężnik naprzeciwko głównej bramy.

- Letnie kursy najwyraźniej ruszyły pełną parą - stwierdziła na widok gromadki uczniów wraz z nauczycielem siedzących w kółku na rozległym frontowym trawniku, z podręcznikami na kolanach.

- Musi tu być ktoś, kto nam udzieli jakichś informacji o Amber - powiedział Noah, sięgając już do klamki, mimo że dopiero wjeżdżali na parking. - Chodźmy.

- Nie możemy im przerywać lekcji - zastopowała go Mariel, regulując klimatyzację tak, żeby strumień chłodnego powietrza dmuchał prosto w twarz. Miała nadzieję, że w ten sposób trochę przeschną jej włosy. - Wątpię też, czy możemy tak po prostu, bez zapowiedzi, wejść do szkoły.

- W porządku, więc co robimy?

- Musimy poczekać, aż skończą lekcje, a potem postaramy się złapać któregoś z nauczycieli albo ucznia wyglądającego na rówieśnika Amber.

- A jak długo, twoim zdaniem, będziemy czekać? - spytał Noah, opadając znów na oparcie fotela.

- Sadzę, że niezbyt długo. Letnie kursy trwają zwykle pół dnia, a już minęło południe.

- Zapomniałem, że jesteś belfrem - uśmiechnął się. - Ale im więcej czasu z tobą spędzam, tym łatwiej jest mi sobie ciebie wyobrazić w klasie, na katedrze.

- Staram się zgadnąć, czy to miał być komplement - roześmiała się Mariel.

- Owszem.

Ich oczy spotkały się i Mariel szybko odwróciła wzrok. Włączyła radio, czując nagle potrzebę zagłuszenia ciszy. Bawiła się przełącznikiem programów, przeskakując od romantycznej ballady Mariah Carey do starego klasycznego rocka Steely Dan. Nagle przypomniała sobie, że Noah to uwielbiał i że kiedyś kochali się w jego pokoju właśnie przy tej piosence.

Czy on to pamiętał? Czy myślał teraz o tym?

- Może raczej powinniśmy poczekać na zewnątrz - zaproponowała, stukając nerwowo palcami w kierownicę.

- Żartujesz? Roztopimy się. Na dworze jest koszmarnie.

- Tym dzieciakom najwyraźniej to nie przeszkadza.

- Bo w klasach pewnie jest jeszcze goręcej - odparł Noah. - Zobacz, wszędzie są pootwierane okna. Szkoła widocznie nie ma klimatyzacji.

Mariel skinęła głową.

Zapadło milczenie.

- A twoja szkoła jest klimatyzowana?

Mariel uświadomiła sobie, że Noah za wszelką cenę próbuje podtrzymać rozmowę. Stara piosenka najwyraźniej też obudziła w nim wspomnienia. A może to zbyt nia zarozumiałość? Przecież naprawdę nie wiadomo, co on czuje i czy ostatnia noc nie była dla niego wyłącznie fizycznym, a nie - jak dla niej - również emocjonalnym przeżyciem. Nie rozmawiali o tym, co się między nimi wydarzyło, ani wtedy, ani tym bardziej rano, podczas pięciominutowego spaceru z hotelu do restauracji.

I omijali ten temat teraz. Bo cóż tu było do powiedzenia?

Poinformowała go więc, że w jej szkole nie ma klimatyzacji, a potem zaczęli omawiać pogodę. Mariel o mały włos nie wyrwała się tęskna uwaga, jak miło byłoby wskoczyć do basenu. A przecież właśnie chęć kąpieli wpędziła ją wczoraj w kłopoty.

Wszystko wskazywało jednak na to, że cokolwiek by zrobiła, choćby bardzo się starała, nie potrafiła uniknąć pełnych pożądania myśli o Noahu. Szaleństwa ostatniej nocy nie zaspokoily żądz, uspięnej przez ponad dziesięć lat. Raczej rozbudziły niepohamowany apetyt, który nie sposób było zignorować.

W końcu uczniowie podnieśli się z trawnika i zniknęli w budynku. Kilka minut później frontowe drzwi szkoły stanęły otworem i zaczął z nich powoli wypływać strumień nastolatków.

- Wreszcie skończyli - ucieszył się Noah, otwierając drzwiczki. - Chodź.

Mariel wysiadła z samochodu. Od razu uderzyła w nią fala gorącego, wilgotnego powietrza. Niebo nad ich głowami było całkiem szare.

- Chyba będzie padać - stwierdziła.

- Nie przed wieczorem.

- A skąd wiesz?

- Rano, kiedy czekałem w hallu, aż zejdziesz, uciąłem sobie pogawędkę z Susan.

Mariel uśmiechnęła się w duchu. Przypomniała sobie, jak trzy dni temu recepcjonistka nieomylnie przepowiedziała falę upałów. Starsza pani musi spędzać masę czasu, śledząc w telewizji prognozy pogody, pomyślała jeszcze, zanim zmusiła się, by skierować uwagę na sprawę, dla której tu przyjechali.

Spodziewała się, że napotkają poważne trudności, próbując znaleźć kogoś z personelu szkoły, kto zechce z nimi porozmawiać. Jednak, ku jej zdumieniu, trafili w dziesiątkę już za pierwszym razem, kiedy zaczęli wychodzącą z budynku nauczycielkę w średnim wieku. Kobieta ścisnęła pod pachą charakterystyczny czarny notes. Jej głowę okalały krótkie, kręcone ciemne włosy. Ubrana była w obcisłą bluzeczkę bez rękawów, przypominającą sarong

spódnicę do ziemi i sandały, a z uszu zwisały jej kolczyki. Najwyraźniej nie należała do osób staromodnych, co Mariel uznała za dobry znak.

Kiedy ją zagadnęli, powiedziała, że nazywa się Patricia Gray, uczy w tej szkole i tak, oczywiście, zna Amber Steadman.

Nagle wyraz twarzy pani Gray z przyjaznego zmienił się w czujny.

- Jesteście reporterami?

- Nie, właściwie jesteśmy...

- Przyjaciółmi rodziny - przerwała Noahowi Mariel. Nie miała pojęcia, czy było powszechnie wiadomo, że córka Steadmanów jest dzieckiem adoptowanym. Była też ciekawa, czy Amber wiedziała o tym przez całe życie, czy też odkryła prawdę dopiero ostatnio. Gdyby natknęła się na dokumenty adopcyjne przez przypadek, niewątpliwie poczułaby się oszukana przez przybranych rodziców. Ale czy aż tak nieszczęśliwa, żeby uciec z domu?

- Jesteśmy bliskimi przyjaciółmi państwa Steadmanów - przejął pałeczkę Noah - i niepokojmy się, czy policja zbadała wszystkie możliwości. Pomyśleliśmy, że jeśli skontaktujemy się z ludźmi, którzy znali Amber... a pani mówi, że ją znała?

- Tak, znam Amber Steadman - odpowiedziała nauczycielka. Czas teraźniejszy, którego użyła, zabrzmiał zgrzytem w uchu Mariel, która dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Noah mówił o Amber w czasie przeszłym, zupełnie jakby... Nie. Nie wolno tak myśleć.

- Czy pani uczy w jej klasie? - zwróciła się do Patricii Gray.

- Owszem, w tym roku miałam z nimi angielski, a zeszłej jesieni Amber występowała w przedstawieniu muzycznym, które nasi uczniowie wystawiali pod moim kierunkiem. Grała Dolly Levi.

- W *Hello, Dolly*? - Mariel rozpromieniła się. Był to jeden z jej ulubionych musicali. Kiedyś wystąpiła w nim jako Irene Malloy, w czasach gdy sama jeszcze chodziła do szkoły średniej.

Ogłuszyła ją świadomość, że Amber mogła odziedziczyć jej talent muzyczny. Przypomniała sobie fortepian w salonie Steadmanów i przez chwilę niechętnie zastanawiała się, czy Carl i Joanne dbali o rozwój zdolności córki. Nie to, że wołałaby, żeby nie zachęcali Amber...

Nie, powinna być zadowolona. Ci ludzie mogli jej zapewnić lekcje muzyki i zbiory nut. Ale Mariel nic nie potrafiła na to poradzić, że też chciała mieć jakąś zasługę, chciała wierzyć, że Amber po niej odziedziczyła coś dobrego - taki prezent od matki.

- Ona jest bardzo zdolna - opowiadała nauczycielka. - I ma talent komiczny. Wszystkich potrafiła rozśmieszyć.

- To cudownie - wyrwało się Mariel.

- Więc Amber była... jest szczęśliwym dzieckiem? - spytał Noah.

Pani Gray nie odpowiedziała od razu, jakby musiała się zastanowić.

- Na tyle, na ile mogę to ocenić, była szczęśliwa - odparła. - Ale pod koniec roku szkolnego stała się jakaś przygaszona. Doszły mnie słuchy o separacji jej rodziców i tym sobie tłumaczyłam tę zmianę.

Mariel potakująco skinęła głową. O tym samym myślała, odkąd Henry Brando wspomniał o rozstaniu Steadmanów. Rozpad rodziny mógł być dla nastolatki powodem ucieczki z domu. Tłumaczył również próby odnalezienia biologicznej matki.

- Czy przychodzi pani na myśl cokolwiek, co by wskazywało, że Amber znalazła się w tarapatach? - zapytał Noah. - Narkotyki, złe towarzystwo...?

- Nie. - Nauczycielka stanowczo potrząsnęła głową. - Jedyne nałóg, któremu się oddawała, to surfowanie po Internecie. Spędzała w sieci mnóstwo czasu, w czatach albo wysyłając e-maile do przyjaciół. Wiem, bo często na ten temat mówiła. Zawsze wspominała, jeśli zobaczyła czy przeczytała coś ciekawego. Pisała nawet dla mnie esej o terapeutycznych skutkach robienia zakupów za pomocą Internetu - dodała z uśmiechem.

Mariel też się leciutko uśmiechnęła, bo wiedziała, że tego się od niej oczekuje, ale jej umysł pracował na pełnych obrotach. Z Internetu obficie korzystali wszelkiego rodzaju zbrojeńcy żerujący na naiwności nastolatków. Czy Amber padła ofiarą jednego z nich?

- Więc, pani zdaniem, była po prostu normalnym dzieckiem? - indagował dalej Noah.

- Jak najbardziej. To samo powiedziałam policji. Niczego więcej nie zdołałam zauważyć, oprócz tego, że ostatnio Amber zrobiła się bardziej wyciszona i zamknięta w sobie. Ale nie sądzę, żeby było w tym coś niezwykłego, skoro właśnie rozpadło się małżeństwo jej rodziców. Z drugiej strony jednak jestem dla niej tylko nauczycielką. A nauczyciele widzą tyle, ile pozwalają im dostrzec uczniowie. Jestem pewna, że przyjaciółki Amber potrafią rzucić znacznie więcej światła na to, co wydarzyło się w jej życiu, zanim zaginęła.

- Tego miało właśnie dotyczyć moje następne pytanie - powiedział Noah. - Jak nazywają się jej najbliższe koleżanki? Chcielibyśmy z nimi też porozmawiać.

- Najlepszą przyjaciółką Amber jest Sherry Leaman. Sherry i Nicole Wise. Przez cały ten rok zawsze jadały razem lunch.

- Jak możemy się z nimi skontaktować? - włączyła się do rozmowy Mariel, przypominając sobie, że na oba te nazwiska natrafili, kiedy wczoraj wieczorem wertowali w bibliotece prasę i materiał z Internetu.

- Nicole pracuje w łodziach u wylotu pasażu na drogę numer 182.

- A Sherry?

- Nie jestem pewna. Kiedyś podczas dyżuru w pokoju śniadaniowym słyszałam, jak mówiła, że latem jedzie na obóz, gdzieś w Catskills, więc nie wiem, czy państwo zdołają ją odnaleźć. Ona nie jest moją uczennicą; niewiele potrafię o niej powiedzieć.

- Czy mogłaby pani zajrzeć do akt personalnych i podać nam jej domowy adres? Jej i Nicole? - poprosił Noah. Mariel wiedziała, jaką otrzyma odpowiedź, jeszcze zanim nauczycielka zdążyła otworzyć usta.

- Przykro mi. - Głos Patricii Gray brzmiał nieco mniej przyjaźnie niż przed chwilą. - Akta szkolne są poufne.

- Rozumiemy - zapewniła ją Mariel. - I tak bardzo nam pani pomogła.

- Mam nadzieję, że Amber wkrótce się znajdzie - odparła nauczycielka, wyraźnie zmartwiona. - Bardzo mi się to wszystko nie podoba. Boję się o nią, odkąd usłyszałam, że zniknęła.

- Więc nie myśli pani, że Amber uciekła z domu?

- Sama już nie wiem, w co wierzyć. Nawet jeśli rzeczywiście uciekła, nie wiadomo, czy jest bezpieczna. Mój brat jest gliną w Vegas. Na ulicy przydarzają się nastolatkom najrozmaitsze straszne rzeczy.

Mariel poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Dziękujemy za pomoc, pani Gray - powiedziała, ściskając dłoń nauczycielki, po czym obydwój z Noahem ruszyli z powrotem na parking.

- Nicole nie pojawi się przed szóstą. Dzisiaj pracuje aż do zamknięcia - poinformowała stojąca za kontuarem nastolatka w stroju kelnerki, przerywając na chwilę wyskrobywanie z pojemnika resztek lodów, co robiła z po-dziwu godną dokładnością.

Noah odwrócił się do Mariel.

- To jeszcze ponad dwie godziny - stwierdził, zerknąwszy na zegarek. - Co chcesz zrobić?

- Przede wszystkim zjem coś dobrego - odparła, przyglądając się, jak dziewczyna polewa gorącym karmelem porcję, którą umieściła w tekturowej miseczce. - Potem muszę znaleźć telefon i odwołać rezerwację na samolot.

- Jak dla mnie, lody mogą być - oświadczył Noah, uświadamiając sobie, że niczego jeszcze dziś nie jadł.

Do tej pory zupełnie nie miał apetytu. Najpierw rozmowa z detektywem, potem z panią Gray, a do tego narastający lęk o Amber i niepokój, który rodziła bliskość Mariel. To niemal wystarczało, żeby zaczął żałować, że Mariel się z nim skontaktowała i powiadomiła go o zaginięciu ich córki. Właściwie znajdował coś pociągającego w trwającym całe lata stanie zapomnienia. Żył odizolowany od uczuć, które dręczyły go teraz, z każdą chwilą coraz intensywniejsze.

- Jak długo masz zamiar tu zostać? - spytał Mariel, kiedy studiowali umieszczoną nad kontuarem tablicę, reklamującą ofertę lodziami.

- Może jeszcze przez weekend - odpowiedziała. - A może, ponieważ nie planowałam spędzić tu więcej niż kilka dni, polecę w środę, żeby upewnić się, że w domu jest wszystko w porządku. Potem mogę tu wrócić, już na dłużej.

- Dlaczego w domu nie miałoby być wszystko w porządku?

Mariel wywróciła oczami.

- Moja siostra szaleje ze zdenerwowania, bo niedługo wychodzi za męża, a ja w pewnym stopniu odgrywam rolę matki panny młodej. A tata - cóż, po prostu się o niego niepokoję. Leslie ma teraz pełne ręce roboty, więc ktoś powinien zadbać o staruszkę.

- To on nie mieszka sam na Florydzie?

- Mieszka w domu emeryta, więc tak naprawdę nie jest sam. Ojciec ma grono serdecznych przyjaciół. Opiekują się sobą nawzajem. Kiedy wyrusza na północ, to tylko po to, żeby zobaczyć się z Leslie i ze mną.

- Więc spędza lato w Missouri?

- W tym roku przyjechał w połowie maja i ma zamiar wrócić do siebie zaraz po ślubie Leslie, jeszcze w lipcu.

- Przepraszam, czym mogę państwu służyć? - przerwał im dziewczęcy głos.

- Poproszę trzy gałki z rodzynkami i rumem, orzechowe i toffi, w waflu - złożyła zamówienie Mariel. - I z posypką.

- A co dla pana?

- Trzy gałki waniliowe - zdecydował szybko. - Bez posypki.

- Waniliowe? - powtórzyła niczym echo Mariel, kiedy dziewczyna ze srebrną łyżką do lodów w dłoni pochyliła się nad oszkloną zamrażarką. - bez posypki? To żadna frajda.

- Cóż robić? Nie jestem rozrywkowym facetem - oznajmił Noah, rozkładając ręce w geście udanej bezradności.

- Daj spokój. - Szturchnęła go żartobliwie w ramię. - Ciesz się życiem, choć odrobinę. Zamów sobie przynajmniej czekoladę, tęczy sorbet czy cokolwiek innego.

Noah odegrał scenę urażonej godności.

- Sugerujesz, że jestem bez ikry?

- Oczywiście. - Podsunęła Noahowi pod nos swoje trzy gałki o trzech smakach w waflowym rożku, który właśnie wręczyła jej dziewczyna. - Czy to nie kuszący widok?

Noah zrobił zabawną minę.

- Niemal tak kuszący jak pizza z piklami i małżami.

Roześmieli się. Żartobliwy ton, w którym się przekomarzali, pomógł przełamać lody. Przez cały dzień obydwój odczuwali napięcie. Droga ze szkoły do łodziami upłynęła im w całkowitym milczeniu, jeśli nie liczyć wskazówek, których Noah udzielał Mariel. Pamiętał tę część miasteczka jeszcze z okresów studiów. Przyjeżdżał tu od czasu do czasu z kumplami do Multipleksu, który wtedy miał tylko trzy sale kinowe. Teraz było ich aż dwanaście.

- Hej, a może chcesz zabić czas jakimś filmem? - rzucił bez zastanowienia.

Mariel spojrzała na niego zdziwiona, ale po chwili powoli skinęła głową.

- Właściwie czemu nie? Tak czy owak musimy wałęsać się tu jeszcze przez parę godzin. W kinie jest przynajmniej klimatyzacja.

- Świetnie. - Wziął swój rozek waniliowy i sięgnął do kieszeni po pieniądze.

Mariel już stała przy kasie z dziesiątką w dłoni.

- Ja zapłacę - powiedział, podając swoją dziesiątkę.

Odsunęła jego rękę.

- Tym razem ja.

- Więc ja kupuję bilety do kina - oznajmił kategorycznie.

Wzruszyła ramionami.

Nie cierpiał tego gestu. Nie cierpiał uczucia skrępowania, które wynikało z faktu, że w istocie nie łączyła ich żadna więź. Nie istniały zasady zachowania w sytuacji, w jakiej się z Mariel znaleźli - ani nie powinno być żadnych oczekiwań.

Kiedy wrócą do hotelu, położą się do łóżek, każde w swoim pokoju.

Tak, oczywiście. Tylko że jakoś nie potrafił wbić sobie tego do głowy.

Nawet teraz przyłapał się na tym, że przywołuje wspomnienie tych kilku randek sprzed lat, kiedy to umawiał się z Mariel na filmy wyświetlane w kinie na terenie kampusu. Przypomnił sobie, jak siedzieli w ciemnościach, ramię przy ramieniu, jak Mariel się do niego przytulała, i sam siebie w myślach skarcił. Dzisiaj będzie zupełnie inaczej. Idą razem do kina, bo aż do wpół do siódmej nie mają co ze sobą zrobić. Później spróbują porozmawiać z Nicole. A potem... Cóż, kto to wie?

- Też powinienem znaleźć jakiś aparat telefoniczny - odezwał się, kiedy spacerowym krokiem szli przez pasaż, liżąc lody.

- A do kogo chcesz dzwonić?

- Do mojego lokatora. Muszę go zawiadomić, gdzie się podziewam - wyjaśnił Noah. Zatrzymał się, żeby sprawdzić, w którą stronę iść dalej.

- Masz lokatora? Jaki on jest?

- Właściwie nawet nie wiem. Mieszka ze mną od niedawna. Znalazłem go z ogłoszenia.

- Musi być dziwnie mieszkać z kimś obcym - stwierdziła Mariel.

Noah wzruszył ramionami.

- To normalna rzecz, na przykład, kiedy się wyjeżdża studiować do innego miasta.

- Racja. Ale wtedy człowiek jest młody i tak się cieszy, że wyrwał się z domu, że już mu obojętne, z kim mieszka, byleby to tylko nie była jego rodzina. A tu to zupełnie co innego. Jesteś dojrzałym mężczyzną. Musi być ci ciężko.

- Jest - przyznał. - Nie zdecydowałbym się na takie rozwiązanie, gdybym nie miał noża na gardle.

- Nie stać cię, żeby samemu płacić za mieszkanie? - domyśliła się Mariel.

- Właśnie. - Dlaczego nie czuł się skrępowany, opowiadając jej o tym? Jakim cudem znowu wywołali tę atmosferę pozornej intymności, pseudo-przyjaźni, kiedy jeszcze chwilę temu męczyli się, żeby znaleźć jakiś temat do rozmowy?

- Więc w końcu jaki on jest?

- Mój lokator? Ma na imię Alan, pracuje jako muzyk i barman, i na ile mogłem się zorientować, odznacza się nieopisanym lenistwem. A poza tym jest zapewne facetem, który lubi żyć na cudzy koszt i wtykać nos w cudze sprawy - dodał, przypominając sobie znikające z lodówki piwo i przegrzewane szuflady.

Wydawało mu się, jakby wszystko to działo się wieki temu.

- O jest budka telefoniczna, koło toalet - wskazał boczny korytarz.

- Dobra, chodźmy. - Wepchnęła resztkę rożka do ust i schrupała go ze smakiem.

- Smakowały ci lody? - spytał Noah, z rozbawieniem przyglądając się, jak Mariel oblizuje palce.

- Moje były pyszne, a twoje?

- Bez ikry - przyznał ze śmiechem. - Może następnym razem wezmę jednak posypkę.

Mariel telefonowała z automatu tuż obok budki Noaha. Widział, jak czeka z długopisem zawieszonym nad kartką papieru, żeby zanotować informacje o lotach do Missouri.

Wykręcił swój domowy numer. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

- Słuchaj, Alan, mam nadzieję, że dostaniesz tę wiadomość - powiedział. - Musiałem wyjechać z miasta na kilka dni. Chcę tylko zawiadomić, że w razie jakiejś nagłej konieczności możesz mnie złapać w Sweet Briar Inn w

Strasburgu, w stanie Nowy Jork. Nie znam numeru telefonu, ale na pewno jest w książce telefonicznej. Gdyby dzwonił mój szef, nie udzielaj mu żadnych informacji. Dzięki.

- Twój szef nie wie, gdzie jesteś?

Zaskoczony, odwrócił się i zobaczył Mariel tuż za sobą. Oczywiście, przypadkowo usłyszała ostatnią część jego monologu.

- Nie, zadzwoniłem, że jestem chory. - Noah odwiesił słuchawkę.

- Masz zamiar jutro znowu zadzwonić?

- Obawiam się, że będę musiał - powiedział, kiedy zawrócili do głównej części pasażu, gdzie mieściło się kino Multiplex. Mijało ich coraz więcej ludzi, głównie matki z wózkami i dzieciaki w wieku szkolnym. - Pójdę do pracy w środę po południu, kiedy wrócę do miasta.

- Czy to dla twego szefa duży problem?

- Może. - Wsunął ręce w kieszenie szortów. - Ale jeśli nawet, będzie musiał sobie jakoś z tym fantem poradzić.

- A jeżeli cię wyleje?

- Wbrew pozorom mogłoby to być błogosławieństwo - stwierdził Noah. - Jak już ci mówiłem, praca w reklamie wcale nie jest szczytem moich ambicji. Wylądowałem w agencji z braku czegoś lepszego.

- Zupełnie jak ja w szkole - przerwała mu Mariel.

- Owszem. Tylko że ty lubisz to, co robisz. A ja nie.

- Więc dlaczego tam tkwisz?

Noah już to sobie przemyślał.

- Do tej pory z powodu Kelly. Ale teraz, kiedy odeszła...

- Nie widzisz powodu, żeby tam zostawać? - spytała Mariel, wymijając parę nastolatków, z których każde trzymało rękę w tylnej kieszeni spodni drugiego. - Tak bardzo ją kochałeś? Żeby poświęcić się karierze, której nienawidzisz, tylko po to, żeby Kelly była szczęśliwa?

- Myślałem, że kocham ją tak bardzo - sprostował, podnosząc na Mariel wzrok w samą porę, żeby zauważyć, jak wzdrygnęła się na te słowa.

Więc jednak zabolęła ją, że kochał inną kobietę. Czy miałby śmiałość jej powiedzieć, że do Kelly czuł coś zupełnie innego niż do niej? I że te uczucia dla Kelly od dawna już są martwe i głęboko pogrzebane?

Nie, nie mógł jej tego powiedzieć. Nie teraz, kiedy miłość do Mariel prawdopodobnie była równie martwa i równie głęboko pogrzebana. Ostatnia noc nie mogła tu niczego zmienić. Przecież nadal wierzył, że nie pisane im wspólne życie, że Mariel jest zbyt wielką egoistką jak na kobietę jego marzeń.

Miała własne życie, które sama sobie stworzyła i w którym najwyraźniej czuła się szczęśliwa. Życie, do którego wróci lada dzień, podobnie jak on wróci do swojego świata.

- Dlaczego twoje małżeństwo się rozpadło? - zapytała Mariel tak otwarcie, że Noah osłupiał.

- Uświadomiłem sobie, że moja żona nie chce tego, czego ja chcę. - Zdecydował się być z Mariel zupełnie szczerzy, mimo iż wiedział, jakie skojarzenia wywołają jego słowa. - Dokładniej rzecz ujmując, Kelly nie chciała mieć dzieci. A ja tak.

Usłyszał, jak Mariel gwałtownie wciąga powietrze, ale kiedy się odezwała, nie było po niej znać śladów wzburzenia.

- Rozumiem, to może być ogromny problem.

Noah skinął potakująco.

- Obydwoje zdaliśmy sobie sprawę, że lepiej nam będzie osobno. Z tego, co mi wiadomo, Kelly już znalazła kogoś nowego. Jakiegoś zamożnego prawnika, który w dodatku nie chce mieć dzieci.

- A ty próbowałaś znaleźć kogoś nowego? Kogoś, kto da ci dziecko?

Potrząsnęła głową, nie mogąc uwierzyć, że prowadzą taką rozmowę. Spędzili noc, to kochając się, to drzemiąc w swoich ramionach, jednak dzisiaj obydwój zachowywali się, jakby nic między nimi nie zaszło. Nie było mowy o powrocie do punktu, w którym rozstali się przed laty - o wspólnym życiu, małżeństwie, założeniu rodziny.

Oczywiście, nie mogło być.

Mimo to Noah nie potrafił zwalczyć pragnienia, żeby chociaż udawali, że są dla siebie czymś więcej, niż byli w rzeczywistości. Nie miał nastroju na szczerą dyskusję o swoim życiu intymnym - czy też raczej o jego braku. A przecież czy sam nie próbował wysondować Mariel, żeby zdobyć podobne informacje na jej temat?

Wiedzieli już więc, że żadne z nich nie jest z nikim związane - włączając to fakt, że nie są również związani ze sobą, pomyślał kwaśno.

- I co ci powiedzieli w sprawie rezerwacji? - zapytał, żeby zmienić temat.

- Że w środę nie ma bezpośrednich lotów z Syracuse. Muszę przesiadać się na La Guardia.

- Powodzenia w szukaniu połączeń. - Noah skrzywił się zabawnie. - La Guardia przypomina dom wariatów, a tamtejszy ruch powietrzny to jeden wielki bałagan.

- O ile wiem, mam trzy godziny przerwy, więc chyba wszystko będzie dobrze. - Zamilkła na chwilę. - Zapomniałam zadzwonić do wypożyczalni, że muszę zatrzymać samochód na jeszcze jeden dzień. Miałam odstawić go jutro.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. Przecież ja mam wóz. W środę rano, zanim pojadę do domu, podrzucę cię na lotnisko w Syracuse.

- Zupełnie ci to nie po drodze - zaprotestowała.

- Nie szkodzi. Narzekałem, że rzadko mam okazję prowadzić, pamiętasz? Mieszkam w wielkim mieście, więc jazda autostradą to dla mnie frajda.

Znaleźli się wreszcie przed wejściem do Multipleksu i przystanęli, żeby przestudiować listę aktualnych propozycji.

- Co chciałabyś obejrzeć? - zapytał Noah. - Może nowy film z Jimem Carreym?

Mariel skrzywiła się.

- Nie, dzięki. Wygląda na jakąś... nie wiem. Jakąś głupotę.

- I kto jest teraz bez ikry? - uśmiechnął się szeroko.

- A może Meryl Streep? - zaproponowała Mariel. - Uwielbiam ją.

- Za ciężkie - zdecydował szybko, zerknąwszy na plakat na pobliskiej ścianie.

- Cóż, kreskówka Disneya odpada. Podczas roku szkolnego oglądam tyle Disneya, że wystarczy mi na całe życie.

- Zabierasz dzieciaki do kina?

- Raz w miesiącu mamy w szkole „dzień z wideo” - wyjaśniła. - Szykuję popcorn, a po filmie wszyscy rysujemy portrety bohaterów i dyskutujemy

- Musisz być ukochaną nauczycielką.

- Nie wiem, czy aż tak, ale jestem dosyć lubiana - powiedziała z żartobliwą zrozumiałością.

- Wcale w to nie wątpię. - Odwrócił się, żeby nie patrzeć jej prosto w oczy. Stała tuż obok niego, ponieważ w tym rejonie pasażu panował tłok, i nagle Noah zapragnął pochylić się i pocałować ją. A przecież nie mógł tego zrobić. To znaczy mógł, ale nie zrobiłby.

- A co powiesz na Meg Ryan? - rzuciła kolejną propozycję.

Skinął głową.

- Świetnie. - W tym momencie zgodziłby się na każdy film, byle nie stać tu już ani chwili dłużej i nie myśleć o całowaniu Mariel.

Przy kasie nie było nikogo, więc szybko kupił bilety i zdążył jeszcze nabyć ogromną ilość popcornu i wodę mineralną.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziała Mariel, kiedy pojawił się przed wejściem do kina, gdzie na niego czekała.

- Pomyślałem, że możemy zgłodnieć.

- Dzięki. - Od razu sięgnęła do kubelka i zaczerpnęła pełną garść prażonej kukurydzy. Ich dłonie otarły się o siebie i Noaha przeszedł dreszcz. Nieposłuszna pamięć podsunęła obraz z ostatniej nocy - Mariel w wodzie. Szybko wepchnął trochę popcornu do ust i zaczął energicznie przeżuwać, starając się zapomnieć, jak ona wtedy wyglądała, jak reagowała w jego ramionach.

- Wejźmy do środka - poprosił.

Wkroczyli do pogrążonej w półmroku sali i dopiero po chwili zorientowali się, że jest zupełnie pusta.

- Gdzie chcesz usiąść? - zapytała Mariel.

- Wygląda, że mamy w czym wybierać - stwierdził Noah sucho. - Takie rzeczy nie zdarzają się na Manhattanie, to pewne.

- Zastanawiam się, czy to w ogóle dobry film?

- Teraz już za późno, żeby wyjść - powiedział, kiedy światła zaczęły gasnąć, a ekran się rozjaśnił.

Wślizgnęli się na miejsca gdzieś w połowie sali. Noah zdołał ustawić kubek z popcornem pomiędzy nimi, na poręcz fotela, i westchnął w duchu z ulgą, że przez co najmniej dwie godziny nie będzie musiał myśleć o niczym oprócz tego, co zobaczy na ekranie.

A jednak pomysł z kinem okazał się fatalny. Dlaczego, na Boga, ze wszystkiego, co wyświetlano w Multipleksie, Mariel musiała wybrać akurat film z Meg Ryan?

Wiedziała, że aktorka grywa zwykle w romantycznych komediach. I ten obraz nie stanowił wyjątku. Fabułę, osnutą wokół perypetii na nowo połączonych kochanków, urozmaicało kilka gorących scen miłosnych i wyciskający łzy finał, podczas którego odziana w suknię ślubną bohaterka rodzi swemu ukochanemu dziecko.

Kiedy zapaliły się światła, Mariel nawet nie śmiała spojrzeć na Noaha. On też na nią nie patrzył, gdy wychodzili z sali, mijając jeszcze tylko jednego widza, samotnego staruszka na bocznym fotelu.

- No i jak ci się podobało? - spytał Noah, kiedy znowu znaleźli się w pasażu.

- Całkiem dobre - odpowiedziała. Naprawdę było dobre. I zupełnie nierealistyczne. Żadna para, która przeszłaby takie koleje losu jak główni bohaterowie filmu, nie mogłaby potem z równą łatwością powrócić do wspólnego szczęśliwego życia. Chociaż może niektórzy potrafili. Może to tylko Mariel i Noah nie mogli sobie poradzić.

- A tobie się podobało? - spytała ostrożnie.

- Owszem - odparł beznamiętnym tonem.

Ruszyli w stronę łodziarni. Zbliżała się pora obiadu, więc w pasażu było trochę mniej tłoczno. Wnętrze łodziarni

świeciło takimi samymi pustkami jak sala kinowa. Mariel od razu zorientowała się, że ładna dziewczyna za ladą to przyjaciółka Amber, Nicole. Długie czarne włosy pod należąca do stroju pracownika łodziami czapczką z daszkiem ściągnięte miała schludnie w koński ogon. Oparłszy się łokciami o kontuar, gapiała się w przestrzeń i wyglądała na kompletnie znudzoną, dopóki nie zauważyła, że ma klientów. Na ich widok natychmiast oprzytomniała, najwyraźniej spragniona jakiegokolwiek zajęcia.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytała, grzecznie wstając.

- To ty jesteś Nicole, prawda? - upewnił się Noah.

Skinęła głową.

- Możliwe, że mogłabyś nam pomóc - zaczęła Mariel i zauważyła, że wyraz twarzy dziewczyny z przyjaznego i wyczekującego zmienia się w wylężniony. - Badamy sprawę zniknięcia Amber.

Teraz Nicole wyglądała na mocno przerażoną.

- Ja nic nie wiem.

- Jesteście bliskimi przyjaciółkami - włączył się Noah. - Na pewno nie jest ci obojętne, że Amber zaginęła.

Dziewczyna milczała.

- Posłuchaj, Nicole, jesteśmy prywatnymi detektywami. Państwo Steadmanowie wynajęli nas, żebyśmy wykryli, co jej się przydarzyło - skłamał. - Jeśli ty nam nie powiesz tego, czego chcemy się dowiedzieć, będziemy po prostu przepytywać innych ludzi z nią związanych, aż rozwiążemy tę zagadkę.

- A czego chcą się państwo dowiedzieć? - odezwała się wreszcie Nicole. - Proszę mi uwierzyć, ja naprawdę nie mam pojęcia, dokąd ona pojechała.

Mariel zwróciła uwagę, że dziewczyna powiedziała „dokąd pojechała”, a nie „co się jej stało”. Wyglądało więc raczej, że Amber panowała nad sytuacją. A może Mariel próbowała zbyt wiele wyczytać z nic nieznaczącego sformułowania?

- Opieramy się na założeniu, że Amber została porwana - z uporem ciągnął Noah. - Oznacza to, że sprawa może trafić do FBI. A oni tam nie odznaczają się wyrozumiałością dla świadków, którzy nie chcą im iść na rękę.

- Czy państwo współpracują z FBI? - spytała Nicole.

- Nie - odparła szybko Mariel w obawie, by Noah jeszcze bardziej ich nie wkopał. Nie podobało jej się, że okłamał Nicole. Chociaż z drugiej strony chodziło przecież o Amber. Jeśli jej dobro wymaga kłamstwa, niech i tak będzie.

- Ale FBI zostanie wezwane, jeśli okaże się, że to porwanie - natychmiast dodał Noah. - Sądysz, że Amber uprowadzono?

- Nie wiem. - Dziewczyna nie patrzyła im w oczy.

- A co z twoją przyjaciółką, Sherry? - zmieniła temat Mariel. - Nadal jest na obozie Camp Wannabuck, tak?

- Camp Drake - poprawiła Nicole.

- Jesteś pewna? Powiedziano nam, że pojechała do Camp Wannabuck w Catskills.

- Nie, do Camp Drake w Clearwater Corners. Naprawdę. Pisuję tam do niej, więc wiem, który to obóz.

- Może masz rację, ale... - Mariel przywołała na twarz wyraz powątpiewania, jednocześnie gratulując sobie w duchu.

- Nicole, jeśli przypomni ci się coś, o czym powinniśmy wiedzieć, możesz nas znaleźć w Sweet Briar Inn - powiedział Noah. Ze stojącego na ladzie pojemnika wyciągnął papierową serwetkę i nabazgrał na niej nazwiska, swoje i Mariel. - Po prostu zadzwoń i poproś któregoś z nas do telefonu. Naprawdę niepokoiemy się o twoją przyjaciółkę.

- Ja też - odparła dziewczyna. - Gdybym wiedziała coś konkretnego, na pewno bym powiedziała. Ale nie wiem.

Odwróciła się do nich plecami.

Ze swego miejsca mogli dostrzec, jak Nicole drżącymi rękami układa słomki do napojów w kolejnym pojemniku na ladzie. A jednak ta mała coś wie, pomyślała Mariel. Coś, o czym nie chce mówić.

Kiedy znowu znaleźli się na ulicy, Noah oświadczył z entuzjazmem:

- Tylko tak dalej. Świetnie sobie poradziłaś z wyciągnięciem od Nicole nazwy obozu. Skąd, u licha, wzięłaś ten „Wannabuck”?

Mariel uśmiechnęła się szeroko.

- Brzmi prawdopodobnie, co? Tak mi po prostu przyszło do głowy. Jak uważasz? Jedziemy do Clearwater Corners?

- Zdecydowanie tak, ale jutro. Dzisiaj jestem zbyt skonany. A ty jak?

Dotąd o tym nie myślała, ale teraz zdała sobie sprawę, że bolą ją ramiona, a oczy pieką, jakby miała pod powiekami piasek.

- Ja też ledwie żyję. Ale szlag mnie trafia na myśl, że stracimy kolejną noc. Noah, Amber gdzieś się tuła... może grozi jej niebezpieczeństwo.

- Czuję dokładnie to samo. Zobacysz, pomożemy jej. Ale będziemy działać o wiele efektywniej, jeśli się dobrze wypimy, zanim pojedziemy w góry szukać obozu Camp Drake. A poza tym zanoszą się na burzę.

- Faktycznie - musiała przyznać mu rację. Znajdowali się już przy głównym wyjściu z pasażu. Przez wysokie

szklane drzwi widać było, jak złowieszcze ciemne chmury wiszą nisko nad parkingiem.

- Lepiej wracajmy do Strasburga - powiedział. - Obiad możemy zjeść w mieście.

Mariel skinęła głową. Kiedy otoczyło ich gęste wieczorne powietrze, nagle uświadomiła sobie, że Noah z góry założył, że będą jedli razem. Oficjalnie stali się partnerami - partnerami, którzy mają zadanie do wykonania. Ale jak ułożą się ich sprawy, kiedy misja dobiegnie końca i Amber szczęśliwie wróci do rodziny, do której należy? Czy każde z nich znowu pójdzie swoją drogą i nigdy już się nie zobaczą?

To bolesne, ale Mariel wiedziała, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tak właśnie będzie. Czy mieli jakieś inne wyjście? Owszem, ciągnęło ich do siebie, nie mogli jednak budować związku, który i tak się nie uda.

Skąd wiesz, że tym razem się nie uda? - jątrzył jakiś wewnętrzny głos.

Bo ona i Noah są zupełnie różnymi ludźmi i obydwoje mają swoje obciążenia. Ona nie może rzucić życia, które z takim trudem sobie ułożyła, i zaczynać wszystkiego od nowa, z nim. A on właśnie uwalnia się z więzów małżeństwa - małżeństwa, które skończyło się fiaskiem, ponieważ, o ile dobrze rozumiała, żona nie chciała stać się wymarzoną przez Noaha idealną.

Mariel wiedziała, czego on poszukuje i że nie znajdzie tego z nią. Noah chciał stworzyć taką rodzinę, której sam nie miał w dzieciństwie. Chciał kobiety, która poświęci się dla niego całkowicie, stworzy mu dom, urodzi dzieci i przysięgnie stać u jego boku do końca swoich dni.

A ona nie mogła być tą kobietą. Nie mogła pozwolić, żeby stłamsił ją niemożliwymi oczekiwaniami. Nie mogła mieć dzieci. Nie teraz. Znowu. Oddała swoją córeczkę, bo знаła własne emocjonalne ograniczenia.

Westchnęła. Noah spojrzął na nią. Już prawie dochodzili do samochodu.

- Co się stało? - zapytał.

- Nic - odpowiedziała szybko. - Po prostu martwię się o Amber.

- Nie martw się. Znajdziemy ją.

- A co będzie, jeżeli... kiedy ją znajdziemy, okaże się, że ona naprawdę uciekła? Czy powinna wracać do Steadmanów, nawet jeśli była tam nieszczęśliwa?

Noah potrząsnął głową.

- Prędzej sam się nią zaopiekuję, niż pozwolę, żeby do tego doszło.

- Nie możesz się nią sam opiekować, Noah! - zdenerwowała się Mariel. Więc on znowu zaczynał, dawał się ponosić oderwanym od życia fantazjom. - Niby w jaki sposób?

- To moje ciało i krew - odparował ostro. Wysunięty podbródek świadczył, że zaciął się w uporze. - Myślisz, że będę siedział spokojnie i pozwolę jej mieszkać z ludźmi, którzy się o nią nie troszczą?

- A kto mówi, że się nie troszczą? Z tego, co widziałam, kochają ją. I nie jestem pewna, czy w tych okolicznościach mogę wierzyć w wersję o ucieczce. W końcu Steadmanowie wynajęli prywatnego detektywa, żeby odnaleźć Amber.

- To nie znaczy, że ona nie uciekła i nie czyni z nich dobrych rodziców. Nawiasem mówiąc, słyszałaś, co powiedział Brando. Oni się rozstają.

- To nie znaczy, że jej nie kochają i nie będą się nią zajmować.

- Nie tego chcieliśmy dla niej, Mariel. Gdybyśmy sobie życzyli, żeby pochodziła z rozbitego domu, mogliśmy się pobrać i sami ją wychowywać.

Jego słowa eksplodowały pomiędzy nimi jak grzmot. Mariel zatrzymała się, zamarła w pół kroku, zaledwie o kilka stóp od wypożyczonego samochodu.

- Słucham? - zapytała przez zaciśnięte zęby. - Chcesz powiedzieć, że podjęłam złą decyzję? Winisz mnie za to? Bo zrobiłam to, co uznałam dla niej za najlepsze?

I dla ciebie. Przyznaj się. Zrobiłaś też to, co uznałaś za najlepsze dla siebie. Starła się odepchnąć tę myśl, ale bez skutku. Tak, decyzja o adopcji była również najlepsza dla Mariel. Ale gdyby wychowywanie Amber w pojedynkę wchodziło w grę, zdecydowałyby się na takie rozwiązanie, nawet gdyby miało to oznaczać olbrzymie poświęcenie. Czy na pewno? Nie wiedziała.

Rozbita i przygnębiona, pojęła, że właściwie nie ma znaczenia, czy Noah ją oskarża. Jakaś część jej samej też ją oskarżała. Głęboko ukryte źródło poczucia winy, z którego przez te wszystkie lata nie zdawała sobie sprawy, wystąpiło z brzegów i zalało ją falą wątpliwości.

Powinna była. Mogła. Nie powinna była. Nie mogła.

Czuła się zupełnie skolowana, rozpamiętując wciąż od początku dramatyczną decyzję, przeżywając na nowo tamten mroczny, straszny okres swego życia.

- Co się stało, to się stało - odezwał się Noah i Mariel uświadomiła sobie, że rozmyślając nad jego słowami, wpatrywała się w niego, w ogóle go nie widząc. - Wszystko, co możemy teraz zrobić, to iść naprzód.

Skinęła głową w milczeniu, niezdolna wydobyć z siebie słowa.

Byłoby znacznie lżej, gdyby Noah chwycił przynętę. Gdyby gwałtownie napadł na Mariel, co pozwoliłoby jej uwolnić dławiące gardło emocje. Teraz nie pozostawało nic innego, tylko zdusić je, przełknąć i, jak powiedział Noah, iść dalej naprzód.

Milczeli przez całą drogę do hotelu, sprzed którego zabrali jego samochód. Noah jechał za nią do najbliższego

punktu, gdzie mogła zwrócić wypożyczony wóz, i zaparkowawszy przed budynkiem czekał, aż Mariel odda kluczyki i załatwi wszystkie papierkowe formalności. Potem, nadal bez słowa, ruszyli z powrotem.

Pierwsze krople deszczu uderzyły w przednią szybę, właśnie kiedy znowu zajeżdżali na parking vis a vis wejścia do Sweet Briar Inn.

- Zjemy obiad? - spytał Noah, wskazując ciąg restauracji i kafejek tłoczących się wzdłuż Main Street.

- Nie jestem głodna - odpowiedziała Mariel. - Myślę, że najlepiej pójdę już do swojego pokoju.

- Nie, nie rób tego - poprosił, wyłączając silnik. - Tak mi przykro.

Serce Mariel uderzyło mocniej. Czegokolwiek spodziewała się po Noahu, na pewno nie były to przeprosiny.

- Za co ci przykro?

- Nie chciałem cię pognebiać w związku... z tym, co się stało. Ze wszystkim, co się stało. Okropnie mnie to wyprowadziło z równowagi, to dlatego. Wybrałaś ludzi, którzy, jak sądziłaś, stworzą jej cudowne życie. Na papierze wyglądali wspaniale. I ja poparłem twój wybór.

Pokazała mu akta Steadmanów, kiedy tylko podjęła decyzję. Wystarczająco trudno było jej wybierać przyszłych rodziców dla własnego dziecka, żeby jeszcze szarpać się z Noahem o kolejne kandydatury. Na szczęście tym razem nie protestował. Ani, jak właśnie przypomniał, nie podważał jej wyboru. Dobrze pamiętała dzień, kiedy wręczyła mu teczkę, pamiętała, jak gruntownie wczytywał się we wszystkie informacje, zanim w końcu podniósł na nią oczy i powiedział zwięźle: „Wyglądają świetnie”.

- Żadne z nas nie mogło przewidzieć, że ich małżeństwo się rozpadnie - ciągnął teraz. - Poza tym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, oni nie mają nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Amber.

Skinęła głową. Nie potrafiła na niego spojrzeć.

- Wybacz mi, Mariel. - Odchrząknął, głos mu się łamał. - Nie chciałem zranić cię jeszcze bardziej.

W oczach zapiekły łzy, ale nie mogła się rozplakać. Nie przy nim.

- Chodź ze mną na obiad - powiedział miękko. - Proszę. Możemy coś przekąsić w naszym hotelu. Musisz jeść i ja też. Byłoby śmieszne, gdybyśmy mieli iść na obiad oddzielnie.

- Dobrze - usłyszała własny głos.

Noah skinął głową, zadowolony. Dostrzegła to kątem oka. Nie umiała zdobyć się na to, żeby odwrócić do niego twarz. Bała się, co mogłaby zobaczyć, gdyby ich spojrzenia się spotkały.

Nie tego chciała; chciała kłótni. Żeby uwolnić się i oczyścić atmosferę raz na zawsze. Pragnęła uwierzyć, że Noah Lyons nigdy nie mógłby być odpowiednim dla niej mężczyzną, odwrócić się na pięcie i odejść po raz drugi - i ostatni.

Rozdział 8

Kiedy Noah i Mariel zeszli do hallu, hotelowa jadalnia była niemal całkiem pusta. Obydwoje wstąpili do swoich pokoi, żeby się przebrać, i Noah słyszał, że Mariel na dłuższy czas zniknęła w łazience po drugiej stronie korytarza.

Teraz znowu wyglądała świeżo i roztaczała czystą ziołową woń. Włosy miała ściągnięte wysoko, w związany różową wstążeczką koński ogon. Twarz była najwyraźniej starannie umyta, ale Noah i tak dostrzegł zaczerwienione oczy i lekko spuchnięte powieki. A więc płakała. Nie potrafił powiedzieć, czy go to dziwi. Nadal nie wiedział, jak po tak długim czasie odczytywać jej reakcje.

Jednak czy naprawdę było to dziwne? Ich związek nie istniał w ciągu ostatnich piętnastu lat. W rzeczywistości dobrze się znali z Mariel tylko przez krótką chwilę - jeśli w ogóle kiedykolwiek dobrze się znali. Bywało, że się nad tym poważnie zastanawiał.

Zerknął na nią, kiedy zatrzymali się w prowadzących do jadalni szerokich drzwiach. Nieumalowana, Mariel sprawiała wrażenie młodszej i bardziej podatnej na zranienie. Miała na sobie blad różową bluzeczkę bez rękawów, wsuniętą w pokrytą kwiecistym wzorem spódnice, a na nogach również blad różowe pantofle na płaskim obcasie. Wyglądała, jakby wyskoczyła z żurnala z lat pięćdziesiątych. Nie wiedzieć czemu w tym stroju wydała się Noahowi znacznie bardziej pociągająca, niż gdyby się od stóp do głów przyodziała w seksowną, wysmuklającą czerń.

- Państwo na obiad? - zapytała hostessa, podchodząc do oświetlonego lampą podium.

- Tak - potwierdził Noah.

- Wyjątkowo dzisiaj spokojnie. Większość weekendowych gości już wyjechała, a pogoda taka, że tutaj nie chce się wysunąć nosa z domu. - Jej słowa potwierdził ogłuszający huk grzmotu.

- Raczej trudno ich za to winić - roześmiała się Mariel.

- Rzeczywiście, trudno. W każdym razie mamy miejsc do wyboru, do koloru, jak sami państwo widzą.

Hostessa była kobietą w średnim wieku, przy kości, ale atrakcyjną, z ciemnymi włosami do ramion i krągłymi policzkami. Nosiła obrączkę i pierścionek zaręczynowy, a wokół jej nadgarstka podzwaniała czarująca bransoletka - prezent, który mąż ofiarowuje żonie na rocznicę ślubu, a potem dokupuje do i niego coś co roku, w miarę jak ich życie się wzbogaca.

Wygląda spokojnie i macierzyńsko, pomyślał Noah. Tak macierzyńsko, jak nigdy nie wyglądała jego własna matka. Ani Mariel, dodał automatycznie, ale zerknąwszy na nią zrewidował swój osąd. Wystarczyło trochę się

skoncentrować, żeby wyobrazić sobie tę twarz pełniejszą, o miększych rysach. Noah prawie już widział Mariel, jak w okularach i spodniach od dresu siedzi skulona na kanapie z maluchem na kolanach albo kołysze w ramionach niemowlę.

Prawie.

- Więc gdzie życzą sobie państwo usiąść? - zapytała hostessa i szerokim gestem objęła salę jadalną.

Jakaś rodzina wstawiała właśnie od wielkiego okrągłego stołu, ustawionego w pobliżu rzędu wychodzących na ganek okien. Jeszcze tylko jeden stół był zajęty, tym razem przez cztery osoby - starszych państwa i młodych ludzi. Wszyscy oprócz młodszej z kobiet popijali szampana z wysokich, smukłych kieliszków.

- Może tam - powiedziała Mariel, wskazując niezbyt oddalony od pozostałych gości stolik dla dwojga, dokładnie naprzeciwko ceglanego kominka, którego palenisko zdobiła wielka kompozycja z suchych kwiatów.

- Doskonale - zgodził się Noah i hostessa podprowadziła ich do wybranego miejsca.

Jadalnia, cała w zieleniach i różach, utrzymana była w tym samym stylu co pokoje: tapety o motywach roślinnych, białe koronkowe firanki i wiktoriański wzorzysty dywan. Wszędzie stały doniczki z paprociami, wiatraki na suficie miały ozdoby z matowego szkła, a w szklanych kloszach na każdym stole płonęły świece.

Przecież to jeden z najdłuższych dni w roku, uświadomił sobie Noah, i gdyby słońce wyjrzało zza chmur, mieliby jeszcze ponad godzinę do zmierzchu. Ale przez mokre szyby rozmieszczonych na dwóch ścianach jadalni okien widać było tylko strugi deszczu i posępną mgłę. I kiedy Noah odsuwał dla Mariel krzesło, dobiegło ich złowieszcze dudnienie grzmotu.

Hostessa uniosła głowę, nasłuchując.

- Zdaje się, że zaraz rozpęta się piekło - stwierdziła.

- Na to wygląda - przyznał Noah. - Cieszę się, że zdecydowaliśmy się na obiad w hotelu.

- Mieszkają państwo tutaj? Dzisiaj też wolałabym nie jeździć daleko, ale mam prawie pół godziny do domu. Mój mąż nie lubi, jak prowadzę w złą pogodę. Mam nadzieję, że nie wyśle po mnie któregoś z naszych chłopców.

- A ilu chłopców państwo mają? - zapytała Mariel dla podtrzymania rozmowy.

- Trzech. Dwóch w college'u i jednego w najstarszej klasie szkoły średniej. Starsza córka jest już dorosła i zamężna. Za dwa miesiące spodziewa się dziecka. A najmłodsza chodzi do drugiej klasy szkoły średniej.

- Gratulacje z powodu wnuczątka - uśmiechnął się Noah i pomyślał, że prawidłowo rozszyfrował jej macierzyński wygląd.

Jednocześnie uświadomił sobie, jak bardzo zazdrości tej nieznajomej dużej rodziny, domowego ciepła i dojazdów do pracy w małomiasteczkowym hoteliku, pracy, która nie ciągnie się za tobą, kiedy wieczorem wracasz do siebie. Tak, ta kobieta z niechęcią myślała o podróży do domu w deszcz i burzę, ale jej powrotu wypatrywali mąż i dzieci.

A Noah był sam. Nie było nikogo, do kogo musiałby zadzwonić, gdyby miał dłużej zostać w pracy; nikt by na niego nie czekał, nie patrzył na zegarek.

Nawet kiedy był jeszcze żonaty, jego życie wcale nie wyglądało w ten sposób. Kelly coraz częściej zostawała w biurze o wiele dłużej niż on, nawet jeśli pracował po godzinach. A na początku ich małżeństwa, gdy od czasu do czasu pojawiała się wcześniej w domu, i tak nie czekała na Noaha. Nie było grzejącego się w piecyku obiadu, zapachu, od którego ślinka napływałaby do ust, ani powitalnego pocałunku w drzwiach, chyba że Kelly miała ochotę na miłość, co nie zdarzało się często, odkąd minął ich miodowy miesiąc.

- Dowiedzieliśmy się niedawno, że córka oczekuje dziewczynki - powiedziała z dumą hostessa. Po czym dodała pospiesznie: - Oczywiście, dziewczynka czy chłopiec to bez różnicy, ale zachowałam szatkę do chrztu i wszystkie niemowlęce sukieneczki Cindy. Będzie je teraz mogła przekazać córeczce.

Noah zerknął na Mariel, która ze sztucznym uśmiechem wymamrotała jakąś uprzejmą odpowiedź. Wiedział, że myśli o własnej córce. Amber nigdy nie nosiła dziecięcych sukieneczek swojej matki.

Tymczasem hostessa mówiła dalej, zniżając głos:

- A tamci państwo świętują, bo okazało się, że młodsza z pań spodziewa się pierwszego dziecka. Ta starsza para to rodzice przyszłego ojca. Dowiedzieli się właśnie, że zostaną dziadkami i oblewają to szampanem.

- Wspaniale - powiedział Noah, dyskretnie spoglądając w stronę stolika, przy którym toczyła się ożywiona rozmowa.

- A państwo mają dzieci? - zapytała zniecierpliwiona hostessa.

Noah zamarł.

- Nie - odpowiedział szybko i zerknął na swoją towarzyszkę, która siedziała jak porażona.

- Aha, pewnie miodowy miesiąc, tak? Myślałam...

- Nie jesteśmy parą - ucięła Mariel.

Hostessa najwyraźniej się stropiła.

- Przepraszam, Sweet Briar cieszy się popularnością wśród nowożeńców, więc sądziłam...

- Nic nie szkodzi - uspokoił ją Noah.

- Proszę, to menu dla państwa. - Kobieta podsunęła im oprawne w skórę karty dań i pospiesznie odeszła.

Noah spojrzął na Mariel ponad stołem oświetlonym migotliwym blaskiem świece.

- Ale palnęła - powiedział lekkim tonem, próbując przełamać lody.

Mariel przez chwilę milczała. Wreszcie odzyskała głos.

- Chyba nie mogę kulić się i wycofywać za każdym razem, kiedy pada pytanie o to, czy mam dzieci. Po prostu nie jestem przyzwyczajona, bo nie zdarza mi się to często; w Rockton wszyscy mnie znają. I zaskakuje mnie nadal, że jestem tu z tobą i że ktoś może sądzić, że my...

- Wiem. Ale to zupełnie naturalne przypuszczenie. Tak jak ona powiedziała, ten hotel cieszy się popularnością wśród nowożeńców.

- A ty gdzie byłeś? - spytała Mariel, biorąc złożoną w kształt wachlarza płócienną serwetkę i rozkładając ją starannie na kolanach.

- Gdzie ja byłem? - Nie zrozumiał pytania i czekał, żeby mu wyjaśniła, co miała na myśli.

- Podczas swojego miodowego miesiąca? - dokończyła. - Dokąd pojechaliście?

- W objazd po Europie - odpowiedział, przypominając sobie tę wyczerpującą podróż. To był pomysł Kelly, zupełnie nie w jego stylu. On cieszyłby się najbardziej, mogąc poleżeć gdzieś spokojnie na plaży.

- Fantastyczne - powiedziała Mariel z zadumą.

Noah przypomniał sobie, jak bardzo Mariel dawniej marzyła o zagranicznych wyjazdach. Mówiła nawet o tym, żeby zamieszkać w Paryżu czy Londynie na stałe.

- Byłaś w Europie? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Może jeszcze kiedyś będę.

- O ile mogę ci coś doradzać, jeśli zdecydujesz się na taką podróż, upewnij się najpierw, czy nie wypadnie w twój miodowy miesiąc - powiedział, starając się zdusić wewnętrzny głos, który podszeptował, że Mariel powinna spędzać swój miesiąc miodowy z nim. Oczywiście było to niemożliwe i należało przypuszczać, że wcześniej czy później Mariel spotka kogoś dla niej odpowiedniego, z kim założy rodzinę.

- Dlaczego nie w miesiąc miodowy? - spytała zdumiona.

- Uwierz mi, już sam ślub - zwłaszcza taki, jaki ja brałem, ze wszystkimi szykanami - jest wystarczająco wyczerpującym i stresującym przeżyciem. Wcale nie trzeba wzbogacać go o tydzień zamorskiej podróży, podczas której miotasz się po całej Europie statkiem, samolotem, pociągiem, wynajętym samochodem...

- Więc nie bawiłeś się dobrze? - spytała, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

- Europa to był pomysł bardziej mojej żony niż mój. Ja wolałbym coś bardziej wypoczynkowego. Tak jak ten hotel.

Mariel powiodła wzrokiem po przytulnej jadalni.

- Romantycznie tu.

Noah uśmiechnął się.

- I spokojnie. Ostatnio tęsknię za spokojem. Zresztą chyba zawsze tak było. A ty tęsknisz za tym, żeby coś się działo, prawda?

- Może tęsknić to nie jest właściwe słowo - odparła - ale odrobina „dziania się” od czasu do czasu bywa miła. Nie zaznasz tego wiele, mieszkając w Rockton. Ty, jak się domyślam, masz w Nowym Jorku aż za wiele aktywności.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawił się kelner i przedstawivszy się grzecznie, zaczął rekomendować specjalności miejscowej kuchni.

- Czy podać państwu coś do picia? A może państwo chcieliby już złożyć całe zamówienie?

Jeszcze nawet nie zdążyli rzucić okiem na menu. Jednak Mariel spojrzała porozumiewawczo na Noaha i powiedziała:

- Nie wiem jak ty, ale ja już wiem, co wezmę.

Wzruszył ramionami.

- Filet z dodatkami wygląda nieźle.

Mariel uśmiechnęła się.

- Dokładnie to samo wybrałam.

Złożyli zamówienie i kelner przyniósł im po kieliszku czerwonego wina.

Popijali je powoli; Noah opowiadał o Europie, starannie omijając wszelkie szczegóły dotyczące Kelly. Dlaczego miałby mówić Mariel, że jeszcze nie minął pierwszy tydzień, a już zaczęły narastać wątpliwości, czy aby to małżeństwo nie było błędem? Dotąd pamiętał złe przecucia, które dręczyły go od czasu do czasu, próby przekonania samego siebie, że wszyscy nowożeńcy muszą przeżywać podobne chwile zwątpienia. Że to ciąg dalszy tego, co - jak sobie wmawiał jeszcze długo przed ślubem - było jedynie lękiem przed zmianą.

Teraz, patrząc wstecz, oceniał sytuację trafniej. Wiedział, że powinien był posłuchać instynktu. I na pewno nigdy już go nie zlekceważy.

Zamówione sałatki podano im na delikatnej porcelanie Royal Albert. Noah błyskawicznie pochłonął stertę jarzyn przyprawioną ostrym, balsamicznym sosem winegret z dodatkiem pieczonego bakłażana, suszonych na słońcu pomidorów i śmietankowo-białych kawałeczków koziego sera.

Nawałnica najwyraźniej przybrała na sile, więc personel restauracji krzątał się po sali, zamykając okna, na których zasłony wydymały się od wiatru. Ze swego miejsca, siedząc twarzą do otwartych drzwi hallu, Noah

zobaczył, jak hostessa w płaszczu od deszczu i z kompletem kluczy w dłoni, podążając do wyjścia, zegna się pośpiesznie z siedzącą w recepcji Susan.

- To naprawdę wygląda groźnie - stwierdziła Mariel, spoglądając ze strachem w okno.

Idąc za jej spojrzeniem, Noah zdążył jeszcze dostrzec rozświetlającą niebo błyskawicę.

- Tutaj nic nam się nie stanie - powiedział pocieszająco. - Zdarzają się wam takie burze w Missouri?

- O tak - przytaknęła, kiwając głową. - Nawet gorsze. Parę lat temu przez Rockton przeszło tornado. Na szczęście nikt nie zginął, ale zmiotło kilku maruderów.

- Manhattanu nie nawiedza tornado, za to mamy metro, które może być jego odmianą w zależności od nastroju motorniczego.

Mariel zachichotała. Noahowi ulżyło.

Chciał - musiał - sprawić, żeby czuła się w jego towarzystwie dobrze. Wyglądało jednak na to, że zawsze gdy osiągnęli punkt, w którym mogli się odprężyć, przydarzało się coś, co przywracało na nowo stan napięcia.

Za oknami zadudnił grzmot. W jadalni zamigotało światło. Noah i Mariel popatrzyli na siebie.

- Myślisz, że wysiądzie prąd?

- Możliwe - odparł.

Światło znowu przygasło.

- U nas często się to zdarza - powiedziała Mariel. - W dodatku zawsze w czasie burzy coś się dzieje z kablem telewizyjnym. Tatę doprowadzało to do szału.

- Doprowadzało? - powtórzył, zastanawiając się, czy straciła nie tylko matkę, ale i ojca. Opowiadała, że jej matka umarła dwa lata temu na chorobę Alzheimera, ale był pewien, że mówiła, iż ojciec żyje.

- Tata mieszka teraz na Florydzie. Po śmierci mamy przeszedł na emeryturę i wyjechał. Założył tam sobie antenę satelitarną! telewizja już mu nigdy nie wysiada.

Noah uśmiechnął się.

- Jakoś antena satelitarna nie pasuje mi do osoby pastora. Myślałem, że twój ojciec to prawdziwy purytanin i nie potrafię go sobie wyobrazić zagapionego w ekran.

- Coś ty, tata uwielbia telewizję - stwierdziła Mariel. - Chociaż właściwie ogląda tylko teleturnieje i sport. Jest zagorzałym kibicem drużyny Chiefs, a chyba jeszcze większym Royals i musi być na bieżąco z ich wynikami, nawet jeśli mieszka w drugim końcu kraju.

- Doskonale go rozumiem - stwierdził Noah. - W sezonie muszę oglądać moich Yankees dosłownie każdego wieczoru. Prawdę mówiąc, podczas pobytu tutaj wypadłem z kursu. Opuściłem już dwa mecze.

- Nie wiedziałam, że im kibicowałeś.

Nie wiedziałas o mnie wielu rzeczy, pomyślał. A głośno powiedział:

- Taak, zawsze byłem za nimi, chociaż dorastałem w Queens, gdzie grają Mets. Yankees grają w Bronksie - dodał, uświadamiając sobie, że ona prawdopodobnie nie zrozumiała, co jest dziwnego w jego wierności tej drużynie.

Ale Mariel, ku jego zdziwieniu, od razu wiedziała, o co chodzi.

- Tata ogląda wszystkie mecze - wyjaśniła - nie tylko swoich ulubieńców. Zwykle mu w tym towarzyszyłam.

- Naprawdę? - Noah przetrząsał zakamarki pamięci. - To zabawne. Nie mogę sobie przypomnieć, żebyśmy w dawnych czasach kiedykolwiek rozmawiali o baseballu.

- Och, to dlatego, że byłam zbyt przejęta rolą artystki. - Ton i mina Mariel świadczyły, że pokpiwa z samej siebie. Po chwili jednak drwiący uśmiech znikł z jej twarzy i już zupełnie poważnie dodała: - Właściwie nie interesowałam się specjalnie sportem, dopóki nie wróciłam do Rockton. Zaczęłam oglądać z ojcem mecze, kiedy mama czuła się już tak źle, że nie rozumiała, co się dzieje na ekranie. Przedtem rodzice zawsze robili to razem - no, rozumiesz, zasiadali wspólnie i kibicowali. I kiedy ona zachorowała, ojciec wydawał się taki... nie wiem, taki samotny, sam jak palec przed telewizorem. Więc zaczęłam oglądać razem z nim, po prostu żeby dotrzymać mu towarzystwa. Aż nagle zdałam sobie sprawę, że to lubię. - Upiła łyk wina.

- Cierpiałas tortury, patrząc, jak matka odchodzi w taki sposób - powiedział Noah cicho.

Mariel podniosła na niego wzrok i pokiwała głową.

- Tak, tortury to właściwe słowo. Zwłaszcza że wiadomo było, że sytuacja może się tylko pogorszyć. Ten dzień, kiedy mama mnie nie poznała, był... - zamilkła, przetykając z trudem i Noah dostrzegł w jej oczach łzy.

- Najcięższą chwilą w życiu - dopowiedział za nią.

Przez chwilę rozważała jego słowa, po czym wzruszyła ramionami.

- Jedną z najcięższych.

Widząc wyraz jej twarzy, Noah zdał sobie sprawę, co Mariel miała na myśli. O mało nie zapomniał o ich dziecku i o sprawie, z powodu której się tu spotkali.

Impulsywnie sięgnął przez stół i uściśnął jej rękę. Ciepłe, mocne palce na moment przywarły do jego dłoni, łyzy wypełniły oczy i stoczyły się po policzkach.

- Przepraszam - szepnęła. Sięgnęła drugą ręką po płócienną serwetkę i przyłożyła ją do twarzy, rozglądając się ukradkiem dookoła, żeby się upewnić, czy nikt tego nie zauważył.

- Nie masz za co przepraszać, Mariel. Dobrze się czujesz?

Skinęła potakująco.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Chyba po prostu przestają już panować nad emocjami.

- To całkiem zrozumiałe. Ze mną jest tak samo - powiedział. Czuł z nią wręcz intymną więź, tylko dlatego, że ścisnął w swojej dłoni jej palce, a ona mu na to pozwalała. - Chcesz tu zostać i skończyć kolację, czy wolisz, żebyśmy wyszli?

- Możemy zostać - powiedziała, już znowu opanowana. - Czuję się świetnie. Naprawdę. Po prostu czasami przytłaczają człowieka wspomnienia.

Przytaknął. Nie wiedział, czy Mariel mówiła o wspomnieniach związanych z chorobą matki, czy z oddaniem córki do adopcji. Zapewne i o tym, i o tym. Wiele przeszła od tych beztrudnych czasów college'u. Była zupełnie inną osobą niż dziewczyna, z którą się spotykał, i inną niż ta, z którą się potem rozstał.

To oczywiście, że się zmieniła, ale z jakiegoś powodu stwierdzenie tego faktu zaskoczyło go. Zupełnie jakby nie chciał w to uwierzyć dlatego, że oznaczałoby to, iż sprawy między nimi również mogą teraz wyglądać inaczej.

Obrócić się na lepsze.

Wiedział, że pewnie ludzi się tylko fałszywą nadzieją. Może Mariel rzeczywiście dojrzała, ale nic nie mogło zmienić ich wspólnej przeszłości. Nie potrafili wymazać bólu, który ich łączył. Ani faktu, że żyją w zupełnie odmiennych światach i chcą od życia czegoś zgoła innego.

Lampy zamrugały.

Mariel drgnęła, więc uspokajająco ścisnął jej rękę. I właśnie kiedy otwierał usta, żeby powiedzieć, że nie ma się czego bać, rozległ się ogłuszający huk.

Potem nastąpiła cisza i sala pogrążyła się w ciemności, rozjaśnionej jedynie migotliwym blaskiem świateł.

- O której godzinie chcesz jutro jechać? - spytała, kiedy wspinali się po schodach, prowadzeni przez promień latarki, którą Noah próbował oświetlić drogę.

- Wcześniej - odparł. - Jak tylko uda nam się wstać i wyruszyć. Najpierw będę jeszcze musiał zadzwonić do biura.

Dotarli na drugie piętro. Odgłosy burzy były tu nawet donośniejsze. Mariel słyszała, jak skrzypią szarpane wichrem gałęzie drzew. Deszcz ogłuszająco łomotał w dach dosłownie nad jej głową.

- Odprowadzę cię - zdecydował Noah, unosząc wysoko latarkę, żeby wydobyć z mroku korytarz. Na ścianie zatańczyły niesamowite, wydłużone cienie. - I sprawdzę, czy rzeczywiście, tak jak było umówione, masz w pokoju jakieś światło.

- Dzięki.

Susan przyszła do nich do jadalni i powiedziała, że natychmiast idzie na górę i w obu ich pokojach zapali świece. Przepraszała za wszystkie niedogodności - nie wiadomo, kiedy awaria zostanie usunięta, zwłaszcza w taką burzę.

Na szczęście w chwili, kiedy wysiadła elektryczność, zamówione przez Noaha i Mariel dania były już gotowe i właśnie miały zostać wniesione na stół, więc mogli spokojnie zjeść obiad. Ale w jadalni, przy zamkniętych oknach i nie działających wentylatorach, zrobiło się gorąco i nieprzyjemnie.

Teraz natomiast, chociaż dopiero minęła dziewiąta, wszystko wskazywało na to, że nie pozostało im nic innego, jak iść spać.

Mariel wiedziała, że powinno jej to odpowiadać; powinna się czuć wyczerpana.

Jednak, nie wiadomo dlaczego, nie miała jeszcze ochoty kłaść się do łóżka i - co niepojęte, zważywszy na wydarzenia ostatniej nocy - wcale nie była zmęczona.

Chciała spędzić więcej czasu z Noahem, którego obecność z niepokojącej zmieniła się znowu w źródło pociechy. Kiedy przy stole ujął jej dłoń, poczuła się oszołomiona zarówno tym niespodziewanym czułym gestem, jak i własną serdeczną reakcją. Tak dobrze było trzymać go za rękę. Jego dotyk sprawiał, że mniej ciążyła jej samotność.

Mariel wiedziała, że Noah miał zamiar tylko odprowadzić ją do pokoju i od razu wrócić do siebie. Znowu zostanie sama. Sama pośród ciemności, na najwyższym piętrze dużego, starego domu, z nawałnicą szalejącą za oknem.

Wmawiała sobie, że to właśnie był prawdziwy powód, dla którego nie chciała się z Noahem rozstawać. Strach przed burzą. I może nawet tkwiło w tym ziarno prawdy. Więc nie kłamała, kiedy przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i powiedziała:

- Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby wejść na parę minut? Przez tę burzę i brak elektryczności czuję się trochę nieswojo.

- Nie ma sprawy - zgodził się tak ochoczo, że Mariel przemknęło przez myśl, czy aby nie miał nadziei, że go zaprosi do środka, albo może nawet sam chciał to zaproponować.

Kiedy tylko przekroczyli próg, zauważyła, że grzmoty wydają się coraz bardziej odległe, deszcz mniej gwałtowny, wichura słabsza. A ona przecież nie chciała, żeby burza się skończyła. Jeszcze nie teraz.

Nie chciała, żeby Noah miał wymówkę, by wrócić do swego pokoju.

Na komodzie, dokładnie tak jak obiecała Susan, stała zapalona świeca, rzucając na ścianę migotliwe cienie.

Noah zamknął drzwi i Mariel nagle przestraszyła się panującej wewnątrz ciszy. Na zewnątrz szalała burza, to

prawda, ale okna były szczelnie zamknięte i pokój dawał poczucie odizolowania od jej słabnącej furii. Byli tu bezpieczni, sami, odcięci od świata.

- Moja matka zawsze przestrzegała, żeby nie zostawiać zapalanej świecy - stwierdziła Mariel nerwowo, byle cokolwiek powiedzieć.

- Myślę, że Susan po prostu chciała mieć pewność, że kiedy wrócimy na górę, nie znajdziemy się w całkowitych ciemnościach - brzmiała niezbyt odkrywczą odpowiedź.

Mariel zdała sobie sprawę, że on również był w pełni świadomy tego nagłego wrażenia intymności i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Po wszystkim, co wydarzyło się ostatniej nocy... Ale przecież wyraźnie dawał do zrozumienia, że to już się więcej nie powtórzy.

Dlaczego właściwie zdecydowali, że nie powinno się powtórzyć? Teraz, choćby od tego zależało jej życie, nie potrafiła sobie przypomnieć. Jedyne wspomnienia, które napływały ochoczo, to pamięć o tym, jak cudownie było leżeć nago w jego silnych ramionach, czuć rozpalone usta na swoich wargach, na szyi, na...

- Strasznie tu gorąco - wymamrotała i szybko podeszła do okna. Próbując je otworzyć, szarpnęła za dolną połowę. Okno ani drgnęło.

- Czekaj, pomogę ci - zaofiarował się Noah. Natychmiast znalazł się obok Mariel i sięgnął ponad nią do uchwytu na framudze. - Czasami tak się w starych domach zdarza. Nasz akademik też mieścił się w wiktoriańskiej kamienicy, gdzie okna wiecznie się zaciągały. Pamiętam, że trzeba było najpierw wypchnąć dół ramy, o tak - odchrząknął nieznacznie - a potem pociągnąć...

Okno skrzypiąc posuwało się powoli ku górze.

- Proszę - powiedział Noah i otrząsał z zadowoleniem ręce. - Zrobione.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Teraz nie było już absolutnie nic do powiedzenia. Jego twarz znajdowała się zaledwie o centymetry od jej twarzy. Mariel przeknęła ciężko.

- Przyjemnie dmucha - powiedziała, kiedy zasłona poruszona powiewem wiatru musnęła jej nagie ramię.

Wbiła wzrok w mokrą ciemność za szybą, chociaż nie było tam niczego, co mogłoby przykuć spojrzenie. Poprzedniej nocy widziała w dole światła latarni, witryny sklepów, restauracje. Teraz ulica tonęła w ciemnościach.

Deszcz nadal bębnił równomiernie, szumiąc gdzieś na górze w rurze odpływowej albo rynnie.

- Tak, przyjemnie - zgodził się Noah.

- Ale wcale nie robi się chłodniej.

- Nie.

Zamilkli. On nie odchodził, a ona nie miała dokąd się odsunąć, bo z jednej strony drogę tarasowało jej stojące pod oknem krzesło, a z drugiej Noah. Mogła co prawda go obejść, ale wyglądałoby to zbyt demonstracyjnie. Poza tym było jej przyjemnie stać tutaj, tuż przy nim i wsłuchiwać się w szum letniego deszczu.

Zahuczał grzmot, gdzieś hen, daleko, niegroźnie.

- Burza już przechodzi - zauważył Noah.

Mariel ogarnął smutek.

- Wiem.

- Czy mimo to chcesz, żebym został? - zapytał cicho.

Przez chwilę nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Z całego serca pragnęła, żeby został - ale przecież jej serce nie wiedziało, co dla niej naprawdę dobre. Powinna była pomyśleć, a nie iść za głosem instynktu. Bo dokąd ten instynkt doprowadził ją w przeszłości!

- Chcę, żebyś został - odparła i zarzuciła mu ręce na szyję.

Wspięła się na palce, unosząc ku niemu pełne oczekiwania usta, i jej pragnienie zostało natychmiast spełnione, bo Noah przygarnął ją do siebie i zaczął całować.

- O, do diabła, możemy to zrobić? - szepnął, odrywając na chwilę wargi, a serce tłukło mu się szaleńczo tuż przy jej sercu.

- Nie możemy tego nie zrobić - odrzekła. Gdyby przestał, chyba by umarła.

Ale on nie przestawał; pociągnął ją za sobą i razem upadli na łóżko. Gorące pocałunki okryły jej szyję. Mariel rozpięła guziki bluzki i uwolniła się od niej, podczas gdy Noah nieporadnie zmagął się z umieszczonym z przodu zapięciem stanika. Wreszcie udało mu się i z jękiem wtulił twarz w jej nagie piersi. Po chwili, kiedy jego język zaczął kreślić kręgi wokół sutków i pieścić ich wrażliwe wierzchołki, Mariel poczuła, jak żar rozlewa się jej między nogami, łaskotliwy i drażniący, błagający o jego męskość.

Noah zmienił pozycję. Napięty członek otarł się o jej udo. Mariel przesunęła biodra i przywarła do niego, ciężko dysząc.

- Noah, proszę, teraz.

- Teraz?

- Tak. Nie mogę już dłużej czekać. Teraz - powtórzyła żarliwie, wsunęła dłonie pod jego koszulę i ściągnęła mu ją z ramion. Przesuwała palcami po nagiej skórze, wdychała jego męski zapach. Usłyszała, jak rozpina suwak w

szortach. Podniósł się na moment, żeby zsunąć spodnie z bioder, i ciężka bawełna z szelestem upadła na podłogę.

Potem jego dłonie dotarły do jej talii. Zaczął szarpać haftki przy zapięciu spódnicy, pomrukując z irytacji. Mariel sięgnęła, żeby mu pomóc, ale on zadął już fałdy tkaniny aż do pępka i wziął się do ściągania koronkowych majteczek. Najwyraźniej nie miał zamiaru kłopotać się rozbieraniem jej do końca i to gwałtowne pożądanie jeszcze bardziej ją rozpałiło. Otworzyła się dla niego, a on się w nią zagłębił. Z trudem złapała powietrze; Noah jęknął. Poruszali się w ostrym, odwiecznym rytmie, raz, dwa, trzy, a wtedy ona przycisnęła się do niego z całych sił i wszystko eksplodowało w burzy potężniejszej niż ta, która dudniła nad ich głowami. Pod mocno zamkniętymi powiekami Mariel ujrzała błyski światła. Jedna za drugą przelewały się przez nią fale drżenia, a Noah wydyszał jej imię i wytrysnął w nią jedwabistym gorącem.

Kiedy huragan ucichł i leżeli spleceni w objęciach, zupełnie wyczerpani, Mariel pocałowała Noaha w czubek głowy, a on ukrył twarz na jej piersi, przesuwając po niej wargami.

- Obiecuj mi, że rano nie uciekniesz - powiedziała miękko.

- Nie ucieknę - szepnął. - Nie wcześniej, niż będziesz tego chciała.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek mogła chcieć znowu się z nim rozstać. Zauważyła jednak, że nie powiedział „Jeżeli nie”. Użył zwrotu „nie wcześniej”. A więc uważał ich rozstanie za nieuniknione i prawdopodobnie miał co do tego rację.

Na razie odsunęła tę myśl. Czekali piętnaście lat, żeby znowu się ze sobą kochać. Rzeczywistość mogła poczekać jeszcze dzień lub dwa.

Rozdział 9

Katie Beth?

- To ty, Mariel? - upewniła się przyjaciółka na drugim, bardzo odległym końcu telefonicznych łączy.

Trzymając kurczowo słuchawkę, Mariel przysiadła na skraju łóżka, z ulgą witając dobrze znany głos.

- Tak, to ja.

- Poczekaj chwileczkę - poprosiła Katie Beth, a Mariel dosłyszała dziecięcy rejwach i dźwięki filmu rysunkowego w tle. - Chłopcy, mama idzie do kuchni porozmawiać. Olivio, miej oko na T.J., dobrze? Żeby się nie wywrócił.

Mariel zdała sobie sprawę, że się mimo woli uśmiecha, wyobrażając sobie poranny rozgardiasz w domostwie Mulliganów.

- Już jestem - odezwała się Katie Beth w chwilę później. - Co tam słychać? Spotkałaś się z nią?

Mariel wzięła głęboki oddech.

- Nie tylko że się nie spotkałam, ale jeszcze w dodatku ona przepadła bez śladu.

Na drugim końcu linii Katie Beth wydała okrzyk przerażenia.

- Skarbie, mówisz poważnie? Co się, na miły Bóg, stało? Zaczynaj od początku.

I Mariel opowiedziała jej ze szczegółami o zniknięciu Amber. Jak dobrze było wylać z siebie to wszystko i usłyszeć od przyjaciółki słowa współczucia i pociechy.

- Musisz być nieprzytomna ze zdenerwowania, skarbie. Czy mogę ci jakoś pomóc? Jesteś tak daleko, całkiem sama z tym problemem...

- No, niezupełnie sama - przerwała jej Mariel.

- Co masz na myśli?

- Noah też tu jest.

Usłyszała, jak przyjaciółka łapie powietrze. Szybko więc zrelacjonowała, co między nimi zaszło.

- Po prostu nie mogę uwierzyć - powiedziała Katie Beth, wysłuchawszy jej opowieści. - I jakie masz teraz plany?

- Mam zamiar zajmować się na razie tylko jedną sprawą - odparła Mariel. - Najważniejsza rzecz to odnaleźć Amber. Cokolwiek dzieje się między mną i Noahem, jest rezultatem tego, że każde z nas przeżywa emocjonalne rozdarcie. To nie może trwać długo. Jutro lecę do domu, a on jedzie do Nowego Jorku.

- A co z Amber?

- Mam zamiar wrócić tu za kilka dni, jeżeli ona do tej pory się nie znajdzie.

- To dłaczego po prostu nie zostaniesz dłużej?

- Bo martwię się o Leslie. I o tatę...

- Ani słowa więcej, Mariel - parsknęła z irytacją Katie Beth. - Oni obydwójce poradzą sobie sami. A twojej siostrze może nawet wyjdzie na dobre, jeśli przynajmniej raz nie ty będziesz się wszystkim zajmować.

- Ale tata...

- Ma się doskonale, Mariel. I świetnie sobie sam radzi. Jeśli aż tak się niepokoisz, zajrzę do niego, kiedy odprowadzę Olivię na zajęcia.

- Ale tyle jest do zrobienia w związku ze ślubem Leslie.

- Posłuchaj, wczoraj wpadłam w supermarkecie na matkę Jeda. Właśnie się spieszyła, żeby zabrać Leslie do przymiarki sukni ślubnej. Wszystko jest pod kontrolą. Wcale nie musisz wracać.

- Muszę, Katie Beth - powiedziała Mariel i przygryzła wargę. - Muszę wracać do Rockton, bo nie mogę dłużej być tutaj. Nie z Noahem. Nie w takiej sytuacji. Muszę wyjechać, żeby spojrzeć na to, co się wydarzyło, z pewnej

perspektywy. Kiedy jestem z nim, nie potrafię myśleć logicznie.

- Taak, ale twoje uczucia dla niego nie znikną tylko dlatego, że wsiądziesz do samolotu albo dlatego, że chcesz, żeby zniknęły. Są rzeczy, z którymi nie da się walczyć, Mariel.

- Są rzeczy, z którymi trzeba walczyć, Katie Beth. To jest błąd, to z Noahem. On pragnie określonego typu kobiety, a ja nią nie jestem. Kiedyś już złamał mi serce; nie mogę znowu przez to przechodzić.

- Może nie będziesz musiała - nie ustępowała Katie Beth. - Kto powiedział, że nie jesteś jego typem kobiety? Kto powiedział, że tym razem będziesz miała złamane serce?

- Ja to mówię - odparła Mariel. - Bo dobrze o tym wiem. Nie ma innej możliwości. Ale przez następne dwadzieścia cztery godziny nie zamierzam o tym myśleć. Dla odmiany chcę żyć chwilą.

- Zrób tak, skarbie - powiedziała Katie Beth. - I możesz być mile zaskoczona tym, co się stanie.

- David Grafton, słucham.

Noah zaklął w duchu i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha. Miał nadzieję, że o tej porze odezwie się poczta głosowa szefa. Nie było jeszcze nawet wpół do ósmej.

Nie musiał wcale udawać przygnębienia; przyszło mu to całkiem naturalnie.

- David, tu Noah. Nadal nie czuję się najlepiej.

- Przykro mi to słyszeć, Noah. - W głosie szefa nie zabrzmiał ani cień współczucia. Facet był zimny jak lód nawet w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach. A teraz Noah mógł sobie łatwo wyobrazić, co wyprawiali wymagający klienci, skoro David o tej porze już pojawił się w pracy. Jak również bez trudu odgadł, że szef nie wzruszy się na tyle stanem jego zdrowia, żeby dać mu jeszcze jeden dzień wolnego.

- Nie przyjdę dzisiaj do biura - ciągnął mimo to desperacko, starając się zdusić w sobie poczucie winy. Przecież, na litość boską, nie dopuszcza się niczego nielegalnego. Bierze tylko dzień chorobowego, jeden z dziesięciu w roku, zagwarantowanych mu przez firmę. To prawda, że zużył już ponad połowę tegorocznego przydziału, ale musiał kilka razy wziąć wolne w związku ze sprawą rozwodową.

- Usilnie nalegam, żebyś jeszcze przemyślał swoją decyzję - oświadczył David szorstko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że jeżeli nie jesteś konający, lepiej będzie, gdy się tu pojawisz. Wsiąkły plany nowej kampanii Douglasa. Wczoraj kilkakrotnie usiłowałem się do ciebie dodzwonić, żeby się dowiedzieć, czy nie pamiętasz przypadkiem, co z nimi zrobiłeś.

Noah w popłochu próbował wymyślić jakąś odpowiedź. Może lepiej, żeby pojechał dzisiaj do biura? Ale to niemożliwe. Gdzie położył te plany? Bóg jeden wie. David usiłował się do niego wczoraj dodzwonić? Fatalnie.

Spreżył się w oczekiwaniu na to, co nieuniknione. Zaraz David oznajmi, że rozmawiał z Alanem i Alan powiedział mu, że jego gospodarza od kilku dni nie ma w domu. Błyskawicznie nasuwało się kolejne kłamstwo: Noah wyjechał na weekend, zatrzał się nieświeżymi skorupiakami i był zbyt chory, żeby udać się w drogę powrotną do Nowego Jorku. Przecież wczoraj nie powiedział Davidowi, skąd dzwoni? Chyba nie? Cholera, nie mógł sobie przypomnieć.

- Zdawało mi się, że powinieneś być w domu, leżeć chory - ciągnął David. - Ale kiedy telefonowałem, nikt nie odpowiadał. Włączała się tylko automatyczna sekretarka.

Noah miał ochotę powiedzieć, że sekretarka włączała się właśnie dlatego, że nie było go w domu.

Że w rzeczywistości został wezwany do małego miasteczka w centralnym rejonie stanu, bo zaginęła jego córka. Miał ochotę powiedzieć...

I zrobił to.

Wcale tego nie planował. Jakaś część jego osoby wiedziała, że byłby głupcem zaplątując się bardziej w historyjkę o chorobie, ale jeszcze większym głupcem, gdyby zdecydował się na uczciwe wyjaśnienia. Jednak kiedy umysł konstruował kolejne wybiegi, jak to Noah był zbyt cierpiący, żeby podnieść się z łóżka i dowlec do telefonu, usta zaczęły wyrzucać z siebie prawdę.

Nie całą prawdę. Szefa nie powinno obchodzić, że Amber została oddana do adopcji albo że Noah nie widział córki od dnia jej narodzin.

David Grafton milczał przez chwilę.

Noah oczekiwał, że zaraz zacznie drażnić temat, żeby uzyskać więcej informacji, że zażąda dowodów na prawdziwość tej historii czy że zbeszta go za kłamstwo o zatruciu pokarmowym. A może - nawet on - wyrazi niepokój o nastolatkę, która bez śladu zniknęła w biały dzień z ulicy małego miasteczka.

Ale David nie zareagował na żaden z tych sposobów. Zapytał tylko tonem niemożliwym do rozszyfrowania przez telefon:

- Więc sądzisz, że kiedy pojawisz się w biurze?

- Może jutro - odparł Noah. - Albo w czwartek. A może jeszcze później. Nie mogę stąd wyjechać, dopóki nie dowiem się, gdzie ona jest i czy nic jej się nie stało.

- Usilnie doradzam ci, żeby to było jutro - powiedział David. - I Noah?

- Tak?

- Potrzebujemy tych planów. Coś ty, do diabła, z nimi zrobił?

Bydlak.

Noah usiłował przypomnieć sobie, gdzie je położył, i podał kilka możliwych miejsc do sprawdzenia. No to koniec, pomyślał ponuro, odwieszając słuchawkę. Wiedział, że znalazł się na straconych pozycjach. Po pierwsze, wsadził gdzieś te cholerne plany kampanii reklamowej, po drugie, kłamał, do czego sam się przyznał. Będzie miał dużo szczęścia, jeśli nie wyleją go za którąś z tych spraw. Zważywszy jednak na to, że obciążały go obie naraz, mógł się spodziewać, iż po powrocie do domu dowie się, że już w agencji nie pracuje.

Zabawne... Z jakiegoś powodu nie wydawało mu się to takie ważne.

Mimo że za tydzień wypadał termin opłaty czynszu, a Noah nie miał w zapasie pensji żony ani oszczędności, którymi mógłby się poratować, gdyby stracił pracę.

Jednak teraz liczyło się tylko, żeby szczęśliwie odnaleźć Amber. I być z Mariel.

Noah prosił, żeby Mariel zaczekała na niego na dole. Zanim zdążył opuścić pokój, zbiec po schodach i spotkać ją w hallu, David Grafton całkowicie ulotnił mu się z pamięci.

- Mam świetny pomysł - oświadczył, wiedziony nagłym impulsem.

- No, no - roześmiała się Mariel.

Chciał ją pocałować, ale się pohamował. Rozkoszował się tą nową swobodą, jaka nastąpiła w ich wzajemnych kontaktach, i marzył, żeby udało się ją zachować. Przy sprzyjającym szczęściu mogła przetrwać przez cały dany im jeszcze czas... co przypominało mu o pomysłach, na który wpadł, kiedy zobaczył Mariel.

- Dlaczego by nie zabrać od razu wszystkich naszych bagaży i nie wymeldować się? Możemy z Catskills pojechać prosto do Nowego Jorku... w końcu będziemy już mieli połowę drogi za sobą. W stronę polecisz z La Guardi, a ja przynajmniej nie spóźnię się do pracy - nie żeby to miało szczególny wpływ na mój plan. W każdym razie zależnie od tego, co wydobędziemy dzisiaj z Sherry i jeżeli Amber do tego czasu się nie pojawi - chociaż Bóg by dał, żeby się już odnalazła - spotkamy się znowu w Strasburgu podczas weekendu i będziemy kontynuować poszukiwania.

- A gdzie dzisiaj mam przenocować? - spytała Mariel niepewnie.

- Żartujesz sobie? U mnie - powiedział, biorąc ją za rękę i ściskając serdecznie. - Zostaniesz ze mną.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł, Noah?

- Chodzi o jedną noc, Mariel - powiedział, mocniej tuląc jej palce. - Tylko o jedną noc. Co to może zaszkodzić?

Nieopatrzne słowa zawisły między nimi i zanim jeszcze przebrzmiały, Noah zapragnął je cofnąć. Obydwoje wiedzieli, jakie szkody może przynieść jedna wspólna noc. Kiedyś właśnie taka jedna noc wystarczyła, żeby poczęło się dziecko i ostatecznie doprowadziła do klęski ich związku.

Jedna noc. Jeszcze tylko jedna noc. Nie dbał o konsekwencje. Nie mógł już dłużej udawać. Chciał zatrzymać czas, który spędzał z Mariel, sprawić, żeby trwał całe życie.

Clearwater Corners składał się ze stacji benzynowej i minipawilonu handlowego, który przycupnął po przeciwnej stronie drogi niż wyblakły drewniany znak w kształcie strzały. Droga była zacieniona i kręta, a napis na drogowskim głośli: CAMP DRAKE, 1,5 KM. To naprawdę rajski zakątek, pomyślała Mariel, przenosząc spojrzenie z porośniętych wiecznie zielonym lasem podniebnych górskich szczytów na bujne podszycie na poboczach szosy, cętkowane szkarłatnymi dzikimi kwiatami. W powietrzu unosiły się wstęgi mgły, ale już nie tak gęstej jak z samego rana.

Minęli kilka zamkniętych ośrodków narciarskich, kilka domów mieszkalnych, terenów biwakowych i letniskowych chat, ale głównie jechali przez zupełne odludzie.

Po burzy, która szalała poprzedniej nocy, ochłodziło się i rano temperatura w Strasburgu ledwie przekroczyła dwadzieścia stopni. Według prognozy w ciągu dnia miała się nieco podnieść. Ale tutaj, w górach, było jeszcze chłodniej. Niebo znowu się zaciągnęło, bez groźby deszczu, który przyniosły wczorajsze ciężkie chmury.

Większą część podróży Mariel spędziła wygodnie rozparta na miejscu dla pasażera, gapiąc się w milczeniu przez okno i podziwiając majestatyczne górskie krajobrazy. Noah również się nie odzywał. Słuchał starej kasety Rolling Stonesów, którą jego przyjaciel zostawił w samochodzie.

Tym razem jednak panująca pomiędzy nimi cisza nie była ponura ani krępująca. Za każdym razem, gdy Mariel zerknęła na swego towarzysza, widziała na jego twarzy wyraz spokojnego zadowolenia. Czyżby myślał o niej, o ich wspólnej nocy? Chciała w to wierzyć. Ostatnia noc była cudowna i Mariel twardo przespalała w ramionach Noaha bite dziesięć godzin zanim ją obudził.

Ten rano nie przyniósł im uczucia skrupowania ani pospiesznych starań, żeby jak najszybciej się rozstać. W końcu trzeba by się zastanowić, co to wszystko może znaczyć. Ale nie rozmyślała nad tym teraz. Nie był to odpowiedni czas na rozważania dotyczące ich związku albo faktu, że ona, Mariel, jedzie właśnie z Noahem do Nowego Jorku. Teraz musieli skoncentrować wszystkie wysiłki na poszukiwaniach córki.

Kiedy koła wozu zaturkotały po prowadzącej do obozu błotnistej drodze, Mariel zauważyła, że spokój malujący się na twarzy Noaha ustąpił miejsca wyrazowi strapienia

- Myślisz o Amber, prawda? - zapytała.

Noah skinął głową.

- Bywa, że potrafię zepchnąć to wszystko w niepamięć, jeśli się trochę postaram. Ale nie teraz. Nie możemy zaniechać poszukiwań. To że ty jutro odlatujesz do domu, a ja wracam na parę dni do pracy, nie oznacza, że nie mamy zamiaru doprowadzić sprawę do końca.

- Nie, nie oznacza - powiedziała żarliwie. - Załatwię tylko kilka rzeczy w Rockton i wracam do Strasburga.

- Ja przyjadę w piątek wieczorem, po pracy - obiecał. - Oczywiście, jeżeli do tej pory jej nie znajdą - dodał po chwili.

- Jasne - zgodziła się, czując w środku pustkę. Niczego bardziej nie chciała niż bezpiecznego powrotu córki, a jednak wiedziała, że jeśli Amber pojawi się, zanim ona zdąży wrócić na Wschodnie Wybrzeże, nie będzie już powodu do ponownego spotkania w Strasburgu.

Nienawidziła samej siebie za tę myśl i za szukanie pretekstu do podtrzymywania kontaktów z Noahem. Wiedziała jednak, że jeśli miałyby wybierać pomiędzy możliwością zobaczenia się z nim a bezpiecznym, rychłym powrotem córki, opowiedziałyby się za tym ostatnim. Nie mogła znieść myśli, że Amber grozi niebezpieczeństwo, gdziekolwiek dziewczynka się znajdowała, czy to z własnej woli, czy uprowadzona siłą. I właśnie dlatego ona, Mariel, odbędzie tę podróż, powiedziała sobie stanowczo.

Wyłącznie w związku z Amber. Nie po to, żeby na nowo odkryć Noaha.

- Jesteśmy - oznajmił Noah, zatrzymując się naprzeciw wiejskiego piętrowego budynku z bali. Umieszczona w pobliżu tablica głosiła: **SCHRONISKO CAMP DRAKE**.

Poniżej do zbocza tuliły się mniejsze domki. Na wchodzącym w szare wody jeziora pomoście Mariel dostrzegła grupkę dzieci, wszystkie w czerwonych koszulkach i białych szortach. Jakiś nastolatek dawał rękami znaki kilku innym obozowiczom i chłopcu, który wiosłował w ich stronę w kanoe.

Na wąskim ganeczku największego budynku stał w wyczekującej postawie mężczyzna w średnim wieku, ubrany również w czerwony T-shirt i białe spodnie. Zapewne usłyszał chrzęst kół ich samochodu na żwirze.

Noah wychylił się przez okienko.

- Dzień dobry. Czy możemy zaparkować na parę minut?

Mężczyzna skinął głową, wskazując miejsce pod najbliższym drzewem. Noah skreślił tam i wyłączył silnik.

- Chcesz z nim pogadać czy ja mam to zrobić? - zwrócił się do Mariel ściszym głosem.

- Możesz ty - odparła. Wysiedli z samochodu.

Mężczyzna zszedł po schodkach i czekał na nich przed gankiem.

- Nazywam się Dean Drake - powiedział, podając im rękę na powitanie. - Jestem kierownikiem tego obozu.

- Noah Lyons - przedstawił się Noah - a to Mariel Rowan. Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać z jedną z pana pracownic, jeżeli można oderwać ją od zajęć na kilka minut.

- A o kogo państwu chodzi i czego dotyczy sprawa? - zapytał Dean ostrożnie.

Noah wyjaśnił kierownikowi sytuację, tłumacząc, iż obydwójce z Mariel prowadzą śledztwo w związku ze zniknięciem nastolatki z Valley Falls. Nie dodał jednak, co ich łączy z zaginioną. Mariel w gruncie rzeczy oczekiwała, że Drake zapyta, czy są przedstawicielami prawa i zażąda ich odznak, ale nie zrobił tego.

- Pójdę poszukać Sherry i przyślę ją tutaj - powiedział. - Słyszałem już od innego prawnika o zaginięciu jednej z jej przyjaciółek. Wydaje mi się, że Sherry bardzo to przeżywa. Jestem pewien, że zechce państwu pomóc, jeśli tylko będzie mogła.

Ruszył w dół stoku za schroniskiem.

Mariel zaczęła nerwowo spacerować, podczas gdy Noah przysiadł na ławce przy stojącym w pobliżu ogrodowym stole.

Nie minęło kilka minut, kiedy spośród drzew od strony jeziora wyłoniła się kilkunastoletnia dziewczyna. Była ładna, troszeczkę przysadzista, z krótkim i, spłowiałymi od słońca blond włosami i opaloną buzią. Miała na sobie oczywiście obowiązujący w Camp Drake strój: czerwoną koszulkę z wydrukowaną nazwą obozu i białe szorty, do których nosiła grube skarpety i skórzane niskie traperki.

Na jej widok Mariel przerwała swój spacer, a Noah poderwał się z ławki.

- To ty jesteś Sherry? - zapytał.

Skinęła głową, popatrzyła czujnie to na jedno, to na drugie z nich i przygryzła wargę. W końcu odezwała się:

- Dean mówił, że państwo prowadzą dochodzenie. Ale gliny już ze mną rozmawiały, jeszcze w domu. Powiedziałam im, że nie wiem, gdzie jest Amber.

- A nam się wydaje, że wiesz. Sherry - zaryzykował Noah.

Niebieskie oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Dlaczego państwo tak sądzą?

- Bo Amber o wszystkim ci mówiła, prawda?

- Prawie o wszystkim - przyznała Sherry, przeciągając czubkiem buta po trawie i z uwagą śledząc wydeptany ślad.

- Więc wiedziałaś, że Amber planowała ucieczkę - zaatakowała Mariel, instynktownie wyczuwając, że najlepszą drogą, żeby coś z niej wydusić, jest zaryzykować błąd.

- Taak, ale to nie znaczy, że powiedziała mi, dokąd się wybiera - broniła się Sherry.
Mariel zdołała zapanować nad sobą i nie osunąć się na stojącą z tyłu ławkę. A więc Amber uciekła. Sherry właśnie to potwierdziła. Daleko było im jeszcze do sukcesu, ale przynajmniej wiedzieli, że nie chodzi o porwanie.
Dalej więc naciskała dziewczynę, nie śmiejąc spojrzeć na Noaha:
- A jednak myślimy, że ci powiedziała. I nie jest to tylko nasza opinia. Niektórzy nauczyciele, jak również państwo Steadmanowie zeznali policji, że podejrzewają, że orientujesz się, dokąd twoja przyjaciółka pojechała.
- Ale ja naprawdę nie wiem.
Kłamała. Mariel była tego pewna.
- Posłuchaj, wiemy, że Amber spędzała masę czasu w Internecie. Obawiamy się, że mogła zostać wywabiona z domu przez kogoś, kogo poznała w sieci - kogoś, kto chciał ją skrzywdzić.
- No nie, to nie było tak - wybąkała Sherry, po czym zacisnęła mocno usta.
- Co - czy raczej powinienem powiedzieć kto - zwabił ją? - przejął pałeczkę Noah.
Sherry wzruszyła ramionami.
- Sherry, wiemy, że Amber bardzo się martwiła rozpadem małżeństwa swoich rodziców - ciągnął niezrażony.
- Taak, każdy by się martwił. - Spojrzała na nich spode łba i przybrała pozę obronną, z założonymi rękoma.
- Jak myślisz, dokąd Amber mogła pojechać? - zapytała Mariel. - Miała jakieś oszczędności? Była z kimś umówiona? Z kimś, kto miał się nią zaopiekować?
Coś błysnęło w oczach Sherry. Mariel wyczuła, że trafiła w dziesiątkę. Gdziekolwiek ich córka się znajdowała, nie działała na własną rękę.
Jednak dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.
- Już powiedziałam policji wszystko, co wiedziałam - stwierdziła.
- Dobrze, jeśli jeszcze coś ci przyjdzie do głowy, możesz do mnie zadzwonić - powiedział Noah i wręczył jej skrawek papieru, na którym nabazgrał swój numer telefonu.
- Gdzie to jest? - zainteresowała się Sherry, zerknąwszy na karteczkę.
- Manhattan - odpowiedział. - A dlaczego?
- Nie wolno nam dzwonić na duże odległości - wymamrotała, znowu wierząc w trawie czubkiem buta.
- Więc zamów rozmowę na mój koszt - zaproponował. - Właśnie to miałem na myśli.
- O, do licha. - Obejrzała się przez ramię. - Muszę już wracać nad jezioro. Dean pilnuje moich podopiecznych. Nie podoba mu się, że państwo się tu pojawili i odciągają mnie od pracy.
- Naprawdę? - spytał uprzejmie Noah. - A ja myślę, że Dean nie ma nic przeciwko temu. I coś mi się wydaje, Sherry, że ty jesteś jedyną osobą, która nas tu nie chce. Obawiasz się, że coś wykryjemy?
- Nie chcesz się upewnić, że twojej przyjaciółce nic się nie stało? - podjęła indagację Mariel, starając się bez skutku uchwycić spojrzenie dziewczyny.
- Bo naprawdę nic jej się nie stało - oświadczyła Sherry. Odwróciła się na pięcie i odeszła.
Noah i Mariel wymienili spojrzenia.
- Ona uciekła. - Mariel odetchnęła i uświadomiła sobie, że płacze.
Noah objął ją, przyciągnął do siebie i pogłaskał po włosach.
- Płaczesz, bo ci ulżyło?
- Sama nie wiem - przyznała, pociągając nosem. - Nie mogłam znieść myśli, że ją porwano, ale przecież jeśli opuściła dom z własnej woli, to też nie gwarantuje, że jest bezpieczna, obojętnie, co na ten temat sądzi Sherry. Do diabła, Noah, gdzie Amber się podziewa?
- Odkryjemy to. Nie przerwiemy śledztwa na tym etapie. Może mimo wszystko powinniśmy dać sobie spokój z Nowym Jorkiem i wrócić do Strasburga.
- Nie - powiedziała szybko. - Nie możemy tego zrobić. Ty musisz pojawić się w pracy, a ja lecieć do domu. Wrócimy na weekend i podejmiemy sprawę w punkcie, w którym dziś ją zostawiamy.
Noah skinął głową, wpatrując się w Mariel z dziwnym wyrazem twarzy.
- O co chodzi? - stropiła się.
- O nic - powiedział i zabrzęczał kluczykami od samochodu. - Ruszajmy do Nowego Jorku.

Co by było, gdyby Mariel nie wróciła?

To pytanie dręczyło go w Camp Drake, kiedy oświadczyła, że spotkają się podczas najbliższego weekendu w Strasburgu. Nie wypowiedział jednak swoich wątpliwości na głos. W końcu obiecała, że przyleci. Powinien jej wierzyć. Bo niby dlaczego nie? Jej przyjazd nie miałby przecież nic wspólnego z jego osobą. Chodziło o odnalezienie Amber. I to był jedyny powód, dla którego Mariel zdecydowała się wrócić. I jedyny powód, dla którego Noah zdecydował się wrócić.

Nie, nieprawda, pomyślał, gapiąc się ponuro przez przednią szybę na nasilony w południe ruch na autostradzie 287, prowadzącej na wschód, przez Rockland County w kierunku Tapan Zee Bridge. Nie mogli udawać, że nic się nie wydarzyło, przeżyć wspólnie tylu namiętnych chwil, a potem rozejść się niczym przypadkowi znajomi, każde w swoją stronę. Zanim jutro Mariel wsiądzie do samolotu, muszą porozmawiać o tym, co to wszystko znaczy.

Jednak problem polegał na tym, że Noah sam nie wiedział, co to znaczy. Nie mógł powiedzieć Mariel, co czuł, bo nie potrafił tego określić. Może kilka dni z dala od niej rozjaśni mu w głowie - pozwoli zobaczyć sytuację taką, jaka jest naprawdę, a nie jaką chciałby widzieć.

Czego właściwie chciał?

Czegoś niemożliwego, pomyślał, mgliście zdając sobie sprawę, że kasetka z Bobem Dylanem dobiegła właśnie końca.

Pragnął, żeby to, co teraz między nimi zaszło, stało się początkiem ich wspólnych dni. Żeby Mariel by łąką kobietą, która ukoi jego bolesną tęsknotę, stworzy mu dom i urodzi dzieci, z którą razem będzie mógł się postarzyć i posiwieć. Jednym słowem, pragnął, żeby dała mu teraz to, czego nie chciała dać piętnaście lat temu.

To zakrawa na obłąd, dumiał dalej, w ostatniej chwili zauważywszy na lewym pasie żółty świecący znak z napisem NIE MA PRZEJAZDU, ROBOTY DROGOWE.

Zmieniła się pewnie pod wieloma względami, ale była nadal tą samą osobą. Tak, wydorosła, podczas gdy dawniej była dzieciakiem - ale to ciągle Mariel. Raczej więc nie przeobraziła się w strażniczkę domowego ogniska, która marzy o tym, żeby spędzić resztę życia smażąc kotlety, zmieniając pieluchy i starzejąc się u boku jedynego mężczyzny. Gdyby tego chciała, już dawno mogła ułożyć sobie życie w ten sposób.

Poza tym, jeśliby rzeczywiście sądziła, że Noah zdoła ją uszczęśliwić - jeśliby zmieniła się aż do tego stopnia - on z pewnością by to wyczuł. Nie byłaby to zalotna, to przestraszona, to namiętna, to zimna.

Nie żeby okazywała mu chłód od ostatniej nocy, kiedy kochali się ponownie w czasie burzy.

Obiecuj mi, że rano nie uciekniesz.

Nie zlekceważył jej słów i został.

Wiele dla niego znaczyło, że go o to poprosiła, podobnie jak to, że mu się oddała fizycznie. Bo emocjonalnie pozostała powściągliwa. Walczyła z uczuciami, jakiegokolwiek by one były, i Noah dobrze wiedział dlaczego, ponieważ robił dokładnie to samo.

Mariel, podobnie jak on, uważała, że to, co się teraz dzieje, nie ma żadnej szansy przetrwania.

Ale tylu rzeczy nie sposób przewidzieć, pomyślał, hamując gwałtownie, kiedy osiemnastokółowa ciężarówka, skręciwszy z lewego pasa, zajęła mu drogę.

Nie potrafił, na przykład, przewidzieć, co się stanie, kiedy ich córka się odnajdzie.

Amber poszukiwała Mariel, więc istniało prawdopodobieństwo, że w końcu dojdzie do ich spotkania. Czy dziewczynka będzie również chciała zobaczyć się z ojcem? Czy zejdą się choć na chwilę całą trójką, jak prawdziwa rodzina? Może Amber zażyczy sobie widzieć się z każdym z nich osobno? A co, jeśli tymczasem zmieniła zdanie i nie zechce w ogóle słyszeć o biologicznych rodzicach? Co, jeśli nie zechce Noaha w swoim życiu?

Nie potrafił znieść myśli o powrocie do samotnej nowojorskiej egzystencji bez możliwości nawiązania kontaktu z utraconą córką.

Jego życie nie może już toczyć się tak jak dotychczas. Nie może, bo teraz Noah zna twarz, imię i nazwisko dziecka, które dotąd nawiedzało go tylko w wyobraźni. A poza tym pojawiła się Mariel.

Przez całe lata, kiedy nie było jej w jego życiu, potrafił utrzymać myśli z dala od niej, tak jak i od swojej córki. Owszem, wspominał dawny romans. W gruncie rzeczy nawet często. Ale z uczuciem melancholii i... tak, gniewu. Wszystko to teraz minęło.

Jeśli nie łączy ich nic więcej, to zdołali przynajmniej zasypać przepaść, która ich dzieliła. Przecież w końcu przebaczył Mariel, uświadomił sobie, gdy pojawiło się przed nim potężne przesłone długiego na pięć kilometrów mostu, który, wznosząc się nad rzeką Hudson, sięgał jej wysokiego brzegu po stronie Westchester.

- Jak pięknie - westchnęła Mariel, budząc Noaha z zamyślenia.

Spojrzał na nią i zobaczył, że wpatruje się przez szybę w niebo barwy dymu, w rzekę i oba brzegi upstrzone domami. W dole płynęła samotna żaglówka, a dalej powoli dryfowała z prądem ogromna barka.

- Gdybyśmy mieli dzisiaj lepszą pogodę, mogłabyś zobaczyć sylwetkę Manhattanu na tle nieba, o tam, dokładnie na wprost twojego okna - powiedział.

- Jesteśmy już tak blisko?

Skinął głową.

- Mniej niż godzinę drogi, o ile będziemy mieć szczęście.

Mariel uśmiechnęła się.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znowu znajdę się w tym mieście.

- A kiedy byłeś tu ostatni raz? - spytał zdziwiony.

- W szkole średniej - przyznała. - Pojechałam z naszym chórem i nigdy tego nie zapomnę. Wtedy właśnie zdecydowałam, że chcę tu mieszkać i zrobić karierę w teatrze muzycznym.

Opowiadała mu o tej podróży przed laty. Oczarował go wtedy obraz dziewczyny z prowincji, patrzącej z zachwytem na wielkie miasto.

- I nigdy więcej tu nie wróciłaś?

- Nie - odparła. - Zawsze chciałam, ale...

- Cóż, w takim razie - oświadczył Noah, odsuwając od siebie rozstrajające go myśli o przeszłości - lepiej się pospieszmy.

Wjechał na odpowiedni pas i dodał gazu.

- Dlaczego? - zapytała Mariel ze śmiechem.

- Bo jest masa rzeczy do zobaczenia, a nie mamy za wiele czasu.

- Przecież nie musisz mnie oprowadzać, Noah - zaprotestowała.

- Wiem. Ale chcę - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Zobaczyć miasto twoimi oczami, Mariel, to będzie dla mnie prawdziwa przyjemność. Możliwe, że dzięki tobie zakocham się w nim na nowo, bp ostatnio nie bardzo potrafię sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle tu mieszkam. Czujesz czasami coś podobnego w związku z Rockton?

- Teraz już nie - powiedziała po chwili zastanowienia.

Przez moment wyobrażał sobie siebie tam, w jej małym miasteczku na Środkowym Zachodzie.

Wariacki, zupełnie obłąkany pomysł, przywołał się do porządku. A może nie. W końcu czy nie zabawiał się myśląc ucieczce z Nowego Jorku i rozpoczęciu wszystkiego od nowa w jakimś przyjemnym, dostępnym dla jego kieszeni miejscu, gdzie życie byłoby łatwiejsze niż na Manhattanie?

Och, dajże spokój. Są setki tysięcy takich sennych amerykańskich miasteczek, w których dzień powszedni, skoro już raz człowiek zdecyduje się przekroczyć próg domu, nie jest próbą sił.

Tak, ale tylko jedno z nich to miasteczko Mariel.

Cóż, nie mógł tak po prostu przenieść się do Rockton w stanie Missouri, wyłącznie dlatego, że ona tam mieszka.

Strumień pojazdów na moście zamarł przed rogatekami. Noah trzymał stopę na hamulcu i jego wóz przesuwiał się powoli naprzód, kiedy tylko ruszały samochody stojące przed nim.

- Jakie ono jest? - zapytał.

Mariel spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Rockton - wyjaśnił, widząc, że straciła wątek rozmowy.

- A, Rockton. - Wzruszyła ramionami. - Jest małe. Ludzie są tam mili, serdeczni i szalenie konserwatywni, co mnie dawniej denerwowało. Ale teraz już mi to tak bardzo nie przeszkadza; może dlatego, że jestem nauczycielką. Uważam tradycyjne wartości za rzecz dobrą, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dzieci. Co jeszcze mogę ci powiedzieć? Wszyscy wszystkich znają. Mamy zakład fryzjerski ze staroświecką pasiastą markizą. Dwa supermarkety; w obu można dostać tylko sałatę lodową.

- Jak to, nie mają nawet *mesclun*? - dziwił się Noah z szerokim uśmiechem.

- Nie mają nawet sałaty dębowej - odparła Mariel, wzdychając teatralnie. - I jak już mówiłam, Rockton nie obfituje w miejsca, gdzie kupisz ciuchy... albo cokolwiek innego. Aczkolwiek posiadamy duży magazyn z paszą i kilka świetnych sklepów ze sprzętem rolniczym. Och, i nową restaurację - uchodzi za bardzo dobrą - już poza miastem, przy szosie. Zdaje się, że się nazywa... hmm, jak to było? O, właśnie. Pizza Hut.

Noah wybuchnął śmiechem. Mariel zawtórowała mu.

- Najsmutniejsze z tego wszystkiego, Noah, że mówię całkiem poważnie.

- To wcale nie jest smutne - odparł. - Dla mnie brzmi uroczo.

- Niestety, jest. - Mariel zamilkła.

Mała luka w korku pozwoliła im przesunąć się trochę do przodu.

Noah czekał, kiedy Mariel zaproponuje, by kiedyś odwiedził ją w Rockton.

Niestety na próżno.

Pochyliła się tylko w stronę magnetofonu i nacisnęła klawisz `Play`. Coś zaszumiało i po chwili głos Boba Dylana znowu wypełnił wnętrze wozu.

- Co, do diabła...?

- Co się stało? - spytała. Zatrzymali się w westybulu jego kamienicy. Noah wpatrywał się w metalową skrzynkę na listy, którą właśnie otworzył.

- Mój lokator w ogóle nie był uprzejmy się pofatygować - sarknął, wyciągając cały plik kopert i ulotek. - To chyba wczorajsza i dzisiejsza poczta. Zostawiłem mu wiadomość z prośbą, żeby sprawdzał, czy coś nie przyszło. Chyba tyle mógł zrobić.

Mariel wzruszyła ramionami. Leslie prawdopodobnie też nie wyjęła ich poczty ze skrzynki, a tacie nie przyjdzie to do głowy teraz, kiedy już z nimi nie mieszka. Nic nie szkodzi. W końcu Mariel jutro już będzie w domu. Niestety, ta myśl wcale nie podniosła jej na duchu.

Teraz, kiedy znalazła się w Nowym Jorku, nie miała ochoty stąd wyjeżdżać. Zastanawiała się, czy mogłaby kiedykolwiek nasycić się wystarczająco tym rozległym miastem, z jego sznurami jasnożółtych taksówek, zatłoczonymi chodnikami i olśniewającymi witrynami sklepów. Zafascynowana, chłonęła wzrokiem to wszystko, a tymczasem Noah objeżdżał kolejne boczne ulice i klnąc szukał wolnego miejsca, żeby zaparkować. Kiedy w końcu się znalazło, zaczął narzekać na odległość, jaką musieli przejść pieszo, mimo iż Mariel zapewniała, że nie ma nic przeciwko temu. Wspólny spacer, podczas którego mogła porozglądać się po ulicach, był dla niej frajdą. Noah uparł się nieść wszystkie bagaże, więc pozostało jej tylko nadążać za jego długimi krokami i uważać, żeby w porę

zatrzymać się na krawężniku, kiedy światła sygnalizowały STOP.

- Dobrze, chodźmy - powiedział Noah, zarzucając ponownie swoją turystyczną torbę na ramię i podnosząc bagaż Mariel, podczas gdy w drugiej ręce ścisnął pocztę. - To niezła wspinaczka, więc przygotuj się na parę minut intensywnych ćwiczeń.

Wcale nie żartował. Kiedy wreszcie dotarli na najwyższe piętro, Mariel była zupełnie bez tchu, a przecież to nie ona dźwigała rzeczy. Noah podprowadził ją pod swoje drzwi i wręczył plik listów do potrzymania, sam natomiast usiłował wyłowić z kieszeni klucze.

- Nie mogę uwierzyć, że za chwilę zobaczę wewnątrz prawdziwego nowojorskiego apartamentu - powiedziała, gdy zabrał się do otwierania górnego zamka w poobijanych szarych drzwiach.

- Nie oczekuj zbyt wiele - ostrzegł, przekręcając klucz. Rozległ się cichy trzask, ale Noah zamiast wejść do środka, wsunął drugi klucz do zamka poniżej.

- Czy okolica jest tu bezpieczna? - spytała Mariel, zauważywszy, że drzwi zaopatrzone są jeszcze w trzeci zamek i wizjer.

- O tak, zupełnie bezpieczna - stwierdził, szukając na kółku kolejnego klucza. - Powinienem cię ostrzec. Zapewne zastaniemy mojego lokatora. Zwykle o tej porze jest w domu.

- W porządku, nie szkodzi.

- Teraz tak mówisz - prychnął ironicznie.

Mariel rozejrzała się dookoła, ciekawa, jak by to było mieszkać w miejscu takim jak to. Przypuszczała, że trudno, zważywszy na wspinaczkę, którą musiałaby uprawiać za każdym razem, kiedy wy szłaby z domu.

Rzuciła spojrzenie na przybrudzone musztardowego koloru ściany i rząd ciągnących się wzdłuż korytarza zamkniętych ponumerowanych drzwi. Przed oczami stanął jej obraz własnego domu, przycupniętego przy ulicze, wzdłuż której w cieniu drzew stały budyneczki z oszalowanymi drewnem ścianami, żaluzjami w oknach i podwórkami od frontu, niektóre otoczone płotkami. Pomyślała o tym, jak sąsiedzi zawsze przyjaźnie machają do niej, ilekroć wychodzi lub wraca i jak cała ulica zbiera się rokrocznie na przyjęcie we wrześniu, kiedy powietrze pachnie świeżo skoszoną trawą i różami.

Była ciekawa, czy mogłaby czuć się szczęśliwa, żyjąc tak jak Noah. On najwyraźniej nie wyglądał na ukontentowanego i Mariel uświadomiła sobie, że prawdopodobnie chętnie opuściłby Nowy Jork, gdyby miał po temu dobry powód. Jak na przykład...

- No, już. Proszę bardzo - powiedział, otwierając drzwi na oścież, po czym zawołał: - Alan!

Nie było odpowiedzi.

Mariel przestąpiła próg, zadowolona, że Noah oderwał ją od myśli, która o mały włos nie skryzalizowała się w jej głowie.

Znaleźli się w niewielkim przedpokoju. Mógłby wyglądać całkiem przyjemnie, gdyby nie był tak ciemny. Nie miał ani jednego okna. I żadnych mebli. Stał tu tylko rower do ćwiczeń, na który ktoś rzucił kilka płaszczy i marynarek.

- Alan! - zawołał znowu Noah, niepewnie nasłuchując.

W mieszkaniu panowała cisza.

Rozejrzawszy się wokół, Mariel nie potrafiła wymyślić żadnej stosownej uwagi.

Noah roześmiał się.

- Czyżby odjęło ci mowę z wrażenia? Takie coś w Nowym Jorku określamy mianem foyer. Gdziekolwiek indziej nazywano by to komórką.

Zawtórowała mu śmiechem i ruszyła za nim w stronę najbliższych drzwi. W przedpokoju były ich trzy pary - jedno najwyraźniej prowadziły do kuchni, drugie do łazienki. Trzecie, przez które właśnie przeszli, wiodły do saloniku. Tutaj znajdowało się co prawda kilka okien, ale Mariel od razu nasunęło się pytanie, czy to możliwe, żeby ten pokój nigdy nie był jaśniejszy. Może w słoneczne dni... Kiedy jednak wyjrzała na ulicę, przekonała się, że dopływ światła ograniczały stojące po przeciwległej stronie wysokie budynki.

Popatrzyła na stosy książek i gazet, na sterty płyt kompaktowych, na kilka beznadziejnie wyglądających mebli. Zauważyła nagie gwoździe w ścianach, ciągnące się po podłodze kable elektryczne, kurz, okruszki. Pokój najwyraźniej rozpaczliwie potrzebował porządnego sprzątnięcia. I kobiecej ręki.

Nie dostrzegła natomiast żadnych śladów po byłej żonie Noaha. Przedtem Mariel obawiała się ich widoku, ale teraz poczuła się niemal zaniepokojona. Nie było wątpliwości, że to mieszkanie kawalerskie; pozbawione wygody, przytulności, ciepła, mówiło o opuszczeniu - o samotnym życiu.

- Po prostu noclegownia - odezwał się Noah martwym głosem.

- Nieprawda - zaprotestowała.

- Owszem, prawda. - Przeszedł przez pokój i opadł na kanapę. - Czuję się zupełnie, jakbym widział to wszystko po raz pierwszy. Można się przyzwyczaić, kiedy się ciągle jest na miejscu, ale teraz - po Sweet Briar Inn - tylko popatrz. Jakim cudem to mieszkanie wydawało mi się takie wspaniałe, że za nic nie chciałem wyprowadzić się stąd po odejściu Kelly?

Mariel usiadła obok Noaha, wodząc wzrokiem w ślad za jego niedowierzającym spojrzeniem.

- Nie możesz przeprowadzać podobnych porównań. Sweet Briar jest hotelem.
- Ale to również dom. Dom - nie mieszkanie. Może dojrzałem już do tego, żeby zamieszkać w domu. - Popatrz na Mariel.
Jego twarz była tak blisko. Mariel zwalczyła pragnienie, by wyciągnąć rękę i odgarnąć mu ciemne włosy od oczu.
- Może powinieneś mieszkać w domu.
- Ale nie tutaj. Na Manhattanie nie ma szansy na coś takiego, chyba że jest się multimilionerem.
- Zawsze możesz się stąd wyprowadzić.
- Dokąd? - To jedno słowo, brzemienne sugestią, wprost dopraszało się odpowiedzi.
Mariel wzruszyła ramionami i uciekła oczyma od jego spojrzenia. Noah jednak ujął ją pod brodę i odwrócił jej twarz do siebie, zmuszając, by na niego popatrzyła.
- Mariel - powiedział cicho - dokąd mogę wyjechać? Szukam małego miasteczka. Miejsca, gdzie byłoby mi lżej oddychać. Może takiego ze staroświeckim fryzjerem, i z Pizza Hut.
Poczuła, że powietrze więźnie jej w krtani.
- Noah...
- Ciii, poczekaj, tylko pozwól mi to powiedzieć. Chcę, żebyśmy zaczęli od początku, Mariel. Znowu byli razem. Nie proszę cię, żebyś wszystko rzuciła, rozwalila całe swoje życie i zmieniła je według moich potrzeb. Wszystko, czego chcę...
- To samemu zrobić dokładnie to, co przed chwilą powiedziałeś, żeby dostosować się do mnie - przerwała mu, czując zawrót głowy. - Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz przenieść się do Rockton, żeby być ze mną, Noah? To nie ma sensu.
- Owszem, ma bardzo wiele sensu.
Potrzęsła głową, rozpaczliwie pragnąc, żeby Noah miał rację. Niestety, to wszystko nie miało sensu.
Zupełnie jak kiedyś, pomyślała, próbując zwalczyć falę paniki, która w niej narastała. Zupełnie jak wtedy, kiedy przed laty upadł przed nią na kolana i prosił ją o rękę.
I znowu Noah dał się ponieść nastrojowi chwili, nie widząc całości obrazu. Znowu pospiesznie stworzył idealistyczną wizję, zakładając, że jeśli czegoś chce, może spowodować, żeby się to spełniło.
Mariel buntowała się wewnętrznie na myśl o tym, że on wedrze się w jej świat, wyizolowany, bezpieczny mały świat, w którym znalazła schronienie po ich wspólnie spędzonym burzliwym roku. Gdyby Noah przyjechał do Rockton, nie byłoby już dla niej ucieczki. Nie miałyby gdzie się ukryć, żeby osłonić serce przed ponownym zgruchotaniem.
To nie fair. Ona tego nie chciała. Czowała się złapana w pułapkę.
- Mariel, możemy chociaż spróbować - przekonywał ją żarliwie. - Zobaczymy, czy nam się uda.
- Nigdy nam się nie uda, Noah - odparła, patrząc mu w oczy, chociaż zdawała sobie sprawę, że on nawet jej nie widzi.
Bo Noah zawsze widział to, co chciał widzieć.
- Tego nie możesz być pewna - rzucił tonem na poły błagalnym, na poły kłótlwym. Ten argument sprawił, że poczuła się nieswojo.
Noah tak bardzo pragnął, żeby się udało. Świetnie o tym wiedziała, bo jakaś część jej istoty chciała tego samego. Ale nie mogła po raz drugi ryzykować. Za pierwszym razem straciła zbyt wiele. Więcej niż odważyłaby się jeszcze kiedykolwiek stracić.
Wtedy była nastolatką. Nastolatkom może zdarzyć się falstart, kiedy starają się znaleźć swoją drogę w życiu. Od dorosłych oczekuje się zdecydowania. Powinni wiedzieć, dokąd zacierają. Do diabła, powinni być świadomi swoich celów. Mariel sądziła, że jest.
Kiedy po raz pierwszy jej życie legło w gruzach, walczyła, żeby się podnieść, i poświęciła się całkowicie szkole, rodzinie, przyjaciółom.
Ale teraz nie była już studentką. Matka nie żyła; ojciec postarzał się i większość czasu spędzał na Florydzie; siostra lada moment miała poślubić Jeda i opuścić dom. Kalie Beth wyszła za mąż i założyła rodzinę.
Mariel nie mogła odwołać się do niczego, co dawało jej oparcie przed laty, kiedy o mało nie umarła. Gdyby spróbowali z Noahem jeszcze raz i nie udało im się, nie przeżyłaby tego.
A jeżeli się uda? - pytał słabiutki głos nadziei. Jeśli to twoja jedyna szansa na prawdziwe szczęście, a ty właśnie ją niszczysz?
Nie. Mariel nie mogła podjąć kolejnego ryzyka.
- Przykro mi, Noah - powiedziała zachrypniętym z emocji głosem i potrzęsła głową. - Gdyby pisane nam było spędzić życie wspólnie, już za pierwszym razem znaleźlibyśmy sposób, żeby nam się powiodło. A my, wręcz przeciwnie, rozeszliśmy się.
- To zupełnie co innego. Byliśmy dziećmi. I przeszliśmy przez piekło.
Znowu potrzęsła głową, nie chcąc dopuścić, żeby ją przekonał. Nie mogła ustąpić.
- Nie - powiedziała stanowczo.
Noah spojrzął na nią z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę przenieść się do Rockton w stanie Missouri, nawet jeśli mam na to ochotę?
- Otóż to - potwierdziła.
- Chcesz mi powiedzieć, że wolisz nadal żyć tak jak teraz, w samotności, ukrywając się w tym małym miasteczku?
- Ukrywając się? - powtórzyła z gniewem. - Kto mówi, że ja się ukrywam?
Noah wstał gwałtownie i zaczął przemierzać pokój. W pewnej chwili odwrócił się, żeby spojrzeć Mariel w twarz.
- A niby co robisz, jeśli się nie ukrywasz? Miałaś wielkie plany, Mariel. I poszłaś na łatwiznę.
- To nieprawda!
- Więc dlaczego zrezygnowałaś ze swoich marzeń? Zamierzałaś zostać aktorką, zobaczyć świat, mieszkać w Nowym Jorku.
- Nie masz prawa wydawać opinii według tego, co opowiadałam w wieku osiemnastu lat - odparowała, podrywając się z kanapy, żeby stawić mu czoło. - Kocham moje życie, Noah, niezależnie od tego, co ty o nim myślisz. Mnie się podoba właśnie takie, a nie inne.
- Więc dlaczego jesteś sama?
- A ty dlaczego? - oddała cios.
Wpatrywali się w siebie. Ręce Mariel drżały. Cała się trzęsła. Zbierało jej się na płacz, chciałyby cofnąć ostatnie słowa, rzucić się Noahowi w ramiona i błagać, żeby ją zatrzymał. Wszystko, byle tylko nie stać tak, gapiąc się na niego. Ale nadal tkwiła bez ruchu jak skamieniała, trawiona potężną mieszanką namiętnego gniewu i namiętnego pragnienia.
On odezwał się pierwszy.
- Przez ostatnich piętnaście lat nie byłem sam, Mariel. Miałem żonę. Zaryzykowałem. Nie powiodło mi się, ale przynajmniej nie boję się żyć z drugim człowiekiem.
Zabolało.
- Wcale nie boję się żyć z drugim człowiekiem - odparła, walcząc z całych sił, żeby nie załamał jej się głos.
- Nie, ale boisz się żyć ze mną.
Postanowiła zignorować jego słowa.
- To ty czujesz się nieszczęśliwy, Noah, nie ja. To ty masz pracę, której nienawidzisz, mieszkasz w miejscu, którego nienawidzisz. To ty czujesz się zmuszony coś zmienić. Nie ja.
- Ale przynajmniej nie poszedłem na łatwiznę - odparował.
Mariel zapłonęła gniewem.
- Naprawdę? A czy nie chciałeś przypadkiem pisywać scenariuszy filmowych? Nie chciałeś mieszkać gdzie indziej? Przestań winić swoją byłą żonę za to, co ci się w życiu nie udało.
- Nie winię jej.
- Chyba jednak tak.
- To nieprawda - zaprotestował, ale Mariel poznała po jego oczach, że się nie myliła. Ani trochę. Obwinił żonę. I ją również, zdała sobie sprawę. Podobnie jak ona sama obwiniła jego.
- Może jednak masz rację - skapitulował niespodziewanie. Mariel aż zamrugowała, zdumiona tą nagłą zmianą frontu. - Nie co do Kelly, bo to wcale nie jest tak. Masz rację co do nas. Nie udałoby nam się.
- Nie, nie udałoby się - powtórzyła, czując, jak uchodzi z niej cała energia.
- Nie mogę uwierzyć, że choć na chwilę zdołałem siebie przekonać, że mogłoby być inaczej.
Wzruszyła ramionami. A więc wygrała. I czuła się z tym okropnie.
- Słuchaj, nie chcę, żeby to cokolwiek zmieniło, jeśli chodzi o Amber - odezwał się znowu Noah. - Nadal mamy obowiązek jej szukać.
- Może powinniśmy pozostawić to Steadmanom, policji i Henry'emu Brando - powiedziała z wahaniem. - Może powinniśmy zadzwonić do kogoś z nich, powtórzyć, co mówiła nam Sherry i po prostu wycofać się. Może tylko komplikujemy sprawę wszystkim zainteresowanym.
Noah wlepił w nią wzrok.
- Naprawdę tak myślisz?
- Amber jest zbuntowaną nastolatką. Zbuntowaną do tego stopnia, że uciekła z domu. Czy myślisz, że coś pomoże, jeśli się w to wszystko wmieszamy?
- Ona wyruszyła szukać ciebie, bo cię potrzebowała - wytknął jej brak konsekwencji.
Te słowa sprawiły, że serce Mariel przeszył nagły ból, ale zmusiła się, żeby o tym nie myśleć. Nie było powodu, by żyła macierzyńskie uczucia wobec dziecka, które oddała na wychowanie obcym ludziom. Zrobiła to, bo chciała dla Amber jak najlepiej. Może trzymanie się od córki z daleka będzie w obecnym momencie najlepszym dla dziewczynki rozwiązaniem.
- Możliwe, że przyjechałam jej szukać, bo to ja jej potrzebuję - powiedziała na głos, pokonując rosnącą w gardle grudę. - W końcu, jak twierdzisz, jestem egoistką.
- Wcale nie miałem tego na myśli - odpowiedział szybko.
- Owszem, miałeś - przerwała mu - i to prawda. Sądzę, że obydwoje chcemy ją znaleźć częściowo z

egoistycznych pobudek.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy? Jej może grozić niebezpieczeństwo.

- Wiem - przyznała Mariel, wzdragając się na samą myśl o czymś podobnym. - Ale ona uciekła, Noah. Nie uprowadzono jej. Miejmy nadzieję, że uważa na siebie, niezależnie od tego, gdzie właśnie przebywa, i sama znajdzie drogę do domu, o ile wcześniej policja nie trafi na jej ślad.

- Nie mogę uwierzyć własnym uszom.

Mariel poczuła się nagle całym tym zamętem śmiertelnie znużona.

- Może będę to odczuwała w inny sposób później, rano albo po powrocie do domu - powiedziała. - Ale na razie instynkt podpowiada mi, żeby zostawić ją w spokoju. Piętnaście lat temu, kiedy przyszła na świat, powierzyliśmy ją obcym ludziom, ufając, że dobrze się nią zaopiekują. Myślę, że powinniśmy uczynić to raz jeszcze i wierzyć, że nadal będą się o Amber troszczyć. To ich rola. Nie nasza.

Noah zamknął usta i ciężko odetchnął.

- Życzysz sobie, żebym przeniosła się do hotelu? - zapytała Mariel.

- Do hotelu? - Zamrugał. - Nie, daj spokój, nie rób tego. Nadal chcę ci pokazać Nowy Jork. Możesz zostać u mnie; rano wsadzę cię do taksówki i pojedziesz na La Guardia.

- W porządku. - Westchnęła niepewnie. - Przynajmniej oczyściliśmy atmosferę.

- Taak.

A jednak myliła się. Burzowe chmury nadal zbierały się nad ich głowami, a powietrze naładowane było napięciem. Cóż, musiała jeszcze przebrnąć tylko przez kilka godzin w towarzystwie Noaha. Potem będzie miała całą resztę życia, żeby znów walczyć z uczuciem do niego.

Rozdział 10

Nie jest łatwo pokazywać Nowy Jork ze szczytu Empire State Building komuś, kto ogląda ten widok po raz pierwszy i nadal gniewać się na niego, zdał sobie sprawę Noah w kilka godzin później.

Właściwie nie był zły na Mariel, ale po konfrontacji, do której doszło w jego mieszkaniu, czuł się okropnie. Nie mógł sobie darować, że tak się podłożył, sam się prosząc o to, żeby go odrzuciła.

- To niewiarygodne - powiedziała Mariel. Z łokciami opartymi na balustradzie tarasu wpatrywała się w panoramę miasta.

- Owszem - przyznał.

Chmury w końcu podniosły się i ostatni ślad różowawej poświaty słonecznej zniknął z nieboskłonu. Teraz nad ich głowami jasno błyszczał księżyc i migotały gwiazdy, zdając się odbijać światła miasta. Mosty jarzyły się jak lampki choinkowe, nanizane na ciemną wstążkę rzeki, a ulice były splotami smug żółtych i czerwonych świateł pojazdów mknących we wszystkich kierunkach.

- To Queens - powiedział Noah, wskazując odległy brzeg rzeki. - Mówiłem ci, że tam dorastałem. Teraz pobudowali różne biurowce, ale przedtem to była zwykła dzielnica mieszkaniowa - głównie domy i szkoły.

- Twoja mama nadal tam mieszka? - spytała Mariel.

Skinął głową.

Chciał powiedzieć, że byłby szczęśliwy, gdyby obie panie mogły się poznać, jednak zdusił w sobie te słowa. Mariel nigdy nie spotka się z jego matką. Jutro odlatuje i teraz Noah wiedział, że już nie powróci. Zgodzili się przecież, że nie będą kontynuować poszukiwań, a on obiecał zadzwonić rano do Henry'ego Brando, żeby przekazać mu, co Sherry powiedziała o ucieczce Amber.

- Chodź, pokażę ci Bronx - zawołał, odchodząc od balustrady i kierując się do północnej części tarasu. - Spróbujmy, czy uda nam się stąd zobaczyć stadion Yankee. Jeżeli grają u siebie, cały będzie tonął w światłach.

Najwyraźniej jednak nie grali, bo Noah nie potrafił zidentyfikować dobrze znanego widoku. Pokazał jej za to intrygujący ciemny prostokąt, który okazał się Central Parkiem - całymi akrami zielonej głuszy w sercu wielkiego miasta. Zwrócił też Mariel uwagę na jedyną w swoim rodzaju iglicę Chrysler Building i ukośny szczyt gmachu Citicorp.

W końcu zjechali windą na dół, a kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy, podprowadził Mariel przecnicę dalej, do Macy'ego, gdzie kupiła perfumy dla siostry i przyjaciółki oraz po koszuli dla ojca i przyszłego szwagra.

Za rogiem, w sklepie z pamiątkami, nabyła dwadzieścia pocztówek dla swoich uczniów. Wybór zajął jej trochę czasu, bo musiała się upewnić, że żaden z widoków miasta się nie powtarza.

Noah przypatrywał się temu oszołomiony, starając się nie myśleć o tym, jak pociągająco jego towarzyska wygląda w koralowej bluzeczce bez rękawów i szortach khaki, ze swetrem zawiązanym wokół ramion, zupełnie jakby pojawiła się prosto z...

No cóż, ze Środkowego Zachodu. Skąd właśnie przybyła. I dokąd wróci. Odjedzie tam, gdy tylko wzejdzie słońce.

- Jestem głodna - oznajmiła Mariel Noahowi, który niósł jedną z jej toreb od Macy'ego. Przemierzali właśnie Piątą Aleję. - Możemy teraz coś zjeść?

Skinął głową.

- Myślałem o tym, żebyśmy poszli do Little Italy, oczywiście jeśli lubisz włoską kuchnię.
 - Uwielbiam - odparła. - Pizza Hut, pamiętasz? - Spojrzała na niego z błyskiem w oku.
- Odpowiedział uśmiechem, starając się pokonać zalewającą go falę smutku.
- Postaram się znaleźć miejsce, które dorówna Pizza Hut.

- Myślisz, że twój lokator będzie już w domu? - zapytała Mariel, unosząc jedną z obolałych stóp, żeby oprzeć ją o kostkę drugiej nogi, i obserwując już nie po raz pierwszy zmagania Noaha z kluczami i zamkami.

- Możesz mi wierzyć, on jest zawsze - odparł. - Poprzednio to był wyjątkowy traf.

Jednak kiedy wreszcie weszli do środka, w mieszkaniu panowały ciemności i cisza.

Cholera. Mariel liczyła, że obecność Alana pomoże rozładować napięcie, które groziło im teraz, gdy zbliżał się moment udania się na spoczynek.

Nie potrafiła uwolnić się od wspomnień ostatniej nocy - czy naprawdę było to tak niedawno? - kiedy w Sweet Briar kochali się w jej pokoju.

- Wygląda, że go nie ma - zwróciła się do Noaha, który tymczasem przeszedł przez salon i zapalił lampkę.

- Rzeczywiście - przytaknął. Z niezadowolaniem zmarszczył brwi i podszedł do automatycznej sekretarki.

Z miejsca, gdzie stała, Mariel mogła dostrzec migające czerwone światelko. Wiedziała, co oznacza. Ktoś zostawił wiadomość. Zanim wyruszyli zwiedzać miasto, Noah wszystko odsłuchał i skasował. Pierwszych pięć nagrań ograniczało się do dźwięku odkładanej słuchawki. Mariel uznała, że to pewnie jej połączenia, kiedy próbowała dozwonić się do niego w sobotnią noc.

Teraz Noah nacisnął guzik i taśma szumiąc zaczęła się przewijać.

- Może to Sherry albo Nicole z jakimiś informacjami o Amber - powiedział.

- Może. - Mariel podeszła do krzesła i usiadła, całą uwagę koncentrując na automatycznej sekretarce.

- Noah, tu Rick. Kelly ma pewne zastrzeżenia co do kwestii emerytury. Trzeba je rozwiązać, zanim sformułujemy ostateczny dokument. Zadzwoń do mnie najszybciej jak to możliwe.

Dwa sygnały po zakończeniu wiadomości świadczyły, że to już wszystko. Nikt więcej nie telefonował.

- Rick jest adwokatem, który prowadzi moją sprawę rozwodową - wyjaśnił Noah apatycznie.

- A Kelly była twoją żoną - dopowiedziała Mariel.

- Otóż to. Widocznie martwi się, że nie zostało jeszcze wystarczająco jasno sformułowane, że nie tylko nie będę miał prawa do ani jednego z milionów, którymi już dysponuje, ale też do żadnego z tych, które będzie posiadała w wieku lat siedemdziesięciu pięciu albo osiemdziesięciu, czy kiedy tam, u diabła, zdecyduje się przejść na emeryturę. Jeżeli w ogóle taki moment nadejdzie - dodał z goryczą.

Mariel tylko kiwała głową, niepewna, jak powinna zareagować. Rozwód Noaha z pewnością nie był jej sprawą, ale nie potrafiła powstrzymać się od ciekawości, jak to się stało, że mieszkał w tej kiepsko umeblowanej klitce, skoro jego żona była aż tak zamożna. Po chwili jednak przypomniała sobie, że według nowojorskich standardów jest to całkiem spory apartament. Podczas obiadu Noah wspomniał, że oszczędzali z żoną, żeby kupić nowe mieszkanie, co też Kelly najwyraźniej zrobiła natychmiast, kiedy tylko się rozstali.

- Ciekaw jestem, gdzie się podział Alan - powiedział Noah, dużymi krokami podszedł do zamkniętych drzwi pokoju lokatora i zastukał. - Alan?

Odpowiedzi nie było.

- Myślałem, że może zasnął albo coś takiego - wyjaśnił Mariel. - Ale wygląda, że rzeczywiście go nie ma. Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem się niepokoić.

- Dlaczego?

- A jeśli mu się coś stało? Z tego, co wiem, on prowadzi dość luźne, beztrudne życie. Chcę przez to powiedzieć, że prawdopodobnie jestem jedyną osobą, która zauważyłaby, gdyby nagle zniknął.

Skinęła głową, a jej myśli powróciły do Amber, która błąkała się gdzieś pośród nocy, sama albo - co gorsza - z kimś. Mariel zastanawiała się, czy dobrze postępuje, wracając do Rockton, podczas gdy jej dziecko dotąd się nie odnalazło.

Czy jednak mogła zrobić coś innego?

Zostać, odpowiedziała samej sobie. Dalej próbować szukać.

Ale to może zająć tygodnie. Miesiące. Lata. Jeżeli Amber uciekła, istnieje prawdopodobieństwo, że nigdy nie zdecyduje się wrócić do domu. A gdyby nawet wróciła, to nie do Mariel, tylko do Steadmanów, do rodziców, którzy ją wychowali. Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, kiedy i czy w ogóle Amber zechce znowu skontaktować się ze swoją biologiczną matką, a co dopiero wprowadzić ją do swego życia.

Wszystko więc, czego Mariel teraz chciała, to upewnić się, że jej córka jest bezpieczna.

Zaginionej poszukiwała policja. I detektyw Henry Brando. I Steadmanowie. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Mariel mogła dokonać więcej, niż zostało już zrobione. Nie było najmniejszego sensu tkwić na Wschodnim Wybrzeżu, a jeszcze mniej - wracać tu kiedykolwiek w najbliższej przyszłości.

Powinna wyjechać. To miało sens. Już podjęła decyzję, że właśnie tak postąpi...

Więc dlaczego stale wracała do tego tematu? Dlaczego usiłowała samą siebie przekonywać, że nie ucieka od

własnej córki?

Jedyną osobą, od której uciekała, był Noah.

Nieproszona myśl coraz silniej dochodziła do głosu. Mariel próbowała ją zdusić, ale bez skutku. Może dlatego, że mimo wszystko była to prawda. Mariel wyjeżdżała częściowo z powodu Noaha. Bo coś, co się zaczęło w sposób tak prosty i logiczny, stało się zbyt skomplikowane.

Co innego wspólne poszukiwania, a zupełnie co innego przywrócenie po latach do życia związku, który kiedyś ich łączył.

- Możesz spać w moim łóżku - powiedział nagle.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Czyż już nie zdecydowali, że ta ostatnia wspólna noc będzie miała charakter platoniczny? Zarozumiałość Noaha wprawiła Mariel w osłupienie, ale jednocześnie coś w niej na tę propozycję przyzwalało. Poczula, że zdradza ją własne ciało, podniecone perspektywą tego, że znowu będą leżeć razem nago.

- Myślałam, że my... - zaczęła, odzyskując panowanie nad sobą.

- Ja zdrzemnę się na kanapie - dokończył, zupełnie nie zważając na to, że mu przerwała. - Jest naprawdę wygodna. A przynajmniej powinna być, sądząc z tego, ile czasu Alan spędza, wylegując się na niej.

Mariel zacisnęła usta, wdzięczna, że nie dał jej dokończyć. Całkiem opacznie go zrozumiała.

- Chcę tylko zabrać jedną poduszkę i wyjąć piżamę z szuflady. - Otworzył drzwi znajdujące się obok tych, które najwyraźniej prowadziły do pokoju sublokatora.

- Ja mogę spać na kanapie - zaproponowała Mariel głosem, który brzmiał słabo nawet dla jej własnych uszu. - Nie chcę cię wyrzucać z twojego łóżka.

- Ależ nie robi mi to żadnej różnicy - powiedział. Usłyszała, jak otwiera i zamyka szuflady. - Jeśli Alan pojawi się w środku nocy, przynajmniej nie będziesz miała z nim do czynienia.

- Rzeczywiście wygląda, że to typ spod ciemnej gwiazdy - odparła Mariel, starając się zachować lekki ton. - Myślę, że powinienesz zastanowić się nad znalezieniem innego sublokatora.

Błąd. Noah już rozważał zamieszkanie z kim innym. Mianowicie z Mariel. A w każdym razie dawał to do zrozumienia, kiedy sugerował, że przeniesie się do Rockton.

Pomysł, że Noah mógłby wprowadzić się do jej domu - że nie musiałyby spędzić reszty życia samotnie - wystarczył, by przeszły ją ciarki. Wyobraziła sobie, jak by to było codziennie budzić się koło niego, dzielić z nim kawę i poranną gazetę, wyruszać do pracy, wiedząc, że kiedy wróci, on będzie czekał, by ją powitać.

Były to wizje kuszące i dręczące, ale tylko wizje. Właśnie dlatego dobrze, że jutro rano wyjedzie.

Noah wyłonił się ze swego pokoju ze zwiniętą w kłębek piżamą pod jedną pachą i poduszką wciśniętą pod drugą.

- Sypialnia należy do ciebie - oświadczył. - Jeśli chcesz, możesz iść do łazienki pierwsza. Ja mam zamiar jeszcze przez chwilę się nie kłaść i rzucić okiem na wyniki meczu Yankee.

Nie zaprosił jej, żeby z nim usiadła, zauważyła z bólem.

Jednak idąc do łazienki, uświadomiła sobie, że w ten sposób jest znacznie lepiej. Bezpieczniej. Jeżeli on pozostanie w jednym pokoju, a ona w drugim, nie będzie w ten sposób okazji, by przypadkiem wylądowali w swoich ramionach.

W łazience Mariel tylko umyła się pobieżnie i wyszorowała zęby. Z przebraniem w nocną koszulę postanowiła poczekać do chwili, kiedy znajdzie się w sypialni. Nie chciała paradować przed Noahem w zbyt skąpym stroju. Bała się, że to może go skusić, ale... I obawiała się, że jeśli on wykona najlżejszy ruch w jej kierunku, ona ulegnie. Że postanowienie, by nie dopuścić do żadnych fizycznych kontaktów, rozwieje się jak dym, a Noah zdoła przekonać ją do swych przenosin do Rockton. Po prostu żeby zobaczyć, jak mu się tam spodoba.

W końcu to wolny kraj. Noah może mieszkać, gdzie zechce. Kim ona jest, żeby go powstrzymywać?

- Znalazłaś pastę do zębów? - zapytał Noah, spoglądając w jej stronę, kiedy po wyjściu z łazienki znowu przechodziła przez salon. Siedział na kanapie z pilotem w ręku. Właśnie nadawano ostatnie wiadomości.

- Wzięłam swoją - odparła Mariel.

- Dobrze.

- Cóż... dobranoc - dodała z zakłopotaniem.

- Dobranoc. - Noah wrócił spojrzeniem do ekranu telewizora. Po chwili jednak, kiedy już przekroczyła próg sypialni, zawołał: - Aha, Mariel. Nastawiłem budzik na jutro rano. Wsadzę cię do taksówki, zanim pojedę do biura.

- W porządku.

Zabrzmiało to straszliwie ostatecznie, pomyślała, zamknąwszy za sobą z trzaskiem drzwi.

A więc tak. Wyjeżdża.

Przez moment walczyła z szaleńczym impulsem, żeby wpaść do salonu i rzucić się w ramiona Noaha. Po chwili jednak uspokoiła się i odetchnęła, cała rozdygotana, czując się, jakby o włos uniknęła katastrofy.

Przebrała się w nocną koszulę i wślizgnęła pomiędzy prześcieradła. Owionął ją jego zapach i znowu napłynęła fala tęsknoty.

Mariel leżała bezsennie przez dłuższy czas, rozmyślając o Amber. I o Noahu. I o życiu, które czekało na nią w Rockton.

Mogli być rodziną. I może... Może powinni byli nią zostać.

Może gdyby się pobrali i wychowywali swoją córkę, powiodłoby im się. Przecież nie wszystkie przymusowe małżeństwa nastolatków kończą się rozwodem.

Może nadal żyliby razem, a Amber byłaby bezpieczna i zdrowa, chroniona przez miłość, którą rodzice mieliby dla niej - i jednocześnie dla siebie nawzajem.

Może.

- Czy zabrałaś wszystkie drobiazgi z łazienki? - zapytał. Wyszli na klatkę schodową! Noah zatrzymał się jeszcze na chwilę, żeby szybko przekręcić klucz w zamku.

- Chyba tak. Jeżeli czegoś zapomniałam, to nie jest to nic ważnego - oparła, zakładając kolczyk, podczas gdy spieszyli już w kierunku schodów.

- Zresztą zawsze mogę ci odesłać. - Noah przerzucił ciężką torbę na drugie ramię.

Ale przecież nie miał adresu. Jeżeli Mariel teraz o tym przypomni, będzie jasne, że powinna mu go podać, bo nie bardzo by wypadało odmówić. To zaś z kolei sugerowałoby, że mają pozostawać w kontakcie. A przecież tak się nie stanie.

Musiała zmienić temat, więc chwyciła się pierwszej myśli, która przyszła jej do głowy.

- Mogę to ponieść - powiedziała, wskazując swój bagaż, chociaż odkąd Noah złapał jej torbę w sypialni, proponowała mu to już dwukrotnie i dwukrotnie usłyszała odmowę.

- Nie, nie, wszystko jest doskonale - powiedział. Dotarli na półpiętro i schodzili dalej. - Masz bilet na samolot?

- Mam stary. Jak pamiętasz, czeka mnie jeszcze jego zamiana.

- O Boże. To znaczy, że musisz stanąć w kolejce do stanowiska z biletami, a tam jest zawsze tłum. - Spojrzał na zegarek. - Nie mogę uwierzyć, że budzik nie zadzwonił. Przysięgłbym, że go nastawiłem.

- Wszystko w porządku - zapewniła Mariel, starając się nie myśleć o tym, jak Noahowi do twarzy w garniturze i krawacie. Nigdy dotąd nie widziała go tak ubranego. Elegancki strój przydawał mu całkiem nowej aury męskości. Bardzo pociągającej aury męskości. Dzięki Bogu, że wyjeżdża. Zostało jej jeszcze tylko wsiąść do taksówki, która zawiezie ją na lotnisko, i wreszcie będzie po wszystkim.

- Zadzwonię do Henry'ego Branda z biura - wysapał Noah, zbiegając po schodach.

Skinęła głową, zirytowana na samą siebie.

- Chyba powinniśmy byli zrobić to wczoraj.

Noah wzruszył ramionami.

- Sądzę, że już rozmawiał i z Sherry, i z Nicole. Pewnie nie wiemy niczego, o czym on by nie wiedział. Posłuchaj, w taksówce upewnij się, czy kierowca jedzie przez tunel Queens Midtown albo most Queensborough. Broadway biegnie w dół, więc facet powinien zawrócić przy najbliższej przecznicy i skierować się na FDR.

- To on może nie wiedzieć, jak dojechać na lotnisko? - spytała Mariel, przestraszona.

- Skądże znowu, ale czasami, kiedy taksówkarz sądzi, że wiezie turystę, stara się wybierać dłuższą drogę. I cokolwiek by się działo, nie mów mu, żeby się pospieszył.

- A dlaczego? Przecież naprawdę mam mało czasu. - Jej samolot odlatywał za niewiele ponad godzinę.

- Nowojorscy taksówkarze zawsze się spieszą. Jeśli udzielisz zgody, żeby rzeczywiście ruszył pełną parą, czeka cię koszmarna jazda. I możesz nie dotrzeć na La Guardia w jednym kawałku.

- Jesteś pewien, że zdążę?

- Jeśli nie na ten samolot, zawsze możesz polecieć następnym.

Skinęła głową, walcząc z uczuciem rozczarowania. Sądziła, iż Noah powie, że jeśli dojedzie na lotnisko zbyt późno, może przecież wrócić do jego mieszkania. Oczywiście, to śmieszne. Dlaczego miałyby wracać? Rozpocząła właśnie podróż do domu.

Byli już na parterze. Noah rzucił się, żeby otworzyć drzwi. Przytrzymał je szarmancko, po czym wybiegł za nią na ulicę.

- Czasami trzeba kilku minut, żeby złapać taksówkę - wymamrotał, rozglądając się dookoła.

Po wyjściu z ciemnego westybulu Mariel zamrugła, oślepiąca słonecznym blaskiem. Był piękny dzień; słońce płonęło na czystym błękitnym niebie bez jednej chmurki.

Mariel znowu poczuła ukłucie rozczarowania. Dzisiejsze loty nie zostaną odwołane z powodu złej pogody. Za godzinę znajdzie się na pokładzie maszyny i nie będzie już możliwości odwrotu. Jednak przecież sama podjęła decyzję o wyjeździe.

Słuszną decyzję.

- Jest taksówka! - krzyknął Noah, wyskakując na jezdnię z podniesionymi rękami. - Taxi!

Najwyraźniej bardzo mu zależy, żeby się wreszcie uwolnić, pomyślała Mariel, kiedy żółty samochód zatrzymał się z piskiem opon.

- Szybko, zanim zmienią się światła - zakomenderował Noah, spiesząc przez Broadway, gdy znak STOP zabłysnął pomarańczowo.

Na widok pasażera dźwigającego torbę podróżną czekający przy przeciwległym krawężniku kierowca otworzył

bagażnik. Noah umieścił rzeczy w samochodzie i zamienił kilka słów z taksówkarzem, który skinął głową i wrócił za kierownicę.

- Okay, masz wszystko załatwione - powiedział Noah, otwierając przed Mariel tylne drzwiczki wozu.

Poczuła się tak, jakby ktoś zdusił jej oddech w piersi i głos w gardle. No cóż.

Wyjeżdża.

- Przykro mi z powodu budzika - powtórzył jeszcze raz Noah. - Niedobrze, że musieliśmy się tak spieszyć. Nie zdążyłaś nawet wypić kawy.

- Nie szkodzi - odparła, myśląc, że w gruncie rzeczy lepiej się stało. Przynajmniej nie zdążyli stworzyć krepującej sytuacji. Teraz zaś w jasnym świetle dnia, wśród ulicznego ruchu i tłumów na chodnikach, nie było sposobności, by ostatnie wspólne chwile miały charakter bardziej intymny. Czasu mogło starczyć tylko na szybkie, oficjalne pożegnanie.

- Szczęśliwej podróży - powiedział Noah. Oczy przesłaniały mu okulary przeciwsłoneczne. Kiedy zdążył je nałożyć?

Mariel skinęła głową. Pragnęła również ukryć się za ciemnymi szklami, przestraszona, iż mógłby dostrzec jak bliska jest płaczu.

- Nie zapomnij swojej torby z bagażnika - odezwał się znowu. - Jeśli facet z nią odjedzie, nigdy już jej nie zobaczysz.

- Będę pamiętała - zdołała wykrztusić Mariel, zaciskając palce na górnej krawędzi drzwiczek w poszukiwaniu oparcia, bo kolana zaczęły się pod nią uginać. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- W porządku. Zadzwoń do Henry'ego Branda. Gdyby zaszło coś nowego, od razu dam ci znać.

- Nie masz mojego numeru telefonu.

- Ile osób o nazwisku Rowan mieszka w Rockton? Znajdę cię, jeśli będę potrzebował.

Skinęła głową. Znajdzie ją - jeśli będzie potrzebował.

- Gdybyś znowu miała wiadomość od Amber... - Jego słowa padały pospiesznie, ale pobrzmiwała w nich troska.

- Słuchaj, znasz mój numer. Proszę, zawiadom mnie, jeśli się czegoś dowiesz.

- Dobrze. I ty też.

A więc pewnie jeszcze się usłyszą, pomyślała, czując przyływ irracjonalnej nadziei. I natychmiast wściekła się na siebie. Co ona, do diabła, wyprawia? Podjęła decyzję. Powinna przy niej trwać. Tego przecież właśnie chciała. Wyjechać. I lepiej, żeby zrobiła to, psiakrew, natychmiast.

- Muszę już ruszać - powiedziała.

Przytaknął niepewnie, po czym pochylił się nad nią.

Zebrała siły w oczekiwaniu na jeden z przepalających duszę pocałunków, wiedząc, że mógłby być jej zgubą.

Ale nic się nie wydarzyło. Wargi Noaha musnęły tylko policzek Mariel, leciutko, przelotnie.

- Życzę ci szczęścia - szepnął.

Szloch uwiązał jej w gardle. Wsiadła do samochodu i Noah zatrzasnął za nią drzwiczki.

Światła znów się zmieniły. Taksówka natychmiast włączyła się w ruch uliczny i popędziła przez Broadway, podczas gdy Mariel wpatrywała się w okno, nie widząc niczego, bo oślepiały ją łzy.

Cholera.

Cholera, płakał.

Noah przełknął z trudem. Gardło bolało go od wysiłku, by zdusić emocje, które groziły, że nim całkowicie zawładną. Otarł łzę staczającą się po policzku zza ochronnej bariery okularów przeciwsłonecznych i pociągnął nosem.

Obmacał kieszenie garnituru w poszukiwaniu chusteczek. Nie znalazł ani jednej. Musiał wrócić na górę, żeby wydmuchać nos i uspokoić się. Nie mógł przecież wsiąść do metra z twarzą zalaną łzami.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i już po chwili wdrapywał się po schodach, nie mogąc się nadziwić, że dopiero co była tu z nim Mariel.

A teraz odjechała i nigdy nie wróci.

Za parę minut on wyjdzie do pracy, jakby nic się nie zmieniło, a tymczasem zmieniło się wszystko. W ciągu ostatnich kilku dni jego świat zachwiało się w posadach i nie sposób było przejść do porządku dziennego nad tym, co się wydarzyło. To, że znowu dał się zaczarować jej urokowi, stanowiło tylko jeden z elementów skomplikowanej sytuacji.

Serce krajało mu się z powodu córki, która zapewne wędrowała autostopem po kraju, spiesząc na spotkanie z jakimś poznanym przez Internet pedofilem. Pragnął wiadomości o bezpiecznym powrocie Amber do Valley Falls równie mocno, jak tego, by wsiąść do pierwszej z brzegu taksówki, dogonić Mariel i błagać ją, żeby została.

Właściwie zrobił, co mógł, już wczoraj, a ona odmówiła kategorycznie. Dotarliśmy na swoje piętro, zaczął szukać w kieszeni kluczy.

Chociaż nie. Przecież zaproponował, że to on przeniesie się do Rockton.

Czy sprawiłoby jakąś różnicę, gdyby poprosił, żeby Mariel zamieszkała z nim w Nowym Jorku?

Mimo że czuł się wykończony problemami wielkomięskiej egzystencji, wiedział, że mógłby przetrwać, gdyby Mariel je z nim dzieliła. Ostatni wieczór był jak z bajki. Jedząc lody, spacerowali po tętniącej życiem Mulberry Street, mijali barwne sklepy i pełne ludzi restauracje, niektóre oświetlone łańcuchami białych bożonarodzeniowych lampek. Rzadko odwiedzał tę część miasta, a teraz docenił jej urok, patrząc na nią cudzymi oczyma. Wyobraził sobie, jak zabiera Mariel na przejażdżkę promem na Ellis Island albo tramwajem po Roosevelt Island, żeby podziwiać sylwetkę miasta na tle nieba, albo powozem po Central Parku, jesienią, kiedy bogactwo barw zamienia to miejsce w pejzaż z obrazów Moneta.

Nie, wcale nie byłoby źle tu mieszkać, gdyby byli razem.

A gdyby jej to zaproponował?

Nie, to by niczego nie zmieniło. W głębi duszy dobrze o tym wiedział. Mariel wyjechała, bo była pewna, że nie ma szansy, żeby im się udało.

Noah wszedł do mieszkania właśnie w chwili, kiedy rozdzwonił się telefon. Z zupełnym brakiem logiki pomyślał, że to może ona.

Rzucił się pędem, żeby odebrać. W słuchawce rozległ się nieznajomy kobiecy głos. Rozczarowanie było tak silne, że przez moment nie potrafił sobie uzmysłowić, kim jest jego rozmówczyni i co mówi.

Nagle jednak dotarła do niego treść usłyszanych słów i poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Wszelkie myśli o tym, że spieszy się do pracy, natychmiast gdzieś wyparowały. Wiedział jedno: za wszelką cenę musi zatrzymać Mariel. Musi jej powiedzieć.

Minutę później był już na ulicy, szaleńczo machając na przejeżdżające taksówki. Jakimś cudem jedna z nich się zatrzymała.

- Lotnisko La Guardia! - krzyknął kierowcy. - I gaz do dechy.

Taksówka stoczyła się z krawężnika, rykiem motoru zagłuszając hałas uliczny, i klucząc szaleńczo, manewrowała w stronę kolejnego zakrętu. Pokonała go na dwóch kołach, z przeraźliwym piskiem opon i pomknęła ku wjazdowi na prowadzącą na północ autostradę FDR.

Noahowi waliło serce. Kręciło mu się w głowie od niewiarygodnych wiadomości, które właśnie usłyszał. Nie miał nawet chwili, żeby je sprawdzić. Musiał złapać Mariel, zanim ona wsiądzie do samolotu.

Na nieszczęście była godzina szczytu. Ruch na autostradzie stawał się coraz powolniejszy. Mimo najbardziej ryzykownych wysiłków taksówkarza, żeby wyminąć korek, droga na lotnisko zabierała im o wiele za dużo czasu. Noah pocieszał się myślą, że Mariel też utknęła na FDR. Że prawdopodobnie nie zdążyła zmienić rezerwacji.

Wreszcie znalazł się na La Guardia. Zerkając co chwila na zegarek, przepchnął się przez tłum w stronę najbliższego monitora z bieżącymi informacjami o lotach. W szaleńczym pośpiechu przesuwając wzrokiem po niebieskich świecących literach, szukając jej lotu, modląc się, żeby był opóźniony.

W końcu trafił na właściwą linijkę - i jęknął z rozpacz.

Samolot właśnie wystartował.

Mariel wyszła z damskiej toalety. Ciężar bagażu wywoływał nieznośny ból w plecach. Kiedy Noah niósł jej torbę, wyglądało, że robił to bez wysiłku, zupełnie jakby była wypełniona orzeszkami ziemnymi. Ale w końcu Noah to wysoki mężczyzna, który mimo zwodniczo szczupłej sylwetki krył pod ubraniem dobrze umięśniony tors. Na wspomnienie jego nagiej klatki piersiowej, napinających się mięśni i całego silnego ciała Mariel poczuła dreszcz pożądania.

Stanowczo odepchnęła od siebie ten obraz i starała się skoncentrować myśli na najpilniejszej w tej chwili sprawie, czyli możliwości wydobycia się z La Guardia.

Dzięki sprytowi taksówkarza, który doskonale znał dzielnicę Queens, wobec czego zdołał uniknąć zapchanej w godzinach szczytu głównej ulicy, Mariel znalazła się na lotnisku w samą porę, żeby zdążyć na samolot. Jednak kiedy dotarła wreszcie do stanowiska z biletami, chcąc potwierdzić swoją telefoniczną rezerwację, poinformowano ją, że jej miejsce zostało już sprzedane.

Najwyraźniej pasażerowie nie mogli samodzielnie decydować o przesiadkach z pominięciem pierwszego etapu podróży. Jeżeli podróżny nie znalazł się na pokładzie samolotu w początkowym punkcie startowym, komputer linii lotniczych automatycznie kasował mu rezerwację na resztę połączeń.

W kierunku Missouri nie było już żadnej możliwości lotu aż do późnego wieczora. A w każdym razie nie z La Guardia. Przedstawiciel linii lotniczych poinformował Mariel, że są miejsca na lot o dwunastej w południe z Newark w New Jersey, oddalonego tylko o dwie godziny drogi stąd. Radził, żeby wróciła taksówką na Manhattan, a potem złapała autobus z Port Authority do Newark.

Jedyne, co Mariel miała ochotę zrobić, to popędzić z powrotem na Manhattan, znaleźć Noaha i powiedzieć mu, że nie powinna była wyjeżdżać - a w każdym razie bez niego.

Jednak nie było w ogóle o czym mówić. Naraziłaby się tylko na pozostawiający niezatarte piętno zawód miłosny, który już raz o mało nie złamał jej życia.

Nie byli sobie przeznaczeni. Gdyby byli, wiedziałyby o tym, bez cienia wątpliwości, gdzieś w głębi serca.

Ale może starała się tak bardzo, żeby nie pozwolić sobie mu ulec, że zignorowała swoje prawdziwe uczucia.

Jeżeli nie byli dla siebie stworzeni, to czemu znów tak ją do niego ciągnęło?

Czy dlatego, że była samotna? Albo po prostu spragniona fizycznych kontaktów?

Nie wierzyła w to. Owszem, była samotna - owszem, była kobietą z krwi i kości i miała kobiece potrzeby - ale po Noahu spotykała się z kilkoma mężczyznami i żaden z nich nigdy nie sprawił, by czuła coś podobnego, ani żaden nie przyczynił się do tego, żeby tak cierpiała.

Gdyby tylko była jakaś możliwość sprawdzenia, co los ukrywa dla niej w zanadrzu. Gdyby otrzymała jakiś znak, że rzeczywiście Noah jest jej pisany. Że łącząc się z nim, wzbogaci swoje życie, a nie narazi na stratę to wszystko, co z takim trudem sobie stworzyła.

Westchnąwszy, Mariel przerzuciła ciężką torbę na drugie ramię i ruszyła w stronę wyjścia, kierując się znakami wskazującymi przystanki transportu naziemnego.

Tego ranka lotnisko roilo się od tłumów i tonęło w jasnym blasku słońca, które wlewało się przez umieszczone w górze świetliki. Mariel przyglądała się mijającym ją ludziom ze świata biznesu - eleganckie garnitury i garsonki, teczki, laptopy, energiczny krok. Byli tu też starsi, pewnie emeryci, którzy najwyraźniej udawali się na wakacje, podróżująca grupami młodzież w wieku studenckim, rodziny z dziećmi, a nawet z niemowlętami i wreszcie całe góry bagażu.

Wszyscy się spieszyli.

Wszyscy oprócz niej, uświadomiła sobie Mariel, zbliżając się do postoju taksówek przed budynkiem lotniska. Kolejka oczekujących ciągnęła się wzdłuż krawężnika, a potem zakręcała na ogrodzoną sznurem ścieżkę. U jej wylotu udręczony dyspozytor dmuchał w gwizdek i wzywał kolejnych taksówkarzy, ustawiając ich wozy w odpowiednim porządku i przepuszczając do nich pasażerów. Zgiełk towarzyszący równomiernym odjazdom i ich tempo mogły przyprawić o zawrót głowy. Postawiwszy torbę na chodniku u swoich stóp, Mariel wpatrywała się zafascynowana w ten dziwnie uporządkowany chaos, podczas gdy jej myśli krążyły wokół Noaha.

Nagle, ku swojemu zdumieniu, usłyszała własne imię.

To tylko złudzenie, pomyślała. Tak bardzo chciała być z nim, że wyobraziła sobie dźwięk jego głosu.

- Mariel?

Zastygła. Nie, to nie złudzenie. Odwróciła się powoli i znalazła twarzą w twarz z Noahem. Stał po drugiej stronie sznurowej barierki, na samym końcu kolejki, a jednak tuż koło Mariel, ponieważ w ten sposób zakręcał ogonek czekających.

Z trudem złapała powietrze.

- Noah!

Przez moment mogła myśleć tylko o tym, że pragnęła go zobaczyć i on jakimś cudem się tu pojawił. Potem wyciągnęła ręce, objęła go i przyciągnęła do siebie.

- Nie wiem, co tu robisz - powiedziała ochryple - ale nigdy jeszcze niczyj widok tak mnie nie ucieszył.

- Szukałem cię - szepnął tuż przy jej uchu, bo nadal trzymał ją w ramionach.

I w tej samej chwili Mariel pojęła, że to właśnie przeznaczenie. Znak, na który czekała. Noah przyjechał na lotnisko, żeby ją odnaleźć, nie pozwolić jej odejść. Była głupia, że nie wierzyła w ich szansę. On najwyraźniej wierzył. Dlaczego po raz pierwszy od piętnastu lat nie miałyby dać sobie wreszcie spokoju z ostrożnością?

- Twój samolot odleciał - powiedział. - Byłem pewien, że jesteś na pokładzie. Dlaczego nie wsiadłaś?

Dostrzegła w jego oczach nadzieję i zawahała się, pragnąc, żeby prawda była bardziej romantyczna - żeby Noah mógł usłyszeć to, czego najwyraźniej oczekiwał: nie poleciała do Missouri, bo nie mogła znieść myśli o rozstaniu.

Ale byłoby to kłamstwo.

Już otwierała usta, żeby powiedzieć mu prawdę, ale Noah nie dopuścił jej do głosu:

- Mariel, muszę ci powiedzieć, co się stało. Dlaczego tu jestem. Wróciłem do mieszkania zaraz, jak tylko odjechałaś, bo... hm, czegoś zapomniałem i akurat zdążyłem odebrać telefon. To była Sherry, przyjaciółka Amber.

Wpatrywała się w niego oszołomiona; zaczynało jej świtać, że mimo wszystko Noah nie przyjechał tu za nią, nie dlatego, że chciał, żeby została. Przyjechał z powodu rozmowy telefonicznej.

Uprzytomniwszy sobie, iż najwidoczniej otrzymał jakieś wiadomości o ich córce, Mariel poczuła przypływ strachu zmieszanego z nadzieją.

- Co ci powiedziała? - zapytała.

- Przepraszam - wdarł się w ich rozmowę energiczny głos. Ktoś od tyłu szturchnął Mariel w ramię. - Kolejka się przesuwająca, a pani stoi.

Mariel odwróciła się, niejasno zdając sobie sprawę z rozdrażnienia malującego się na twarzy mężczyzny.

- Proszę stanąć przede mną - powiedziała nieprzytomnie i przysunęła się bliżej barierki, i bliżej Noaha, żeby pozwolić nieznanemu przejść.

- Czy ja też mogę stanąć przed panią? - zapytała zirytowana kobieta w kostiumie, która zajmowała następne miejsce w kolejce. - Mam o dziesiątej spotkanie w centrum miasta.

- Proszę bardzo - zniecierpliwiła się Mariel i uniosła sznur. - Wszyscy państwo mogą stanąć przede mną, nie robi mi to różnicy.

Zanurkowała pod sznurem. Noah chwycił ją za ramię i podtrzymał, żeby nie upadła, po czym pochylił się i

przeciagnął po betonowym chodniku jej torbę.

- Czego chciała Sherry? - zapytała Mariel.

- Chciała powiedzieć mi, że coś jej od czasu rozmowy z nami nie daje spokoju. Martwi się o Amber. Początkowo nie wyobrażała sobie, że przyjaciółka może być w niebezpieczeństwie, bo przecież wyjechała z własnej woli i stanowczo twierdziła, że wróci. Miała po prostu załatwić pewną sprawę. Ale Sherry uświadomiła sobie, że Amber mówiła, że będzie w domu za kilka dni, więc skoro dotąd się nie pojawiła, musiało stać się coś złego.

Mariel przeszedł dreszcz.

Od razu, kiedy znaleźli się twarzą w twarz, Noah zdjął okulary przeciwsłoneczne. Teraz patrząc w jego ciemne oczy, Mariel dostrzegła gwałtowny lęk i poczuła, że ogarniają ją te same emocje. Jej pierwsze przeczucie na wieść, że Amber zniknęła, było prawidłowe. Ich córka znajdowała się w niebezpieczeństwie, obojętnie czy w grę wchodziła ucieczka, czy co innego.

- Sherry orientuje się, dokąd Amber mogła pojechać albo co to za sprawa, którą chciała załatwić? - spytała Noaha.

Skinął twierdząco głową.

- Właśnie dlatego musiałem cię zatrzymać. Ja... ja po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Wpatrywała się w niego niespokojnie.

- Co? Co się dzieje?

- Sherry powiedziała, że Amber pojechała do Nowego Jorku, bo szukała swego biologicznego ojca. Mariel, ona szukała mnie.

Mariel osłupiała. Z całych sił starała się zebrać myśli.

- Ona jest tutaj? W Nowym Jorku? Szuka ciebie?

Noah przytaknął ponuro.

- Mam coś jeszcze. I to nic dobrego.

- Co, Noah? Na litość boską, powiedz mi, zanim zacznę wyobrazać sobie najgorsze.

- Sherry powiedziała, że Amber odnalazła swego biologicznego ojca i korespondowała z nim przez e-mail przez kilka tygodni przed ucieczką. I że planowała spotkać się z tym człowiekiem na Manhattanie.

- Ale przecież to ty jesteś jej biologicznym ojcem. - Mariel już całkiem mieszało się w głowie.

Znowu przytaknął.

- Ona najwyraźniej nawiązała kontakt z moim komputerem, Mariel. Ale nie ze mną. Ktoś inny odpowiadał na jej listy. I mam niemiłe uczucie, że wiem kto.

Rozdział 11

Co robimy najpierw? - spytała Mariel, kiedy w czterdzieści pięć minut później weszli do mieszkania Noaha.

- Najpierw sprawdzimy komputer - odparł, stawiając jej torbę na podłodze w przedpokoju. Wielkimi krokami skierował się do saloniku, nie zwracając sobie nawet głowy zamykaniem drzwi.

Usłyszał, jak Mariel zatrzasnęła je i przekreśliła zasuwę. Dołączyła do niego, kiedy już siedział przy biurku. Włączył komputer i czekał, aż urządzenie będzie gotowe do rozpoczęcia pracy. Dlaczego nie zrobił tego, zanim po telefonie Sherry pognął na lotnisko?

Bo jego pierwszą myślą, pierwszym impulsem było zatrzymać Mariel. Potrzebował jej.

I to nie tylko na chwilę. Potrzebował jej na całe życie.

Ona jasno dała do zrozumienia, że nic z tego nie będzie, więc nie miał wyboru, musiał zaakceptować jej decyzję.

Ale teraz, na skutek rozwoju wydarzeń, potrzebował Mariel wręcz rozpaczliwie. Potrzebował jej wsparcia, kiedy szukał potwierdzenia swoich podejrzeń, i jej pomocy, żeby wysledzić tego sukinsyna, Alana, jeśli te podejrzania okażą się słuszne.

Czego za chwilę powinni się dowiedzieć.

Na ekranie pojawiły się paski narzędzi i Noah kliknął ikonkę Internetu.

- Myślisz, że Alan rzeczywiście zaglądał do twojej poczty? - zapytała Mariel, zerkając mu przez ramię, podczas gdy komputer łączył się z siecią.

- Jestem tego pewien - odparł Noah. - Już wcześniej podejrzewałem, że grzebie w moich rzeczach. I teraz, kiedy o tym myślę, przypominają mi się te wszystkie wiadomości podobno nagrane na moją automatyczną sekretarkę, których nigdy nie dostałem, te wszystkie zaprenumerowane czasopisma, które poczta przestała mi dostarczać - a przynajmniej od momentu, gdy on się tu wprowadził.

- Ale w jaki sposób mógł przechwytywać e-maile? - Mariel nadal nie była w pełni przekonana. - Nie potrzebowałby hasła, żeby dostać się do twojej skrzynki?

- Nie - zaprzeczył Noah krótko, bo właśnie pojawiła się plansza rozpoczynająca. Wskazał ręką ekran. - Widzisz? Jeśli używasz swojego domowego komputera, masz opcję umożliwiającą wpisanie twego hasła i pseudonimu bądź nazwiska tylko raz, tak że potem zawsze wchodzi już same, automatycznie.

- Więc nie ma żadnego zabezpieczenia.

- A na co mi ono było? Kiedy mieszkałem z Kelly, nigdy nie miałem niczego do ukrycia, więc zainstalowałem sobie podobne ułatwienie. I nie zmieniłem opcji po wprowadzeniu się Alana, bo nie przyszło mi do głowy, że facet

w taki sposób mógłby wtargnąć w moje sprawy.

Wściekłość chwyciła Noaha za gardło - wściekłość na samego siebie za to, że był ufnym głupcem, i wściekłość na Alana, że tak drastycznie pogwałcił jego prywatność albo nawet dopuścił się o wiele cięższej zbrodni.

- Może on tego nie zrobił - powiedziała Mariel, kładąc rękę na ramieniu Noaha. - Może zbyt pochopnie wyciągasz wnioski.

- Wątpię - stwierdził, logując się. Wystukiwał palcami nerwowy rytm, podczas gdy komputer terkotał, szykując się do połączenia z serwerem w Internecie. - Sherry mówiła, że Amber wysłała do swojego biologicznego ojca ten sam tekst i fotografię, co do matki. Od tego czasu otrzymywała od ojca listy - a czasami posyłali sobie pilne wiadomości. Podobno odbywało się to zawsze w godzinach popołudniowych, zaraz po powrocie Amber ze szkoły, i Sherry czasami towarzyszyła jej przy odbieraniu korespondencji. Mówiła, że Amber bardzo starannie usuwała te wiadomości, bo nie chciała, żeby rodzice dowiedzieli się, co odkryła. Chyba sądziła, że sprawi im to przykrość.

- A może Amber odnalazła niewłaściwą osobę - zastanawiała się Mariel.

Noah potrząsnął głową.

- Sherry podała mi początek adresu poczty elektronicznej, Mariel. Mojego adresu. To musiał być Alan podszywający się pod mnie.

- Ale dlaczego miałby coś takiego robić?

- Diabli go wiedzą. Bo Amber jest wrażliwą nastolatką, a on jakimś pokreconym zboczeńcem. Bo jest śliczną młodą dziewczyną, która nieświadomie rozpowszechniła swoje zdjęcie w Internecie, nie zdając sobie sprawy, że może ono wpaść w niepowołane ręce.

Pojawiła się plansza rozpoczynająca i elektroniczny głos obwieścił:

Dostałeś pocztę.

- Jej pseudonim w Internecie to Indegr1 - powiedziała Mariel cicho. Przeliterowała to. - Teraz chociaż wiesz, czego szukać.

Noah skinął głową. Oczywiście, Indegr1.

Urodziny Amber przypadały na Dzień Niepodległości. Poczul, jak w gardle rośnie mu gruda. Zmusił się, żeby przełknąć. Nie mógł teraz pozwolić sobie, żeby emocje zepchnęły jego myśli na boczny tor. Musiał odkryć, co się tu, u diabła, wyprawia.

Kliknął ikonkę skrzynki odbiorczej i ujrzał długą listę wiadomości, które teraz otrzymał. Przejrzał je bez zainteresowania, stwierdzając, że nie ma wśród nich niczego nadzwyczajnego, po czym wziął się do sprawdzania folderu przechowującego wszystko, co nadeszło lub zostało wysłane w ciągu ostatnich dni. Tam również nie natrafił na nic niezwykłego.

- Drań przecież usuwałby takie dowody - uświadomił sobie zniechęcony. - Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, czy korespondował z Amber.

- Owszem, jest - oświadczyła Mariel i wychyliła się przed Noaha, żeby sięgnąć po myszkę. Owionęła go znajoma ziołowa woń. Mimo strapienia poczul się jakoś dziwnie podniesiony na duchu. - Używam tego samego serwera. Nawet jeśli usuniesz wiadomość ze skrzynki odbiorczej, zostaje ona w twoim osobistym folderze na serwerze, dopóki i stamtąd się jej nie pozbędziesz. Alan mógł nie wiedzieć, że wiadomości trzeba usuwać z obu tych miejsc.

- Ja też o tym nie wiedziałem - ożywił się Noah. Wyprostował się na krześle i wlepił oczy w ekran, a tymczasem Mariel kliknęła ikonkę potrzebnego im folderu.

Ukazała się lista przyjętej poczty. Noah rozpoznał pewne niepożądane przesyłki, które usunął ze skrzynki odbiorczej, nawet nie czytając. Sądził wówczas, że pozbył się ich bezpowrotnie. A więc Mariel miała rację. W tym folderze były zachowywane kopie wszystkiego, co kiedykolwiek do niego nadeszło lub zostało wysłane.

Mariel wciągnęła powietrze i wskazała na ekran.

- Boże, to właśnie to - szepnął Noah, czując, jak serce tłucze mu się w piersi. - Sukinsyn. Co on, do diabła, z nią zrobił?

- Uspokój się, Noah - poprosiła. - Pewnie zaraz się dowiemy. Nie myślisz chyba, że on jest zdolny do... do...? - głos jej zadrżał lekko.

- Nie wiem - odpowiedział Noah ponuro. - To dla mnie całkowicie obcy człowiek, Mariel. Z tego, co mi wiadomo, jest zdolny do wszystkiego.

Mariel podniosła kolejną kartkę, która wysunęła się z sędziwej drukarki Noaha, rzuciła okiem na tekst, żeby się upewnić, czy jest czytelny, i dołożyła do rosnącej na biurku koło komputera sterty wydruków.

Noah przeciągnął się i zaczął trzeć sobie kark. Wyglądał na zmęczonego. Mariel przez chwilę walczyła z pokusą, żeby wyciągnąć rękę i rozmasować mu zeszywniałe mięśnie.

- Prawie skończyliśmy - zauważyła, zerkając na ekran.

Dotarli już niemal do końca spisu wiadomości wysyłanych pod adres Indegr1 z komputera Noaha, poczynając od Memorial Day - w tym samym czasie Mariel dostała list od Amber - do drugiego tygodnia czerwca włącznie, kiedy to korespondencja nagle się urywała.

Przeczytali już to wszystko, zanim zdecydowali się wydrukować jako koronny dowód przestępstwa.

Alan rzeczywiście podszył się pod Noaha i korespondował z Amber Steadman. Mariel ogarnęły mdłości, kiedy czytała jego e-maile do ich córki. Większość krótkich listków rola się od błędów ortograficznych i interpunkcyjnych. Najwyraźniej sztuka epistolarna nie należała do najmocniejszych stron sublokatora Noaha.

W większości listy były jednak zwykłą gadaniną, wymianą opinii o popularnej muzyce, programach telewizyjnych i sporcie. Mariel uspokoiła się trochę, kiedy je przeczytała, jednak nie potrafiła uwolnić się całkowicie od dręczącej obawy, że Alan skrzywdził w jakiś sposób Amber, zwabiwszy uprzednio dziewczynkę do Nowego Jorku.

Istotnie, zaprosił Amber, a ona, rzecz jasna, odniosła się do tej propozycji z entuzjazmem, gdyż miała wreszcie osobiście poznać swego rodzzonego ojca.

Jej e-maile były znacznie bardziej szczegółowe niż Alana. Z każdym kolejnym listem osobowość dziewczynki wyłaniała się coraz pełniej. Amber miała naturę twórczą, żarliwie rozprawiała o muzyce i sztuce, o swojej pasji do fortepianu i występów na scenie. Była pilną uczennicą, dostawała dobre oceny, miała szeroki krąg przyjaciół.

Martwiła się bardzo separacją rodziców. Niewiele mówiła o sytuacji w domu, ale jej cierpienie wyraźnie dawało się wyczuć. Była dorastającą jedynaczką, której świat zachwiał się w posadach, więc desperacko poszukiwała jakiegokolwiek stabilności.

Alan zaś żerował na jej wrażliwości, proponując wizytę w Nowym Jorku - a jeśliby się udało, nawet przeniesienie się tu na stałe. Odmalowywał jej swoje życie w zupełnie fałszywych barwach, przedstawiając się jako bogaty biznesmen, który swojej dawno utraconej córce ma wiele do zaoferowania. Prosił, żeby nazywała go tatusiem, na co Amber przystała.

Według jasno sformułowanego w listach planu, dziewczynka miała wyruszyć w drogę, zabierając ze sobą pieniądze zarobione przy pilnowaniu dzieci. Oszczędzała całą zimę w nadziei, że po ukończeniu szesnastego roku życia kupi sobie samochód.

Tego dnia, kiedy zniknęła z Valley Falls, po prostu pojechała autobusem do Port Authority. Żadna z przepytanych później przez policję osób nie rozpoznała jej, ponieważ Amber przezornie się ucharakteryzowała. Zawiadomiła Alana - czule nazywając go tatusiem - że robi sobie makijaż i włoży perukę, która pozostała jej po szkolnym przedstawieniu.

Przyznawała, że Steadmanowie pewnie się zdenerwują, ale, jak sadziła, zmartwienie o nią może wyjść im na dobre. Przynajmniej to ich znów połączy, napisała i z tęsknotą dodała: może nawet na dobre. W końcu są tylko w separacji, więc nic nie wiadomo. Najwyraźniej, mimo że raniła ją sytuacja domowa, Amber zależało na rodzicach.

- Powinniśmy zadzwonić do Steadmanów - powiedział Noah. Kliknął odpowiednią ikonkę, rozpoczynając drukowanie kolejnego listu. - Do detektywa Brando też. Albo na policję.

Mariel pokręciła głową, przywoławszy we wspomnieniach pewien obraz. Ujrzała mianowicie sceptycyzm na twarzy Henry'ego Brando, a w uszach zabrzmiał jej pełen powątpiewania ton, kiedy tamtego dnia wypytywał ich o zniknięcie Amber.

- Jeszcze nie, Noah - powiedziała stanowczo.

- Dlaczego nie? - zapytał, podnosząc na nią zdumione spojrzenie. - Przecież powinni wiedzieć, jak sprawa wygląda. Steadmanowie szaleją z niepokoju. Zasługują na to, żeby wiedzieć, co odkryliśmy.

- Wszystko, co odkryliśmy, to pisane na twoim komputerze e-maile zawierające plan spotkania. Kto udowodni, że nie ty jesteś ich autorem? Kto udowodni, że nie masz z tym nic wspólnego?

- Naprawdę nie mam. To był Alan.

- To ty tak twierdzisz. I ja ci wierzę. Ale dlaczego miałyby uwierzyć gliny? Cała sprawa nie wygląda dla ciebie dobrze, Noah. Dopóki nie dowiemy się o tym draniu czegoś więcej, nie sądzę, żeby mądrze było iść na policję. Najpierw spróbujmy go znaleźć.

Noah wlepił w nią wzrok.

- Tylko dlatego, żeby mnie nie uwikłać w kłopoty, chcesz ukryć te informacje przed jej rodzicami i policją?

- Na razie. Dopóki nie zorientujemy się lepiej, z czym mamy do czynienia. Wygląda na to, że Alan planował spędzić z Amber trochę czasu w Nowym Jorku.

- A skąd możemy wiedzieć, że on nie jest seryjnym mordercą, który zwabił ją tutaj, żeby zabić? - rzucił pytanie Noah, uderzając dłonią w blat biurka. Leżące na wierzchu sterty wydruków kartki papieru aż podskoczyły i Mariel złapała jedną z nich, gdy spadała, wirując w powietrzu.

Odłożyła arkusik na miejsce i powiedziała stanowczo, sama nie do końca wierząc we własne zapewnienia:

- Wątpię, żeby Alan chciał ją zabić. Mam wrażenie, że to tylko zwykły niebieski ptak, który nie przepuści szansy, żeby wykorzystać naiwną nastolatkę. Nie zrozum mnie źle - dodała, gwałtownie podnosząc rękę i przerywając mu, kiedy próbował wejść jej w słowo. - Robi mi się słabo na myśl o tym, co on mógł sobie planować. Ale musimy wierzyć, że ona nadal żyje i że jest gdzieś tutaj, w Nowym Jorku. Tego właśnie postanowiłam się trzymać. Zobaczysz, zdołamy ją znaleźć, jeśli natychmiast zaczniemy poszukiwania.

Noah, pogrążony w myślach, wzruszył ramionami.

- Kim są przyjaciele Alana? - szturchnęła go Mariel. - Noah, rusz głową. Możemy pogadać z ludźmi, którzy go

znają. Zobaczysz, ktoś da nam jakąś wskazówkę.

- Z tego co wiem, on nie ma przyjaciół - odparł Noah. - Robi wrażenie samotnika.

- Więc przeszukajmy jego pokój. Zobaczymy, co tam znajdziemy - zaproponowała Mariel, kiedy ostatni list wysunął się z drukarki. Położyła go na pliku leżących na biurku kartek, po czym podeszła do zamkniętych drzwi sypialni Alana.

Noah nadal siedział bez ruchu.

- Idziesz? - zapytała.

- Myślę, że to nie w porządku, jeśli będę chronił siebie, być może kosztem Amber.

- To wcale nie tak, Noah. Po prostu potrzebujemy trochę czasu, żeby sprawdzić, czy sami coś wygrzebiemy. Jeśli nam się nie uda, zgłosimy się do Steadmanów czy na policję i będziemy się modlić, żeby nam uwierzyli, że rzeczywiście nie miałeś z tym wszystkim nic wspólnego.

Noah nie ruszał się z miejsca, a ona przyglądała mu się, pragnąc aż do bólu przytulić go, pocieszyć. Jakimś cudem z informacji, które zebrali, udało jej się zaczerpnąć siłę i nadzieję, podczas gdy Noah załamał się, przekonany że Amber spotkało coś strasznego.

Mariel po prostu nie potrafiła uwierzyć w najgorsze. I tym razem nie miała zamiaru poddawać się i wracać do domu. Postanowiła zostać w Nowym Jorku, aż do chwili, kiedy odnajdą córkę. Dopiero wtedy będzie mogła pozwolić sobie na wyjazd...

Albo poważnie rozważyć inne rozwiązanie.

- Idziesz? - powtórzyła.

Tym razem skinął twierdząco, wstał i ruszył w jej stronę.

Zadzwoił telefon.

Spojrzeni na siebie i w sekundę później Noah rzucił się do aparatu i niemal bez tchu chwycił słuchawkę.

- Halo?

Mariel dostrzegła, jak zwięzają mu się oczy.

- Witaj, Davidzie - powiedział zwięźle. - Tak, wróciłem.

David, jak pamiętała, był jego szefem. Przez chwilę Noah tylko słuchał, stojąc tyłem do Mariel. Ale kiedy w końcu zaczął mówić, odwrócił się i mogła zobaczyć kamienny wyraz jego twarzy. Przeczuwała, co za chwilę nastąpi.

- Rozumiem, ale prawdopodobnie nie będę mógł przyjechać - stwierdził, nie podnosząc głosu. - Jestem uwikłany w kryzys rodzinny.

Nastąpiła kolejna pauza.

- Nie sądzę, żeby to była twoja sprawa, Davidzie. Obojętnie czy córka mieszka ze mną, czy nie - czy widywałem ją, czy nie w ciągu ostatnich piętnastu lat - jest nadal moim dzieckiem i mam zamiar ją odnaleźć.

Znowu zamilkł i słuchał.

Wpatrzona w niego Mariel zauważyła, jak stężyły mu mięśnie policzkowe, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Przykro mi, że w ten sposób na to patrzysz. Zamierzam jednak zrobić to, co do mnie należy. Przypuszczam, że i ty postąpisz podobnie.

Znowu pauza.

Po chwili Noah powiedział oschle:

- Rozumiem. Tego się właśnie spodziewałem. Wpadnę po rzeczy, kiedy doprowadzę swoją sprawę do końca.

Odłożył słuchawkę. Mariel nie odrywała od niego oczu i czekała.

- Właśnie zostałem wylany - poinformował ją.

- Domyśliłam się - powiedziała, po czym zapytała ostrożnie: - Dobrze się czujesz?

- Jestem wolny - odparł, wzruszając ramionami. - Teraz to jedyne, co i ma znaczenie. Może później będę się martwił, że zostałem bez pracy i bez grosza przy duszy. W tej chwili nie obchodzi mnie nic poza tym, żeby odnaleźć Amber.

- To właśnie zrobimy - oznajmiła, wyciągając rękę.

Noah ujął jej dłoń i Mariel uścisnęła jego palce.

- Wszystko będzie dobrze.

- Może - powiedział i razem wkroczyli do pokoju Alana, żeby rozpocząć poszukiwanie dalszych tropów.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdził Noah, zatrzymując się nagle przed zniszczonym budynkiem nieopodal Lenox Avenue.

Był to zwykły brzydki ceglany prostopadłościan z kruszącymi się schodkami z cementu. W przeciwieństwie do innych domów w tym rejonie - o wyblakłych fasadach z brunatnego kamienia, których czasy świetności przeminęły sto lat temu - ta kamienica najwyraźniej nie była nigdy niczym innym niż obecnie: podupadłą czynszówką w nędznej okolicy. Ulica sprawiała wrażenie złowieszczego wyludnionej. Z otwartego okna, gdzieś na górze, buchała głośna muzyka. Smród gnijących odpadków przenikał ciepłe letnie powietrze.

- Jesteś pewien, że to tutaj? - zapytała Mariel i bezwiednie przysunęła się bliżej do Noaha. - Wygląda na

koszmarną norę.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł, wchodząc po schodkach. - Uważaj. - Wskazał strzykawkę tuż koło swoich stóp. Zrobił krok nad nią i sięgnął w tył po rękę Mariel. - To niebezpieczne. Powinienem być przyjechać sam.

- Świetny pomysł - stwierdziła sarkastycznie.

- Nie powinnaś przebywać w miejscach takich jak to, Mariel - dodał, kiedy tandetny samochód przemknął tuż koło nich i piszcząc oponami skręcił za róg ulicy.

- Ty również, i w Bogu nadzieja, że Amber tu nie przebywa - odparła ponuro. Weszli do obskurnego, śmierdzącego hallu.

- Wątpię, żebyśmy ją tu znaleźli. - Noah sprawdził adres, który przed wyjściem nabazgrał na żółtym karteluszk, po czym wsunął notatkę z powrotem do kieszeni. Dziękował Bogu, że przebrał się z garnituru w dżinsy. Zdecydowanie nie chciałby paradować po tej okolicy ubrany jak yuppie.

- Alan mieszkał w 2B - poinformował Mariel.

- Więc chodźmy.

Postawił nogę na dolnym stopniu stromych schodów, wiodących w górę, w ciemną otchłań. Pod podeszwą zachrząściło stłuczone szkło.

- Uważaj - ostrzegł Mariel, z przykrością myśląc o tym, na co ją naraża.

- Nic mi nie będzie - odparła pogodnie. Zbyt pogodnie.

Na pierwszym piętrze dźwięki muzyki były jeszcze bardziej ogłuszające, ale nie dobiegały z mieszkania 2B. Noah zastukał do obdrapanych drzwi.

Męski głos ze środka zawołał:

- Taak? Kto tam?

Ta natychmiastowa reakcja z jakiegoś powodu zaskoczyła Noaha. W rzeczywistości chyba nie spodziewał się, że zastaną w domu dawnego współlokatora Alana - o ile w ogóle to on był osobą, która odpowiedziała na ich pukanie. Znaleźli adres i nazwisko Chasa w formularzu zgłoszeniowym wypełnionym przez Alana w odpowiedzi na ogłoszenie Noaha. Przynajmniej coś dobrego wynikło z faktu, że Noah spędził tyle lat u boku skrupulatnej prawniczki. Niestety nie posunął się do tego, by zadbać o sprawdzenie wiarygodności podanych informacji, zanim wpuścił Alana pod swój dach.

Zgłoszenie było tym, czego Kelly z pewnością by dopilnowała. Całe szczęście, że Noah też o nim pomyślał, bo wynajmowany pokój nie dostarczył żadnych istotnych informacji o życiu jego mieszkańca.

- Chas Brown? - zawołał Noah. - Muszę z panem chwileczkę porozmawiać. O pańskim przyjacielu, Alanie Henningu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich mężczyzna o zdumiewająco, jak na tę scenę, zwyczajnym wyglądem, ubrany w dżinsy i koszulkę. Miał białe stopy, nieogoloną twarz i długie, rzadkie jasne włosy. Śmiało mógłby przed chwilą właśnie zejść ze sceny, na której odbywał się koncert rockowy. Wskrzyszony Kurt Cobain. Nie było w nim nic groźnego.

- Jestem Chas - powiedział. Zaciągnął się dymem z trzymanego w rękę papierosa i dodał: - Jeżeli mówi pan o dupku, który niedawno się stąd wyniósł, to nie jest to mój przyjaciel.

Nie zapowiada się najlepiej, pomyślał Noah i szybko się poprawił:

- Przepraszam, miałem na myśli pańskiego byłego współlokatora. Bo Alan Henning tu mieszkał, prawda?

Chas skinął głową i przyjrzał im się czujnie.

- Czego państwo chcą? Policja?

- Nie.

- Na pewno? Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby szukały go gliny.

- Nie jestem policjantem. Wynajmuję mu pokój - wyjaśnił Noah.

- Ooo, moje wyrazy współczucia, bracie. Pana też obrobił?

- Co pan ma na myśli?

- Proszę, wejdźcie państwo - zdecydował Chas, otwierając szerzej drzwi. - Nie jest to wielki apartament, ale najlepszy, na jaki mnie stać przy mojej pensji.

Na widok obdrapanego wnętrza Noah przypomniał sobie, że on już w ogóle nie dostanie żadnej pensji. Pomyślał o swoim mieszkaniu na Manhattanie, porównując je z tym miejscem, i z trudem opanował narastające uczucie paniki, która próbowała przedrzeć się do jego świadomości. Spokojnie, na razie załatwmy jedno.

- Gdzie pan pracuje? - spytała Mariel uprzejmie, zupełnie jakby znajdowali się na eleganckim przyjęciu, a nie w tej chylącej się ku ruinie, skąpo umeblowanej klatce.

- W opiece społecznej - odparł Chas, wychylając się za próg i strząsając popiół z papierosa na podłogę klatki schodowej, zanim zamknął drzwi. - Pracuję z maltretowanymi dziećmiakami z Harlemu. Uznałem więc, że równie dobrze mogę mieszkać w najbliższej okolicy, rozumieją państwo?

Noah kątem oka dostrzegł, że coś pełźnie w dół po ścianie koło drzwi. Odwrócił głowę wystarczająco szybko, żeby zobaczyć największego, jakiego kiedykolwiek spotkał, karalucha, zanim ten zniknął w szparze pod listwą podłogową.

Tłumiąc dreszcz obrzydzenia, zwrócił się do Browna:

- Mówił pan, że Alan pana okradł?

- Między innymi. Nie zdawałem sobie sprawy, że ściąga mi drobne z kieszeni, dopóki nie złapałem faceta na gorącym uczynku. Wtedy właśnie go wyrzuciłem.

- Co jeszcze zrobił? - zapytała Mariel. - Wspomniał pan, że były jeszcze inne sprawy.

- Miał zwyczaj wtykać nos w cudze sprawy. Kilka razy otwierał moje listy, a potem twierdził, że zrobił to przez pomyłkę. Podobno myślał, że były zaadresowane do niego. I wiem, że przetrząsnął pudełko z listami od mojej dziewczyny - mieszka teraz za granicą, więc dużo do siebie piszemy - bo jestem pewien, że ktoś je ruszał, a nikt inny nie miał do niego dostępu.

- Taak, nie wątpię, że coś takiego mógł zrobić - stwierdził Noah z przekonaniem. Pomyślał, że to i tak nic w porównaniu z tym, w jaki sposób Alan naruszył jego prywatność.

- Nie ufaj mu, bracie - ciągnął Chas. - On nie ma sumienia. To patologiczny typ. Trudno mi uwierzyć, że od początku tego nie widziałem. Pracuję z podobnymi dzieciakami. Jest im wszystko jedno, kogo krzywdzą swoim postępowaniem.

- Sądzi pan, że on jest zdolny do czegoś gorszego niż podglądanie czy kradzież? - spytała Mariel, a w jej głosie brzmiał lęk.

Chas wzruszył ramionami.

- Ma pani na myśli czyny gwałtowane? Trudno powiedzieć, ale po tym, jak przemieszkałem z facetem kilka miesięcy pod jednym dachem, sądzę, że jest raczej kompletnie pokrecony niż niebezpieczny.

Odetchnąwszy z ulgą, Noah zadał kolejne pytanie:

- Jak pan się na niego natknął?

- Zamieściłem w gazecie ogłoszenie, że szukam współlokatora. I wtedy on się pojawił. Robił wrażenie najnormalniejszego z całej gromadki kandydatów, więc go wybrałem. Teraz haruję na dwóch posadach, żeby móc płacić czynsz, do czasu aż moja dziewczyna wróci i się do mnie wprowadzi. Wszystko lepsze niż mieszkać znowu z jakimś typem z ulicy.

- Dobrze wiem, o czym pan mówi - stwierdził Noah. - Niech pan posłucha, Chas. Muszę wytropić Alana, a nie mam pojęcia, jak to zrobić. Mówił tylko, że jest barmanem, a ja nie dopytywałem gdzie.

- A co on zrobił? Zniknął z pana bambetlami? - zainteresował się Chas. - Sam się dziwię, że ze mną nie posunął się aż tak daleko. Chociaż z drugiej strony mało prawdopodobne, żeby znalazło się tu coś, co wzbudziłoby szczególną chęć posiadania - dodał ponuro, wodząc spojrzeniem po swoim skromnym dobytku.

- Nie, po prostu gdzieś go wzięło i to wszystko - powiedział Noah, nie mając ochoty zagłębiać się w szczegóły. - Muszę go znaleźć.

- Cóż, on rzeczywiście pracuje jako barman. Wiem to na pewno, bo na początku, zaraz jak tu zamieszkał, parę razy wypuściliśmy się razem i wpadaliśmy do jego baru na darmowe drinki. To straszna spelunka.

- Jak się nazywa?

- Nazwy nie znam, ale pamiętam rejon, w którym się znajduje - odparł Chas. - Nie możecie tej knajpy przeoczyć - to dosłownie tuż obok wejścia do pewnego wesołego lokalu, gdzie odchodzą różne sadystyczne hocki-klocki.

- Brzmi czarująco - stwierdziła Mariel. - Chas, a czy wie pan coś o... hmm, życiu miłosnym Alana?

- To znaczy, czy wszystko z nim w porządku? Mogę panią zapewnić, że zdecydowanie nie jest gejem. Interesuje się kobietami.

- Ma dziewczynę?

- Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Dużo gadał o swoich sukcesach, ale zdaje się, na tym się kończyło. Facet znał masę ludzi wszędzie, dokądkolwiek poszliśmy, ale z tego, co mogłem zauważyć, w towarzystwie kobiet czuł się niepewnie.

Niepewnie. To by tłumaczyło, dlaczego mogła go pociągać nastolatka. Zboczony sukinsyn, pomyślał Noah z obrzydzeniem.

- W porządku, miał mi pan wyjaśnić, jak znaleźć ten bar - powiedział, wyciągając kartkę i długopis, których przed wyjściem z domu nie zapomniał włożyć do kieszeni.

W minutę później znowu znaleźli się na ulicy i rozkoszując się świeżym powietrzem, ruszyli w stronę Lenox Avenue w poszukiwaniu taksówki.

- Niech zgadnę - jedziemy prosto do rejonu burdeli - powiedziała Mariel, a Noah przytaknął. - A nie powinniśmy poczekać do zmierzchu? - zapytała, rzucając okiem na zegarek. - To znaczy, do pory, kiedy większość barmanów zaczyna pracę?

Noah zerknął na jej nadgarstek. Nie było jeszcze nawet czwartej.

- Nie chcę tracić czasu - oświadczył. - Nawet jeśli nie zastaniemy Alana, knajpa pewnie jest już otwarta. I może ktoś opowie nam co nieco o tym półświatku. A kiedy znajdę tego drania... - Zaciśnął pięści w bezsilnej wściekłości. - Zapłaci mi za to, czego się dopuścił.

- Noah, nie zrobisz żadnego głupstwa, prawda? - spytała z niepokojem Mariel, kładąc mu dłoń na nagim przedramieniu. - Ten człowiek może być niebezpieczny.

- Jeżeli skrzywdził Amber...

- Nawet tak nie myśl - powiedziała stanowczo, a on uspokoił się nieco pod wpływem jej dotyku i kiedy szli dalej, pozwolił, żeby wzięła go za rękę i splótł palce z jej palcami, czerpiąc siłę z tego kontaktu.

Może postępował źle. Może powinien zachować dystans, skoro wiedział, że gdyby nie to, że przepadła jej rezerwacja, a jemu udało się zdążyć na lotnisko, Mariel byłaby już daleko stąd, w połowie drogi do domu.

Wiedział też, że kiedy poszukiwania dobiegną końca, niezależnie od ich rezultatu, on i Mariel niechybnie znowu powiedzą sobie do widzenia.

Ile razy jeszcze będą przez to przechodzić?

Tyle, ile przedtem, zanim na dobre ich drogi się rozeszły, pomyślał ponuro, ale nie pozwolił jej zabrać ręki.

Było dokładnie tak, jak opisywał to Chas - spelunka, usytuowana koło dziwnie wyglądającego miejsca o podrabianej kamiennej fasadzie i kratkach w oknach.

- Mogę się założyć, że podobnych lokali nie macie w Rockton - powiedział Noah, a Mariel potrząsnęła głową z bladym uśmiechem.

Kiedy zbliżyli się do drzwi baru, w którym pracował Alan, uznała, że ten rejon miasta jest jeszcze gorszy niż sąsiedztwo domu Browna. Noah jednak był innego zdania.

- Nie pozwól się zwieść pozorom. - powiedział. - To jedna z najmodniejszych dzielnic. Pełno tu klubów erotycznych, a po zmroku pojawiają się w tej okolicy nawet bardzo znane osobistości. A są tacy, co mieszkają tu na stałe.

Zerknęła przez ramię na rząd ponurych, przypominających magazyny zabudowań po drugiej stronie ulicy i pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Nowy Jork to dziwne miejsce - stwierdziła.

- I roi się od dziwnych ludzi - dodał Noah sucho. Właśnie minął ich mężczyzna z klatką dla ptaków na głowie.

Obydwoje roześmieli się i to pomogło na jakiś czas rozładować napięcie.

Weszli do słabo oświetlonego wnętrza. Właściwie była to zwykła nora - długi bar, rząd stołków wzdłuż jednej ściany wąskiego pomieszczenia i kilka neonowych reklam piwa. W ciemnym kącie umieszczono stół do piłkarzyków i tarczę do rzutek, które wyglądały, jakby już od wieków nikt nie zawracał sobie nimi głowy.

Przy barze nad kufkami piwa siedziało paru mężczyzn. Ich znudzone miny nie budziły wątpliwości, że w to piękne czerwcowe popołudnie nie mają nic lepszego do roboty. Robiło to ogromnie przygnębiające wrażenie.

Stojący za barem młody mężczyzna o ogolonej głowie spojrzał na nowych gości bez większego zainteresowania.

- Coś podać?

- Pewnie. - Noah wślizgnął się na jeden ze stołków.

Opanowawszy pierwszy impuls, żeby przetrzeć chusteczką siedzisko, Mariel poszła w ślady swego towarzysza, starając się nie wyglądać na osobę szczególnie grymaśną.

- Bud, proszę. Jedną butelkę - powiedział Noah do barmana, który skinął głową i spojrzał wyczekująco na Mariel.

Normalnie zamówiłaby wino, ale tym razem tego nie zrobiła. Po pierwsze, sceptycznie zapatrywała się na jakość alkoholu podawanego w tym lokalu, a po drugie, uznała, że lepiej nie ryzykować picia z kieliszka. Nawet ze swego miejsca mogła dostrzec brudne zacieki na ustawionych na półce za barem kufkach i szklankach.

- Ja to samo - powiedziała.

- Już się robi. - Barman odwrócił się i w chwilę potem z impetem postawił przed nimi dwie otwarte butelki piwa.

Mężczyźni przy odległym krańcu baru wrócili do przerwanej rozmowy.

- Hej, bracie, mogę pana o coś zapytać? - zaczął go Noah, wręczając banknot dwudziestodolarowy.

- Nie będzie nic drobniej? - Barman najwyraźniej zignorował pytanie.

Noah potrząsnął głową.

- Proszę zatrzymać resztę - zaproponował niedwuznacznie i pociągnął łyk piwa.

Mariel aż się skuliła. Noah właśnie stracił posadę. Nie miał pieniędzy, żeby je rozrzucić. Ale wiedziała, do czego jest zdolny.

- Mogę o coś zapytać? - powtórzył.

Spojrzenie barmana prześlizgnęło się z banknotu, który nadal trzymał w ręku, na twarz Noaha.

- O co? - zainteresował się ostrożnie.

- Zna pan faceta, który ma na imię Alan i tu pracuje?

- A co z nim?

- Staram się go odnaleźć.

- Taa? Dlaczego?

- To mój lokator. Nie pojawia się od kilku dni. Martwię się, że coś mu się mogło stać. Wiem, że nie obraca się w najlepszym towarzystwie.

- Z Alanem jest wszystko w porządku - oznajmił barman. - Normalnie pracował zeszłej nocy.

- Taak? A nie wie pan, gdzie on teraz mieszka?

- Nie. Dlaczego sam go pan o to nie zapyta? Będzie tu o jedenastej.

- Nie chcę czekać tak długo - odparł Noah. - Muszę go znaleźć prędzej.

- Ej, co jest grane?

- Mój znajomy martwi się, jak już powiedział - wtrąciła Mariel. - Czy pan wie, gdzie Alan się podziwewa? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Być może.

- Gdzie?

Popatrzył na Noaha.

- Dlaczego miałbym to państwu powiedzieć? Skąd mam mieć pewność, że nie chcecie mu narobić kłopotów?

- A kto on dla pana jest? Przyjaciel?

Mariel mogła podziwiać, jak Noah odmienił swój zwykły sposób mówienia, żeby dostosować się do tego miejsca. Jego głos przybrał specyficzną modulację i akcent, wypisz wymaluj jak z filmu gangsterskiego o Nowym Jorku. Takie same jak u barmana.

- Nieee, on po prostu tu pracuje. Ale wcale nie wiem, czy należy opowiadać obcym, gdzie mieszka.

Zanim Noah zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Mariel wsunęła dłoń do kieszeni spodni i wyciągnęła zwitek banknotów, który tam ukryła. Wręczyła barmanowi dwudziestkę.

- Niech pan nam powie.

Wepchnął pieniądze do przedniej kieszeni czarnych dżinsów.

- Mieszka u przyjaciela. Facet czasami pracuje tu w barze podczas weekendów. Teraz wyjechał na parę dni ze swoją kapelą na zamiejscowe koncerty. Alan pilnuje mu dobytku.

- Jest tam sam? - spytał Noah.

Barman podniósł ręce w geście zniecierpliwienia.

- Człowieku, nie mam pojęcia. To wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

- A wie pan chociaż, gdzie ten przyjaciel mieszka?

- Kawalek drogi stąd, w Brooklynie. Dokładnie nie wiem.

Kłamał, Mariel była tego pewna. Poznała to po jego oczach. Zauważył, że mu się przygląda, więc odwrócił się i zaczął brudną szmatką wycierać najdalszy kraniec kontuaru.

- On zna adres - powiedziała do Noaha.

- O tak, jestem tego pewien, ale w żaden sposób nie wydusimy z niego tej informacji - odparł, zniżając głos. - Musimy wrócić tu dzisiejszej nocy, kiedy Alan będzie pracował.

- W takim razie nie mamy szansy go zaskoczyć. Ten facet na pewno go uprzedzi.

- Ale nic więcej nie da się już zrobić - stwierdził ponuro Noah. - Zabrnęliśmy w ślepy zaułek. Wiemy przynajmniej tyle, że Alan nie wyjechał z Nowego Jorku i nadal pojawia się w pracy.

- A jeśli on Amber skrzywdził? - Nagle rozpacz Mariel znowu doszła do głosu. - Albo trzyma ją gdzieś uwięzioną? Ona może być przerażona, doprowadzona do kresu wytrzymałości. Musimy zrobić wszystko, żeby się do niej dostać, Noah. Tyle jesteśmy jej winni.

Wytrzeszczył na nią oczy, zaskoczony tym wybuchem.

- Przepraszam - powiedziała, uświadamiając sobie, że z trudem hamuje łzy. Przez cały dzień to ona się trzymała, podczas gdy Noah sprawiał wrażenie, jakby rzeczywistość wymykała mu się spod kontroli. Teraz sytuacja się odwróciła. Mariel miała nerwy w strzępach; czuła się kompletnie wyczerpana. Przez ostatnich pięć dni żyła w stanie skrajnego niepokoju i teraz stres zbierał swoje żniwo.

- W porządku - powiedział Noah, wyciągając rękę, żeby dotknąć jej dłoni.

- Po prostu wyobraziłam sobie Amber gdzieś, nie wiadomo gdzie, samotną i przerażoną. Czuję się tak, jakbyśmy ją zawiedli. Nie dlatego, że dotąd jej nie znaleźliśmy, ale dlatego że...

Nie potrafiła tego wypowiedzieć. Wielokrotnie przekonywała samą siebie, że oddanie dziecka było słuszną decyzją. I rzeczywiście w to wierzyła. A jednak, gdyby zatrzymali Amber i sami ją wychowywali, to wszystko by się nie wydarzyło. Amber nie wpadłaby w szpony tego... tego...

Kimkolwiek on był.

Mariel czuła, że po twarzy spływają jej gorące łzy i, pociągając nosem, otarła mokry policzek o przedramię.

- Proszę. - Noah sięgnął do kieszeni i podał jej zmiętą chusteczkę. - Czysta.

Śmiech Mariel bardziej przypominał zduszony szloch.

- Rozejrzyj się po tym koszmarnym miejscu. To pewnie jedyna czysta rzecz tutaj.

Też się roześmiał.

A wtedy z jej gardła naprawdę wydarło się łkanie - spazmatyczny dźwięk, który wywołał kolejny strumień łez.

- Przepraszam, Noah - szlochała w chusteczkę. - Nic na to nie mogę poradzić. Już dłużej nie wytrzymam. Musimy się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Dobrze się pani czuje? - odezwał się jakiś głos za jej plecami.

Odwróciła się i ujrzała, że barman wrócił do tego końca kontuaru, gdzie siedzieli, i przygląda się jej z uwagą.

Wytała oczy.

- Świetnie się czuje - odparł zwięźle Noah.

Mężczyzna przez chwilę nie spuszczał z nich spojrzenia.

Potem sięgnął po papierową serwetkę, chwycił ołówek i coś na niej nabazgrał.

- Proszę - powiedział wręczając swoje zapiski Noahowi. - Tam znajdziecie Alana. Powodzenia.

- Zdaje się, że rzeczywiście poznasz te rejony Nowego Jorku, których większość turystów w ogóle niema okazji zobaczyć - zauważył Noah, kiedy wyszli z podziemnego przejścia i znaleźli się na rogu jednej z brooklyńskich ulic. Tuż obok nich z szumem przemykały samochody, tłum spieszył w różne strony.

- Taak, ale ze mnie szczęściara - odparła Mariel. - Czy ty chociaż orientujesz się, gdzie jesteśmy?

- Nigdy nie byłem w tej części miasta, ale z tego co wiem, jest tu całkowicie bezpiecznie.

Ruszyli dalej, do kolejnej przecznicy, mijając po drodze kilku brodatych mężczyzn z kręconymi pejsami, w kapeluszach i trzepoczących wokół łydek długich, czarnych płaszczach. Większość z tych egzotycznie wyglądających przechodniów niosła wetknięte pod pachę modlitewniki. Noah zauważył, jak Mariel dyskretnie się im przypatruje, a potem zerka na trzymające się z tyłu za mężczyznami kobiety w nobliwych sukniach i sztywnych perukach.

- To chasydzi - wyjaśnił szeptem. - W tej okolicy mieszka ich bardzo wielu.

Skinęła głową i wciągnęła powietrze.

- Coś wspaniale pachnie.

Noah zauważył, że przechodzą właśnie koło koszernej restauracji.

- Jesteś głodna?

- Jestem zbyt zdenerwowana, żeby czuć głód. Ale pachnie smakowicie.

- Kiedy już będzie po wszystkim, zabiorę cię do miejsca takiego jak to - powiedział bez zastanowienia.

- Doskonale.

W jej głosie dosłyszał jednak zakłopotanie. Cholera, znowu przekroczył granicę. Zachował się, jakby mieli przed sobą jakąś przyszłość, choćby najkrótszą, gdy już odnajdą swoją córkę.

- Jakiego rodzaju ujedzenie tu podają? - zapytała, kiedy poszli dalej.

- W koszernej restauracji?

Skinęła głową.

Wdzięczny za temat do rozmowy - temat, który nie może wpędzić go w kłopoty - zaczął ochoczo wymieniać:

- Mają bajgle i wędzonego łososa, i zupę grzybową. I siekaną wątróbkę i karpia po żydowsku. Pierogi i kaszę, i najlepsze kanapki, jakich kiedykolwiek próbowałaś. I pastrami, i peklowaną wołowinę z autentycznymi marynatami.

Mariel roześmiała się.

- W przeciwieństwie do sfałszowanych marynat.

- W przeciwieństwie do tych rozmiękłych, ściemniałych zielonych plasterków, które pochodzą z półki w supermarkecie.

- Nabieram apetytu na te wszystkie smakołyki - powiedziała, kiedy skręcił i za róg.

Noah spojrzął na tabliczkę z oznakowaniem ulicy i stwierdził, że są na miejscu. W tej samej chwili Mariel też to zauważyła i uśmiech znikł z jej twarzy.

- Co zrobimy, kiedy już go dopadniemy? - zapytała, ociągając się odrobinę, gdy znaleźli wreszcie poszukiwany adres. Był to dwurodzinny szeregowiec o wyłożonych aluminiową blachą bocznych ścianach. Wszystkie domy w tym kwartale wyglądały identycznie, z ogrodzeniami z łańcucha i betonowymi tarasami od frontu.

- Zapytamy go, co on, do diabła, zrobił z Amber - odparł Noah. Oczekiwanie na konfrontację, która przy odrobinie szczęścia mogła łąda moment doprowadzić do rozwiązania zagadki, sprawiło, że poczuł, jak ściskają mu się wnętrzności. Przez całą drogę modlił się w duchu, żeby zastali Alana w domu. Znając obyczaje swego sublokatora, mógł na to liczyć.

- A jeśli on będzie próbował jakichś sztuczek? - zapytała Mariel. - Jeśli wyciągnie broń?

- Nie robi tego - odparł z pewnością siebie, której wcale nie odczuwał.

Wspięli się po schodkach. Noah nacisnął dzwonek do górnego mieszkania.

Czekali.

W chwilę potem po drugiej stronie drzwi usłyszeli kroki.

Noah wepchnął się przed Mariel, instynktownie próbując ją osłonić przed nieznanym niebezpieczeństwem, cokolwiek by się miało wydarzyć.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął Alan.

- Noah! Co do diabła...?

- Gdzie moja córka, ty sukinsynu?! - wrzasnął Noah, przepchnął się obok niego i pociągnął Mariel za sobą.

Alan sprawiał wrażenie zupełnie oszołomionego.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ej, co ty robisz?

- Szukam mojej córki. - Noah rzucił się wąskimi schodami na górę, przeskakując po dwa stopnie. Mariel nie pozostawała w tyle.

Alan, który już się zdołał otrząsnąć z pierwszego szoku, pędził za nimi bełkocząc:

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz - warknął Noah, wpadając jak burza do mieszkania i rozglądając się po małym saloniku. Nastawiony na stację MTV telewizor i spiętrzone na kanapie poduszki wskazywały, że Alan leżał tu rozwalony, zanim poderwał go na nogi dzwonek do drzwi.

Z Mariel depczącą mu po piętach, Noah wkroczył do drugiego pokoju, a potem do jeszcze następnego, rozglądając się wokół uważnie. Nie znalazł śladów pobytu drugiej osoby ani w kuchni, ani w sypialni z rozkładaną kanapą.

Wrócił do saloniku i stanął twarzą w twarz z Alanem, który sterczał tam z ogłupiałym wyrazem twarzy.

- Natychmiast powiedz, gdzie jest Amber? - zażądał. - I nie udawaj, że nie wiesz, o kim albo o czym mówię. Przeczytaliśmy twoje e-maile. Te, w których podszywałeś się pode mnie i zwabiłeś Amber Steadman do Nowego Jorku. Gdzie ona jest?

Alan uśmiechnął się sztucznie.

Noah miał ochotę złapać go za fraki i uderzyć, i zrobiłby to, gdyby tak rozpaczliwie nie pragnął uzyskać odpowiedzi na swoje pytanie.

- Nie mam pojęcia, gdzie ona jest - oświadczył tymczasem jego współlokator. Cofnął się o krok i obronnym ruchem podniósł rękę, kiedy Noah dopadł go z rykiem. - Zaczekaj, nie mówię, że się z nią nie widziałem, kiedy przyjechała do miasta. Ona myślała, że jestem tobą, bracie. Jechała spotkać się ze swoim starym. Więc pozwoliłem jej w to wierzyć.

- I co pan, cholera jasna, zrobił? - odezwała się Mariel, stając twarzą w twarz z Alanem i obrzucając go spojrzeniem, które nie wróżyło nic dobrego. - Uważał pan to za dobry dowcip?

- Otóż to - odparł, kwitując te słowa wzruszeniem ramion. Jej wybuch nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

- Przyjazd do Nowego Jorku to był pomysł dziewczyny. Kiedy zaproponowałem, że ją spotkam i że będzie mogła się u mnie zatrzymać, była zachwycona.

- Myślała, że jesteś jej ojcem - warknął Noah.

- Taa, ale miała się prędko przekonać, że to ty, a nie ja. Chciałem zrobić ci niespodziankę.

Noah wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę, człowieku. Myślałem, że ściągnę ją do Nowego Jorku, trochę się zabawimy, pokażę jej to i owo, a potem przedstawię tobie.

- Co z nią zrobiłeś? - Noah wrócił do konkretów. - Gdzie ona jest?

- Prysnęła od razu po przyjeździe - wyznał Henning. - Przysięgam na Boga, stary. Zmieszała mnie z błotem, kiedy uznała, że mam na nią zakusy. Wyjaśniłem, że wcale nie jestem jej ojcem, zanim cokolwiek spróbowałem, ale mi nie uwierzyła. Pomyślała, że kłamię i że chodzi o kazirodztwo czy coś w tym stylu, i zupełnie zbzikowała. Zwiąła przede mną i od tego czasu jej nie widziałem.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - spytał Noah, spoglądając Alanowi w oczy i starając się rozstrzygnąć, czy mówi prawdę.

- Możesz sobie nie wierzyć, mam to gdzieś, ale tak właśnie było.

- Ona uciekła.

Alan przytaknął ruchem głowy.

- I ty za nią nie pobiegłeś?

- A po co?

- Bo to nastolatka! Bo nikogo nie zna w Nowym Jorku! - krzyknęła Mariel łamiącym się głosem. Złapała Alana za rękę i szarpnęła nim z całej siły. - Bo ją oszukałeś. Co jest z tobą, do diabła, nie tak? Co z ciebie za zwierzę?

Odepchnął ją.

- Zabierz ode mnie tę babę, Noah. O jakich zwierzętach ona mówi, naćpała się czy co?

- Jesteś żaloszny - przerwał mu Noah i z całej siły trzasnął Alana w twarz. - Nie fatyguj się wracać do mego mieszkania po swoje graty. Zamki zostały zmienione.

- Nie możesz tego zrobić.

- Już zrobiłem. Chodź, Mariel. Idziemy.

Wyszli razem, zostawiając Alana, który bez słowa gapił się za nimi.

- Wierzysz mu? - zapytała Mariel drżącym głosem.

Skinął głową.

- Myślę, że powiedział nam prawdę.

- Więc ona błąka się gdzieś po ulicach - jęknęła.

- I do tego jeszcze pewnie jest w szoku, przekonana, że jej własny ojciec próbował ją uwieść - dodał Noah. Skręcało go na myśl o tym, przez co ten drań kazał przejść jego córce.

Chwilę szli w milczeniu, kierując się w stronę stacji metra.

- Musisz zmienić zamki - odezwała się znowu Mariel.

Noah przytaknął.

- Wezwę ślusarza, kiedy tylko wrócimy do domu. Przynajmniej uwolniłem się od Alana.
- Teraz musimy znaleźć Amber - westchnęła Mariel. - Ale czy to w ogóle możliwe?
- Lepiej nie pytaj - odparł ze znużeniem.
- Myślisz, że nic jej nie jest?
- W Nowym Jorku są setki uciekinierów - powiedział. - Jakoś sobie radzą.
Nie chciał jej mówić, że ogromna ich większość pakuje się prędzej czy później w narkotyki i prostytutkę. Ale kiedy spojrzął na Mariel, z pośpennego wyrazu jej twarzy mógł jasno wyczytać, że dobrze wiedziała, o czym on myśli.
- Gdzie zaczniemy poszukiwania?
- W Port Authority - odparł Noah. - To dworzec autobusowy przy Czterdziestej Drugiej ulicy, tuż koło Times Square. Lubią się tam zbierać.
- Pojedziemy od razu?
Zawahał się. Zbliżali się znowu do koszernej restauracji. Nagle Noah poczuł, że nie marzy o niczym więcej, tylko żeby usiąść w jakimś spokojnym miejscu nad miską gorącej zupy.
- Najpierw coś zjedzmy - zaproponował. - Przy okazji opracujemy sobie jakąś strategię. Co ty na to?
- Zgoda - odparła Mariel, zdumiewając go brakiem oporu.
Otworzył i przytrzymał przed nią drzwi, po czym razem weszli do niewielkiej sali wypełnionej smakowitymi zapachami.
Przynajmniej na króciutką chwilę oderwali myśli od ciemnych chmur gromadzących się nad ich głowami. Gawędzili o marynatach, Nowym Jorku i drużynie Yankee.
Kiedy po skończonym obiedzie czekali na peronie stacji metra, Noah powiedział:
- Może by tak wrócić do domu i trochę się zdrzemnąć, Mariel?
Zauważył, że się waha.
- Możesz spać na łóżku Alana - zaproponował, sądząc, że to właśnie było powodem jej niezdecydowania. - Zmienię pościel i wyrzucę z pokoju wszystkie jego rzeczy.
- Dobrze - zgodziła się. - Ale mam uczucie, że powinniśmy bez przerwy szukać Amber. Czuję się winna, że tracę czas na odpoczynek i posiłki... Nie wiemy nawet, czy ona mać jeść, czy ma gdzie spać. To jakoś nie w porządku.
- Mariel, przestań torturować się tym wszystkim - powiedział. - Nie możesz ciągle się obwiniać. Trzeba jeść, żeby żyć.
Wzruszyła ramionami i znowu łzy zabłysły w jej oczach.
- O co chodzi? - Noah przybliżył się do niej. - Nadal myślisz, że nic z tych okropności by się nie wydarzyło, gdybyśmy jej nie oddali do adopcji? Tak nie można. Musisz przestać zastanawiać się, co by było, gdyby było i zaakceptować rzeczywistość.
Bez słowa skinęła głową, ale widział, że jest wewnętrznie rozdarta. Jeszcze kilka dni temu pragnął ją zranić z powodu decyzji, którą ongiś podjęła. Teraz wydawało mu się niemożliwe, że kiedykolwiek mógł w ten sposób czuć. Jedyne czego chciał, to złagodzić jej ból, przekonać, że co się stało, to się stało i już nie podlegało zmianie. Że nie było powrotu do przeszłości.
- Postąpiliśmy słusznie - powiedział, przyciągając Mariel do siebie i biorąc w ramiona. Przez chwilę tulił ją do piersi i gładził po włosach.
- Wcale w to nie wierzysz, Noah - odparła. - Jakaś część twojej osoby nadal nie jest pewna, czasami wydaje mi się, że jakaś część nadal ma mi za złe decyzję, którą podjęłam.
- To nieprawda - zaprotestował.
- Prawda, prawda - powiedziała i odsunęła się, żeby spojrzeć mu w twarz właśnie w chwili, kiedy pociąg z rykiem wjechał na stację, wprawiając w drżenie cały peron. - Dotąd mi nie przebaczyłeś. Możliwe, że chciałbyś, ale nie zrobisz tego. A może nie potrafisz.
Noah odwrócił się, niezdolny spojrzeć jej w oczy. Wiedział, że miała rację.

Rozdział 12

Mariel przewróciła się na bok i wepchnęła poduszkę pod policzek. Bardzo chciała znowu odpłynąć w niepamięć. Ale sen odmawiał powrotu już od - podniosła głowę i zerknęła na zegar - od trzydziestu pięciu minut.
Minęła trzecia nad ranem. Sześć godzin temu Mariel wdrapała się na łóżko, wyczerpana, cała obolała po wysiłku, jakim było przemierzanie wzdłuż i wszerz Nowego Jorku. Zapadła w głęboki sen w momencie, kiedy jej głowa dotknęła poduszki, ale za to teraz, o tak wczesnej godzinie, była już całkowicie rozbudzona.
Jej umysł nie przestawał pracować, choć nieznanemu łóżko i odgłosy miasta bynajmniej mu w tym nie pomagały. Zwłaszcza syreny. Ciągle gdzieś wyły, niektóre w pobliżu, czasami tuż pod oknem, niektóre w dalszej odległości. Tutaj, na Manhattanie, syreny były w nocy dźwiękiem tak wszechobecnym, jak u niej w domu cykady.
Mariel nie mogła przestać myśleć o Amber błakającej się po ulicach, może tylko kilka przecznic stąd.
Rozpaczliwie pragnęła wziąć córkę w ramiona i powiedzieć, że ją kocha - że wszystko dobrze się ułoży. Pragnęła zabrać ją do Rockton - do diabła z sąsiadami i tym, co sobie pomyśla. I co z tego, gdyby jej sekret został

ujawniony, teraz, po piętnastu latach. Urodzenie pozamałżeńskiego dziecka nie jest już tak piętnowane, jak nawet jeszcze dziesięć lat temu. Obecnie wszyscy prowadzą takie życie - znane osobistości, członkowie rodziny królewskiej, zwykli ludzie.

Chodziło jednak o coś więcej niż przywiezienie Amber na stałe do Rockton i zbywanie wrzeszczeniem ramion skandalu. W głębi serca Mariel wiedziała, że było niepodobieństwem, żeby miały spędzić przyszłość pod wspólnym dachem. Amber miała już matkę, która ją kochała. Matkę i ojca - i nie byli to Mariel i Noah.

Steadmanowie zasługiwali na to, żeby wiedzieć o wynikach poszukiwań. Tyle tylko powiedział Noah podczas podróży metrem do domu. Ale Mariel nadal była niechętna pomysłowi, żeby zadzwonić i wyjawić im, co się stało. Ciągle jeszcze obawiała się, że Noah może w jakiś sposób zostać w to wciągnięty - że na niego padnie podejrzenie. Nie potrafiła znieść myśli, iż ktoś mógłby posądzać go o przyczynienie się do zniknięcia Amber. Nie mogła znieść myśli, iż ktoś mógłby go zranić.

Więc dlaczego sama to zrobiła? Przecież intuicja kazała jej chronić Noaha. Ufać mu. Wierzyć w niego.

Dlaczego nie mogła pozwolić sobie go kochać?

Dlaczego czuła, że prawdopodobieństwo, iż mogliby spędzić wspólną przyszłość w Rockton, jest mniej więcej takie samo jak to, że zabierze Amber do siebie i będą razem żyć szczęśliwie?

Dlaczego, do cholery, nie wierzyła w żadną szczęśliwą przyszłość?

Jak długo miała jeszcze zamiar karać się za to, co zrobiła piętnaście lat temu?

Dobiegł ją przytłumiony dźwięk. Natychmiast uspokoiła się i zaczęła słuchać.

W sąsiednim pokoju coś stuknęło.

Serce Mariel zabiło mocniej.

Czyżby Alan wrócił?

Noah nie zmienił zamków. Kiedy tylko znaleźli się w domu, zadzwonił do czynnego przez całą dobę warsztatu ślusarskiego i dowiedział się, że - o ile nie chodzi o nagły wypadek - lista oczekujących zapełniona jest już na trzy najbliższe dni. A sprawa Noaha nie została uznana za nagłą.

To musi być Alan, pomyślała Mariel. Wyślizgnęła się po cichu z łóżka, podeszła na palcach pod drzwi i sięgnęła do klamki, mówiąc sobie, że tylko zrobi szparkę i zerknie, co się tam dzieje.

Powoli przekręciła gałkę, skrzywiwszy się, kiedy mechanizm szczęknął cichutko. Odczekała dłuższą chwilę, zanim uchyliła drzwi i stwierdziła, że w sąsiednim pokoju panuje spokój.

Czyżby jej się wydawało? Może nikogo tam nie było.

Jednak kiedy powiększyła szczelinę i zajrzała raz jeszcze, dostrzegła męską sylwetkę na tle jednego z okien salonu. Bezwiednie głośno wciągnęła powietrze, a wtedy mężczyzna gwałtownym ruchem odwrócił się w jej stronę.

- Noah! - zawołała. - Wystraszyłeś mnie!

- Ty mnie też. Dlaczego wstałaś?

- Nie mogłam spać. - Weszła do pokoju. - Usłyszałam coś i pomyślałam, że to Alan grasuje po mieszkaniu. A co ty tu robisz?

- Też nie mogłem spać - odparł. Wlewający się przez okno srebrzysty blask księżyca oświetlał jego postać.

Mariel starała się nie dostrzegać, że Noah był półnagi. Miał na sobie jedynie cienkie bawełniane szorty. Nocne powietrze zrobiło się orzeźwiająco chłodne. Poczowała mrowienie. Gęsia skórka pokryła prześwitujące przez letnią koszulę nocną ciało, ale nie była to reakcja na temperaturę.

Znajoma tęsknota odezwała się gdzieś wewnątrz, kiedy pamięć podsunęła wspomnienie chwil spędzonych w jego objęciach.

- Ciągle myślę o tym, że ona jest gdzieś tutaj - powiedział Noah, patrząc na leżącą cztery piętra niżej ulicę.

Mariel podeszła i spojrzała ponad jego ramieniem.

Nawet o tej porze w niektórych oknach po drugiej stronie paliło się światło. Samochody przejeżdżały z warkotem. Ruch był większy, niż Mariel kiedykolwiek widziała na Main Street w Rockton. Gdzieś w oddali wyły syreny - oczywiście - i rozlegał się rytmiczny jęk alarmu samochodowego.

Ogarnęła ją ciekawość, czy kiedykolwiek zdołałaby przyzwycząić się do tego zgiełku, gdyby przyszło jej tutaj żyć.

Pomyślała, że Amber też pewnie jest tym oszołomiona.

- Myślisz, że ona śpi gdzieś na ulicy? - zwróciła się do Noaha.

- Może. Albo w schronisku. Są schroniska dla takich dzieciaków. Jutro zaczniemy je przeszukiwać.

Mariel przytaknęła skinieniem.

Noah odwrócił się do niej.

- Myślę o tym, co powiedziałaś przedtem.

- A co ja takiego powiedziałam? - zapytała, chociaż chyba wiedziała, o co mu chodzi.

- O mnie, że mam do ciebie jeszcze po tych wszystkich latach żal. To prawda. Ciągle mam żal o tamtą decyzję.

Wrzuciła ramionami, czując w sercu ból.

Dobrze, a czego się spodziewała? Że ją weźmie w ramiona i powie, że ją kocha? Nigdy tego nie zrobił, nawet

wtedy, kiedy miało to największe znaczenie. Kiedy mogło coś zmienić.

- Wcale mnie to nie dziwi - odezwała się spokojnie. - A ty z pewnością masz prawo do swoich uczuć.

- Problem polega na tym, że nie wiem, co mam robić ze swoimi uczuciami - wyznał. - Zastanawiam się, dlaczego nie potrafię pozbyć się tej reszteczi gniewu. Bóg mi świadkiem, że w ciągu ostatnich kilku dni bardzo się starałem. I chyba już się domyślam, co mnie powstrzymuje.

- Co takiego? - spytała przy gaszonym głosem.

- Ty.

Zamrugła ze zdumienia.

- Ja? Ja cię powstrzymuję?

Skinął głową.

- Bo nie chcesz mojego przebaczenia, Mariel. Boisz się.

- To nieprawda - zaprotestowała i chciała już zrobić krok do tyłu, byle dalej od niego, kiedy położył jej ręce na ramionach.

- Boisz się tego, co mogłoby się zdarzyć - powiedział miękko.

- Nie boję się, Noah. Ja po prostu nie...

Dalsze słowa zostały stłumione przez jego wargi, kiedy przywarł do jej ust i zaczął je chciwie całować.

- Co ty nie? - zapytał, podnosząc głowę. Przesunął dłońmi po biodrach Mariel i przyciągał ją do siebie tak, że tuż przy najintymniejszych partiach swego ciała poczuła jego rozbudzoną męskość.

- Ja nie...

- Co ty nie? - Deszcz pocałunków spadł na jej szyję.

Wyrwał jej się jęk, najpierw protestu, a po chwili bezsilnej rozkoszy, kiedy Noah ściągnął z niej nocną koszulkę i poczuła, że ssie jej pierś. Wiła się w jego ramionach, ale trzymał ją mocno. Jego ręce gładziły jej nagie ciało, wszędzie delikatnie dotykały. Osunęli się na podłogę i Mariel ulegle odwróciła się na plecy. Drżała, gdy wilgotne usta Noaha przesuwwały się w dół, błędziły po brzuchu, coraz niżej. Wreszcie poczuła, jak jego język muska jej coraz bardziej spragnione wrażliwe miejsce i gwałtownie chwyciła oddech.

Wiła się w pożądaniu, żeby Noah zrobił to jeszcze raz, wywołał łaskotliwe doznanie narastające szybko w jej wnętrzu. A kiedy spełnił to życzenie, lokując się pomiędzy jej drgającymi udami, ona niemal natychmiast osiągnęła szczyt.

- Noah - wy dyszała i przebiegły ją drżące fale gwałtownej rozkoszy. Myślała, że to już koniec, ale on znowu wtulił twarz w jej ciało i pieścił je ustami, potem dłońmi, wreszcie swoją męskością. Otworzyła się dla niego i Noah zagłębił się w nią, szepcząc bez tchu jej imię. Poruszali się idealnie zgodnie, w tym samym rytmie łapiąc powietrze, aż jednocześnie eksplodowali, kołysząc się nawzajem w ramionach, dopóki nie ustał spazm.

- Właśnie tego się boisz - szepnął Noah łagodnie, kiedy było już po wszystkim.

- Wcale się tego nie boję.

- Więc o co chodzi? Co cię powstrzymuje?

- Musimy o tym teraz rozmawiać? - zapytała, przesuwając mu opuszką palca po szczęce, z policzkiem przytulonym do jego klatki piersiowej. - Dlaczego nie możemy po prostu być? Dlaczego nie możemy zostawić spraw swojemu biegowi?

- Właśnie to robimy. - Odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć jej w oczy. - Możesz oddawać mi się fizycznie, Mariel. Więc dlaczego nie całą swoją istotą? Tą częścią, która cię powstrzymuje?

Milczała.

- No dobrze - powiedział, odrywając się od niej. - Wezmę prysznic. Teraz jest odpowiednia pora, żeby wyruszyć do Port Authority i sprawdzić, czego można się tam dowiedzieć.

- Jest trzecia trzydzieści rano.

- Właśnie. - Zerknął na nią przez ramię. - Idziesz ze mną?

- Oczywiście - odparła, zrywając się na równe nogi.

- Okay. - Błysnął oczami. - To chodź.

- Wydawało mi się, że zamierzałeś wziąć prysznic.

- Właśnie - przytaknął i powtórzył: - Chodź. Po co marnować wodę?

Na twarzy Mariel rozlał się powoli szeroki uśmiech. Bez wahania ruszyła w ślad za Noahem do łazienki.

Następne trzy dni minęły jak we mgle.

Były rozmazaną plamą wydeptanych ulic i nieznanymi twarzami, i chwilami, kiedy kochali się w jego mieszkaniu.

Noah nie wiedział, czy powinien być wdzięczny, że ona daje mu tę... tę ostatnią szansę, żeby się spełnił albo żeby spróbował zdobyć jej serce, czy też za to, że już mu je oddała. Wiedział jedynie, iż najwyraźniej osiągnęli porozumienie. Jak długo pozostaną w stanie zawieszenia, przeczesując Nowy Jork w poszukiwaniu córki, będą razem, fizycznie. Pod każdym względem.

Wolno mu było opasać ją ramieniem podczas wspólnej podróży metrem, trzymać za rękę, gdy szli ulicą albo całować, kiedy tylko po powrocie do domu o zmroku zamykali za sobą drzwi mieszkania.

Spali razem w jego łóżku kochając się, dopóki wyczerpani nie zdrzemnęli się w swoich objęciach. A potem razem wychodzili o świcie, żeby znowu przeczesywać ulice. Najwcześniejsze godziny poranne były dla ich poszukiwań najbardziej obiecującą porą, bo właśnie wtedy ulice należały do nocnych marków, którzy wiedzieli o rzeczach niedostępnych innym mieszkańcom - ludziom spieszącym metrem i autobusami do pracy, starszkom, matkom, nianiom, biznesmenom.

Mając Mariel u boku, Noah rozmawiał z prostytutkami i stręczycielami, handlarzami narkotyków i tajnymi agentami, bezdomnymi i tymi, którzy starali się im pomóc. Wydrukował fotografię Amber i nosił ją ze sobą wszędzie, dokąd szli, i pokazywał każdemu, kogo spotkali. Parę razy zdarzyło się, że zagadnięta osoba rozpoznawała dziewczynkę, ale te ślady prowadziły donikąd. Kilku pytanych niejasno przypominało sobie, że widzieli ją w okolicy; że zdarzyło się to niedawno; że nie zachowywała się prowokująco ani nie była pod wpływem narkotyków.

Noah i Mariel byli wdzięczni za wszystkie informacje, ale marzyli o bardziej konkretnych wskazówkach.

Otrzymali je w sobotę o zmierzchu, kiedy na Jedenastej Alei natknęli się na dwie wytatuowane, obwieszone kolczykami dziewczyny, które nie mogły mieć więcej niż czternaście, piętnaście lat. Obie były zbyt mocno umalowane, a spódniczki, w innej okolicy uchodzące może za modne, nadawały im pozór dziwek.

Nastoletnie prostytutki, prawdopodobnie uciekinierki z domów rodzinnych, pomyślał Noah, patrząc w ich zadziwiająco skupione oczy. Przywykł już do kaprawego wzroku ćpunów, więc od razu zorientował się, że te dwa dzieciaki są w porządku. To, że nie sprzedają się, żeby zarobić na narkotyki, jakoś bardziej zbijało z tropu, niż gdyby było na odwrót, pomyślał z całkowitym brakiem logiki.

- O co chodzi? - spytała drobniejsza z dziewcząt, wodząc zaciekawionym spojrzeniem od Noaha do Mariel. Miała jasne włosy, nierówno obcięte - znowu w stylu, który mógł wydawać się szykowny gdzie indziej, ale nie na Jedenastej Alei.

- Chcielibyśmy wiedzieć, czy może ją widzieliście - powiedziała Mariel, pokazując blondynce zdjęcie Amber.

Obie dziewczyny pochyliły się nad fotografią, a potem wymieniły się spojrzeniami.

- Widzieliście ją. - To było stwierdzenie, nie pytanie. Noah starał się bardzo, żeby w jego głosie nie zabrzmiało nerwowe oczekiwanie. W ciągu tych ostatnich kilku dni rozmawiał z tyloma płochliwymi dziećmi ulicy, że wyczuwał iż te dwie nastolatki coś wiedzą. Ostatnia rzecz, której by teraz chciał, to je wystraszyć.

- Taak, widzieliśmy ją - odezwała się druga z dziewczynek, ładna mulatka z ciemnymi, błyszczącymi oczami. - To Amber.

Noah poczuł, jak Mariel drgnęła i ścisnął jej rękę, dając do zrozumienia, żeby rozgrywała rozmowę na chłodno.

- Macie jakiś pomysł, gdzie możemy ją znaleźć?

- Ona mieszka na dole, w parku z grupą przyjaciół - powiedziała blondynka.

- W Central Parku? - spytała Mariel natarczywie.

Noah ostrzegawczo trącił ją łokciem. Mariel popełniła błąd. Central Park leżał w stosunku do Jedenastej Alei w górnych rejonach miasta. Gdyby o niego chodziło, dziewczynki nie użyłyby sformułowania „na dole”.

Nastolatki spojrzały jedna na drugą. Nic porozumienia została zerwana.

- W jakimś parku - powiedziała blondynka i nadzieje Noaha przygasły.

- Czy wiecie, kim są jej przyjaciele? - zapytał mimo to swobodnie, żeby za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

- A, kilku takich. Pilnują jej przed alfonsami. Ona się w takie hece nie miesza.

Noah poczuł, jak pod wpływem ulgi uginają się pod nim kolana.

- Ale kim oni są? - Głos Mariel drżał ze zdenerwowania. Noah wolałby, żeby nie zadawała zbyt wielu pytań albo żeby w ogóle zamilkła. Musieli postępować ostrożnie.

Ciemniejsza z dziewczyn wzruszyła ramionami.

- Takie same dzieciaki jak i ona.

- To znaczy dzieciaki, które uciekły z domu? - upewnił się.

- W większości - powiedziała dziewczynka.

- A mają jakieś imiona? - zapytał lekkim tonem.

- Taa, jest tam Blinky i...

Blondynka trąciła koleżankę łokciem, żeby zamilkła, i rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Posłuchajcie, po prostu niepokoiimy się o Amber, o to, czy nic złego jej się nie stało - powiedział Noah. - Nie musicie się martwić, że udzieliłyście nam informacji.

- Taa, to się wie - odezwała się znowu dziewczynka z jasnymi włosami. - Państwo są jej rodzicami, prawda?

Noah i Mariel spojrzeli po sobie i każde z nich zaprzeczyło ruchem głowy.

- Oho, akurat. Ona jest do państwa bardzo podobna.

- Słuchajcie, czy możecie nam powiedzieć, który to park? - Noah nadal nie rezygnował. - Przy Washington Square czy...

- Nie, a teraz musimy już iść. Do widzenia.

Dziewczyny odeszły, zostawiając Noaha i Mariel bezradnie patrzących za nimi.

Chociaż może nie tak znowu bezradnie, uświadomił sobie Noah.

- Chodźmy - zakomenderował nagle i ruszył w kierunku wschodnim.

- Ale dokąd idziemy? W Nowym Jorku muszą być dziesiątki parków.
- Ale nie wszystkie leżą w dolnej części miasta.
- Skąd wiesz, że tam mamy szukać?
- Powiedziały „na dole”, pamiętasz? Myślę, że to chodzi o Washington Square albo Tompkins Square. Przemieszkuje tam pełno nastolatków. I są jeszcze inne możliwości. Union Square. Madison Square...
- Tak, a oprócz tego mamy jeszcze imię - dodała Mariel, nadążając prawie bez tchu za jego długimi krokami. - Blinky.

Noah roześmiał się.

- Blinky. Nawet w tym zwariowanym mieście nie może być wielu facetów, którzy nazywają się Blinky. Mam przecucie, że nam się uda, Mariel.

Zatrzymała się i kurczowo chwyciła go za rękę.

- Chcesz powiedzieć, że przeczuwasz, że ją znajdziemy?

Zastanowił się chwilę i skinął głową.

- Może jeszcze nie dziś wieczór. Ale już wkrótce.

- Czy sądzisz, że teraz powinniśmy zawiadomić policję? - z trudem wydusiła następne pytanie, szukając jego spojrzenia.

Noah przez chwilę się zastanawiał. Właściwie powinni byli zatelefonować na policję i do Steadmanów już dawno temu, ale Mariel nie godziła się na to. Jedna noc więcej nie robi różnicy, uznał.

- Zadzwonimy jutro - powiedział na głos. - Jeżeli jej nie znajdziemy, zadzwonimy jutro. I powiemy im wszystko, co wiemy. Zgoda?

- Zgoda.

Potem w milczeniu rozważając, co może się na skutek takiego telefonu zdarzyć, powędrowali w stronę stacji metra.

Była prawie północ, kiedy dotarli na Tompkins Square. Spędzili już długie godziny, przeszukując inne miejsca, o których Noah uprzednio wspominał, zwłaszcza park przy Washington Square, tego ciepłego czerwcowego wieczoru tętniący życiem, pełen spacerowiczów z psami, ulicznych grajków i przemieszkujących tam licznie młodocianych bezdomnych. Mariel i Noah wypytywali każdego, kogo spotkali, czy nie słyszał o chłopaku zwanym Blinky albo nie widział Amber. Jak dotąd jednak ciągle natykali się na mur.

Zadecydowali, że na Tompkins Square zakończą dzisiejsze poszukiwania. Mariel była już całkiem wyczerpana, a Noah, o ile mogła stwierdzić, czuł się podobnie. Raz za razem ziewał i utykał z powodu pęcherza na lewej pięcie.

Mariel również miała poobcierane nogi, wszystko ją bolało i z głodu ssało w żołądku. Niejasno kojarzyła, że minęło już dużo czasu, odkąd ostatnio jedli, ale nie potrafiła przypomnieć sobie ani kiedy, ani gdzie to było.

Ten park nie leżał daleko od mieszkania Noaha, jak zauważyła, kiedy przecinali Pierwszą Aleję, żeby dotrzeć na miejsce. Mogli spędzić tam godzinkę czy coś koło tego, wypytując napotkanych ludzi, a potem wrócić do domu. Znowu znaleźć się w swoich ramionach.

Nauczyła się rozkoszować chwilami we dwoje. Teraz już pozwalała sobie poddawać się silnym zmysłowym potrzebom, które instynktownie tłumiła, odkąd tamtej nocy, tydzień temu, po raz pierwszy po latach ujrzała Noaha.

Czy naprawdę zdarzyło się to tak niedawno?

W pewnym sensie pobyt w Briar Inn wydawał się równie odległą przeszłością jak romans z czasów studenckich. Obydwa zostały naznaczone przez zrodzone z rozpacz, skażone poczuciem winy utarczki, stanowiące skrajne przeciwieństwo tego, co Mariel i Noah przeżywali obecnie. Teraz, kiedy byli razem, nic ich nie powstrzymywało; żyli chwilą i delectowali się sobą nawzajem, nie medytując nad przeszłością ani nad przyszłością.

Mariel nie pozwalała sobie spoglądać poza granice tego wykradzonego losowi antraktu w jej życiu.

Kiedy zyskali pewność, że jak dotąd Amber jest cała i zdrowa, niezależnie od tego, gdzie się podziewa, zaczęła nachodzić ich pokusa, żeby zwolnić tempo poszukiwań. Sprawić, by jeszcze potrawały, bo tylko to pozwalało im być razem. Kiedy dobiegną kresu, skończy się ich związek.

- Trzymaj się blisko mnie - powiedział Noah, biorąc ją pod ramię.

Weszli do parku. Trochę tu groźnie, pomyślała Mariel, kiedy zbliżali się do grupy nastolatków siedzących na ławce pod wysokimi drzewami. Wprawdzie pobliskie ulice patrolowało wielu policjantów, ale tutaj, w parku, miało się poczucie odosobnienia.

Oburzili spojrzeniem całą gromadkę. Dzieciaki przerwały rozmowę i odwróciły się w stronę intruzów, wszystkie jednakowo czujne i milczące. Badając wzrokiem twarz po twarzy, Mariel nagle poczuła, jak zamiera w niej serce.

Noah zatrzymał się gwałtownie. Wiedziała, że zobaczył to samo.

Twarz Amber.

Amber siedziała tam, na wprost nich. Jej rysy zastygły w maskę lęku. Nie żeby wyczuwała, kim oni są, zdała sobie sprawę Mariel, ale po prostu dlatego, że nikomu nie ufała. Mieszkała na ulicy. Bała się o swoje bezpieczeństwo. O swoje życie.

Nie mogła wiedzieć, że ci dwoje obcy, którzy się do niej zbliżają, to życie jej ongiś dali... Albo że zamierzają je ratować.

Mariel czuła, jak coś dusi ją w gardle. Drżała, walcząc z emocjami, które groziły, że wystąpią z brzegów, kiedy patrzyła w oczy swojej córki - znajome, a jednak obce. To były oczy jej, Mariel, ale spoglądały z twarzy należącej do kogoś innego. Już nie zatrzymane w kadrze, tylko żywe, podejrzliwe, skupione na przybyszach.

- Nie - szepnął Noah, jakby wyczuł, że jest bliska utraty kontroli nad sobą.

Sama nie wiedziała, co się za chwilę stanie - czy wybuchnie łzami, czy się rzuci, żeby chwycić córkę w objęcia, albo nawet osunie się na ziemię, zemdlona. Jednak opanowała się, zgodnie z ostrzeżeniem Noaha, rozumiejąc, że nadchodzi rozstrzygający moment. Nie mogła wykonać błędnego ruchu teraz, kiedy wreszcie znaleźli Amber.

- Co słychać? - zagadnął swobodnie Noah, zmierzając prosto ku ławce.

Wymamrotali najrozmaitsze słowa pozdrowienia. Wszyscy wodzili wzrokiem od Noaha do Mariel, najwyraźniej czując, że coś się święci.

- Gliny? - zapytał jeden z chłopców.

Potrząsnęli głowami. Mariel dostrzegła usiane trądzikiem policzki i szynę na zębach. Co doprowadziło tego nastolatka - czyjeś dziecko, czyjegoś syna - do tego, że znalazł się w środku nocy w opustoszałym nowojorskim parku?

Co każde z nich tutaj robiło?

Znowu skoncentrowała się na Amber, której spojrzenie ani drgnęło. Wpatrywała się uparcie w Mariel i Noaha. Wpatrywała uważnie.

Nagle głośno wciągnęła powietrze. Na jej twarzy zagościł wyraz zdumienia i niedowierzania.

Ona wie, uświadomiła sobie Mariel, całkowicie skupiając uwagę na córce.

- Czy masz na imię Amber? - zapytał Noah łagodnie.

Zagadnięta skinęła głową.

- Jestem Noah - powiedział. - A to jest Mariel.

Dziewczynka stała bez słowa. Bez ruchu.

- Od dawna próbujemy cię znaleźć - odezwała się Mariel drżącym głosem. - Nawet nie masz pojęcia...

Nagle Amber ze szlochem ruszyła przed siebie, prosto do niej.

Mariel otworzyła ramiona i po raz drugi w życiu przytuliła swoją córkę, pragnąc tego, co niemożliwe. Żeby już nigdy nie pozwolić jej odejść.

Rozdział 13

Chcesz jeszcze trochę zupy? - zapytał Noah, przyglądając się, jak Amber ostrożnie stawia swoją miseczkę na małym stoliku.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Zauważył, że zerka ukradkiem na Mariel, siedzącą tuż obok na kanapie, ze złożonymi na podołku rękoma. Nadal drżały, chociaż minęła już prawie godzina, odkąd znaleźli Amber w parku.

- Krakersy? - zaproponował, sięgając po pudełko ze słonymi herbatnikami, które położył przedtem na stole, i podsuwając je córce.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała grzecznie. Miała zdecydowanie dobre manieri i w głębi duszy Noah musiał przyznać, że rodzice odpowiednio ją wychowali.

- Najadłaś się już? Bo mam jeszcze inne rzeczy. Hm, baloniki i zdaje się trochę czarnych oliwek... - trajkotał, żeby wypełnić ciszę.

Dlaczego Mariel nie czuła podobnej potrzeby? Odkąd wrócili do domu, nie wymówiła niemal ani słowa.

Siedziała tylko na kanapie koło Amber, jakby chciała córkę chronić, podczas gdy Noah, podgrzewał puszkę rosółu z makaronem, nalewał sok pomarańczowy - jedyny napój oprócz piwa w jego kawalerskiej lodówce - i cały czas krzątał się nerwowo.

Dlaczego Mariel nie była zdenerwowana? Znowu zerknął na jej drżące ręce i uświadomił sobie, że to nieprawda. Po prostu u niej niepokój wyrażał się w inny sposób.

Miotając się po kuchni, Noah skaleczył palec o ostrą krawędź puszkę z zupą i przewrócił szklanę, zalewając sokiem blat. Teraz siedział na niewygodnym podrabianym stickleyu po drugiej stronie kanapy i obserwował córkę, starając się robić to dyskretnie.

Ale nie potrafił się powstrzymać, żeby na nią nie patrzeć. Ta młodziutka istota była jego częścią. Jego i Mariel. Miała usta Noaha i oczy Mariel; jego karnację i jej delikatne piegi na nosie. Mógł ją śmiało uznać za ładną, nawet pomimo wymizerowania. Była bardzo szczupła. Ciekawiło go, czy to cecha dziedziczna, czy raczej skutek życia przez ponad tydzień na ulicy.

Amber miała na sobie drelichowe obcięte do kolan spodnie, wielobarwny T-shirt i drogie sandały na usmolonych stopach.

- Jeśli chcesz, możesz wziąć prysznic - odezwał się bez zastanowienia. Dźwięk własnego głosu jemu samemu wydał się dziwny.

- Och... dziękuję - odparła z zakłopotaniem. Zerknęła speszona na swoją brudną odzież i skórę.

- Zrobisz to, kiedy zechcesz - nagle włączyła się Mariel. - To nie musi być teraz. To znaczy, możemy najpierw porozmawiać. Albo... później. Jeżeli będziesz chciała.

Amber wzruszyła ramionami.

Co tu było jeszcze do powiedzenia? - zastanawiał się Noah. W drodze do domu wyjaśnił córce całą historię z Alanem. Przepraszał, a Amber zachowywała się ze zrozumieniem. Udawała, że zbywa tę sprawę wzruszeniem ramion, nawet trochę z niej żartowała, ale Noah wiedział, że nadal była wystraszona i nie winił jej za to.

W gruncie rzeczy zdziwił się, że od razu się zgodziła pójść z nimi do jego mieszkania.

Ale właściwie jaki miała wybór? Spędzić całą noc w parku z bandą młodocianych rozbitków, wyglądających jak tłuszcza z *Nędzników*? Nietrudno było też dostrzec, że jest głodna, gdy obrzuciła ich obydwójce czujnym spojrzeniem i przyjęła zaproszenie.

Kiedy już razem odchodzili, jeden z jej przyjaciół zawołał za nią:

- Hej, kim oni są?

- To moi rodzice - odpowiedziała przez ramię, po czym zwróciła się do Noaha i Mariel: - Bo jesteście moimi rodzicami, prawda?

Mariel cicho potwierdziła, ale Noah tylko skinął głową, niezdolny wydobyć z siebie głosu. Zbyt wzruszony, by mówić, objął dziewczynkę i nie cofnął ręki przez całą drogę do domu.

Teraz, kiedy temat Alana został wyczerpany, mieli coś jeszcze do omówienia. I nie można już było tego dłużej odkładać.

- Amber - powiedział niepewnie - tydzień temu kontaktowaliśmy się z twoimi rodzicami. Oni szaleją z niepokoju. Robią wszystko, żeby cię odnaleźć, dosłownie odchodzą od zmysłów.

- Naprawdę? - Ożywiła się, usiadła prosto. - Skąd wiesz? Co mówili?

- Że bardzo cię kochają! chcą, żebyś wróciła do domu.

- Byli razem? - Ton Amber zdradził, dlaczego została w Nowym Jorku nawet po koszmarnym przeżyciu z Alanem. Jasne, zdał sobie sprawę Noah, miała nadzieję, że w ten sposób spowoduje, że rodzice się pogodzą.

- Byli razem, kiedy ich odwiedziliśmy - powiedziała Mariel opornie, ostrożnie dobierając słowa. Noah wyczuł, że i ona jest świadoma motywów, którymi kierowała się dziewczynka. - Ale wiem, że są w separacji, i nie mam pojęcia, czy teraz zesłi się, czy nie.

- Separacja jest taka głupia - wybuchnęła Amber. - Nie rozumiem, czemu musieli się rozstawać. Tylko dlatego, że mama chce wrócić do pracy teraz, kiedy jestem już w szkole średniej, a tata uważa, że nie powinna... To taka głupia walka. Prowadzili ją ciągle. W końcu tata powiedział, że jeśli mama upiera się pracować, to nie potrzebuje go już, żeby ją utrzymywał, więc on się wyprowadza. A ona powiedziała: świetnie.

W jej głosie brzmiał gniew i ból. Spoglądała to na Mariel, to na Noaha, jakby szukając w nich oparcia.

Noah chciał jej powiedzieć, że konflikt pomiędzy rodzicami ma prawdopodobnie dużo głębsze podłoże. Że ich separacja jest zapewne wynikiem całych miesięcy, a nawet lat rozgoryczenia i zastanawiania się nad sobą.

Jednakże wolał nie być tym, który rozwieje jej nadzieje. A poza wszystkim, pomyślał z optymizmem, całkiem możliwe, że pomysł z ucieczką poskutkował. W końcu Carl Steadman był w domu, kiedy oboje z Mariel pojawili się tam w zeszłą niedzielę rano.

- Może jeszcze raz przemyślą sprawę - powiedział na głos. - Czasami ludzie, którzy się kochają, rozstają się. Ale potem uświadamiają sobie, że nie mogą bez siebie żyć i znajdują drogę, żeby obdarzyć się nawzajem szczęściem.

- A czasami - wtrąciła Mariel głosem pełnym napięcia - pojmują, że nie mogą żyć razem, nawet jeśli naprawdę im na sobie zależy, i muszą pójść każde własną drogą.

Noah nie potrafił się zmusić, żeby na nią spojrzeć. Wiedział, że nie mówiła o Steadmanach. Zaciśnął dłonie na poręczach fotela i powiedział:

- Amber, ważne jest to, że rodzice bardzo cię kochają. Nie ma co do tego wątpliwości. Cokolwiek się stanie z ich małżeństwem i tak obydwójce będą żyć dla ciebie.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Jesteś obcy. - Ton Amber brzmiał ironicznie. Po raz pierwszy zareagowała jak zraniona nastolatka. I miała pełne prawo tak się czuć.

Mimo to Noah miał wrażenie, jakby otrzymał niespodziewany cios w żołądek.

Mariel oprzytomniała pierwsza.

- Masz rację - powiedziała spokojnie. - Noah jest obcym człowiekiem, podobnie jak ja. Ale to nie znaczy, że nie myśleliśmy o tobie każdego dnia, odkąd przyszedł na świat.

- Nawet nie odpisałaś na mój e-mail - powiedziała Amber oskarżycielsko, zwracając się twarzą ku niej. - Jeżeli tak ci na mnie zależy, dlaczego przynajmniej nie odpisałaś?

- Chciałam - odparła Mariel.

Noah dostrzegł, jak błyszczą jej oczy. Pragnął podejść do niej, pocieszyć, ale atmosfera w pokoju była tak naładowana emocjami, że nie zdecydował się ruszyć w obawie, że się załamię. Wszystko, co mógł zrobić, żeby zachować równowagę, to pozostać na swoim miejscu.

- Zamiast pisać do ciebie, wybrałam się z wizytą. Parę tygodni zajęły mi przygotowania - mieszkam w Missouri - dodała. - Wiedziałaś o tym? W małym miasteczku, które nazywa się Rockton.

- Raz pojechaliśmy do Missouri - powiedziała Amber, trochę się rozchmurzając.

Mariel, wyraźnie zaskoczona, chwyciła się tej interesującej informacji.

- Naprawdę? Kiedy? Co tam porabiałaś?

- Pojechaliśmy z tatą służbowo do St. Louis. Dwa lata temu, podczas wakacji. A potem tata zabrał mnie do parku rozrywki Six Flags.

- To... to świetna zabawa - wymamrotała Mariel.

Noah wiedział, o czym myślała: jakie to dziwne, że córka, o której nie mogła zapomnieć przez piętnaście lat, znalazła się tak blisko niej, a ona nawet nie była tego świadoma.

- A ty mieszkasz tutaj. - Amber przeniosła uwagę na Noaha. - Nigdy nie byłam w Nowym Jorku - aż do teraz. Ale zobaczyłam już mniej więcej wszystko, co było do zobaczenia. No, może z pewnymi wyjątkami.

- A byłaś na szczycie Empire State Building? - zapytała Mariel lekko. - Noah zabrał mnie tam wieczorem kilka dni temu. Nieprawdopodobny widok... odlotowy. - Ostatniego słowa użyła na siłę, zupełnie jakby próbowała znaleźć jakieś wyrażenie ze słownika Amber. Proszę, pomyślał Noah, Mariel robi to, co każda matka w każdym pokoleniu - próbuje nawiązać kontakt z dorastającą córką, pracowicie starając się używać młodzieżowego slangu, który jednak z pewnością już mocno się zestarzał.

Amber przynajmniej jednak nie przewróciła oczami.

- A co ty właściwie robisz w Nowym Jorku? - zapytała, jakby nagle coś zaczęło jej świtać. - Czy wy...?

- Nie, nie jesteśmy razem - odpowiedział Noah pospiesznie, na wypadek gdyby myślała, że we troje mogą w jakiś sposób stworzyć rodzinę. - Mariel pojechała do Valley Falls, żeby się z tobą spotkać, i kiedy dowiedziała się, że zniknąłeś, zatelefonowała do mnie.

- Więc nigdy nie wzięliście ślubu?

Raz jeszcze Noah poczuł się tak, jakby obróciła niewinne pytanie w dotkliwy cios.

- Nie ze sobą - odparła Mariel i szybko dodała: - Ale jesteśmy przyjaciółmi. Znowu zaprzyjaźniliśmy się, kiedy cię szukaliśmy.

Noah milczał.

- Szukaliście mnie? - Amber przez chwilę rozważała te słowa. - Domyślam się, że to właśnie robiliście w parku na Tompkins Square, co? To raczej nie jest miejsce, dokąd można udać się na przechadzkę po zmroku, chyba że się kogoś szuka.

- Albo chyba że się szuka kłopotów.

Amber posłała mu porozumiewawczy uśmiech.

- Taak, niezłe afery odchodzą w tym mieście nocami.

- Miałaś dużo szczęścia - odezwała się Mariel ponuro. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Straszne rzeczy przydarzają się na ulicach takim młodym dziewczynom jak ty, Amber. Nie powinnaś była...

- Nie musisz mi o tym przypominać - przerwała Amber. - Wiem. Ale nie było aż tak źle. Miałam przyjaciół, którzy nade mną czuwali.

- Teraz, jak mi się wydaje, twoja przygoda wreszcie się skończyła. Jestem pewna, że przeżyłaś już dosyć - ciągnęła Mariel, spoglądając znacząco na Noaha.

- Już pora, żeby zadzwonić do twoich rodziców - odezwał się, wstając, po czym ruszył do telefonu.

- Nie! - zaprotestowała Amber ostro. - Jeszcze nie!

- Dlaczego? - Odwrócił się i popatrzył na nią. - Musimy ich zawiadomić, że nic ci się nie stało, Amber. Oni przechodzą przez piekło. Chcą, żebyś wróciła do domu, do swojego.

- Ale... kto powiedział, że to mój dom.

- My to mówimy - odparła Mariel twardo. Noah wiedział, że zadaje sobie ból, ale jej wyraz twarzy wyrażał tylko stanowczą pewność.

- To nie jest wyłącznie ich dom - podjął. - To również twój dom. Od razu stało się to dla nas jasne, kiedy odwiedziliśmy Valley Falls.

Amber zasepiła się.

- Wybraliśmy państwa Steadmanów spośród wielu innych osób, które chciały mieć cię u siebie - powiedziała Mariel. - Wiedzieliśmy, że będą dla ciebie dobrymi rodzicami. Nadszedł czas, żebyś do nich wróciła.

- Oni tam na mnie nie czekają - oświadczyła Amber. - A przynajmniej nie razem. Teraz będę dzieckiem rozwiedzionych rodziców. Już wystarczająco okropnie jest być adoptowaną.

Na dźwięk tych słów Noah zamarł. Nie ośmielił się spojrzeć na Mariel.

- To aż tak źle? - spytała Mariel cicho po dłuższej chwili. - Być adoptowaną?

- No nie, nie aż tak - odpowiedziała Amber cienkim głosem. - W każdym razie nie było źle do czasu, kiedy oni się rozstali. Wtedy poczułam, że już nie mam domu.

Mariel objęła ją. Noah podeszedł, usiadł z drugiej strony przy Amber i głaskał dziewczynkę po jedwabistych włosach, kiedy szlochała z twarzą ukrytą na ramieniu matki. Mariel też bezgłośnie płakała.

- Przepraszam - wyszeptwała. - Tak mi przykro. Nigdy nie miałam zamiaru cię skrzywdzić. Chciałam tylko dla ciebie jak najlepiej. I dla ciebie - dodała, zwracając znekane spojrzenie na Noaha. - Chciałam tylko jak najlepiej dla was obojga.

I dla siebie, dodał Noah w duchu. Łatwiej mu było wierzyć, że Mariel kierowała się egoizmem. W ten sposób nie mógł pozwolić sobie na... Na to, żeby ją kochać.

Nie, bronił się, odsuwając od siebie tę myśl, kiedy emocje zaczęły znów dochodzić do głosu. Nie, żeby ją kochać. Tu nie chodziło o miłość, ale o odpowiedzialność, zaufanie i...

- Dopiero co skończyłam osiemnaście lat - tłumaczyła zapłakana Mariel, przenosząc błagalne spojrzenie na córkę. - Byłam niewiele starsza niż ty teraz, Amber. I w dodatku święcie przekonana, że nie mam pojęcia, jak być matką. A ty zasługiwałaś na kogoś o wiele lepszego. Steadmanowie... byli lepsi. Ona była... była podobna do mojej mamy. Przez tyle lat chciała urodzić dziecko. Kiedy kobieta stara się tak długo i pragnie tego tak strasznie, staje się typem matki, która... cóż, dla której dziecko jest skarbem.

Amber również płakała. Ramiona jej drżały, kiedy na oślep szukała serwetki koło pustego naczynia po zupie. Noah podał jej chusteczkę. Dziewczynka wydmuchwała nos i otarła oczy.

- Kiedy ci powiedzieli, że zostałam adoptowana? - zwrócił się do Amber zachrypniętym głosem. Musiał wiedzieć więcej. Musiał upewnić się, że nie cierpiała z powodu adopcji. Że naprawdę wszystko było w porządku.

- Nigdy mi nie powiedzieli! - odparła Amber.

Przerażony, zaczął dopytywać się, w jaki sposób odkryła prawdę. Czyżby natknęła się na dokumenty adopcyjne?

Zanim jednak zdołał coś jeszcze dodać, Amber wyjaśniła:

- Wydaje mi się, że w naszym domu nigdy nie robiono z tego tajemnicy. Zawsze wiedziałam, że najpierw roslam w czymś innym brzuszku, bo moja mamusia nie mogła mnie mieć w swoim. Oni mówili mi, że jestem kimś wyjątkowym i że pragnęli mnie tak bardzo, że musieli czekać na mnie przez całe lata. Właśnie tak jak ty to powiedziałaś.

Mariel skinęła głową, wycierając oczy w rękaw koszulki.

- To prawda, Amber. Tak długo marzyli o dziecku, że kiedy się dowiedzieli, że cię dostaną, po prostu szaleli ze szczęścia. Osoba, która zajmowała się twoją sprawą adopcyjną, opowiadała mi, że od razu pobiegli kupić mebelki do dziecięcego pokoju i całą niemowlęcą garderobę, i największego misia, jakiego można dostać.

- Dunbar - powiedziała Amber uroczyście. - Tak go nazwałam. Nadal mam go w swoim pokoju. Jest naprawdę duży. - W jej głosie zabrzmiała nuta tęsknoty.

Noah wiedział, że nadszedł właściwy moment, żeby zadzwonić do Steadmanów. Nie mogli odkładać tej sprawy już ani chwili dłużej. To nie byłoby fair. Ci ludzie zasługiwali na to, żeby wiedzieć.

Podniósł się, wziął telefon bezprzewodowy i podszedł do kanapy. Amber, nadal w objęciach Mariel, podniosła na niego oczy.

- Chcesz zadzwonić? - zapytał. - Czy ja mam to zrobić?

- Zadzwonię - powiedziała cichutko i wzięła od niego aparat.

Nie spuszczała z niej wzroku.

Amber podniosła się z kanapy.

- Czy mogę porozmawiać z nimi z innego pokoju? Bo, rozumiecie, nie chciałabym...

- Oczywiście, idź - wpadł jej w słowo Noah.

Wyszła do hallu z aparatem w ręku.

Noah spojrzął na zegarek. Minęła już północ. Wyobrażał sobie, co Steadmanowie pomyślą, kiedy o tej porze zadzwoni telefon. Może należało zaczekać do rana, żeby oszczędzić im momentu śmiertelnego strachu.

- Tatusiu, to ty? - zapytała Amber i głos jej się załamał. - Jesteś tam? Jesteś w domu?

Szlochając, weszła z telefonem do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Noah popatrzył na Mariel. Odpowiedziała mu spojrzeniem.

- No - powiedziała po chwili cicho - skończone.

Skinął głową.

- Skończone.

I wiedział, że nie mówili o poszukiwaniach córki.

Następne cztery godziny spędzili we trójkę w saloniku na kanapie. Noah zaparzył kawę i nawet Amber napiła się trochę, tłumacząc, że chce być rozbudzona, kiedy przyjadą rodzice.

- Chyba powinnaś się przespać - powiedziała Mariel, zaniepokojona jej wyraźnym wyczerpaniem. - Oni nie pojawią się tu jeszcze przez długi czas.

- Teraz nie mogę. - Amber powstrzymała ziewnięcie. - Kiedy w końcu położę się do łóżka, mam zamiar wyłączyć się na dużo dłużej niż parę godzin.

Dziewczynka siedziała pomiędzy Mariel i Noahem. Pili kawę i opowiadali o sobie. Mówiła głównie Amber. Teraz, gdy porozumiała się z rodzicami, wydawało się, jakby ożyła.

Kiedy wynurzyła się z łazienki po pięciominutowej rozmowie i podaniu za pozwoleniem Noaha jego adresu, radośnie powiadomiła Noaha i Mariel o tym, o czym już zresztą wiedzieli: że to ojciec odebrał telefon.

Powiedział, że mieszka w domu i że był na miejscu od chwili, gdy ona zniknęła. Amber zapytała, czy to oznacza, że już zostanie, ale ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

Nie wyglądało jednak, żeby się tym martwiła. Widocznie na razie wystarczała jej świadomość, że nadal istnieje nadzieja na uratowanie małżeństwa rodziców. Mieli razem przyjechać do Nowego Jorku. Nie chcieli czekać do

rana. Powiedzieli Amber, że wyruszają natychmiast, kiedy się tylko ubiorą.

Amber wzięła prysznic i umyła głowę. Nadal wyglądała mizernie, ale i tak nieporównanie lepiej niż przedtem. Pachnące świeżością włosy spadały jej na ramiona miękkimi falami. Miała na sobie szorty Mariel i jedną z jej koszulek polo, które pasowały na nią jak ulał. Mariel zaproponowała, żeby sobie te rzeczy zatrzymała.

Patrząc na Amber, nie mogła się powstrzymać od pełnych tęsknoty myśli, jak by to było mieć córkę, która pożyczalaby od niej ubrania - córkę, z którą mogłaby wyprawiać się na zakupy, której włosy mogłaby szczotkować i splatać w warkocze; córkę, którą nauczyłaby golić nogi, robić makijaż i dzieliła z nią to wszystko, co zwykle dzieliła matki ze swoimi córkami. Wszystko to, co ominęło Mariel w ciągu lat, które spędziły z dala od siebie.

Amber gawędziła o swoim życiu, a Mariel chwytiała się kurczowo każdego szczegółu. Dziewczynka opowiadała o rzeczach, o których oboje z Noahem już wiedzieli: że jej najlepszymi przyjaciółkami są Sherry i Nicole, że lubi surfować po sieci, że grała główną rolę w szkolnym musicalu *Hello, Dolly*.

Mówiła też o tym, czego Mariel jedynie się domyślała, dzięki wskazówkom zebranych podczas krótkiej wizyty w domu Steadmanów: że Amber gra na fortepianie, że kocha czytać, zwłaszcza powieści o Harrym Potterze.

Ale było jeszcze o wiele więcej.

Amber złamała prawą rękę, kiedy mając siedem lat spadła w szkole z drabinek, i gdy leżała w szpitalu, rodzice karmili ją, żeby nie musiała się forsować. -

Na dziesiąte urodziny rodzice urządzili Amber niespodziankę - przyjęcie na basenie, na które zaprosili dziesięć jej koleżanek. Jedzenie było wyłącznie w kolorach czerwonym, białym i niebieskim na cześć patriotycznego święta - pizza, hawajski poncz, ciasto z jagodami i lody waniliowe.

Kiedy Amber była w siódmej klasie, jakiś łobuz nie wiadomo dlaczego zagroził jej pobiciem, i przez cały rok ojciec każdego ranka odprowadzał ją do szkoły, mimo że przez to sam spóźniał się do pracy.

Te niezliczone historie mówiły w większości o zupełnie zwyczajnym dzieciństwie i Mariel poczuła wdzięczność za tę małomiasteczkową normalność życia swojej córki.

Dziesiątki przykładów świadczyły o tym, że Amber była kochana i rozpieszczana.

Mariel nie miała już cienia wątpliwości, że postąpiła mądrze, wybierając właśnie tych ludzi. W końcu mogła ostatecznie pozbyć się niepokoju. Cokolwiek by oznaczały ich problemy małżeńskie, Steadmanowie byli takimi rodzicami, jakimi ona i Noah nigdy by być nie potrafili. W każdym razie nie wtedy.

A teraz...

A teraz nie miało znaczenia. W rzeczywistości nie było żadnego teraz; wszystko się skończyło. W ciągu ostatnich wspólnie spędzonych godzin przeistoczyło się we wtedy, stało częścią przeszłości wraz ze wszystkim innym, co kiedykolwiek razem przeżywali.

Kiedy tylko Amber odjedzie, trzeba złapać pierwszy możliwy samolot do Missouri. Nie ma żadnego powodu, żeby odkładać wyjazd. Im dłużej przeciągnie się pożegnanie, tym bardziej będzie bolesne.

- Czy mogę was oboje znowu odwiedzić? - spytała nagle Amber.

Mariel zawahała się.

- Bardzo bym chciała, o ile twoi rodzice uznają to za dobry pomysł.

- Nie myślę, żeby mieli coś przeciwko. - Amber spojrzała na zegarek, a potem na drzwi. - Nie sądzicie, że oni już powinni tu być?

- To długa droga - odparła Mariel, wyciągając rękę, żeby odgarnąć kosmyk włosów z policzka córki.

- Ale nic im się chyba nie stało? - niepokoila się dziewczynka.

- Nie, jestem przekonany, że lada moment zadzwonią do drzwi - zapewnił ją Noah.

Mariel uświadomiła sobie, że odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Ominęła wzrokiem Amber i ich spojrzenia skrzyżowały się, ale tylko na chwilę. Noah wstał gwałtownie i chwycił swoją filiżankę.

- Zrobię sobie dolewkę - oświadczył. - Czy ktoś chce jeszcze kawy?

- Ja poproszę - powiedziała Amber.

- Mam nadzieję, że nie nabierzesz złych nawyków - zażartował Noah. - Kofeina uzależnia, wiesz o tym.

- Ej, dajże spokój - powiedziała wesoło. - W domu nigdy nie pijam kawy. Normalnie nie mogę jej znieść.

- I lepiej nie wysilaj się, żeby ją polubić, bo zahamujesz proces rośnięcia i co też dobrze wiesz...

Jego słowa przerwał głośny terkot dzwonka.

Amber poderwała się z kanapy.

- To oni!

Mariel poczuła, jak zamiera w niej serce.

Wiedziała, że ta chwila nadejdzie. Zaakceptowała tę konieczność... wraz ze wszystkim, co za sobą pociągała.

Jak sparalizowana patrzyła, że Noah naciska guzik domofonu, by wpuścić Steadmanów na klatkę schodową. Po chwili zdołała podnieść się z kanapy i stanąć koło niego w drzwiach, za Amber, która niecierpliwie wyglądała na korytarz.

Kiedy pospieszny tupot kroków rozległ się na ostatniej kondygnacji,

Amber wypadła z mieszkania i pomknęła po schodach w dół.

Mariel patrzyła przez łzy, jak jej córka rzuca się w objęcia swoich rodziców. Nagle poczuła dłoń na ramieniu i

odwróciła się do Noaha, który spoglądał na nią oczyma pełnymi wzruszenia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział miękko.

Skinęła głową.

Ile razy już to powtarzali? W ciągu tych ostatnich kilku dni...

I piętnaście lat temu, kiedy była w ciąży, przerażona, gdy potrzebowała zapewnienia, że dokonuje słusznego wyboru. I nawet podczas porodu, kiedy skręcała się w mękach, a Noah godzinami trzymał ją za rękę i dodawał otuchy, ilekroć krzyczała z bólu. On wiedział, że jej cierpienie było w tej samej mierze natury fizycznej, co emocjonalnej, ona natomiast wiedziała, że ten ostatni ciężar dźwigają wspólnie. Że jego słowa miały pocieszyć nie tylko ją, ale ich oboje.

Wszystko będzie dobrze.

Ale wcale nie było dobrze. Nigdy nie było dobrze, aż do teraz.

Teraz, kiedy patrzyła na trójkę Steadmanów ściskających się we łzach na źle oświetlonej klatce schodowej, upewniła się, że przynajmniej tyle było naprawdę w porządku.

Ona i Noah stworzyli rodzinę. Chociaż nie była to ich rodzina.

Pierwszy odwrócił się do nich Carl Steadman, ciągle jeszcze obejmując Amber.

- Dziękujemy - powiedział ochryple. - Nie wiem, jak państwu dziękować. Otrzymujemy z rąk państwa naszą córkę już po raz drugi w życiu.

Mariel bez skutku starała się znaleźć jakieś odpowiednie słowa. Jedyne, na co potrafiła się zdobyć, to uśmiech przez łzy. Wiedziała, że stojący obok Noah przeżywa to samo.

Słońce wstawało nad Manhattanem, kiedy Steadmanowie wyruszyli w drogę powrotną.

Noah zamknął za nimi drzwi i podszedł do okna. Jeśliby dobrze wyciągał szyję, mógłby wyjrzeć poza linię wysokich budynków wznoszących się po drugiej stronie ulicy. Mógłby zobaczyć niebo pokryte smugami różu i złota, i stwierdzić, że zapowiada się piękny dzień.

Za jego plecami rozległo się pobrzękiwanie szkła. To Mariel zebrała ze stołu pięć filizanek po kawie i niosła je do kuchni. Po chwili Noah usłyszał szum lejącej się do zlewu wody. Nie odwrócił się i nie ruszył, żeby pomóc.

Póki Steadmanowie byli tutaj, mógł pozwolić sobie na roztargnienie. Mógł prowadzić kulejącą rozmowę i obserwować, jak się trzęsą nad córką.

Oczywiście, Amber zajęła miejsce na kanapie pomiędzy nimi, dokładnie tam, gdzie przedtem siedziała z Noahem i Mariel.

Był świadomy, że goście przypatrują się jego żalotnemu mieszkaniu, czuł, że porównują go ze swoim własnym domem w Valley Falls. A może tylko tak mu się wydawało. Może był jedyną osobą, która przeprowadzała takie porównania.

Zostali zaledwie pół godziny czy coś koło tego, tyle ile było im potrzeba, żeby upewnić się, że ich córka jest cała i zdrowa, wypić kawę dla wzmocnienia przed drogą powrotną i przeprosić za podejrzenie, że Noah i Mariel mieli coś wspólnego ze zniknięciem Amber.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała Mariel. - Na państwa miejscu prawdopodobnie myślelibyśmy tak samo.

I kiedy już zabrali córkę, obiecawszy pozostawać z Mariel i Noahem w kontakcie, on wiedział, że rozpaczliwie pragnie być na ich miejscu.

Nadal czuł uścisk Amber, a w uszach brzmiało mu echo słów, które wyszeptala na pożegnanie:

- Proszę, pozwólcie mi należeć do waszego życia. Proszę, pozostanemy w kontakcie. Chcę was znowu zobaczyć.

Skinął głową.

Tak, znowu zobaczy Amber. To z Mariel już się nie spotka. Teraz, kiedy zostali sami, nadchodziło to, co nieuniknione.

Usłyszał za sobą jej kroki. Mariel wróciła do salonu.

- Myślę, że powinnam pojechać prosto na lotnisko - powiedziała.

A więc tak. Skończone.

Nie pozwolił sobie, żeby choć mrugnąć okiem. Po prostu skinął głową i dalej wpatrywał się przez okno w niebo, gdzie samotny ptak szybował nad domami.

- Wezmę tylko prysznic i przebiorę się.

Znowu skinął głową.

Miał wrażenie, że się zawahała. Poczul zniecierpliwienie. Co ona chce mu powiedzieć? Co chce, żeby zrobił? Żeby starał się ją zatrzymać?

Cóż, nic z tego. Już kiedyś próbował. A nawet, dokładnie rzecz biorąc, dwukrotnie. Dwukrotnie błagał ją, żeby z nim spędziła życie. Dwukrotnie mu odmówiła. Miał dosyć. Tym razem pozwoli jej wyjechać.

Usłyszał, jak odchodzi i po chwili cicho zamknęły się za nią drzwi łazienki.

Stojąc na ulicy z podróżną torbą u stóp, Mariel czuła się tak, jakby przeżywała nawrót koszmaru.

Noah, odwróciwszy się w stronę mknącego Broadwayem strumienia samochodów, uniósł rękę. Usiłował złapać

taksówkę.

Miał zamiar pozwolić Mariel odjechać. Jeszcze w mieszkaniu była pewna, że będzie chciał ją zatrzymać. I wiedziała, że jeśli to zrobi, jeśli podejmie najmniejszą próbę, żeby ją przekonać, ona zostanie.

Widok Amber odchodzącej z ich życia był bolesny. Ale to... To była tortura.

Amber nie należy do nich. Jest wspaniałym dzieciakiem i teraz, kiedy Mariel ją odnalazła, dziewczynka stanie się w takim stopniu elementem jej rzeczywistości, w jakim Steadmanowie - i sama Amber - zechcą. Ale ona naprawdę nie jest córką Mariel. Już nie. Nigdy nie była.

Jakaś część istoty Mariel bolała nad stratą, ale reszta odczuwała dziwne zadowolenie. Podczas tych krótkich godzin spędzonych z dzieckiem, które urodziła i oddała, Mariel odkryła w sobie coś nowego - niewyczerpane źródło tęsknoty za macierzyństwem, o której istnieniu dotychczas nie wiedziała. A przynajmniej nie pojmowała jej w takim sensie, jak obecnie.

Nie mogąc się przez całe lata uwolnić od myśli o córce, Mariel sądziła że tęsknota ta wynika z poczucia winy i dotyczy tylko dziecka, które utraciła. Teraz uświadomiła sobie, że chodzi o coś więcej. Że mogłaby rzeczywiście zasmakować w roli rodzicielskiej. Chciała mieć jeszcze jedno dziecko - dziecko, którym by się opiekowała, które by wychowywała, tak jak robiła to jej własna matka.

Tak, pragnęła kolejnego dziecka. I własnej rodziny. Pragnęła Noaha i jego dziecka. Dziecka, któremu dadzą życie świadomie, z miłością.

Na takie marzenia było już jednak za późno. Wyjeżdżała, a on zamierzał jej na to pozwolić.

Chyba że... Chyba że powiedziała mu, co czuje. Ale nawet wtedy mógłby jej nie uwierzyć. Mógłby ją odtrącić.

Gdyby tylko wiedziała, że tego nie zrobi. Gdyby wiedziała, że ją kocha.

Jednak Noah nigdy nie powiedział ani słowa o miłości. Mówił tylko o...

- Taxi! - krzyknął, machając ręką jak szalony, kiedy jakaś taksówka zakręciła w ich kierunku.

Przez jedną nierozważną, pełną nadziei chwilę Mariel wierzyła, że samochód pojedzie dalej. Zaraz jednak zauważyła zapalone środkowe światelko na dachu wozu. Wystarczająco dużo dowiedziała się już w ciągu ostatnich dni o Manhattanie, żeby zrozumieć, co to oznacza: kierowca był wolny i miał zamiar się zatrzymać. A nawet gdyby przypadkowo tego nie zrobił, zaraz pojawi się następny samochód. Tutaj, na Manhattanie, zawsze można było złapać taksówkę. Zawsze pojawiał się ktoś chętny, żeby cię podrzucić, dokądkolwiek sobie zyczysz...

I dokądkolwiek sobie nie zyczysz.

Musiała już jechać na lotnisko, przypomniawszy sobie z bólem. Wrócić do. Missouri. Tak było lepiej, bo Noah nie poprosił, żeby została. I nie zaproponował, że z nią pojedzie. Ze słusznych przyczyn.

I rzeczywiście taksówka zatrzymała się. Mariel patrzyła oszołomiona, jak kierowca otwiera bagażnik. Noah chwycił jej bagaże i wstawił do środka. Otworzył dla Mariel drzwiczki. Wszystko po kolei, tak jak w środę rano.

Mogła pozwolić, żeby to się działo... Albo zatrzymać bieg wydarzeń.

Spojrzała w zmęczone, podkrążone oczy Noaha z nadzieją, że dostrzeże w nich coś, co pomoże jej podjąć decyzję. Przełknęła z trudem.

- Nie chcę tego przeciągać - powiedziała głosem pełnym napięcia.

Skinął głową.

- Nie ma potrzeby. Jedź już, Mariel. Jedź. Musisz.

To prawda. Musiała jechać.

Odwróciła się i na oślep wgramoliła na tylne siedzenie samochodu.

Noah zatrzasnął za nią drzwiczki.

- Dokąd pani sobie życzy? - zapytał taksówkarz.

Nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Dokąd jedziemy?

Chciała mu powiedzieć, że to już nieaktualne. Że ona nigdzie nie wyjeżdża. Otworzyła usta. Udało jej się odzyskać głos.

- La Guardia - powiedziała tylko.

Wróciwszy do domu, Noah zaczął nerwowo spacerować z pokoju do pokoju. Jego buty na nagich posadzkach wydawały głuchy odgłos, donośnie rozbrzmiewający w pustym mieszkaniu.

Oto jego dom. Jego życie.

Z niedowierzaniem zatrzymał się przy oknie w salonie i wyjrzał na ulicę, wstrząśnięty, że do tego doszło. Został sam, w tym mieszkaniu, w tym mieście, na tym świecie.

Nawet o tak wczesnej godzinie w sobotni rano Broadway tętnił życiem. Każdy z przechodniów dokądś się spieszył. Każdy miał swoje miejsce.

Daleko, w innej części miasta Kelly leżała w swoim ogromnym łóżu, może sama, a może nie.

W Queens matka zapewne szykowała się właśnie na poranne nabożeństwo, po którym pójdzie na kawę z kilkoma paniami z sąsiedztwa.

Znajomi Noaha spędzali wolny dzień ze swoimi żonami, niektórzy również z dziećmi; może planowali, że

poleniuchują w parku czy na plaży.

Gdzieś, po jednej z autostrad, Amber mknęła wraz z rodzicami w kierunku domu. Podobnie jak Mariel, wracała do siebie.

Przez chwilę, kiedy patrzył na Mariel przez uchylone drzwiczki taksówki, omal nie pomyślał, że się zawahała. Gdyby tak było - gdyby okazała cię niezdecydowania - poprosiłby ją, żeby została. Albo zaproponowałby, że pojedzie z nią. Cokolwiek - żeby tylko mogli być razem.

Ale ona nie zawahała się. Wsiadła do taksówki i zniknęła z jego życia, nawet się nie obejrzawszy.

Wiedział, że tak było, bo patrzył w ślad za nią, aż samochód zakręcił i skrył się za odległym rogiem ulicy.

Teraz Noah był sam. Mógł się pozbierać i żyć dalej... Albo, do cholery, szybko za nią jechać.

Zmartwił na tę myśl, chciał się od niej uwolnić... A potem wreszcie dopuścił ją do siebie.

Mógł jechać za Mariel. Tak.

Zbyt wiele wiedział o baseballu - i o życiu - żeby rozumieć, że dwie porażki nie oznaczają, że wypada się z gry. Miał jeszcze ostatnią szansę i byłby głupcem, gdyby nie spróbował.

Ściskając w dłoni bukiet czerwonych róż, które pospiesznie kupił na ulicy koło domu, Noah wielkimi krokami przemierzał terminal na La Guardia. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby sprawdzić, któredy mają przechodzić pasażerowie z lotu Mariel przed udaniem się do punktu kontroli.

- Czy ma pan bilet? - zapytała kobieta w mundurze, zatrzymując go, zanim zdołał przedostać się przez bramkę z wykrywaczem metalu.

- Nie, ja tylko kogoś pożegnám... Albo, przy odrobinie szczęścia, przekonám ją, żeby nie wyjeżdżała.

- Przykro mi, proszę pana, przez ten punkt mogą przejść wyłącznie osoby posiadające bilet.

Otworzył już usta, żeby się klócić, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że to się na nic nie zda. Takie były przepisy. Nie pozwolą mu ich złamać, obojętnie co powie. Tylko straciłby czas.

Zerknął na zegarek. Odprawa potrwa jeszcze przynajmniej dwadzieścia minut. Jeśli się pospieszy, może zdążyć.

Odwrócił się na pięcie i pognął do kasy biletowej, przed którą wił się przez halę lotniska długi ogonek. Zdenerwowany, zajął miejsce na samym jego końcu.

Ogonek przesunął się szybciej, niż można się było spodziewać. W ciągu następnego kwadransu Noah raz po raz sprawdzał godzinę. Wreszcie nadeszła jego kolej.

- Poproszę miejsce na lot 735 do St. Louis - powiedział, rzucając kartę Visa na kontuar. Nie szkodzi, że była już niemal bez pokrycia. Przy odrobinie szczęścia pozostał mu jeszcze kredyt wystarczający na zakup biletu lotniczego.

- Samolot startuje punktualnie. Pasażerowie już weszli na pokład. Ma pan tylko pięć minut, żeby zdążyć.

- Wiem.

- Powrotny czy w jedną stronę? - zapytała agentka biura podróży, uśmiechnąwszy się nieznacznie na widok bukietu róż.

- W jedną stronę - oświadczył Noah stanowczo.

Musiał przekonać Mariel, że należą do siebie. I nie zamierzał ustąpić, dopóki ona w to nie uwierzy. Dopóki nie zgodzi się spędzić reszty życia w jego ramionach.

Urzędniczka błyskawicznie wykonała jakieś operacje na komputerze i przeniosła wzrok z ekranu na twarz klienta.

- Bilet powrotny jest o dwieście trzydzieści dolarów tańszy.

- Poproszę w jedną stronę - powtórzył Noah, zaciskając szczęki.

Nie wróci. Nie zamierzał przyjąć odmowy. Nie dbał o to, że musi porzucić wynajęte mieszkanie, do połowy napisane scenariusze, zniszczone meble i komplet ubrań nadających się do pracy, której już nie miał.

- Doradzałabym panu bilet powrotny - tłumaczyła agentka konspiracyjnym tonem. - To dużo taniej. I wcale nie oznacza, że pan musi...

- Ja nie wracam - odparł Noah twardo. - Poproszę w jedną stronę.

Wzruszyła ramionami i wzięła jego kartę.

W chwilę potem rzucił się w stronę bramki, ściskając w jednej ręce kartę pokładową, a w drugiej kwiaty.

Nadbiegł właśnie w momencie, kiedy ogłaszano ostatnie wezwanie dla pasażerów lecących do St. Louis.

- Ja na ten lot - wydyszał bez tchu, dopadając kontrolera koło otwartego jeszcze rękawa.

- Zdążył pan w ostatniej chwili - powiedział mężczyzna, odrywając brzeg karty pokładowej. - Proszę naprzód.

Noah popędził rękawem do samolotu, ledwie odwzajemniając pozdrowienie trzech stewardes, które przygotowywały wózki z tackami i napojami.

Jego miejsce znajdowało się w ostatnim rzędzie. Zatrzymał się na samym początku przejścia między fotelami, przesuwając badawczym spojrzeniem po obcych twarzach w poszukiwaniu Mariel. Chciał błagać siedzące koło niej osoby, obojętnie kim były, żeby się z nim zamieniły, a gdyby stawiały opór, na Boga, zapłaciłby im. Nie mógł czekać całych trzech godzin, żeby wyznać, co miał na sercu.

- Proszę pana, musi pan usiąść - powiedziała stewardesa, podchodząc do niego z tyłu. - Zaraz startujemy.

Odrętwiały z przerażenia, Noah uświadomił sobie, że Mariel nie ma na pokładzie.

Co, do diabła...?

Czyżby wsiadł nie do tego samolotu?

- Czy to jest lot do St. Louis? - spytał stewardesę, oszołomiony.

- Tak - odparła z uprzejmym skinieniem. - Proszę pana, jeżeli pan nie...

- Przepraszam - przerwał jej obcesowo. - Wsiadłem do niewłaściwego samolotu. Muszę wyjść.

Popatrzyła na niego okrągłymi oczyma.

- Ależ, proszę pana...

- Nie lecę do St. Louis - krzyknął przez ramię, rzucając się do wyjścia właśnie w chwili, gdy dwóch pracowników z obsługi technicznej zaczęło odłączać rękaw.

Popędził w stronę terminalu, mijając biegiem zszokowanych kontrolerów przy bramce.

- Nie ten samolot - wyjaśnił nie zatrzymując się.

Dopadł do ekranu informacji i przebiegł wzrokiem po liście odlotów.

Samolot, do którego wsiadł, był jedynym lecącym tego ranka do St. Louis. Znalazł jeszcze lot do Kansas City...

Jaką trasę Mariel mogła wybrać?

Mąciło mu się w głowie, kiedy próbował pozbierać myśli, przypomnieć sobie, czy Rockton leży bliżej St. Louis czy Kansas City. Samolot do Kansas City odlatywał za dwie godziny.

Najlepiej zaczeka przy bramce, zdecydował. I kiedy Mariel się pojawi, zatrzymają.

Oczywiście, że się pojawi. Gdzie indziej mogłaby być?

Nagle uderzyła go pewna myśl. Mariel mogła pojechać na lotnisko Kennedy'ego. Albo do Newark. Nie pofatygował się zapytać o jej plany podróży,

Wszystko wskazywało na to, że siedziała teraz w samolocie czekającym na start z innego portu lotniczego.

To zupełne szaleństwo, pomyślał, upadając na duchu. Nie mógł jej gonić. Nie mógł. Bo nie było im to przeznaczone.

Przyjeżdżając tutaj za nią, zachował się jak impulsywny głupiec.

Mylił się. Dwie porażki i jesteś wyłączony z gry, pomyślał ponuro, ciskając róże i kartę pokładową do pojemnika na śmieci, który mijał, idąc w stronę przystanków.

Mariel, oplótszy rękami kolana, siedziała na schodkach przed kamienicą Noaha i wpatrywała się w pędzące samochody. Spędziła tu już ponad godzinę, a on nie reagował na dzwonek. A może nie było go w domu.

To możliwe, przyznała sama przed sobą. A jednak nie potrafiła uwolnić się od obrazu Noaha, który, zamknięty w swoim mieszkaniu, wsłuchuje się w dźwięk dzwonka, wyczuwa, że to ona, i nie chce się odezwać.

Niby dlaczego miałby ją wpuścić? Przecież odeszła.

Ale wróciła, do cholery. Dotarła na lotnisko i uświadomiła sobie, że nie może tego zrobić.

Zamierzała powiedzieć Noahowi, że chce jeszcze jednej szansy. Chce spróbować zmienić swoje życie. I nawet jeśli nie ma gwarancji, że uda im się to wspólnie, pragnie podjąć takie ryzyko.

Bo nie może bez Noaha żyć.

Zmieniła pozycję na schodku, przyglądając się, jak sznur pojazdów zatrzymuje się na światłach przy następnym rogu. Gdzieś z oddali, głęboko spod ziemi dobiegł łoskot przejeżdżającego metra. Mijali Mariel przechodnie, niektórzy idący samotnie, inni parami albo w grupach - ludzie pędzący życie za kulisami gwarne miasta, o którym kiedyś myślała, że będzie jej domem. Dopóki nie zdała sobie sprawy, że jej domem jest Rockton... I wierzyła w to, aż do chwili, gdy na lotnisku, na moment przed wejściem na pokład samolotu lecącego do St. Louis, zrozumiała, że dom może znajdować się gdziekolwiek, byle tylko Noah był tam z nią.

Nie robiło jej różnicy, czy to on przeprowadzi się do niej do Rockton, czy ona zostanie z nim w Nowym Jorku albo może wspólnie zamieszkają w Strasburgu, Paryżu lub innym miejscu, które on wybierze.

Chciała mu to wyznać natychmiast, kiedy znowu się spotkają.

Wcześniej czy później, powiedziała sobie, obserwując samochody ruszające po zmianie światła, Noah będzie musiał wyjść z domu. Albo wrócić, jeśli rzeczywiście go nie ma.

Innymi słowy, zamierzała czekać tu, aż on się pojawi. Obojętnie, ile czasu to zajmie. Spędziła piętnaście nieskończenie długich lat bez niego. Kilka godzin więcej ostatecznie nie robi różnicy...

Nie robi, jeśli on powie: tak.

Leniwie wpatrując się w ruch uliczny, Mariel zauważyła żółtą taksówkę, zatrzymującą się przy krawężniku po drugiej stronie jezdni. Patrzyła, jak wysiada z niej pasażer.

Po chwili zorientowała się, kto to taki i serce zabiło jej mocniej. A więc nie było go u siebie, nie zignorował jej.

Noah ruszył szybkim krokiem w stronę przejścia, rzucił okiem na światła i czekał, aż się zmienią. Głowę miał opuszczoną, ręce wepchnięte w kieszenie spodni.

Mariel poderwała się ze stopni i popędziła chodnikiem na róg ulicy przeciwległy do tego, na którym on stał.

- Noah! - krzyknęła z całych sił, kiedy nieustępliwy strumień samochodów ruszył, rozdzielając ich. Wymachiwała rękami jak szalona, jak ktoś, kto wzywa pomocy. - Noah!

Nie słyszał jej.

Popatrzyła niecierpliwie na znak STOP, który nadal świecił się po przeciwnej stronie jezdni. Byłaby głupia, gdyby zaryzykowała, schodząc z krawężnika. Musiała czekać, chociaż każdą cząsteczką ciała pragnęła pobiec do niego, lawirując wśród samochodów, autobusów i taksówek.

- Noah! - zawołała znowu, właśnie wtedy, kiedy ruch na jezdni spowolniał i zmieniło się światła.

Noah spojrzął na nie i zszedł z krawężnika.

- Noah!

I wtedy ją zauważył. Osłupiał.

Mariel rzuciła się w jego stronę. Spotkał ją w pół drogi i chwycił w ramiona.

- Mariel! - szepnęła, tuląc ją z całych sił. - Myślałem, że wyjechałaś.

- Nie mogłam wyjechać, dopóki ci czegoś nie powiem. Dopóki nie powiem ci, że cię kocham, Noah. - Te słowa przyprawiły o zawrót głowy zdawały się tańczyć w oślepiającym słonecznym blasku. Nie umiała przestać ich powtarzać. - Kocham cię. Kocham cię i chcę być z tobą, gdziekolwiek jesteś.

- Ja też cię kocham - powiedział i pochylił głowę, żeby zawładnąć jej wargami w słodkim, mocnym pocałunku, który i tak powiedziały jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć, nawet gdyby Noah nie ujął tego w słowa.

- Mój Boże - szepnęła, kiedy się od siebie oderwali. - Byłam taka głupia. Uwierzyłam, że mnie nienawidzisz. Że mi nie wybacysz tego, co wybrałam dla Amber. I tego, że odmówiłam posłubienia cię.

- Nigdy cię nie nienawidziłem - zaprotestował łamiącym się głosem. - I wybaczyłem ci. Podjęłaś słuszną decyzję, Mariel. Najmniej egoistyczną ze wszystkich możliwych. Z nas dwojga to ja nie widziałem dalej własnego nosa. Nie myślałem o tym, co jest dobre dla kogokolwiek oprócz mnie samego. Tak bardzo cię pragnąłem. Tak bardzo chciałem, żebyśmy stworzyli rodzinę.

- Teraz możemy ją stworzyć - odparła z westchnieniem. - Możemy spróbować. To nie chodziło tylko o ciebie, Noah. Ja musiałam wybaczyć samej sobie. Nie uświadamiałam sobie, że dotąd tego nie zrobiłam. Miałeś rację. Pozwalałam, żeby życie przepływało obok. Moje życie w Rockton to ucieczka. Ale jestem gotowa przestać się ukrywać. Zostawić przeszłość za sobą. Nadszedł czas, żeby wszystko rozpocząć od nowa.

- Ze mną - wymamrotał tuż przy jej wargach, całując ją znowu.

Zatrąbił samochód. Potem następny. A potem rozległ się cały chór klaksonów, a jakiś rozwścieczony taksówkarz wychylił się przez okienko.

- Hej, zrobić miejsce! - wrzasnęła - Nie mam całego dnia do stracenia!

Mariel i Noah odskoczyli od siebie, rozejrzeli się i zobaczyli, że w międzyczasie światło znów się zmieniło. Zanosząc się od śmiechu, pobiegli na chodnik.

- Źle przeszliśmy - oprzytomniała Mariel, widząc budynek Noaha po drugiej stronie Broadwayu.

- Och, nie szkodzi - odparł przytulając ją. - Światło w końcu się zmieni. I wiem, co możemy zrobić czekając.

Znowu zaczął całować Mariel.

A ona wiedziała bez cienia wątpliwości, że wreszcie była dokładnie na swoim miejscu.

Epilog

Kiedy Leslie i Jed wyszli z białego kościółka prosto w jasne czerwcowe słońce i ulewę różanych płatków, stojąca na stopniach przed drzwiami Mariel odetchnęła z ulgą.

Jej siostra została mężatką.

Ceremonia przebiegła gładko, oprócz momentu, gdy Leslie wsparta na ramieniu taty, idąc przez główną nawę, potknęła się o tren sukni. Odzyskała równowagę, uchwyciwszy się jednej z ozdobionych kokardami ławek i Mariel, która patrzyła na to z miejsca przy ołtarzu, posłała zdenerwowanej pannie młodej krzepiący uśmiech.

Ale Leslie w ogóle nie widziała Mariel. Odszukała spojrzeniem Jeda, który czekał u szczytu nawy, i kiedy on się uśmiechnął i skinął głową, dodając narzeczonej otuchy, jej twarz natychmiast się rozpogodziła.

Wtedy właśnie Mariel pojęła, że siostra świetnie sobie bez niej poradzi.

Co wcale nie oznaczało, że któraś z nich zamierzała opuścić Rockton na dobre - przynajmniej nie teraz.

Leslie i Jed wprowadzili się do nowego domu, oddalonego zaledwie o kilka przecznic od Rowanów.

Mariel rzeczywiście planowała za kilka dni wyjechać, ale nie na długo, podczas gdy państwo młodzi udawali się na Hawaje, żeby spędzić tam miesiąc miodowy. Mariel zaś jechała nareszcie do Europy. Zamierzała zobaczyć Londyn, Paryż i Rzym i w dodatku miała podróżować w towarzystwie Noaha. To było w tym wszystkim najbardziej niewiarygodne, cudowne.

Wykorzystali część jej oszczędności i część odprawy z agencji reklamowej oraz zastaw za mieszkanie, który zwrócono Noahowi. Tammy Harper z Ali Aboard Travel o mało nie spadła z krzesła, kiedy Mariel wstąpiła do jej biura, żeby zrobić rezerwację.

- To raczej daleko od Syracuse - skomentowała.

- Raczej tak - odparła Mariel słodkim tonem.

Planowali wrócić do Rockton tuż przed Świętem Pracy, akurat w samą porę, żeby Mariel zdążyła na nowy semestr w szkole. Noah natomiast miał mieć czas, przestrzeń i spokój, których potrzebował do pracy nad sceną-

riuszami. Może pewnego dnia sprzeda któryś z nich.

Ale jeśli nawet nigdy mu się to nie uda, nie będzie to miało - jak powiedział Mariel - żadnego znaczenia. Przynajmniej dopóki mają siebie nawzajem. I ona mu wierzyła.

Przyglądała się, jak jej siostra i Jed całują się namiętnie wśród wirujących płatków róż.

Potem odwróciła głowę i przeszukała wzrokiem tłumek zgromadzony na zielonym trawniku, ciągnącym się od stopni kościoła.

Dostrzegła Noaha tuż koło ojca. Podtrzymywał staruszka pod ramię, kiedy ten cofał się, żeby zrobić zdjęcie córce i świeżo upieczonemu zięciowi.

Mariel napotkała wzrok Noaha i posłała mu pełen wdzięczności uśmiech, wskazując ojca i bez słów dziękując za opiekę nad nim.

Noah odpowiedział jej uśmiechem.

Tata promienieje, pomyślała Mariel, obserwując, jak pastor Rowan robi kolejne zdjęcie nowożeńcom.

Prawdopodobnie był to jeden z najwspanialszych dni w jego życiu - chociaż starszy pan poczuje się jeszcze szczęśliwszy, kiedy się dowie, że jest dziadkiem, co przypomniał Leslie i Jedowi, wygłaszając toast podczas obiadu w przededniu ślubu.

Mariel i Noah wymienili się wówczas spojrzeniami.

Ojciec nadal nie wiedział o Amber. Pewnego dnia może mu powiedzą; jemu, Leslie i Jedowi. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas. I możliwe, że pewnego dnia będą mogli również podzielić się inną wiadomością, myślała rozmarzona.

Państwo młodzi zeszli na trawnik, pospieszyła więc za nimi, ostrożnie unosząc nad kostkę skraj różowej sukni družki.

- Wyglądasz cudownie, kochanie - zatrzymała Mariel Katie Beth.

Najmłodsze dziecko spało na jej ramieniu, a Olivia trzymała się wstydliwie matczynej ręki. Patrick towarzyszył żonie, z jednym dzieckiem na rękę, a drugim czepiającym się nogawki czarnych spodni od garnituru.

- Ty też wyglądasz wspaniale - powiedziała Mariel, podziwiając zieloną suknię przyjaciółki.

- Oj nie - zaprzeczyła Katie Beth. Pochyliła się i wyszeptowała Mariel na ucho. - Ledwie mogę oddychać, ta suknia jest tak cholernie ciasna w talii. Że mówię ci, jest tego pewna miła przyczyna.

Kiedy znaczenie tych słów do niej dotarło, Mariel aż zaparło dech ze zdumienia, a po chwili uściskała Katie Beth i Patricka.

- Gratulacje - powiedziała serdecznie. - Pięcioro dzieci?

- Wierz mi, byliśmy jeszcze bardziej zdumieni niż ty - odparła Katie Beth z kamienną twarzą. - Chyba trochę zbyt przyjemnie spędzaliśmy czas, kiedy wyjechaliśmy bez dzieciaków na ten długi weekend w kwietniu.

Mariel roześmiała się.

- Gdzie macie zamiar wszystkie je pomieścić?

- Jakoś je poupychamy - odparł Patrick, a Katie Beth przytaknęła radośnie.

Obserwując ich, Mariel poczuła, że jakieś silne ręce obejmują ją w pasie. Podniosła oczy i zobaczyła Noaha. Serce zabiło jej odrobinę szybciej. Zawsze tak się działo, kiedy on znajdował się w pobliżu. Była ciekawa, jak długo potrwa ten romantyczny zawrót głowy.

Spojrzała na Katie Beth i Patricka, którzy wpatrywali się w siebie ponad główkami swoich dzieci, i zrozumiała, że to ma szansę trwać zawsze.

- Mogę zamówić pierwszy taniec, czy musisz najpierw zatańczyć z pierwszym družbą? - szepnął jej Noah do ucha.

- To ty jesteś pierwszy - odparła żartobliwie. - A w każdym razie pierwszy w moim sercu.

Pocałował ją.

- Słusznie, i nigdy o tym nie zapominaj. Nawet wtedy, kiedy będziemy starzy i siwi, i kiedy będziemy mieć tabuny dzieci i wnuków.

- Nie zapomnę - obiecała z całego serca.

I dotrzymała słowa.